

NOWY THRILLER AUTORA *ISTOTY ZŁA*

WEDROWIEC

LUCA D'ANDREA

W
yda
ab
two

LUCA
D'ANDREA

WĘDROWIEC

Przełożył Tomasz Kwiecień



Tytuł oryginału: *Il respiro del sangue*

Copyright © 2019, Luca D'Andrea

First published in Italy in 2019 by Einaudi/Stile libero

This edition published in agreement with Piergiorgio Nicolazzini Literary Agency
(PNLA)

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXXII

Copyright © for the Polish translation by Tomasz Kwiecień, MMXXII

Wydanie I

Warszawa MMXXII

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Spis treści

[Dedykacja](#)

[Rozdział I](#)

[Rozdział II](#)

[Rozdział III](#)

[Rozdział IV](#)

[Rozdział V](#)

[Rozdział VI](#)

[Rozdział VII](#)

[Rozdział VIII](#)

[Rozdział IX](#)

[Rozdział X](#)

[Rozdział XI](#)

[Rozdział XII](#)

[Rozdział XIII](#)

[Rozdział XIV](#)

[Rozdział XV](#)

[Rozdział XVI](#)

[Rozdział XVII](#)

[Rozdział XVIII](#)

[Rozdział XIX](#)

[Rozdział XX](#)

[Rozdział XXI](#)

[Rozdział XXII](#)

[Rozdział XXIII](#)

[Rozdział XXIV](#)

[Rozdział XXV](#)

[Rozdział XXVI](#)

[Rozdział XXVII](#)

[Rozdział XXVIII](#)

[Rozdział XXIX](#)

[Rozdział XXX](#)

[Rozdział XXXI](#)

[Rozdział XXXII](#)

[Rozdział XXXIII](#)

[Rozdział XXXIV](#)

[Rozdział XXXV](#)

[Rozdział XXXVI](#)

[Rozdział XXXVII](#)

[Rozdział XXXVIII](#)

[Rozdział XXXIX](#)

[Rozdział XL](#)

[Rozdział XLI](#)

[Rozdział XLII](#)

[Rozdział XLIII](#)

[Rozdział XLIV](#)

[Rozdział XLV](#)

[Rozdział XLVI](#)

[Rozdział XLVII](#)

[Rozdział XLVIII](#)

[Rozdział XLIX](#)

[Rozdział L](#)

[Rozdział LI](#)

[Rozdział LII](#)

[Rozdział LIII](#)

[Rozdział LIV](#)

[Rozdział LV](#)

[Rozdział LVI](#)

[Rozdział LVII](#)

[Rozdział LVIII](#)

[Rozdział LIX](#)

[Rozdział LX](#)

[Rozdział LXI](#)

[Rozdział LXII](#)

[Rozdział LXIII](#)

[Rozdział LXIV](#)

[Rozdział LXV](#)

[Rozdział LXVI](#)

[Rozdział LXVII](#)

[Rozdział LXVIII](#)

[Rozdział LXIX](#)

[Rozdział LXX](#)

[Rozdział LXXI](#)

[Rozdział LXXII](#)

[Rozdział LXXIII](#)

[Rozdział LXXIV](#)

[Rozdział LXXV](#)

[Rozdział LXXVI](#)

[Rozdział LXXVII](#)

[Rozdział LXXVIII](#)

[Rozdział LXXIX](#)

[Rozdział LXXX](#)

[Rozdział LXXXI](#)

[Rozdział LXXXII](#)

[Rozdział LXXXIII](#)

[Rozdział LXXXIV](#)

[Rozdział LXXXV](#)

[Rozdział LXXXVI](#)

[Rozdział LXXXVII](#)

[Rozdział LXXXVIII](#)

[Rozdział LXXXIX](#)

[Rozdział XC](#)

[Podziękowania](#)

[Przypisy](#)

Dla Alessandry, która jest drogą do domu

Rozdział I

1

– Nie wierz we wszystko, co mówią, chłopaku. Najtrudniej zacząć. Potem już leci z górki.

Zirytowany Freddy odwrócił się do niego i obdarzył go spojrzeniem mówiącym mniej więcej: „Przestań się na mnie gapić, bo inaczej zostaniemy tu do południa”. Po czym machnąwszy leniwie ogonem, bernardyn po raz kolejny podniósł nogę i skoncentrował się na tym, co próbował robić, zanim mu przeszkadzono: przeobrazić pobocze drogi w miniaturę obrazu Pollocka.

2

Gdyby ktoś spytał Tony’ego, czy mu smutno, że jego jedynym przyjacielem jest ważący sto dziesięć kilo bernardyn, wyżej wymieniony, w rejestrze cywilnym figurujący jako Antonio Carcano, nazywany również Sophie Kinsellą w skórzanych portkach (co zdradzało soczystą żółć zalewającą literacki świeatek, gdy mowa o pisarzynach, którzy odnieśli sukces), okazałby szczere zaskoczenie. Smutno? Jemu? A to dlaczego?

Nie, prawdziwy problem polegał na tym, że od pewnego czasu zakamarek mózgu odpowiedzialny za kłopoty z zasypianiem w nocy wciąż powtarzał to, co doktor Hubner powiedział mu podczas ostatniej wizyty: „Musisz zacząć oswajać się z myślą, że ten szczeniaczek ma już swoje lata, i przygotować się na ewentualność, że...”.

Cholerny konował. Freddy nie był stary. Freddy miał dziesięć lat, a Tony czytał o bernardynach, które żyły po jedenaście, a nawet dwanaście lat.

Jasne, że ta futrzana kulka, która gdy grzmiało, wpadała w tak wielki dygot, że uspokoić ją można było, tylko śpiewając *Another One Bites the Dust*, była jedynie wspomnieniem i jeśli już o to chodzi, Freddy nie przestał być tym zwinnym zwierzakiem, który o świcie wskakiwał do łóżka, by przypomnieć swemu człowiekowi o jego obowiązkach wobec psa (obecnie ograniczał się do dyszenia Tony’emu prosto w twarz i czekania, aż się obudzi, by obdarzyć go oskarżycielskim spojrzeniem), ale żeby jedną nogą w grobie? Wolne żarty.

Freddy miał się dobrze. A nawet bardzo dobrze. Był tylko trochę *spowolniony* przez upał.

I rzeczywiście właśnie w tej chwili, jakby po to, by uspokoić jego obawy, spod tylnej łapy psiska trysnęła strużka. Nieśmiałe strzyknięcie, bynajmniej nie krzepki strumień sprzed lat, ale jednak porządne, zdrowe sikanie, które

pozwoili Tony'emu głębiej odetchnąć i uświadomić sobie obecność upartego brzęczenia zagłuszającego wiejską ciszę. Motocykl, nic szczególnego. Zdarzało się, że jakiś naśladowca Valentina Rossiego mylił labirynt drózek wśród jabłoni z trasą wyścigową, ale ponieważ Tony należał do tej szkoły, która głosiła, że nigdy nie jest się zbyt przezornym, wziął Freddy'ego na smycz i zszedł na pobocze drogi. Przezorność jest matką rutyny. A rutyna – podstawą długiego i pomyślnego życia.

Gdy przeszli jeszcze parę metrów w przedpołudniowym upale czerwcowej niedzieli, brzęczenie przeszło w ryk białego motocykla enduro, ubłoconej yamaha, która zredukowała bieg, weszła w wiraż i znacząc długi czarny ślad na asfalcie, zatrzymała się wprost przed Tonym i Freddyem, zmuszając ich do pospiesznego cofnięcia się o parę kroków.

Dziewczyna na enduro miała na sobie krótkie spodenki odsłaniające długie szczupłe nogi i jadownicie czerwoną koszulkę z nadrukowaną gwiazdą, ale to nie jej ubranie zaniepokoiło Tony'ego tak dalece, że własnym ciałem zastawił bernardyna. To sprężynowy nóż. Doświadczenie podpowiadało mu, że indywidua odczuwające potrzebę noszenia ze sobą tego typu oprzyrządowania niemal nigdy nie mają dobrych zamiarów.

Nóż wychylił się z tylnej kieszeni szortów, kiedy miłośniczka dwóch kółek wykonała efektowny wiraż, zsiadła z yamaha, zdjęła kask i zwróciła się w kierunku Tony'ego, obdarzając go spojrzeniem pełnym nienawiści.

Długie kręcone włosy. Blond, bardzo jasny blond. Drobna budowa ciała. Oczy jasne. Delikatne, niemal kocie rysy upodabniały ją do pewnej piosenkarki, tej ze zblazowanym głosem, aurą jestem-przybita-ale-sexy, popularnej w latach dziewięćdziesiątych gwiazdki pop, której nazwisko (Tony nagle i z niejakim ukłuciem paniki poczuł, że to ważne, naprawdę ważne) próbował sobie przypomnieć.

Na próżno.

Przez długą chwilę na twarzy dziewczyny nie drgnął żaden mięsień. Stała z założonymi rękami i wpatrywała się w niego rozwścieczonym wzrokiem. Niewiarygodne, że tak drobne ciało mogło skumulować w sobie tyle furii i nie eksplodować.

Niepokojąca, ocenił ją Tony. Może nawet niebezpieczna. A to już było absurdalne, bo pal licha nóż – dziewczyna ważyła jakieś pięćdziesiąt kilo i gdyby spróbowała zaatakować Tony'ego, z łatwością rozbroiłby ją i unieszkodliwił. A poza tym z jakiego powodu miałyby go atakować?

Odpowiedź nadeszła, kiedy nieznajoma ściągnęła z pleców płócienny plecaczek, wyjęła ze środka kopertę, podała Tony'emu, a on chwycił ją w dłonie, które nagle stały się lodowato zimne.

Koperta zawierała fotografię wydobywającą na światło dzienne całkiem sporo rzeczy, które Tony swego czasu bardzo pracowicie starał się pogrzebać. Najpierw zapach. Zapach błota na wiosnę. Zapach miejsca, w którym fotografia została zrobiona dwadzieścia lat wcześniej: maleńka

miejscowość z pelargoniami na okiennych parapetach w dolinie położonej na północnym wschodzie Tyrolu Południowego, zwana Kreuzwirt. Wystarczył rzut oka i wszystko stało się jasne.

Włącznie z paniką.

Na fotografii, po lewej stronie stał karabinier, nieostry, zatrzymany w kadrze w chwili, gdy z jego ust padało: „Pojechało cię? Co ty, kurwa, robisz?”. W środku, na czworakach, oblepiony błotem, widniał Tony. Tony dwudziestoletni, który patrzył wprost w obiektyw i *uśmiechał się* tuż obok trzeciego obiektu uwiecznionego na fotografii wykonanej o dziesiątej rano 22 marca 1999 roku: prześcieradła, spod którego wystawała dłoń, twarz i kaskada blond kędziorów. Prześcieradło nieskutecznie zakrywało zwłoki dwudziestoletniej dziewczyny: Eriki. Eriki Knapp. Jak ją nazywano w Kreuzwirt, Pomyłonej Eriki.

Eriki Knapp podobnej do Fiony Apple, piosenkarki o aurze jestem-przybita-ale-sexy, której nazwisko wypłynęło z głębi pamięci Tony’ego z taką siłą, że niemal rozsadziło mu czaszkę. Eriki Knapp, zwanej Pomyłoną Eriką, która nocą 21 marca 1999 roku osierociła dziewczynkę o ekstrawaganckim imieniu Sibylle.

I oto dwadzieścia lat po śmierci Eriki Sibylle Knapp, podobnie jak matka przypominająca pszennowłosą i kędzierzawą wersję gwiazdki pop, która wyszła z mody, dziewczyna z yamaha, dziewczyna ze sprężynowcem i w krzykliwej koszulce, czerwona na twarzy, niezdolna się dłużej pohamować, wybuchła prostym pytaniem:

– Dlaczego. Się. *Śmiałeś?*

Tony drgnął. Chciał wyjaśnić, opowiedzieć. Tymczasem okazało się, że potrafi tylko drgnąć po raz drugi, kiedy dziewczyna podeszła, spojrzała mu prosto w oczy, potrząsnęła jasnymi lokami, zamachnęła się i trafiła go w twarz ciosem, od którego poszła mu krew z nosa.

– Ale. Z ciebie. Gnój – zasyczała.

I zde gustowana odwróciła się na pięcie. Podeszła do motocykla, włożyła kask i wskoczyła na siodelko. Dodała gazu tak, że Freddy zaskowyczał, i yamaha znikła w chmurze pyłu. Ryk silnika przeszedł w brzęczenie, które po chwili ucichło.

Tony stał bez ruchu, drżał i patrzył na krew coraz wolniej kapiącą na ziemię, słuchając ciszy, aż w końcu Freddy, zniecierpliwiony, a może też nieco przestraszony, trącił go pyskiem.

Tony pogłaskał go po pomarszczonym łbie, złożył na pół fotografię (na odwrocie kobiecym charakterem pisma zapisano numer telefonu i adres – oczywiście w Kreuzwircie), wsunął ją do kieszeni dżinsów i otarł twarz tak, jak to robią dzieci, poślinioną chusteczką higieniczną. Kiedy skończył, ruszył naprzód, ignorując niespokojne spojrzenia bernardyna.

W niecałe pół godziny dotarł do dzielnicy, w której się urodził i wychował. Mieszkańcy Bolzano mówili na nią – jedni pieścizotliwie, inni

nie całkiem – Szangaj. W domu nalał wody do psiej miski, rzucił brudne ubranie na podłogę i wszedł pod prysznic. Z łazienki poszedł do pracowni, włączył komputer i wyszukał utwór, który swego czasu uczynił Fionę Apple sławną: *Criminal*. Gdy tylko bas i perkusja zaczęły nadawać rytm, Tony poczuł, że ogarniają go mdłości, ale nie poddał się im. Nie pozwolił sobie. Chciał wiedzieć. Kto dał Sibylle tę cholerną fotografię i dlaczego. Wykorzystał muzykę i mdłości, by przypomnieć sobie twarze, sytuacje, słowa. Stukot klawiatury. Zapach skwaśniałej kawy i jima beama.

„Słońce Alp”.

Ile trwała ta, nazwijmy to, przygoda? Miesiąc? Dwa? Gazeta zamknęła się w roku 2001, a w jej dawnym miejscu otworzyła się agencja pracy tymczasowej. Jedynym członkiem ekipy, z którym Tony był wówczas (wbrew swojej chęci) związany, był tłusty blagier Michele Milani, fotoreporter. I choć tę przekłętą fotografię zrobił właśnie Milani, Tony skreślił go z listy podejrzanych. W roku 2008 był na jego pogrzebie. Postawił butelkę burbona obok nagrobka, przekonany, że gadatliwy skurwiol doceniłby gest.

W takim razie kto dał Sibylle tę fotografię? Ktoś podły. Osoba tak pełna żalu i pozbawiona wstydu, by zachować ją przez dwie dekady i...

Giò!

Giovanna Innocenzi. Wydatne kości policzkowe, fryzura carré. Upodobanie do ciemnych ubrań. Szyderczy uśmiezek nawet w samym środku najgorszych ludzkich tragedii. Giò, królowa kroniki kryminalnej. Giò, księżniczka stron plotkarskich. Albo, jak ją nazwał Michele Milani, Giò, wielka księżna w królestwie pierdół.

Giò, która...

Bernardyn położył mu łeb na udach.

– Zgadzam się z tobą, Fred. To naprawdę beznadziejny pomysł.

Rozdział II

Kiedy Sibylle skończyła zmianę, była piąta po południu i termometr umieszczony przy drzwiach knajpy Black Hat wskazywał dwadzieścia dziewięć stopni. Ciotka Helga mówiła, że najgorętsze lato było w roku 1981, ale Sib nie mogła w to uwierzyć. Wydawało się jej, że czuje wrzący asfalt nawet przez podeszwy butów.

Jeśli w położonym na wysokości tysiąca dwustu metrów Kreuzwircie temperatura wzrosła do tylu stopni, to w Bolzano położonym w dolinie, zaledwie trzysta metrów nad poziomem morza, Tony z pewnością nurzał się w smrodliwym rosale duchoty i potu.

Słaba pociecha. Do tego krótkotrwała. Ubrana na czarno dziennikarka zdradziła jej, że książki Carcana dobrze się sprzedają („świat jest pełen sfrustrowanych gospodyń domowych, które można oskubać”), a więc było więcej niż prawdopodobne, że Tony ma klimatyzator. Działający, nie taki jak ten, który Oskar może w końcu naprawi. Albo ten, którego nie ma w domu Eriki, gdzie mieszkała Sib.

Tony...

Sibylle nie potrafiła wyrzucić z pamięci tego, co wyczytała w oczach pisarza, kiedy dała mu w pysk. Zdumienie? Poczucie winy? Była niemal pewna, że się bał. Ale czego? Majchra na fajfusów, który trzymała na widoku w tylnej kieszeni, bo to tam kierowali uwagę napaleni faceci z Black Hat, kiedy była w pobliżu? Może tak. W końcu majcher na fajfusów właśnie do tego służył.

Ale Tony nie sprawiał wrażenia gościa, który łatwo robi w gacie. Przypominał jej raczej jedno z tych narzędzi powleczonych gumą, które na pierwszy rzut oka wyglądają jak zabawka, ale skrywają duszę z metalu. Jakby sprane dżinsy, tiszert z wyprzedazy i pies na smyczy były tylko ekranem, na którym wyświetla się film tak banalny, że aż podejrzany. Murem i głęboką fosą.

Ale przed czym miałyby chronić?

Tego Sibylle nie wiedziała, a po scenie urządzonej wśród jabłoniowych sadów prawdopodobnie nigdy się nie dowie. I ta świadomość, połączona z upałem i rzeczami, które zaczęły się jej przydarzać od pogrzebu Perkmana – kopertą od anonimowego nadawcy, nocami spędzonymi na bezsennym wierceniu się w pościeli i całą resztą – działała jej na nerwy.

Bo Sib nie wyjechała z Kreuzwirtu po to, żeby zrobić jakieś sto kilometrów po serpentynach, a potem dać *shleppa* w nos (naprawdę bardzo rasową *shleppa*, musiała to sobie przyznać) facetowi, który zarabiał na życie pisaniem sentymentalnych czytadeł. Biorąc pod uwagę, ile paliła yamaha,

nie było warto. Nie, Sibylle zmarnowała czas i benzynę, ponieważ chciała z Tonym porozmawiać.

Uściskać mu rękę, przedstawić się, pokazać fotografię Eriki nad jeziorem, zadać pytanie.

Wysłuchać.

Ale czy Sib kiedykolwiek potrafiła trzymać się planu? No właśnie, nigdy. Bo była impulsywna. Bo w najmniej odpowiednich momentach ujawniała się ta jej część, którą ciotka Helga nazywała Sibby Pończoszanką, a wszystko, do czego Sibby Pończoszanka przykładała paluszek, natychmiast szło w drzazgi. Można się było założyć.

Sibby Pończoszanka nigdy nie trzymała języka za zębami, wściubiła nos w sprawy, od których lepiej się było trzymać z daleka, a tego poranka, kiedy stanęła naprzeciwko mężczyzny, który dwadzieścia lat wcześniej pozwolił sobie na śmiech przy zwłokach Eriki, Sibby Pończoszance przyszedł do głowy błyskotliwy pomysł, by dać mu w pysk i tym samym postawić krzyżyk na jednej z najbardziej obiecujących możliwości wyjaśnienia, co się stało z jej matką w nocy 21 marca 1999 roku.

Na samą myśl o tym Sibylle czuła wściekłość. Na Sibby Pończoszanke. Na siebie. Na cały świat. Na Erikę. Najbardziej na Erikę.

Erika zrujnuje ci życie. Erika przynosi nieszczęście. Erika Cię Porwie, jak nazywały ją dzieciaki w Kreuzwirtu, kiedy myślały, że ona nie słyszy. Sib wyrosła na tym gównie. Mimo tego gówna.

– Kurwa! – wrzasnęła.

Nie dlatego, że wciśnięcie się w kombinezon motocyklowy, który wkładała, kiedy czuła chętkę (lub konieczność), żeby poszaleć po bezdrożach i żwirówkach na yamasze, było w tej chwili jak zanurzenie się w wannie z wrzącą wodą, ale dlatego, że aż do dnia pogrzebu Friedricha Perkmana Sibylle była tak głupia, by wierzyć w to, co jej opowiadali: Nieszczęśliwa Erika, Erika Wrażliwe Serce.

Ósmego czerwca, kiedy jej współobywatele i koronowane głowy Autonomicznej Prowincji Bolzano-Górna Adyga zebrali się na ostatnie pożegnanie Friedricha Perkmana, ktoś (Sibylle jeszcze nie wiedziała kto i gdyby była mądra, przestałaby o to pytać) podrzucił jej do skrzynki na listy fotografię.

Nie tę, którą dała jej ubrana na czarno dziennikarka, z Eriką pod prześcieradłem i uśmiechniętym Tonym. Inną fotografię. Fotografię niemożliwą.

Tę z uśmiechem kolibra.

Fotografię, która mówiła: Naprawdę dałaś się nabrać? Zapomnij o słowie „samobójstwo”. Zamień je na „zabójstwo”. I zobacz, jak ci zabrzmi.

Od tamtego dnia Sib przestała spać i zaczęła zadawać pytania. Dyskretne. Choć pewnie niewystarczająco dyskretne. Przynajmniej sądząc po spojrzeniach, które, jak się jej wydawało, wychwytywała. A może to była

paranoja. Oto nowy podarek od Eriki: Sibylle stawała się paranoiczką. Ponieważ fotografia z Eriką, jeziorem i uśmiechem kolibra, fotografia, której nie miała jeszcze odwagi pokazać nikomu (nawet ciotce Heldze), otwarła jej oczy.

Coś w śmierci Eriki nie pasowało. I im głębiej Sib grzebała, tym więcej wychodziło na jaw powiązań, sprzeczności i zbiegów okoliczności, które nie dawały jej spokoju, przekonując, że wcale jej nie odbiło. Ani trochę.

Erika nie popełniła samobójstwa.

Erika została zamordowana.

Jeszcze raz:

– Kurwa.

Sibylle włożyła kask i dodała gazu. Yamaha zaryczała. W oknach sali tanecznej parę głów odwróciło się w jej kierunku. Nie pokazała im środkowego palca tylko dlatego, że była już daleko. Potrzebowała powietrza. Pędu. Jedynie tego. Pędu. Prędkość miała moc opróżniania umysłu. Adrenalina – uspokajania.

Sibby Pończoszanka nie umiała trzymać języka za zębami, nie potrafiła realizować własnego planu i była beznadziejna, jeśli chodzi o spotkanie pisarzy i bernardynów, ale potrafiła prowadzić yamagę jak sam diabeł.

Wyjechała za Kreuzwirtu, porzuciła asfaltową szosę i zagłębiła się w wąskiej dróżki prowadzące wśród drzew, które aż do dawnego tartaku rozjeżdżały terenówki i harwestery i które tylko jakiś wariat mógłby chcieć nanieść na mapę. Zostawiła za sobą opary torfowiska i zagłębiła się w las, przyspieszając, unikając gałęzi, wzbijając się w powietrze, ilekroć wypukłości trasy na to pozwalały, wyrzucając spod kół kamienie, zmieniając biegi i *uśmiechając się*.

Działało.

Zawsze działało.

Działało także tego popołudnia. Póki coś wielkiego, czerwonego i złośliwego nie przecięło jej drogi.

Rozdział III

1

Znalezienie Giò było dziecinnie łatwe, jej adres figurował w książce telefonicznej. Jazda na rowerze przy trzydziestu dziewięciu stopniach („i nie chce opaść!” – zaświergotała pani Marchetti, jego sąsiadka, tym szczególnym okrutno-triumfalnym tonem, którym starcy przekazują czasem złe wieści) roztopiających miasto w lepką maź i dotarcie pod dom Giò okazały się tytanicznym wysiłkiem.

Wciśnięcie dzwonka, wspólne picie kawy i znoszenie aluzyjnych wypowiedzi na temat pisarzy, którzy sprzedają śmiecie jako kawior, było męczarnią.

Zgodził się, by uwieczniła moment, kiedy podpisywał egzemplarz *Pocałunku u kresu dni*, swojej najnowszej powieści, wyobrażając sobie przy tym komentarze użytkowników plotkarskiego portalu internetowego (Giò określała go mianem „informacji alternatywnej”, a Tony przełknął także i to), który podarował drugą młodość niegdysiejszej szefowej działu kryminalnego „Słońca Alp”, ale była to dla niego tak ciężka próba, że po tym spotkaniu upalne powietrze na ulicy wydało mu się świeże i ożywcze niczym lekka wiosenna bryza.

Podsumowanie pojedynku: „Słońce Alp” już nie istniało, Michele Milani umarł i został pogrzebany, Fiona Apple znikła z radiowej playlisty, ale krwiożercza Giò pozostała taka sama, jak Tony ją zapamiętał. Może nawet zrobiła się jeszcze gorsza. Pomyśleć, że byli ludzie, którzy to jego nazywali mizantropem.

Nie był to jednak czas stracony.

Pedałując po opustoszałych w upale ulicach, mokry od potu, zastanawiając się nad tym, co Giò dała mu do zrozumienia między jedną a drugą jadowitą szpilą, Tony doszedł do wniosku, że czy mu się to podoba, czy nie, może zrobić tylko jedno: jechać do Kreuzwirtu. Osobiście. Był to winien Erice. Sibylle. Samemu sobie.

Niestety rozumiał także, że był tylko jeden właściwy sposób powrotu do tego miejsca.

I tak niecałe pół godziny później pies i jego człowiek znaleźli się w garażu pod Eurosparem przy via Resia. Freddy ślinił się na wilgotny beton cuchnący kanalizacją, Tony patrzył z ukosa na rolowaną bramę boksu i myślał, że właśnie łamie przysięgę, której był wierny przez dwanaście lat. Kiedy zniecierpliwiony bernardyn szturchnął go łapą, Tony się uśmiechnął.

„Pinokio miał Gadającego Świerszcza – pomyślał, ocierając pot z czoła – a ja mam grubasnego bernardyna. Mogło być gorzej. Piotrusiowi Panowi przypadł Dzwoneczek”.

Tony przekręcił klucz w zamku i szarpnął do góry. Szyny zaświergotały. Brama zadrżała. Odrobina rdzy spadła na ziemię. Freddy zaczął węszyć i zniknął w ciemności trącej stęchlizną, kurzem i olejem silnikowym.

Włącznik był wciąż w tym samym miejscu, gdzie Tony go zapamiętał, po lewej stronie od wejścia. Światłówki zamigotały. Freddy z zadowoleniem zamerdał ogonem. Freddy lubił samochody, Tony wolał rowery. A jednak i on musiał przyznać, że auto było zjawiskowe. To nie był zwykły ford mustang. To był butelkowitzony fastback, taki, jakim jeździł Steve McQueen w filmie *Bullitt*, silnik 428, 335 koni. Osiem cylindrów gotowych przy pierwszej okazji rozpętać piekło. Doskonały w każdym detalu, z wyjątkiem jednego: w roku 1968 nie było odtwarzaczy CD. „To świętokradztwo – protestował przez telefon kalifornijski mechanik, u którego Tony go zamawiał. – Obraza. Po co rujnować takie cacko?”. Napiwek przyprawiający o zawrót głowy stłumił utyskiwania.

Siadając za kierownicą, Tony pomyślał (a jakaś jego część miała nadzieję), że lata spędzone w tym miejscu przeistoczyły mustanga w kosztowny bibelot.

Jednak silnik zaskoczył po pierwszym przekręceniu kluczyka w stacyjce i Tony zrozumiał, że to wszystko wcale nie będzie łatwe.

2

„Jeśli nie możesz uniknąć zderzenia, kontroluj upadek”. Tak jej powiedział Lucky Willy, kiedy Sib uprosiła go, by dawał jej lekcje jazdy. „Jeśli musisz upaść, zrób to dobrze”.

Sibylle puściła kierownicę, zostawiła motocykl swemu losowi i rozluźniła się, gotowa stać się sprężyną. Na tym polegała sztuczka: leć i koziołkuj. W tej kolejności.

„Sprężyny skaczą z miejsca na miejsce, uderzają w mury, zrucasz je z samolotu, a one to wytrzymują. Sprężyny nie przyjmują uderzenia, ponieważ sprężyny są inteligentne. Przejmują energię uderzenia i ją wykorzystują. Bądź jak sprężyna, to przeżyjesz. Ale pamiętaj: ta sztuczka działa tylko wtedy, kiedy nie jedziesz z prędkością światła w stronę ceglanego muru. W tym przypadku, sprężyna nie sprężyna, przygotuj się na spotkanie z przodkami. Chyba lepiej tego uniknąć, nie sądzisz?”.

Sib nie jechała na ceglany mur i nie pędziła (zbyt) szybko, więc zadziałała zgodnie ze wskazówkami Willy’ego. Leć i koziołkuj.

Tylko że Lucky Willy nie powiedział, że będzie bolało. Jak diabli.

Kiedy enduro roztrzaskiwało się o pień jodły, pryskając metalem, plastikiem i korą, Sibylle zobaczyła, jak świat za szybką kasku zamienia się

w czarno-zielony kalejdoskop, poczuła uderzenie w biodro, ramię i – najbardziej bolesne – w plecy. Zamknęła oczy i otworzyła je, dopiero kiedy obraz zatrzymał się na ekranie jodłowych gałęzi i nieba.

Niemal natychmiast jodłowe gałęzie i niebo zasłoniło coś, czego Sib nie potrafiła zobaczyć w całości, tylko we fragmentach. Białka oczu pokryte czerwonymi żyłkami. Szpara między jedykami. Dołek w podbródku. „To ten gnojek z czerwonego pikapa”, pomyślała.

Nachylony nad nią typ nie przestawał powtarzać:

– Żyjesz? Wszystko w porządku? Żyjesz? Wszystko w porządku?

Sib go ignorowała.

Poruszyła głową i to była dobra wiadomość. A reszta? Spróbowała tego samego z nogami i rękami. Były. Również ramiona odpowiadały na polecenia.

Chwała ci, Lucky Willy.

Typ nie przestawał paplać. Sibylle podniosła dłoń, żeby go uciszyć.

– Żyję – odburknęła. – Wszystko w porządku. Wszystko w porządku i żyję. Daj mi odetchnąć, okej?

Zmusiła się, by usiąść, zdjęła kask i rozsunęła zamek błyskawiczny kombinezonu. Nabrała w płuca powietrza pachnącego żywicą i odzyskała pozycję stojącą. Tytaniczny wysiłek o niepewnym rezultacie.

– Na pewno nie chcesz lekarza?

– Wszystko w...

Kłamstwo.

Pochyliła się. Dłonie na udach, włosy na twarzy, otwarte usta. To była jeszcze jedna rzecz, o której Lucky Willy zapomniał jej powiedzieć. Panika. Szok. Nie było w jej ciele ani jednej komórki, która by nie dygotała.

Wdech. Wydech. Powtórz. Jeszcze raz.

Wdech. Wydech. Powtórz.

Drżenie z wolna ustało.

– Motocykl – wycharczała, wciąż niezdolna podnieść głowy. – Rozbity?

Usłyszała, jak typ obchodzi pikapa, a następnie gwizdże.

– Znam jednego w Bressanone. Mogę do niego zadzwonić. Jest mechanikiem. Jest bardzo...

– Motor do wyrzucenia?

Odgłos zapalniczki. Smród papierosa.

Żadnej odpowiedzi.

Sibylle zebrała się w sobie. Utrzymała jakoś równowagę, opierając się o maskę pikapa. Szła tak, jakby nauczyła się chodzić dwa dni wcześniej.

Z yamahy został złom.

Sib zbliżyła się do zwłok motocykla. Tyle oszczędzania, tyle wysiłku. Pokręciła głową, pociągając nosem. Nienawidziła płakać. Zwłaszcza kiedy ktoś na nią patrzył.

Sibby Pończoszanka przybiegła jej z pomocą. Powstrzymała łzy i zaczęła kopać to, co zostało z jej enduro.

– Kurwa, kurwa, kurwa! – krzyczała, odwracając się do typu, który przeciął jej drogę. – Ty sobie zdajesz sprawę, że mogłeś mnie zabić? Gdzie ty miałeś oczy? Niech cię...

Nagle szczegóły, które Sib zebrała pojedynczo: szczelina między jedynkami, przeciąganie słów, szerokie czoło i muskularne ramiona, przeobraziły się w jeden spójny obraz. Sibylla błyskawicznie sięgnęła do tylnej kieszeni kombinezону.

– Trzymaj się ode mnie z daleka, okej?

Dłoń chwyciła próżnię.

Majcher na fajfusów gdzieś się zapodział.

3

Freddy ślinił się z otwartym pyskiem, szczęśliwy, że może ciamkać powietrze wpadające przez okno. Tony miał oczy utkwione w drodze, licznik wskazywał prędkość poniżej dozwolonej. Myślał o zabawie, której wraz z ojcem oddawali się w niedzielne wieczory, po kolacji, o ile jego ojciec nie miał zwarzonego humoru albo nie wypadała mu zmiana w stalowni.

Wyglądało to tak: Tony otwierał na stole mapę drogową, jego ojciec zamykał oczy („Tato, nie oszukuj!”), zapalał papierosa i czekał, aż syn wypowie nazwę miejscowości, nawet zupełnie małej, byle w granicach prowincji. A wtedy, rysując niewidoczne linie wolną ręką, ojciec mówił, jak tam dojechać.

Nigdy się nie mylił.

„Kreuzwirt? Nic prostszego. To jakieś sto, sto dwadzieścia kilometrów. Ale nie jedziemy A22. Autostrady są dla turystów albo dla tych, którym się spieszy. Z Bolzano bierzemy drogę krajową numer 12 i kierujemy się na północ, przejeżdżamy Bressanone, potem Varnę. Nieco dalej zostawiamy dwunastkę i skręcamy w drogę krajową numer 49, która przechodzi w drogę prowincjalną numer 40, a potem, na rogatkach Brunico, skręcamy ostro w drogę prowincjalną numer 97, która zaraz się kończy, po czym zaczyna się droga krajowa z trzema cyframi, to znaczy 621. Ona prowadzi do Campo Tures, gdzie jest piękny zamek górujący nad miasteczkiem. Dalej jedziemy na wschód i szykujemy się do zjazdu z 621 na 621-K. Ta droga z K jest wariantem prowadzącym prosto do dziewiątego i najmniejszego obwodu Górnej Adygi (w upalnej terażniejszości Tony wyliczył pozostałe osiem: Bolzano, Burgraviato, Oltradige-Bassa Atesina, Salto-Sciliar, Val d’Isarco, Val Pusteria, Val Venosta, Alta Val d’Isarco – to śmieszne, jak pewne rzeczy siedzą człowiekowi w głowie) i łatwo ją można przeoczyć,

więc uwaga! Wariant K, nie zapomnij. W tym miejscu powinniśmy poczuć zapach torfowiska Tote Mose...”.

Tote Mose. Zmarły Mojżesz. Ale po tym, co się stało z Eriką, jakiś dowcipniś przekreślił tę nazwę. Z Tote Mose na Tote Möse.

Martwa pizda.

Tony westchnął.

„...i już jesteśmy w Kreuzwircie. Ale słuchaj. Po co tam w ogóle jechać? To jedyna miejscowość w całej Górnej Adydze, gdzie nie ma kościoła. Więcej: jedyna w całych Włoszech. A poza tym nie wiesz, że jest pełna gnojków i dupków w ogólności?”

Pod znakiem informującym o wjeździe w granice administracyjne gminy Kreuzwirt ktoś umieścił nalepkę z napisem:

Südtirol ist nicht Italien

Górna Adyga to nie Włochy.

Tony nie miałby nic przeciwko temu.

4

Mężczyzna zgasił papierosa zrogowaciałymi palcami i wyrzucił niedopałek.

– Podwieźć cię do domu, biskopcziku?

– Wal się!

Gość, który nieomal wysłał ją na tamten świat, nie był pierwszym lepszym typem. Nazywał się Rudi Brugger. Sibylle widziała go wiele razy w Black Hat. Rudi, dozorca w Krotn Villa. Ropuszym Dworze. Willi Perkmanów.

Tyle że określenie „dozorca” nie wyczerpywało zakresu usług, które Rudi świadczył rodzinie Perkmanów. Przycinał żywopłoty, naprawiał rynny i montował urządzenia odstraszające lisy, które chciałyby wejść na teren posesji, ale przede wszystkim Rudi *rozwiązywał problemy*. Tak jej kiedyś powiedział w tajemnicy Lucky Willy.

„Trzymaj się od niego z daleka. Potrafi być do rany przyłoż, ale gdy Karin Perkman pstryknie palcami...”.

Nie żeby Perkmanowie mieli wiele problemów. W Kreuzwircie nikt nie ośmieliłby się nawet powiedzieć o nich złego słowa, a co dopiero *zrobić* coś przeciwko nim. Perkmanowie uratowali miejscowość, kiedy splajtował tartak, dawali pracę każdemu, kto zapukał do ich drzwi, i chronili dolinę przed hałaśliwą ciżbą turystów. W porządku ludzie, mówili wszyscy. Hojni.

Perkmanowie. Ci, którzy wysłali Rudiego, gdy tylko Sib zaczęła zadawać pytania o śmierć Eriki.

Sibylle szykowała się do bójki.

Rudi puścił do niej oko. Mrugnięcie pod tytułem „rozumiemy się, biskopcziku”.

Sibylle szykowała się, by prysnąć z tego miejsca.

Ciężkim krokiem, nie tracąc swego irytującego uśmiešku, mężczyzna wrócił do pikapa, wsiadł za kierownicę, wrzucił wsteczny, wtoczył się na żwirówkę i odjechał w kierunku miejscowości.

Zadanie wykonane. Wiadomość dostarczona.

Sibylle właśnie odkryła, że jest problemem dla Perkmanów. Odkryła kosztem swojej yamahy. Padła na ziemię. Pozwoliła sobie na krzyk.

Tylko jeden. Ale bardzo, bardzo długi.

Rozdział IV

Kiedy ostre wierzchołki Rieserferner zaczęły zasłaniać słońce, zaś ochładzające się powietrze wypełniało się rozentuzjasmowanymi dźwiękami (brzęczeniem, miauczeniem, szelestami, świstami i przywołaniami wszelakiego rodzaju), Freddie dostrzegł młodą ludzką samicę (młodą i bardzo przestraszoną, sądząc po zapachu jej potu), która tego samego dnia przed południem wywróciła do góry nogami ich codzienną rutynę.

Patrzył, jak Tony zbliża się do złomu, który dziewczyna za sobą ciągnęła, i próbuje go od niej wziąć; zauważył też sposób, w jaki ona, poirytowana, nie pozwoliła mu tego zrobić.

Potem, właśnie w tym samym momencie, kiedy bernardyn pomyślał, że bardzo fajnie byłoby przynajmniej *spróbować* hapsnąć jednego z tych przepysznych nietoperzy, które zaczęły latać w niedalekiej odległości od jego nosa, Sibylle otworzyła drzwi do domu, Tony wszedł za nią i Freddy, chcąc nie chcąc, podążył za nimi.

Dwie ludzkie istoty zaczęły rozmawiać. O czym, tego Freddy nigdy się nie dowiedział. Wystarczyło dziesięć minut, by zapadł w rozkoszną drzemkę.

Rozdział V

1

Erika wróciła. Prawie jakby się rozmyśliła.

W wieczór Maturaballu Erika pożegnała się z nią, pocałowała w czoło małą, wyszła, a potem wróciła. Wróciła i zapukała do drzwi, choć w błyszczącej kopertówce miała pęk kluczy.

Ten szczegół napęli wyrzutami sumienia ciotkę Helgę. Gdyby tylko rozumiała. Gdyby potrafiła wyczuć. Ale czy miała szansę?

Kopertówka była prezentem od Oskara. Wewnątrz Erika znalazła dwa banknoty po pięćdziesiąt tysięcy lirów i bilecik. „Jesteśmy z ciebie dumni!”. Z przejęcia otarła parę łez i uściskała Oskara tak mocno, że niemal go zmiażdżyła.

Ale nie próbowała oddać pieniędzy. Erika wiedziała, że ich potrzebuje. Sibylle była skarbem, ale dzieci, kapryśne czy też nie, kosztowały fortunę.

Tak jak sukienka na Maturaball, którą ciotka Helga uparła się kupić ze swoich pieniędzy.

Aż do ostatniej chwili Erika nie mogła się zdecydować, czy wybrać czarną, czy czerwoną. W końcu zdecydowała się na czerwoną i ciotka Helga zaaprobowowała jej wybór. Sukienka była prowokująca, bezczelna, seksowna. Innymi słowy, świetnie do niej pasowała. I nawet jeśli dwudziestego pierwszego wieczorem, gdy Helga pomagała jej uczesać włosy, Erika nie przestawała narzekać, że w tej sukience wygląda jak deska surfingowa (zaś ciotka Helga zwróciła jej uwagę, że również jej matka Helena nie miała z przodu mleczarni, co nie przeszkadzało uganiać się za nią połowie chłopaków z Kreuzwirtu), Helga wiedziała, że Erika jest zachwycona sukienką. Balem maturalnym. Życiem. W którym zaczynało się jej powoli układać. A przynajmniej tak wierzyła.

Bo Erika wróciła. Czekala, aż ona wstanie z sofy, położy niemowlę do kołyski i otworzy drzwi. Potem, i to również będzie dręczyć ciotkę Helgę przez lata (na jawie i w snach, w których na nowo przeżywała tę straszliwą chwilę), Erika uśmiechnęła się do niej i pogłaskała ją po policzku.

- Zapomniałam ci powiedzieć, jak bardzo cię kocham.
- Ja też cię kocham. Na pewno się nie przeziębisz?
- Nie, tak jest dobrze.

Ciotka Helga zamknęła drzwi.

2

Erika, zamiast skręcić z dróżki biegnącej koło domu w prawo i dojść do Black Hat, gdzie umówiła się z Karin, Elisą i Gabrielem, skręciła w lewo. W kierunku lasu. W balerinkach, które po zejściu z asfaltu na ścieżkę natychmiast się zabłocily.

Jedna z nich, konkretnie lewa, zostanie odnaleziona następnego dnia przez wolontariusza, w kałuży jakiś kilometr od jeziora, mniej więcej w tym miejscu, gdzie kończy się las i zaczyna torfowisko. Erika zgubiła pantofelek i nie zatrzymała się, by go odnaleźć. No bo po co?

Tam, gdzie się wybierała, na nic się jej nie przyda.

Może na mapach jezioro ma jakąś nazwę. Dla mieszkańców Kreuzwirtu było po prostu jeziorem. Pod koniec marca jego wody pokrywała zazwyczaj patyna lodu. Ale wiosna 1999 roku był dziwna i gorąca. Halny nie odpuszczał przez cały styczeń i luty, nie pozwalając, by spadł śnieg. Temperatura o tej godzinie oscylowała w okolicach piętnastu stopni. Znacznie powyżej średniej. Dlatego Erika wyszła z domu w lekkiej kurtce zarzuconej na ramiona i nie włożyła nic cieplejszego. Dlatego lód nie przeszkodził jej w zrobieniu tego, co zrobiła.

Erika zanurzyła stopy po kostki. Potem woda sięgnęła jej do łydek. Potem do kolan.

Niewielu mieszkańców Kreuzwirtu chodziło się kąpać w jeziorze. Nie tylko z powodu lisów, których pełno było w okolicy, insektów i torfowiska roztaczającego niezbyt zachęcający zapach, ale dlatego, że jezioro było głębokie i niebezpieczne; wszyscy o tym wiedzieli. Ci, którzy się w nim zanurzyli, zwykle po to, by ochłodzić się w letniej spiekocie, mówili, że metr, może półtora metra od brzegu jest stopień. Krok dalej i wpadało się jak do studni. Erika pokonała tę granicę.

Lodowata woda zrobiła resztę.

3

Kiedy 22 marca o czwartej rano doktor Horst podczas jednego z licznych spacerów, do których zmuszała go bezsenność, zobaczył ją, jak unosi się twarzą w dół, od razu zrozumiał, że ma do czynienia ze zwłokami. Mimo to zrzucił kurtkę i wskoczył do wody. Heroiczny czyn, jak wszyscy mówili.

Nie bez wysiłku, jako że w 1999 roku doktor Horst był pięćdziesięciodwulatkiem w nieszczęśliwie dobrej kondycji fizycznej, wyciągnął Erikę na brzeg, na wszelki wypadek sprawdził jej puls i dopiero wtedy z telefonu komórkowego zadzwonił po karabinierów.

Najbliższy posterunek znajdował się w Campo Tures, jakieś trzydzieści kilometrów od Kreuzwirtu. Trwało wieczność, zanim karabinierzy dotarli na miejsce, ale Horst nie pomyślał choćby przez chwilę, by zostawić Erikę samą na torfowisku.

Myśl, że przemoczone ubranie może go doprowadzić do śmierci z hipotermii, nawet nie przeszła mu przez głowę. Został na miejscu. Chodził w tę i z powrotem, obejmując się ramionami i dzwoniąc zębami, patrzył na twarz dziewczyny, jej włosy rozrzucone na błoku, i pytał, dlaczego, dlaczego, do diabła, dlaczego taka dziewczyna, dlaczego...

Karabinierzy przyjechali pół godziny później. Mieli latarki i mnóstwo pytań.

Choć Maturaball oficjalnie zakończył się około pierwszej w nocy wraz z *Love Hurts* w wykonaniu Nazareth (co pozwoliło parom migdalić się bez zażenowania w lekkiej mżawce, która właśnie zaczęła padać w Kreuzwircie w tej samej chwili, gdy koguty furgonetek karabinierów oświetliły główną ulicę miejscowości), na ulicach wciąż było sporo młodzieży.

Wiadomość rozeszła się błyskawicznie. Pomyłona Erika nie żyje.

4

– Potem pojawili się dziennikarze.

Sib spojrzała na niego w skupieniu swoimi wielkimi niebieskimi oczami, postukała palcem w fotografię, na której uśmiechał się przy zwłokach Eriki, i skrzyżowała ręce na piersiach.

Teraz jego kolej.

Tony westchnął. Właśnie dlatego wyciągnął z garażu mustanga. Po co zwlekać?

– Dziewięćdziesiąty dziewiąty był rokiem wózka widłowego.

Rozdział VI

W grudniu jeden z kolegów ojca Tony'ego miał odejść na emeryturę i Giuseppe Carcano nie pozwolił, by okazja wyślizgnęła mu się z rąk. Ściskając dłonie i stawiając drinki komu trzeba, uzyskał obietnicę, że jeśli jego syn nauczy się do świąt obsługiwać wózek widłowy, dostanie tę pracę.

– Prawdziwa praca i prawdziwa pensja – oznajmił. – Musisz się tylko zapisać na kurs, nauczyć się jeździć tym rzęchem i będziesz miał co jeść przez resztę życia.

– Mówią, że będą zamykać stalownie – próbował oponować Tony. – Mówią, że nie są w stanie rywalizować z chińskimi i indyjskimi.

W dzielnicy było wiele rodzin, które z dnia na dzień zostały pozbawione dochodów. Chiny i Indie produkowały trzy razy tyle stali, i to o połowę taniej. W rezultacie po ulicach Szangaju błąkały się widma, a bary były pełne zombi.

– Pierdolić ich – warknął ojciec ze złością. – Wiesz, ile tam płacą robotnikom? Gówniana globalizacja. Mówię ci. To jedno wielkie oszustwo. Ale stalowni nie pozamykają. To tylko okres przejściowy. Wiesz, kiedy Chińczycy i Hindusi nauczą się robić taką dobrą stal jak nasza? Kiedy ci zasrani *tralli*¹ przestaną wyrzucać swoje śmieci w *naszej* dzielnicy.

To zdaniem Giuseppego Carcano znaczyło nigdy. Jednak zamiast pociągnąć jedną ze swoich tyrad, ojciec uśmiechnął się do Tony'ego.

– Popatrz, jaka ci się trafiła gratka. Nie będziesz musiał się nawet zbliżyć do pieca. Rzuć tę robótkę w gazecie. Ja ci proponuję prawdziwą pracę. W sam raz dla mężczyzny.

Robótkę!

Niecały miesiąc wcześniej Tony przekroczył próg redakcji „Słońca Alp”, przedstawił się i powiedział, że chce się nauczyć fachu. Zostać dziennikarzem. Nie był pewien, dlaczego właściwie to zrobił. Może, żeby zmienić świat. A może, żeby wkurzyć ojca. A może jedno i drugie.

Jego pierwszy artykuł: święto czereśni w Cortaccii. Sto pięćdziesiąt słów. Żeby tam dojechać, z własnej kieszeni zapłacił za autobus. Drugi: rozgrywki szachowe w Oltrisarco, dzielnicy po drugiej stronie rzeki Isarco, czyli naprzeciwko Szangaju. Tony pojechał tam na rowerze. Dwieście słów i prawo do podpisu. W rzeczywistości tylko do inicjałów A.C., ale matka była tak dumna, że wycięła artykuł i włożyła do portfela, żeby zawsze mieć go przy sobie.

A ojciec...

– Jeśli naprawdę myślisz, że to jest twoja przyszłość – powiedział – no to proszę bardzo. Od dziś chcę, żebyś dawał matce na jedną trzecią czynszu. Ile ci płacą, Tonino?

Trafiony, zatopiony. Nikt w „Słońcu Alp” nie powiedział ani słowa o zapłacie.

W redakcji Tony nie miał nawet imienia. Mówili na niego po prostu...²

Rozdział VII

1

– Świeżak!

Dwudziesty drugi marca 1999. Ósma rano.

Milani szeroko się uśmiechał, kiedy oznajmił:

– Mamy trupa w Kreuzwircie. Jedziemy?

– A Giò?

Fotoreporter zapalił papierosa.

– Nie odbiera telefonu. Taka okazja może się nie powtórzyć.

Samochód Milaniego przypominał śmietnik. Puste opakowania, butelki i puszki, stronicze gazety, paragony, rachunki, magazyny pornograficzne i popiół, wszędzie popiół.

– Na razie wiem tyle, że miała na imię Erika. Może samobójstwo, ale jeśli masz fart, to ją zabili. Ile masz lat?

– W maju skończę dwadzieścia.

– Wiesz, co by dało kopa twojej karierze? Zamordowana i zgwałcona. W tej kolejności. Kurewski nekrofil, to podnosi nakład. Albo seryjny morderca. Ludzie się ślinią na wzmiankę o seryjnym mordercy. Albo terrorysty. To w sumie jedno i to samo, tylko że ci mają mniej fantazji, co nie? W osiemdziesiątym ósmym byłeś gówniarzem i nie miałeś pojęcia o niczym, ale ja już tu byłem. *Ein Tirol*. Uwielbiałem tych gnojników. Bomby, ulotki, anonimowe telefony, policja uspokaja, politycy srają w gacie i na odwrót. Bójki. Wtedy mieliśmy najwyższą sprzedaż w historii. A pamiętaj, że „Słońce” powstało już w pięćdziesiątym czwartym.

W roku 1988 Tony miał dziewięć lat, ale wbrew temu, co sądził fotograf, całkiem dużo pamiętał. Helikoptery, wozy karabinierów, swastykę namalowaną na drzwiach szkoły, która doprowadziła do łez nauczycielkę. Narkomanów. Zaciśnięte pięści ojca. Zaczerwienione oczy matki. Dla Tony’ego Szangaj zawsze już będzie tym wszystkim. Dzielnicą, w której ojcowie chodzą z zaciśniętymi pięściami, a matki zawsze mają zaczerwienione oczy.

– A to nie Giò powinna napisać notatkę?

Milani, wjechawszy Citroënem między dwa wozy karabinierów, gwałtownie zahamował.

– Umiesz się podpisać, nie robiąc błędów? Według mnie tyle wystarczy, żeby napisać artykuł. A może srasz w gacie?

– Giò jest...

– Otwórz oczy, świeżak – zakrakał Milani, zbierając pękate torby i obiektywy z tylnego siedzenia. – Wiesz, dlaczego Giò zawsze zostawia

w tyle konkurencję?

– Bo jest dobra?

Milani popatrzył na niego ponuro.

– Albo odpowiedź numer dwa: daje komuś dupy, na przykład prokuratorowi, na przykład żonatemu i bardzo wpływowemu prokuratorowi, który w zamian za numerkę przekazuje jej informacje. Masz naprawdę trudny kawałek chleba.

Weszli w las. Potem na torfowisko. Bardzo szybko Tony ubłocił się aż po kolana. W kieszeni dżinsów miał notes Moleskine, który sobie kupił, żeby dobrze wyglądać. Wyciągnął go, obawiając się, że zamoknie.

Odkrył, że długopis zostawił w domu.

– Zobacz, jak cudownie.

Jezioro pobłyskiwało w przejrzystym powietrzu marcowego poranka, ale to nie o jeziorze mówił fotoreporter. Ze szczytu pagórka, na którym się znajdowali, Milani i Tony widzieli rozmawiających karabinierów i techników kryminalistyki w białych kombinezonach, a na pierwszym planie prześcieradło i wystające spod niego włosy.

To był pierwszy raz, kiedy Tony widział zwłoki.

– Zgwałcona i zamordowana. Założymy się o piwo?

– Nie piję. I nie zakładam się – odparł Tony. – Dlaczego uważasz, że zgwałcona i zabita?

– Przysięgam, że prędzej czy później zrobię z ciebie mężczyznę. Widziałeś baner, jak przejeżdżaliśmy przez tę mieścinę? Maturaball. Wiesz, co to takiego?

Tony wiedział, choć nigdy nie miał z tym do czynienia. Żaden Włoch nie uczestniczył w takiej imprezie. I nie była to typowa kwestia zasranych *tralli*, którzy nazywali Walscherów³ zasranymi Walscherami, dzięki czemu nikomu nie brakowało nawozu.

Maturaball to przyjęcie, które niemieckojęzyczne szkoły (system edukacji w Górnej Adydze był rygorystycznie rozdzielony na szkoły włoskie i niemieckie, bo jakże inaczej można było utrzymać łąki prowincji lśniące i zielone, gdyby zabrakło stałej i nieprzerwanej produkcji ekskrementów) organizowały na zakończenie szkoły średniej.

Tyle że Maturaball odbywał się przed egzaminem dojrzałości, na co żaden zdrowy na umyśle Włoch za nic w świecie by się nie poważył. Równałoby się to przyjsciu na egzamin pisemny z matematyki u profesora Tamaniniego (nauczyciela, który był koszmarem Tony'ego w liceum) zaraz po tym, jak stłukłeś setkę luster i stado czarnych kotów przeszło ci drogę.

Nie, dziękuję.

– Alkohol i seks. Oto, czym jest Maturaball. Na przykład cizia zgadza się pójść z kolegą na stronę, on bierze się do dzieła, ona nie jest jeszcze gotowa i... nie notujesz?

Tony rozejrzał się.

– To nie wygląda na idealne miejsce, żeby odejść na stronę, nie sądzisz?

– A ty skąd wiesz, jak myślą zasrani *tralli*? – Milani położył torby na ziemi i wyszczerzył zęby. – Musisz się jeszcze wiele nauczyć. A ja tu jestem właśnie po to. Gotowy? Wiesz, co robi z mięczakiem takim jak ty prawdziwy dziennikarz, który ma jaja jak berety? Prawdziwy dziennikarz nie boi się pobrudzić.

W tym momencie fotograf popchnął go tak silnie, że Tony zleciał z pagórka. Na zakończenie zjazdu, utyłany po sam czubek głowy, czując obrzydliwy smak torfowiska w ustach, znalazł się za taśmą rozciągniętą przez karabinierów. Obok prześcieradła. Sam na sam ze zwłokami. W cztery oczy. I uświadomił sobie, że to nie zwłoki.

To *dziewczyna*. Dziewczyna, która była... Smutna. Zaskoczona. Przestraszona. Pogodna. Przerażona. Promienna. Beztraska. Zadowolona. Zakochana. Rozwścieczona.

Żywa.

Tony usłyszał, jak Milani go woła. Ogłupiały, oszołomiony tym, co wyczytał ze spojrzenia dziewczyny („Erika, ma na imię Erika, to nie zwłoki, to dziewczyna, która ma na imię Erika, dziewczyna, która jeszcze parę godzin wcześniej była taka sama jak ja, oddychała, marzyła, żyła”), odwrócił się w jego stronę. A kiedy fotograf, celując w niego swoim nikonem, krzyknął, żeby się uśmiechnął, i kiedy karabinier traktował go swoim: „Pojechało cię? Co ty, kurwa, robisz?”, Tony się uśmiechnął.

2

– Bo jak ktoś ci podaje kopertę, to ją bierzesz. A jak ktoś każe ci się uśmiechnąć, to...

Rozdział VIII

Budynek, który Sib nazywała domem Eriki, znajdował się na skraju Kreuzwirtu. Żeby się do niego dostać, należało przejechać przez całą miejscowość i skręcić w zwirową alejkę. Wszędzie wokół rosły jeżyny. Freddy'emu od razu się spodobały.

Był to także jedyny dom w Kreuzwircie, w którego oknach nie kwitły pelargonie. Może Sibylle nie miała ręki do roślin. Albo czasu. Albo nie wiedziała, jak postępować z pelargoniami. Jeżyny przynajmniej można jeść.

W urządzonym bardzo prosto wnętrzu panował spory nieporządek. Twórczy bałagan, powiedziała by Tony. Książki, czasopisma, płyty DVD powtykane, gdzie się tylko dało. Żadnych „Vanity Fair” czy „Elle”, zauważył pisarz. Tylko magazyny motoryzacyjne. Plakat z Black Sabbath, drugi z Jimmym Page'em uśmiechającym się do gitary Les Paul. Nieliczne fotografie. Sibylle jako dziecko. Sibylle jako nastolatka. Ani jednego zdjęcia Eriki.

Sib posadziła go w zdezelowanym fotelu w pokoju połączonym z maleńką kuchnią. Zegar w kształcie kota wystukiwał czas. Kot nazywał się Felix. Miał takie samo spojrzenie jak Jimmy Page.

Tony odchrząknął.

– A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu – powiedział – krok wstecz i streszczenie poprzednich odcinków.

– Jak cię znalazłam? Skąd mam fotografię?

– Dwa pytania i ta sama odpowiedź: Giò. Jedyna osoba, która mogła dać ci zarówno tę fotografię, jak i wskazówki, gdzie i kiedy można mnie spotkać bez...

– Świadków? – przerwała Sibylle, wskazując na nos pisarza, czego natychmiast pożałowała.

– Rozprosz – poprawił ją z lekkim uśmiechem. – Co wcale nie było trudne, jako że jestem zwierzęciem pełnym przyzwyczajień.

– Spacer z Freddym. Te same ulice, ta sama pora, jak w szwajcarskim zegarku. Giò użyła zwrotu „śmiertelnie nudny”. – Sibylle założyła nogę na nogę. – A dowiedzieć się, jak dotarłam do Giò, było, domyślam się, bardzo łatwo.

– Dobrze się domyślasz. Przejrzałaś gazety z tamtego okresu. Jedyną gazetą, która pisząc o śmierci Eriki, nie ograniczyła się do zwięzłej notatki, było „Słońce Alp”. Dwa artykuły podpisane inicjałami A.C., pierwszy trzy tysiące słów, drugi dwa tysiące. Nie wiedząc, kim jest tajemniczy A.C., odszukałaś szefową działu informacji kryminalnych, Giovannę Innocenzi. A Giò nie należy do... jak by to powiedzieć, miłośniczek anonimowości. Ja ją znalazłem w mniej niż minutę.

– I trzy godziny, by dojść do sedna. Twoje książki. Sukces. Sarkazm, sarkazm, sarkazm. I przezwisko, które ci nadała w marcu dziewięćdziesiątego dziewiątego – ciągnęła Sibylle, masując obolałe ramię.
– Co mi powiesz o *tym*?

Tony oparł się mocniej w fotelu. Zacisnął pięści. Kiedy sobie uświadomił, że Sib na niego patrzy, zmusił się do ich rozluźnienia z zakłopotanym uśmiechem.

– Protegowany. Po śmierci Eriki Giò przestała nazywać mnie świeżakiem, a zaczęła tym nowym przezwiskiem. Dziś znowu to zrobiła. Jakby to był koleżeński żart, wiesz, o co chodzi?

Sib nie odpowiedziała. I nie umknęło jej uwadze, że pięści pisarza ponownie się zacisnęły.

– I tak po dwudziestu latach – kontynuował ponurym tonem – dowiaduję się, że w dziewięćdziesiątym dziewiątym roku główny reklamodawca „Słońca Alp” naciskał, żebym to ja, a nie Giò, zajmował się tamtą sprawą.

– A głównym reklamodawcą „Słońca Alp” – podkreśliła Sibylle z nadzieją, że jej głos nie zdradzi emocji – był Friedrich Perkman.

Tony przesunął dłońmi po dzinsach. Nareszcie wrócili do terażniejszości. Teraz zaczynała się najtrudniejsza część. Dwa plus dwa, które zmusiło go do wyprowadzenia mustanga z garażu.

– Powiedz mi prawdę, Sibylle...

– Sib. Tylko Sib.

– Sib. Ty nie wierzysz, że Erika popełniła samobójstwo.

Jak na kogoś, kto żył z układania słów, wypowiedzenie tego zdania kosztowało go wiele.

– Nie, inaczej – odparła Sibylle. – Ja wiem na pewno, że Erika nie popełniła samobójstwa.

Kot Felix wybił dziewiątą trzydzieści. Ćma krążyła histerycznie wokół zyrandola.

– Skąd ta pewność?

– Dlaczego świeżak staje się nieoczekiwanie protegowanym? Co miał wspólnego A.C. z Perkmanami? Odpowiedz na pytanie. Grajmy w otwarte karty.

– Nic a nic! – zawołał Tony, czerwony na twarzy. – W tamtym czasie nawet nie wiedziałem, że istnieje rodzina Perkmanów. Byłem młody. I nawet teraz, szczerze mówiąc...

Sib pstryknęła palcami. Uśmiechnęła się.

Ten uśmiech zaskoczył Tony'ego.

– Gniew.

– Co?

– Wyraz twojej twarzy, kiedy walnęłam cię w nos. Myślałam o tym przez cały dzień. To nie był strach. To był gniew. Ale nie na mnie. Był zbyt

wielki, zbyt głęboki. Jest coś jeszcze, prawda? I w jakiś sposób ma związek z Eriką.

Tony wskazał na kartonowe pudło leżące obok Sibylle.

– Co tam masz?

– Ósmy czerwca.

Rozdział IX

1

Ósmego czerwca, kiedy Kreuzwirt wypełniał się beemkami i mercedesami południowotyrolskiego establishmentu, Sibylle pozwoliła sobie wstać z łóżka nieco później, ponieważ Oskar na znak żałoby postanowił nie otwierać Black Hat.

Kiedy wyszła z domu, by przejechać się po okolicy na motorze, zobaczyła list. Koperta była zaklejona, bez nadawcy. Nieśmiały adorator?

Chciałoby się.

Sibylle wiedziała, że jest niczego sobie. Napaleni faceci z Black Hat swoimi spojrzeniami i łapskami nie nauczyli jej niczego, czego sama by już nie wiedziała. Ale gdy tylko zaczynała otwierać się nieco na chłopaków, którzy zdali Egzamin Pierwszego Wrażenia (i następujący zaraz po nim Test Wuja Czy Nie Trafiłam Na...), chłopaków wystarczająco przystojnych, by obudzić jej zainteresowanie, i nie aż tak głupich, by nie pójść z nimi na odrobinę gimnastyki do łóżka, ci dawali w długą. „Nie jestem jeszcze gotowy na...”. „To nie ty, to ja”. „Sama przecież widzisz, że...”. Sibylle wszystko to już słyszała.

Problem w tym, że Sibylle była skomplikowaną osobowością w zakątku świata, który wyjątkowo kochał porządek. Podrywający ją chłopcy byli prości. Chcieli dziewczyny, która dałaby się zaprowadzić przed ołtarz w kościele w Campo Tures, wydałaby na świat dwa albo trzy berbecie i resztę życia poświęciłaby gotowaniu, prasowaniu i byciu dyspozycyjną w sobotę wieczorem. Wizja przyszłości dość odmienna od tej, którą miała w głowie Sibylle. I rzeczywiście, w kopercie nie było żadnych wyznań ani deklaracji miłosnych. Tylko czarno-biała fotografia. Niemożliwa fotografia. Erika leżąca nad brzegiem jeziora. W sukience z Maturaballu. Włosy utyłane w błocie. Twarz zwrócona w kierunku świtu.

I symbol wyrysowany obok zwłok.

2

Tony zbladł.

- Ten gryzmoł. Co to takiego?
- Dowód, że Erika została zamordowana.

Nie było go.

W roku 1999 tego znaku narysowanego w błocie tuż obok zwłok Eriki nie było. Tony go nie widział, kiedy Milani zepchnął go ze zbocza, i nikt ze śledczych nie mówił o nim na konferencjach prasowych.

A więc...

Sibylle uprzedziła jego wątpliwość.

– To nie fotomontaż. Dałam zdjęcie do sprawdzenia jednemu nerdowi z Brunico. Myślał, że to fotos z filmu. Zdjęcie jest z tamtego okresu. Światło wskazuje, że zostało zrobione krótko po świcie. I jest autentyczne. – Sib nabrała powietrza w płuca i zaczęła grzebać w pudełku. – Pomyłona Erika przepowiadała przyszłość. Wiedziałeś?

Tony przypomniał sobie, że w roku 1999 hasło „Pomyłona Erika” pojawiło się dość szybko i wraz z nim niewiele więcej. Głowa w chmurach. Jacyś znajomi. „Jeszcze jeden element – kwaśno zauważył Milani – do podparcia tezy o samobójstwie. Żadnego morderstwa. Żadnego pośmiertnego gwałtu. Pożegnaj się z prasową bombą, świeżaku”.

Sibylle pokazała mu talię kart do tarota.

– Należały do Eriki. Wiesz, jak to działa?

– Nie rozumiem. Jak działa?

– Każdy ma swój sposób stawiania kart. Jedni w krąg albo trójkąt, inni w grupach po trzy albo cztery. Każdy ma swój system. Erika robiła tak.

Sib zaczęła układać karty na stoliku. Dwie pionowe linie równoległe po trzy karty każda. Bardzo blisko siebie. Do tego dodała jeszcze dwie na dole, tworząc rodzaj ostrza strzały. I jeszcze dwie, powyżej. Rezultat...

– Wygląda jak głowa węża.

– Erika nazywała to „uśmiechem kolibra”. Potrafisz sobie to wyobrazić?

Ułożenie kart na stole było takie samo jak symbol nakreślony w błocie obok ciała Eriki.

O kurwa.

– A teraz patrz uważnie na fotografię – powiedziała Sibylle. – Widzisz numer serii? Fotografia, którą znalazłam w skrzynce na listy, to jest pierwsze zdjęcie zrobione w miejscu śmierci Eriki. Pozostałe są tu.

Teczka. Cienka. Pieczęć sądu w Bolzano.

– Dostałam ją z prokuratury. Są tam protokoły karabinierów, fotografie zrobione tamtego dnia i raport z autopsji Eriki. Zauważasz coś dziwnego?

Rzucano się w oczy, jak klaun na pogrzebie. Numery fotografii z teczki zaczynały się od siedem, a kończyły na pięćdziesiąt. Poza tym światło na fotografii z numerem jeden było inne, jakby te z teczki zostały zrobione znacznie później. Ciało Eriki leżało inaczej i zgodnie z tym, co Tony pamiętał, nie było tam żadnego symbolu.

– Ja myślę – podjęła Sib – że uśmiech kolibra miał wzbudzić wątpliwości, ale ponieważ ktoś postarał się, by znikł, wszystko poszło gładko. Dwudziestego pierwszego Erika odebrała sobie życie, topiąc się w jeziorze. Dwudziestego drugiego odbyła się sekcja zwłok, która potwierdziła śmierć przez utonięcie. Samobójstwo. Dwudziestego trzeciego ciało zostało skremowane. Popatrz na podpis lekarza, który na polecenie prokuratury sporządził ekspertyzę.

Kaligrafia była kanciasta, ale czytelna. Doktor Josef Horst. Mężczyzna, który odkrył zwłoki o czwartej rano 22 marca 1999 roku.

Tony otarł dłonią czoło.

Pocił się.

– A więc według ciebie Horst zabija Erikę, rysuje znak, ale kiedy tylko przybywają karabinierzy, łączy tego, usuwa symbol i w jakiś sposób sprawia, że znikają fotografie, które już zrobiono. Potem fałszuje wyniki autopsji. To się nie trzyma kupy.

– To prawda. Ja uważam, że Horst znalazł ciało Eriki i że w pierwszej chwili nie dostrzegł uśmiechu kolibra. Zrozumiałe. Była noc, ciemno. Na dodatek był poruszony. Zobaczył dopiero o świcie, kiedy karabinierzy już zrobili zdjęcia z numerami od jeden do sześć. I wtedy go zamazał. Potem...

– Zamknął usta karabinierom? – wszedł jej w słowo Tony. – Sprawił, że fotografie znikły? Nie wydaje ci się, że to trochę za wiele?

Sib przyjrzała się twarzy Tony'ego.

Zakłopotanej. Przestraszonej. Niedowierzającej.

Kontrolę przejęła Sibby Pończoszanka.

– Wiesz, kto przekonał ciotkę Helgę, żeby skremowała Erikę? Horst. Nie ma ciała, nie ma możliwości zrobienia drugiej autopsji. A teraz zgadnij, co się stało z karabinierami, którzy jako pierwsi przyjechali nad jezioro. Nie żyją. Jeden w dwa tysiące trzecim miał zawał, drugi w dwa tysiące dziesiątym wypadek samochodowy. Córka tego, co zmarł na zawał, pracuje dziś dla Perkmanów. Tego drugiego w dziewięćdziesiątym dziewiątym mieli wyrzucić ze służby, bo zgłanował domokrażcę. Zgadnij, kto mu pomógł, żeby nie skończył na ulicy? Friedrich Perkman. Człowiek pochowany tego samego dnia, którego ktoś wsadził tę fotografię do mojej skrzynki na listy. Kurwa, Tony, *bischt Blint*?

Nie, Tony nie był ślepy.

Tak samo jak nie umykało mu, że pysk Freddy'ego stał się już całkiem biały, było dla niego jasne, że w śmierci Eriki niewiele rzeczy miało sens. Z wyjątkiem decyzji, żeby powierzyć relacjonowanie tej historii świeżakowi. Może i antypatyczna, może i suka, ale Giò była doświadczoną dziennikarką. Z pewnością nie dałaby się wyprowadzić w pole jak kompletny nowicjusz.

À propos, czy pamiętał ostatnie słowa, które zamienił z Milanim?

Pamiętał. Smak jima beama na podniebieniu, bezgwiazdne niebo i...

O kurwa.

Milani woził go po dolinie, towarzyszył mu na konferencjach prasowych gliniarzy. Nawet podczas wywiadów był obok niego. Nie mówiąc już o tym, że to Milani przekonał go, by pojechał do Kreuzwirtu. Michele Milani: kaganiec, który założyli mu Perkmanowie.

Tony poczuł, jak wzbierają w nim mdłości.

Morderstwo.

Słowo przesyciło powietrze całym swym przerażającym znaczeniem. A jeśli Sibylle miała rację, jeśli Erika została zamordowana, jeśli Horst i Perkman ukręcili łeb śledztwu, to w pewien sposób on był ich współnikiem. Tony potarł oczy palcami. Miliony kolorowych światełek i jedna grobowo ponura pewność.

Sibylle nie skończyła.

– Co jeszcze odkryłaś?

– To, co wiedzą tutaj wszyscy. Że dwudziestego pierwszego marca dziewięćdziesiątego dziewiątego roku syn Friedricha Perkmana, Martin Perkman, brat Karin Perkman, która była jedną z najlepszych przyjaciółek Eriki, znikł i nigdy już nie widziano go w miejscowości.

– Zaginął?

– Został zamknięty. W Krotn Villa.

– W Ropuszym Dworze? – przetłumaczył Tony, sądząc, że źle zrozumiał.

– Co wiesz o Perkmanach?

– Że mają mnóstwo pieniędzy.

– To trochę bardziej skomplikowane.

Rozdział X

1

Friedrich Perkman urodził się w 1950 roku. Mając osiemnaście lat, przekonał rodziców, rolników od pokoleń, by powierzyli mu oszczędności, i zaczął je inwestować. Zadziałało. Mając lat dwadzieścia, po śmierci rodziców, których zabiła lawina, kupił połowę tartaku w Kreuzwircie i zaczął wykupywać ziemię dookoła: odkrywając, że błotna lawina, która odebrała życie jego bliskim, była wynikiem ludzkiego zaniedbania, poprzysiągł, że już nikt w Kreuzwircie nie umrze w ten sposób. Z jego punktu widzenia kupowanie ziemi było najlepszym sposobem, by to zagwarantować.

Między rokiem 1970 a 1972 wpływy z tartaku rosły, ale w 1973 trzeba było zmniejszyć produkcję, co w praktyce oznaczało bankructwo. Stare rynki umierały, ale rodziły się nowe. Friedrich potraktował to jako wyzwanie. Udało mu się dzięki pomocy doktora Horsta, który właśnie tamtego roku pojawił się w Kreuzwircie.

Horst urodził się w niewielkiej miejscowości w kantonie Berno, ale mieszkał i praktykował w Genewie. To tam się spotkali. Podczas jednej z biznesowych podróży Friedricha dopadła ciężka grypa i musiał skorzystać z pomocy lekarza. Tego dnia narodziła się przyjaźń do końca życia.

Kiedy w 1973 roku Horst przyjechał do Kreuzwirtu, był tkwiącym po uszy w długach wdowcem z rocznym synkiem o imieniu Michl oraz mnóstwem dobrych pomysłów i całkowitą niezdolnością do ich realizowania. Horst studiował na Uniwersytecie Genewskim, który w owym czasie był w awangardzie, i tam zrozumiał, jaki potencjał kryje się w elektronicznych kalkulatorach. Tylko że brakowało mu kogoś takiego jak Friedrich, kto potrafi się poruszać w świecie interesów. Horst był saletrą, Perkman gliceryną. Wspólnie tworzyli nitroglicerynę zdolną wynieść ich wysoko w górę.

Śmierć Horsta w 2006 roku była dla Friedricha ciężkim ciosem. Przyjaźń z doktorem stanowiła fundament jego życia. Dzielili ze sobą wszystko: ambicje, codzienne życie, a nawet dom – Krottn Villa, Ropuszy Dwór, zbudowany w 1974 roku na miejscu dawnego *maso*, rodzinnego gospodarstwa rolnego Perkmanów, i powiększający się w tym samym tempie, w jakim rosła fortuna Friedricha.

Stodoła, w której jego przodkowie hodowali wychudzone krowy, zmieniła się w eleganckie skrzydło willi, ogródek przeobraził się w oranżerię pełną egzotycznych roślin. Główny budynek otrzymał dwa dodatkowe piętra, skrzydło gościnne i wieżyczkę od strony torfowiska,

otoczył go mur porośnięty bluszczem z marmurowymi ropuchami przy bramie, powstało też mauzoleum, w którym Perkman pochował żonę i w którym sam spocznie kilkanaście lat później.

O ile wspólne zamieszkanie z Horstem w Krotn Villa w roku 1973 było podyktowane koniecznością wynikającą z braku pieniędzy, o tyle z czasem stało się przyzwyczajeniem tak silnym, że nie zmieniło się nawet w roku 1978, gdy Friedrich zakochał się w Christine Talfer.

Horst był świadkiem na ich ślubie, a Michl niósł obrączki. Także po ślubie Horst pozostał w willi i nalegała na to sama Christine, ponieważ uwielbiała zajmować się Michlem. Lubiła dzieci i chciała mieć ich dużo. W 1980 roku Perkmanom urodziły się bliźnięta.

Martin i Karin.

2

Sibylle wstała i poszła po oranżadę. Nalała Tony'emu i sobie. Z szafki wyjęła opakowanie aspiryny i połknęła pastylkę, dobrze wiedząc, że to nie pomoże, ale wierząc w coś dokładnie przeciwnego.

- Jak plecy?
- To tylko upadek, już ci mówiłam.
- Poważny upadek. Motor jest do kasacji.
- Motor tak, ja nie.

Sib wróciła na swoje miejsce i podała pisarzowi zdjęcie z polaroidu przedstawiające trzy dziewczyny i chłopaka. Obejmowali się.

– Zrobiono je kilka dni przed studniówką w dziewięćdziesiątym dziewiątym. Poznajesz ją?

Pierwsza po lewej była Erika. Obok niej stała śliczna dziewczyna o ciemnych włosach zaplecionych w dwa warkocze i intensywnie niebieskich oczach, dalej blondynka ze zmarszczonym czołem i skupionym spojrzeniem, a na końcu jedyny chłopak w kwartecie – nosił okulary w bardzo grubych oprawkach i wyglądał na nieporadnego.

Palec Sib wskazał skupioną blondynkę.

- Karin Perkman.
- A chłopak to Martin?
- Nie, to Gabriel – wyjaśniła. – Martina nie ma na fotografii.
- Może jest na jakichś zdjęciach klasowych? Takich pozowanych, z nauczycielką, na koniec roku szkolnego?

– Wyraźnie zabronione. Kiedy Martin i jego siostra mieli trzy lata, w Krotn Villa wybuchł pożar. Spięcie instalacji elektrycznej. Karin nic się nie stało, ale Martin został poważnie oszepecony i stracił widzenie w lewym oku. To było w osiemdziesiątym trzecim. Od tamtego czasu głowa Martina też nie działała za dobrze. Zrobił się *agresywny*.

Tony uniósł brew.

– Co to znaczy „agresywny”?

– Martin i Karin chodzili do podstawówki tutaj, w Kreuzwircie. Perkman chciał, żeby dzieci czuły się częścią wspólnoty, dla niego Kreuzwirt był wszystkim. Pamiętasz jego obsesję na punkcie ziemi? Dziś cała dolina należy do Perkmanów. Torfowisko, lasy. Wszystko. Widziałeś gdzieś w okolicy turystów? Wiesz, co zrobił Friedrich, kiedy ktoś zaczął rozważać turystykę jako pomysł na dobry biznes także tu, u nas? Wynajął autokar i pokazał ludziom cenę, jaką się płaci za turystykę. Śmieci, beton, zwalone drzewa i kurczące się pastwiska.

– Ale z ekonomicznego punktu widzenia...

– Kreuzwirt jest jedną z najbogatszych gmin w Górnej Adydze. Perkman umiał zatroszczyć się o swoich współmieszkańców. Żebyś zrozumiał: tartak zamknięto w siedemdziesiątym piątym, ale Perkmanowi udało się znaleźć pracę wszystkim dawnym pracownikom, łącznie z tymi, którzy stracili pracę już w siedemdziesiątym trzecim. To mu nie wystarczyło, więc przekształcił tartak w centrum środowiskowe. Wraz z Perkmanem rosła nie tylko jego willa, ale też cały Kreuzwirt. Jeśli czegoś potrzebowałeś, wystarczyło zapukać do jego drzwi.

– Tak jak to zrobił Horst.

– Nie tylko on, uwierz. Dziś tradycję kontynuuje Karin. Co pięć lat wybieramy burmistrza, ale wszyscy wiedzą, że to Perkmanowie rządzą. W Kreuzwircie niczego nie brakuje, z wyjątkiem biednych i turystów. Czyste powietrze i pelargonie. W każdym razie – Sibylle zwilżyła wargi łykiem oranżady i wróciła do przerwanej wątku – w osiemdziesiątym ósmym Martin zaatakował koleżankę z klasy. Elisę, tę dziewczynę z warkoczami. Został zabrany ze szkoły. O jego naukę zadbali doktor Horst, Perkman i *Lehrerin* Rosa, nauczycielka ze szkoły podstawowej w Kreuzwircie, która od tamtego czasu przychodziła do rezydencji dwa razy w tygodniu. Szperałam w szkolnym archiwum i znalazłam tylko dokument na parę linijek, gdzie było coś o bliżej niesprecyzowanym incydencie. Nic więcej.

Tony spróbował zagrać adwokata diabła.

– W osiemdziesiątym ósmym Martin i Elisa byli nieletni. Taki brak w papierach da się wytłumaczyć.

– Nie rozumiesz. W Kreuzwircie wszyscy wiedzą wszystko. Wiesz, że narzeczona Oskara, dziewczyna, z którą miał się ożenić, rzuciła go, bo w tamtym czasie za dużo pił? Wiesz, że pani Grünberger zażywa psychotropy, odkąd została wdową, choć jeździ po nie aż do Bressanone, bo tak się tego wstydzi. Wszyscy wiedzą wszystko.

– Z wyjątkiem tego, co się stało z Eriką w dziewięćdziesiątym dziewiątym i z Elisą w osiemdziesiątym ósmym.

Sib pokiwała głową. Z pudełka wyciągnęła kolejną fotografię zrobioną polaroidem.

– Dziewięćdziesiąty szósty. To jest dach szkoły. Dzieciaki chodziły się tam opalać. Nielegalnie. Wystarczyło wejść po drabinie przeciwpożarowej na tyłach budynku. To Karin i...

– Czy to jest blizna?

Sib się uśmiechnęła. To był uśmiech Sibby Pończoszanki.

Blizna znajdowała się tuż pod pępkiem Elisy. Przynajmniej piętnaście centymetrów długości.

– Może ta blizna nie pochodzi z osiemdziesiątego ósmego – zaproponował Tony. – Albo nie ma nic wspólnego z Martinem. Nie możesz być pewna.

– Możliwe. – Twarz Sib pozwalała domyślać się czegoś całkiem przeciwnego. – Między osiemdziesiątym ósmym a dziewięćdziesiątym dziewiątym rzadko można było zobaczyć Martina. Zazwyczaj w samochodzie razem z ojcem. Albo w lecie, na torfowisku, razem z Karin czy z Horstem. Ojcem lub synem, Michlem. Nigdy samotnie i nigdy w miejscowości. Potem, w dziewięćdziesiątym dziewiątym, a dokładnie w nocy dwudziestego pierwszego marca, Martin znika całkowicie, połknięty przez Ropuszy Dwór. Nikt go więcej nie zobaczył.

Sib przechyliła się w stronę Tony'ego i powtórzyła:

– Nigdy.

– Myślisz, że Martin Perkman zabił Erikę? Że Horst odkrył zwłoki i razem z Perkmanem zatuszował całą sprawę? I że następnie, by ukryć skandal albo... – Tony zawahał się, szukając właściwych słów – ...z powodu uczucia, postanowili zamknąć go na zawsze w Ropuszym Dworze?

– Jest jeszcze gorzej. – Po raz pierwszy w ich rozmowie w głosie Sibylle pojawiło się wahanie. – Dochodzi sprawa przekleństwa i zjawy. Po śmierci Eriki ktoś zaczął rysować uśmiech kolibra na murach Kreuzwirtu. Erika stała się czymś w rodzaju lokalnego Babau⁴. „Erika Cię Porwie”, mówili o niej.

– Bardzo zabawne – powiedział Tony, marszcząc brwi.

– Rzecz w tym, że ktoś zaczął. I to już parę godzin po śmierci Eriki. Nikt nie wie, kto to był. Wiadomo tylko, że pozostałą trójkę z tego wspólnego zdjęcia śmierć Eriki naznaczyła w jakiś sposób. – Głos Sib przeszedł w szept. – Zawsze myślałam, że to głupie gadanie, ale teraz zaczynam wierzyć, że przekleństwo i zjawa są prawdziwe. – Dziewczyna przygryzła wargi, próbując zobaczyć, jakie wrażenie wywarły na Tonym jej słowa, ale pisarz wpatrywał się w czworo nastolatków na fotografii. Ciągnęła więc: – Po śmierci Eriki Karin zrobiła się zimna. Zdystansowana. Opryskliwa. Mówią, że to dlatego, że Friedrich zaczął ją angażować w pracę dla firmy, ale... – Sib urwała i wskazała na nieśmiałego chłopaka na zdjęciu. – Gabriel. Syn jedyne go urzędnika gminy Kreuzwirt, pana Planka. Ciotka Helga powiedziała mi, że Gabriel był tak przytłoczony śmiercią Eriki, że nie przyszedł nawet na jej pogrzeb. Niecały rok później jego ojciec poprosił o przeniesienie i syn z nim wyjechał. Nigdy tu nie wrócił, nawet na chwilę.

I Elisa. Miss Najlepsza w Klasie. Widoki na wspaniałą przyszłość. Ale nie wzięła pod uwagę przekleństwa. Popatrz.

Sib wyciągnęła artykuł z papierowej teczki. Tytuł mówił wszystko: *Śmierć obozowiczki w potoku*.

– Jedenastego lipca dwa tysiące piątego. Elisa topi się w potoku niecały kilometr od jeziora, w którym zginęła Erika. Przyprawia o ciarki, nie uważasz?

Tony rzucił okiem na wycinek z gazety.

– Tutaj piszą, że Elisa była pijana, straciła równowagę, uderzyła się w głowę i zemdlała, wpadając do wody. Nie widzę w tym nic tajemniczego. Karin nie jest taka jak przedtem? Na Perkmanach ciąży wielka odpowiedzialność, a coś takiego zmienia człowieka. Gabriel nie postawił więcej nogi w miasteczku? Zbyt wiele złych wspomnień. Zrozumiałe.

– Tak, ale zgadnij, kto stwierdził zgon Elisy. Znowu Horst. To też zbieg okoliczności? Możliwe, ale...

Przez chwilę Tony myślał, że dziewczyna nie będzie w stanie zakończyć opowieści. Miała podpuchnięte oczy. Była zmęczona. Wyczerpana. I przestraszona.

– Musisz zrozumieć – szepnęła – że od kiedy zaczęłam zadawać pytania, Kreuzwirt *zaniemówił*. Wiesz, jakie jest prawdopodobieństwo, że w miejscowości takiej jak Kreuzwirt zapada milczenie na temat tak dziwnych wydarzeń?

– Takie samo – odparł Tony – jak to, że taki potentat jak Perkman będzie nalegał, by świeżak pisał o śmierci Pomyłonej Eriki.

„Albo – pomyślał, patrząc na spokojnie chrapiącego pod oknem Freddy’ego – takie samo jak to, że ktoś, kto wychował się na Szangaju, będzie pisał jeden bestseller po drugim”.

Wstał i otworzył okno na oścież. Kreuzwirt zanurzył się w ciemności. Gwiazd świeciło więcej niż w Bolzano, powietrze było świeże i przyjemne. Mimo to Tony był mokry od potu. Wpatrywał się w sylwetkę swojego mustanga. Po długiej chwili odwrócił się i zapytał:

– Co robimy dalej?

Rozdział XI

Wróciwszy do Bolzano i powiedziawszy Freddy'emu dobranoc, Tony próbował zasnąć. Bardzo tego potrzebował. Jednak za każdym razem, kiedy zamykał oczy, jego myśli podążały do nagrobka dziewczynki bez głowy.

Via Virus.

Według legendy dawny właściciel domu przy via Virus zawarł pakt z diabłem. Tysiąc lat życia w zamian za głowę dziecka, jego córki. Tyle że zaraz po oddzieleniu od ciała, zaraz po oczyszczeniu siekiery z krwi odcięta głowa zaczęła mówić. „Zostaniemy na zawsze razem, tatusiu”. I jeśli miałeś dość odwagi, żeby minąć kamienne psy (które, jak opowiadano, warczały), nagrobek dziewczynki bez głowy (na którym, jak przysięgano, każdego dnia zmienia się wyryte imię) i zapukałeś po dziesięciokroć do drzwi nawiedzonego domu, ty też mogłeś ją usłyszeć. „Kto nie wierzy, ten ciota”.

Latem 1990 roku Tony miał jedenaście lat i dość niejasne wyobrażenie, kto to jest ciota, ale był jedynym z całej bandy, który minął posągi psów. Nawet nie zaskomlały. Ruszył naprzód żwirową alejką i zobaczył nagrobek. Był mocno nadgryziony zębem czasu i nie dało się odczytać wyrytego na nim imienia. Może to nawet nie był nagrobek. Tony minął go, dotarł do drzwi i zapukał. Żadnej dziewczynki. Żadnego widma. Zirytowany spróbował nacisnąć kłamekę. Drzwi się otworzyły i Tony wszedł do środka.

Ciężkie zasłony na oknach, obrazy w bogato zdobionych ramach. Pański dom, jakby powiedziała jego matka. Ramy dało się znieść, ale obrazy były koszmarnie. Wyglądały jak ćwiczenia z geometrii. Nigdzie żadnej siekiery. Ani odrąbanej głowy.

W tym momencie Tony stanął przed problemem. „Gdyby opowiedział o swoim odkryciu, nikt by mu nie uwierzył, chyba że – pomyślał uderzony nagłym olśnieniem – przyniesie ze sobą jakiś dowód. Tylko że tam w środku były jedynie wartościowe rzeczy, a on nie był złodziejem. Czy to możliwe, żeby bogaci nie mieli nic mniej wartościowego od złotego naszyjnika, który jego matka zakładała wyłącznie na śluby i Boże Narodzenie?”.

Już miał odejść z pustymi rękami, kiedy poczuł zapach, który zaprowadził go do kuchni urządzonej w tyrolskim stylu. Drewno na ścianach, krucyfiks, szkła i emaliowane naczynia wypucowane do połysku, a na stole świeżo upieczone ciasteczka.

Tony już miał zamiar je schrupać, w myślach przezywając kolegów czekających na niego przed posesją od cykorów (cykorów i ciot), kiedy nagle, nie wiadomo skąd, wyłonił się starzec. Siwe, zmierzwione włosy, nawiedzony wygląd kogoś, kto zdekapitował własną córkę i teraz jest gotów zrobić to samo szangajczykowi z gilem zwisającym z nosa (i co

powiedziałyby jego widmo po dekapitacji? „Jestem kretyńcem i zasłużyłem sobie na to”). Patrzyli na siebie, nieruchomi niczym rewolwerowcy w filmach Sergia Leone, do chwili, kiedy starca przeszedł gwałtowny dreszcz, jego usta się zamknęły, policzki wydeły, podbródek drgnął i ciszę domu przy via Virus przerwała eksplozja pierdnięcia o nieprzyjemnym dźwięku długiego gawroniego solo, po czym nastąpił śmiech (histeryczny) Tony’ego, który chwycił ciastko i zwiął z prędkością światła.

Niestety – co odkrył, gdy już znalazł się w bezpiecznej odległości – jego koledzy dawno się zmyli i ściskane w dłoni pokruszone ciastko straciło wartość dowodową. Nikt mu nie uwierzy. Życie jest do bani. A najgorsze z tego wszystkiego, że na via Virus nic a nic nie było. Żadnych figur warczących psów. Żadnych widm. Żadnych zakrwawionych siekier. Żadnych tajemnic. Tylko starzec spędzający czas na pieczeniu ciastek i psuciu powietrza.

Ta myśl była tak smutna, że zapomniał pozbyć się dowodu przestępstwa. Kiedy więc jego matka zażądała wyjaśnień, a on wyznał prawdę, został po raz pierwszy wprowadzony w świat dorosłych.

Widma nie istnieją, nie istnieją pakt z diabłem, ale potwory – jak najbardziej. W domu przy via Virus mieszkał były oficer SS, którego nikt nie odważył się osądzić i wysłać do więzienia. Starzec o siwych i zmierzwionych włosach, który próbował oszukać śmierć, udając artystę.

Krótko mówiąc, kiedy spoglądasz w otchłań, ona również spogląda na ciebie. Jeśli jednak urodziłeś się na Szangaju, to otchłań nie tylko spuści wzrok (spróbowałyby nie), ale jeszcze w jej pysku znajdziesz dla siebie coś do przegryzienia.

Nietzsche po prostu urodził się w niewłaściwej dzielnicy. A Tony spędził noc, nie zmrzywszy oka.

Rozdział XII

1

Rankiem zaparzył sobie kawę, powiedział dzień dobry Freddy'emu, napił go, nakarmił i zabrał na rutynowy spacer. I właśnie w tej samej chwili, kiedy bernardyn zajmował się podnoszeniem nogi i pollockowaniem tu i ówdzie, Tony między jednym a drugim ziewnięciem uświadomił sobie, dlaczego jego pamięć podsuwała mu uparcie przygodę z *via Virus*.

Bo gdy odłożyło się na bok przekleństwa i złe uroki, Erikę, co Cię Porwie, tajemnicze i mroczne zgony i cały ten folklor, w który Sibylle wydawała się wierzyć albo chciała wierzyć (tak samo jak on chciał wierzyć w widmo dziewczynki bez głowy), pozostawała jedna *konkretna* rzecz, od której należało zacząć, by rzucić światło na śmierć Eriki.

Symbol. Uśmiech kolibra. Fałszywa nuta. Nie osoba, która go narysowała, ani ta, która go zamazała. Znacznie prościej – symbol sam w sobie i dla siebie. Erika używała go jako schematu układania kart tarota, zgoda, ale dlaczego? Wymyśliła go czy gdzieś znalazła? Co oznaczał? To dziwne, że Sib o tym nie pomyślała. To była bystra dziewczyna. Pojęta. Odważna. I zdecydowanie...

Freddy, z wciąż jeszcze podniesioną łapą i wywieszonym językiem, patrzył na niego spojrzeniem, w którym pisarz wyczytał zadowolony uśmiezek kogoś, kto zna się na rzeczy.

– Tak, bardzo ładna – potwierdził Tony. – Masz rację. Jesteś gorszy od Polianny. Przyjmij do wiadomości, że masz szlaban.

2

Bolzańczycy to lud czytelników, każda dzielnica ma swoją bibliotekę i w całym mieście jest mnóstwo księgarni: włoskich, niemieckich, dwujęzycznych. Tony szwendał się niemal po wszystkich, ale do jednej był głęboko przywiązany.

Jej nazwa, *Carnival*, była dziwaczna, na dodatek niewygodnie było dostać się do niej z Szangaju, bo znajdowała się w historycznym centrum miasta, ale jej półki ugięły się od prawdziwych skarbów, a Chiara, wytatuowana księgarka, zawsze umiała wywołać uśmiech na jego twarzy.

Freddy'emu zaś księgarnia *Carnival* podobała się dlatego, że Chiara miała zapas jego ulubionych chrupek. Tony jednak dotrzymał słowa i Freddy został w domu w towarzystwie klimatyzatora oraz Polianny szcztokującej mu sierść. Tony nie potrafił być surowy dla bernardyna.

Ku swemu zaskoczeniu Tony odkrył, że ksiązek o tarocie jest nieprzebrane mnóstwo.

Chiara, heavymetalowa księgarka, wyjaśniła mu, że dział New Age jest niezwykle popularny wśród klienteli. Gdyby nie on, księgarnia już dawno zamknęłaby podwoje.

I to był pozytywny aspekt sprawy.

– Negatywny jest taki, że musiałam się doksztalcić z tego szajsu. Wiedziałaś, że bursztyn leczy kaca?

– Próbowałaś?

– Nie działa – odparła niepokieszona. – A wiedziałaś, że jaspis przyciąga bogactwo?

– Nie, ale... – Tony naszkicował uśmiech kolibra na kartce. – Mówi ci coś ten symbol?

– *Nada*. Ale jeśli chcesz, popytam tych świrów, co kupują te książki. Roześlę wici. – Oczy się jej zaświeciły. – To do nowej powieści?

3

Kilka minut później, z dwiema torbami ksiązek w bagażniku mustanga i odrobiną czasu przed kolejnym punktem programu, Tony skorzystał z okazji, by zdrzemnąć się na parkingu przylegającym do domu opieki Jutrzenka, gdzie według Sibylle przebywała Lehrerin Rosa, nauczycielka Martina Perkmana w latach 1988–1999.

Kiedy Sib zapukała w szybę mustanga, mało brakowało, a z gardła Tony'ego wyrwałby się krzyk.

Śniła mu się dziewczynka bez głowy.

Rozdział XIII

Tony nienawidził tego zapachu. Kamfora i środki odkażające. I konwalie. Rozpylali to wszędzie. Konwalie albo esencja różana. Jakby nie istniały inne zapachy.

Ledwie wszedł, a już nie mógł się doczekać, kiedy wyjdzie.

– Lehrerin Rosa, ma pani gości – oznajmiła salowa, otworzywszy drzwi jednej z wielu sal kliniki.

„Trzeba było sporej odwagi, żeby nazwać Jutrzenką miejsce, do którego ludzie przychodzą, by umrzeć”, pomyślał Tony, delikatnie zamykając drzwi.

Chuda jak szkielet Lehrerin Rosa zdjęła z nosa okulary do czytania i położyła je na magazynie, który przeglądała z długopisem w ręku. To były krzyżówki. Wskazała im krzesła.

– Jesteś zupełnie jak matka, wiesz, dziecko?

Pielęgniarka powiedziała im, że pacjentka przez większość czasu nie kontaktuje. Mieli szczęście.

– Poznaje mnie pani? Wie pani, kim jestem?

Lehrerin Rosa uśmiechnęła się do Sibylle szeroko.

– Jesteś Sibylle, córka Eriki. Twoja matka była piękna, ale ty jesteś jeszcze piękniejsza. I widać, że jesteś twarda. Biedna Erika była krucha. Przyszłaś, żeby porozmawiać o niej, prawda?

Lehrerin Rosa mówiła doskonałą niemczyzną, nie dialektem, dzięki czemu Tony bez problemu mógł uczestniczyć w rozmowie.

Sibylle przysunęła krzesło do łóżka.

– Tak, chcę zrozumieć, kim była naprawdę.

– Znasz Dwór?

– Wszyscy go znają.

– Dzieci były rozkoszne. Twoja matka też. Zawsze z tarotem w torebce. Karin, tylko ją jedną interesowało odrabianie lekcji. Była poważną dziewczynką, miała to po ojcu. Ale umiała też być wesoła, nie do wiary. Wszyscy razem chodzili do biblioteki w willi. Siadali przy tym owalnym stole. Erika, Elisa, Karin i ten chłopiec, taki zamknięty w sobie...

– Gabriel? – pomogła jej Sibylle.

– Gabriel. Wieczorem, jeśli doktor Horst im pozwalał, szli do wieżyczki. Tam był teleskop. Horst był astronomem amatorem. Patrzyli na gwiazdy. Czasami szłam razem z nimi. To były jedyne chwile, kiedy Gabriel się otwierał. Mówił, że jak dorośnie, zostanie astronomem.

– A Martin?

Lehrerin Rosa błędziła wzrokiem za plecami Sibylle.

– Mój Martin, mój krecik.

– Z powodu oka?

– Co za okrucieństwo! Nie! – uniosła się nauczycielka. – Z powodu jego ulubionej książki. Chciał, żebym mu ją w kółko czytała. Codziennie przynajmniej jeden rozdział, inaczej była tragedia. *O czym szumią wierzby*. Czytałaś?

– Kenneth Grahame. Klasyk literatury dziecięcej – wtrącił się Tony nieco kulawą niemczyzną.

– Kret był ulubionym bohaterem Martina.

Sibylle przeczesała włosy dłońmi.

– Lehrerin Rosa, czy pani wie, dlaczego Martin został zabrany ze szkoły w osiemdziesiątym ósmym?

– To było tylko trochę strachu, nic więcej, wiesz, jakie są dzieci. Jedno zadrapanie i płaczą godzinami. Rodzice Elisy grozili, że to zgłoszą, ale Friedrich przemówił im do rozumu. Martin był dzielnym krecikiem, z tym jego ślepym oczkiem, które łzawiło, kiedy próbował czytać. A on bardzo lubił czytać, tylko że... – Twarz starej nauczycielki się ściągnęła. – Wiem, co ludzie mówią. Kłamstwa.

– Co ludzie mówią, Lehrerin Rosa? – zapytał Tony.

Kobieta przyjrzała się mu, jakby dopiero teraz uświadomiła sobie jego obecność.

– Że był opóźniony. Martin był wielki i silny, miał poparzoną twarz, mówili na niego potwór, ale on nie skrzywdziłby nawet muchy. Z Elisą także się często śmiali. On ją podnosił, a ona się śmiała i śmiała. Po wypadku też. Rozumiecie? To był wybuch, wypadek: zdarzało się, że Martin wpadał w gniew. Ale tylko wtedy, gdy ktoś go sprowokował. Elisa nie była taka święta, jak się wydawała, potrafiła być złośliwa. Poza tym blizny nikogo jeszcze nie zabiły.

Kobieta wygładziła prześcieradło, pod którym leżała. Wyglądała na zagniewaną.

Sib spróbowała ją udobruchać.

– W miasteczku wszyscy mi mówili, że nie było nauczycielki lepszej od pani.

Lehrerin Rosa uśmiechnęła się z zadowoleniem.

– Tak mówili?

– Zostawiła pani po sobie przepiękne wspomnienia, proszę mi wierzyć. Ma pani doświadczenie. Jak pani sądzi, co było Martinowi?

– Nic – odparła sucho kobieta. – Martin nosił na sobie uprzedzenia ludzi. Przestańcie mówić o nim źle, jak to robił ten straszny, *straszny* doktor Horst. Martin nie był zły i na pewno nie był głupi, jak cały czas twierdził ten szarlatan. Sama zrobiłam mu testy, w tajemnicy przed Friedrichem, i wyszło, że jest inteligentniejszy od Karin. – Westchnęła. – Miał... trudności, to na pewno. A jego deformacja nie pomagała w znalezieniu przyjaciół. Ale to nie on zakradał się do domów w Kreuzwircie, żeby kraść

kobietą bielizną. Bzdury. Martin był dobrym dzieckiem. Nie wierzycie? W dzień zaćmienia Słońca, dwudziestego pierwszego sierpnia dziewięćdziesiątego dziewiątego, wypadały moje urodziny. Bardzo bolała mnie głowa, więc zamiast iść na plac i patrzeć, jak Słońce znika, wróciłam do domu. No więc wracam i kiedy zamykam za sobą drzwi, zauważam wielką postać. Och, jak się przestraszyłam! Włączam światło i kogo widzę?

– Martina? – domyślił się Tony.

– Mojego krecika. Z przepięknym bukietem kwiatów! – zawołała Lehrerin Rosa, uderzając dłonią o materac. – Ten łobuz pamiętał o moich urodzinach!

– Często tak robił? Często przynosił pani kwiaty na urodziny?

– Przynajmniej dopóki nie znalazłam się tutaj. Dla niego to też jest za daleko. Czy takie dziecko zasługuje na to, by je przywiązywać do wózka, jak to robili pan Perkman i Horst? Ja twierdzę, że nie. Żadne dziecko nie zasługuje na podobne traktowanie. Myślicie, że ktoś mnie posłuchał? Nie mówię o doktorze Horście, ale pan Perkman? Gdyby przynajmniej pani miała siły. Ale chorowała i nie miałam serca jej powiedzieć, co robili mojemu krecikowi. Biedny Martin.

– Czyli Martin mógł wychodzić z willi? – zapytała Sibylle.

– Nie miał pozwolenia, Friedrich by się gniewał, ale od czasu do czasu udawało mu się wymknąć. Chytry był ten mój krecik! Poza tym po śmierci pani Friedrich zmniejszył liczbę personelu, był słabszy nadzór.

– Ale Horst... – wtrącił Tony.

Lehrerin Rosa nie była z nimi, myślami przebywała gdzie indziej, w odległych czasach.

– W willi byli Friedrich, Karin i Martin. Czasami Peter Brugger, który był wdowcem i kiedy nie było szkoły, zabierał ze sobą synka, Rudiego. Wiecie, że to Peter zbudował oranżerię? Pani bardzo się podobała. Pomagała jej znosić chorobę. Pomysł był Friedricha, ale wykonanie Petera. Lilie, róże. Coś wspaniałego! Jak pani umarła, oranżeria stała opuszczona, ogrodnik nie był już potrzebny, więc Friedrich dał Peterowi pracę dozorca. A ponieważ nie chciał więcej ludzi wokół siebie, kupił mu dom w Kreuzwircie.

Kobieta sięgnęła po szklankę wody stojącą na szafce i zwilżyła gardło.

– Friedrich troszczył się o ludzi z Kreuzwirtu. Miał wiele wad, ale wszystkim pomagał.

Znów zaczęła patrzeć na Sibylle. Poprzez Sibylle. Ponownie zanurzyła się w przeszłość.

– No i byli doktor Horst i jego syn, ten ładny chłopak, który też został lekarzem i zawsze był trochę grymaśny. Markus Horst. Nie, nie Markus. Michl. Michl podobał się dziewczynom i ojciec na niego krzyczał. Mówił, że przeszkadzają mu w nauce. Michl na pewno podobał się Karin. W każdym razie willa była prawie całkiem pusta i Martin, kiedy tylko mógł,

wykorzystywał to, żeby pójść do lasu na spacer. – Lehrerin Rosa pogładziła delikatnie jasne kędziory Sibylle. – I spotkać się z Eriką... Tylko ona jedna naprawdę go akceptowała.

– Pomyleńcy rozumieją się ze sobą.

Lehrerin Rosa się roześmiała.

– To samo mówiła twoja matka. Wiesz, że Erika wspaniale naśladowała głosy zwierząt? Często to robiła dla Martina. On się śmiał, śmiał i... – Kobieta nagle urwała i potrząsnęła wyciągniętą w górę pięścią. – Martin nigdy, przenigdy nie zrobiłby krzywdy twojej matce. Bo o tym myślisz, inaczej byś tu nie przyszła. O mnie już wszyscy zapomnieli. Wszyscy z wyjątkiem Gabriela. Odwiedził mnie. Miał długie włosy i wyglądał... Nie każcie mi o tym myśleć.

– Czy Gabriel – wtrącił Tony – pytał panią kiedyś o Martina? Albo o Erikę?

Lehrerin Rosa roześmiała się głośno.

– Gabriel mówił *wyłącznie* o Erice. Ale najbardziej interesowało go widmo. Widmo i biblioteka Perkmanów. Mam nadzieję, że dzieci przestały robić te koszmarnie żarty. Erika Cię Porwie. Te napisy na murach. Niewychowani, niewychowani... Przestali?

Sib wzruszyła ramionami.

– Nie do końca.

– W takim razie – oznajmiła Lehrerin – powiedz im, że widmo w Kreuzwircie było już przed śmiercią Eriki. Choć tak go wtedy nie nazywano.

Sib rzuciła Tony’emu szybkie spojrzenie.

– A jak?

– Zboczeniec! – zawołała kobieta, pociągając przy tym nosem. – Jak inaczej mieliby go nazywać? Widmo było świntuchem, który wchodził do domów kobiet, Bóg jeden raczy wiedzieć po co.

– Dlaczego Gabriel pytał o bibliotekę?

– Była ogromna. Z książkami wszelkiego rodzaju. Przynajmniej cztery różne encyklopedie, bo Friedrich chciał wiedzieć wszystko. I była też część zamykana na klucz. Tam znajdowały się stare księgi, bardzo cenne. Ale ja nigdy tam nie byłam. Powiedziałam Gabrielowi to samo, co mówię wam. Tylko że teraz jestem już nieco...

– Jeszcze jedno pytanie, Lehrerin. Ten symbol. Widziała go pani kiedyś?

Kobieta założyła na nos okulary, by przyjrzeć się kartce, którą podała jej Tony.

– To uśmiech kolibra. Ależ to dziecko miało fantazję! Erika używała go do czytania z kart i... O, tak robiła.

Lehrerin Rosa wzięła broszurę z krzyżówkami, bez słowa zaczęła wrywać kartki i dzielić je na mniejsze części. Uśmiech kolibra pojawił się na prześcieradle.

– Ona...

Nagle jej spojrzenie stało się puste. Z niemal nadludzkiem wysiłkiem pogłaskała Sibylle po głowie.

– Dlaczego taka piękna, taka młoda dziewczyna się zabiła? Śmierć Eriki wszystko zmieniła. Friedrich mnie zwolnił i nie mogłam już spotykać mojego krecika. Tylko w ukryciu. Gabriel... Kiedy odwiedził mnie wiele lat później... mówił, jakby był naćpany. A Elisa? Nieżywa. Pijana. Nawet zwłoki cuchnęły alkoholem; tak opowiadał Wolfie, który ją znalazł w... to był dwa tysiące piąty czy siódmy?

– Dwa tysiące piąty – odpowiedziała Sibylle.

– Czas jest dziwny, naprawdę dziwny, moja mała. To, co odległe, robi się bliskie, i na odwrót. Wydaje mi się, że ciągle słyszę śmiech dzieci i... – Lehrerin Rosa otarła łzy wierzchem dłoni pokrytej ciemnymi plamami, z wyraźnym rysunkiem żył. – Dlaczego to zrobiła? Dlaczego twoja matka miałyby się zabić?

Położyła głowę na poduszce i odwróciła spojrzenie w stronę okna.

Sibylle wstała.

– Dziękuję.

Kobieta nie odpowiedziała i w tym momencie Tony przyjrzał się uważniej krzyżówkom. Wszędzie były te same litery.

Jeden pionowo. Rzeka przepływająca przez Florencję.

Rosa.

Siedem poziomo. Prezydent ukochany przez Włochów.

Rosaros.

Dwanaście pionowo. Stolica Stanów Zjednoczonych.

Rosarosaros.

Rozdział XIV

1

Księgarka Chiara dotrzymała słowa – skrzynkę mejlową Tony’ego zalały wiadomości. Co najmniej połowa pochodziła od aspirujących pisarzy, którzy prosili go, by rzucił okiem na ich twórczość, reszta zawierała różnego rodzaju oferty: chiromancji, spersonalizowanego horoskopu czy wróżenia z fusów po kawie. Wszyscy chcieli się z nim spotkać, wszyscy uważali się za depozytariuszy nie wiedzieć jakiej tajemnicy, ale żaden nie sprawiał wrażenia, że mógłby pomóc mu znaleźć odpowiedź na interesujące go pytanie. Tony skasował wszystko i wrócił do lektury *Przewodnika po Arkanach*, podręcznika tak irytującego, że rozboleła go głowa.

2

Nie mogłeś mówić „tarot”. Biada ci, jeśli to zrobiłeś. Od razu zdradzałeś, że jesteś niewtajemniczony. Gorszi od niewtajemniczonych byli tylko ci, którzy mówili po prostu „karty”. Żałośni nieszczęśnicy.

To, co Tony miał przed sobą, nosiło nazwę „Arkana”. Brzmiało lepiej niż „tarot”, trzeba przyznać. Arkana, wedle podręcznika, który czytał Tony, dzieliły się na Arkana Wielkie i Arkana Małe.

Naturalnie – wyjaśniał H. West, redaktor tomu – historia Arkanów była długa i tajemnicza. Kto je wymyślił? Kiedy wykonał? Czy może byli to Egipcjanie, którzy przejęli mądrość Obcych? Albo Babilończycy, którzy spędzali całe dnie z demonami i bóstwami?

Tony, sarkając, szybko przeczucił rozdział wstępny. Nie wiedział, co ma począć z Hermesem Trismegistosem i Księgą Thotha (spisaną na złotych tablicach!). Chciał tylko zgłębić temat. Konkretnie. Pod warunkiem że da się w ogóle używać tego słowa w takim kontekście.

– Co to za zapach, Tony?

Polianna, zza drzwi pracowni.

– Kadzidełko.

– Znów zacząłeś palić, Tony?

Rzucił palenie przed jedenastu laty, ale odkąd Polianna znalazła paczkę cameli w którymś z kartonów po przeprowadzce, jednym z tych „jutro odłożę go na miejsce, przyrzekam, słowo honoru”, nie przestawała go zadrećcać.

– Nie.

Nie wytłumaczył się i na całe szczęście Polianna Nones, lat sześćdziesiąt jeden, gospodyni domowa, wybitna kucharka, pierwsza czytelniczka jego manuskryptów i żelazna strażniczka jego moralności, zajęła się swoimi sprawami. A Tony wrócił do kart. To znaczy, do Arkanów.

Jak większość Widzących, także Erika wołała stosować Arkana Wielkie, pomijając Małe. Były potężniejsze, mówił przewodnik.

Jednak ich odczytywanie – zrozumiał Tony, kiedy próbował wyciągnąć jakiś sens ze stron gęstych od podniosłej prozy – nie było tak proste, jak początkowo sądził.

Przed wszystkim Arkana nie miały stałej wartości. To jeszcze Tony mógł zrozumieć. W Szangaju z czasów jego młodości cios pięścią nie zawsze oznaczał to samo. Były uderzenia dawane z przyjaźni, choć zdarzało się, że zostawiały limo, ale były i takie, które wyglądały na zwykłe klepnięcie, podczas gdy stanowiły kategorię zaproszenie, by wziąć nogi za pas. Jeśli miałeś jeszcze taką możliwość.

Przeto Mag, karta numer jeden w talii, nie musiał koniecznie oznaczać zasady albo obecności ducha. Mag, gdy był odwrócony, mógł oznaczać brak pewności siebie, nieufność i tym podobne przyjemności.

Ponadto każde Arkanum zmieniało znaczenie w zależności od Arkanum, obok którego stało. I to już było prawdziwe zamieszanie. Mag obok Słońca oznaczał: szczęście nadejdzie wkrótce. Ale gdy był odwrócony, to cóż... szczęście jeszcze musiało się nachodzić. Licząc, że Wielkich Arkanów było dwadzieścia dwa, możliwych kombinacji wychodziło zbyt wiele, by dało się zapamiętać wszystkie. Otworzył okna.

Dusił go zapach kadzidła.

To wina H. Westa. Ekspert powiedział, że aby tarot lepiej funkcjonował, należy najpierw go naenergetyzować, paląc na jego cześć kadzidło. A ponieważ Tony zawsze był trochę kujonem, to tak właśnie zrobił. Ale co za dużo...

– Tony?

– Tak, Polianno?

– Na tej koszulce jest krew.

Tony skłął się w myślach. Zapomniał o niej. O *shleppa* od Sibylle.

Otworzył drzwi.

– To tylko trochę krwi z nosa.

– To dlatego, że nigdy nie wychodzisz z domu.

– Właśnie byłem, kiedy...

– To dlatego, że pijesz za mało wody.

– Piję, Polianno, przynajmniej...

Polianna nie dała mu skończyć.

– Byłeś u lekarza?

– Dobrze się czuję.

– A to co?

Tony podążył wzrokiem za jej spojrzeniem.

Biurko przerobione w coś na kształt ołtarza. Świeca. Kadzidło.
Arkana.

– To do nowej książki.

– Wiesz, że to jedno wielkie oszustwo?

– Pewnie. I właśnie ta książka...

– Piszesz horror, Tony?

Nie odpowiedział.

– Jesteś jak dziecko, Antonio Carcano. Nic nie rozumiesz, a chcesz się bawić rzeczami dla dorosłych. Wiesz, do czego to służy? *Komu* służy? Diabłu! On wciąż szuka nowych dusz. A kiedy znajdzie takiego durnia jak ty, każe mu wierzyć, że może tym dziadostwem przepowiadać przyszłość. Albo rozmawiać ze zmarłymi. A tymczasem...

– To tylko książka, okej?

Polianna przez chwilę patrzyła na niego z ukosa. Potem stała się tą samą Polianną co zwykle.

– Kolacja jest w lodówce. Musisz ją tylko odgrzać. A ten szczeniaczek potrzebuje rozprostować kości.

Tony podszedł do niej i pocałował w policzek.

– Do jutra.

– Pamiętaj, żeby pić więcej wody.

Uwielbiał tę kobietę.

Rozdział XV

*Schüttelbrot*⁵ ze słoniną o tak wczesnej porze nie był według Tony'ego najlepszym pomysłem na śniadanie. Jednak nie chcąc zrobić na gospodarzu złego wrażenia, poszedł za przykładem Sibylle. Uśmiechał się nawet i chwalił jakość słoniny. Poza tym Tony nigdy nie żartował z kogoś, kto miał tyle broni.

W położonym kilka kilometrów za Kreuzwirtem domu otoczonym drzewami i świeżo pomalowanym płotem broni było mnóstwo. Zwłaszcza strzelb. Niektóre nadawały się do muzeum, jak wiszący nad kominkiem odprzodowy sztucer, inne były nowsze, zamknięte w szafie chronionej przez antywłamaniowe szkło.

Oprócz tego arsenału ściany zdobiły różnej wielkości głowy jeleni, wypchane cietrzewie, para świstaków, nawet pociesznie wyglądające *Vulpendingen*⁶ i mnóstwo lisów. Tony naliczył ich piętnaście. Starzec musiał naprawdę nienawidzić tych biednych zwierzaków.

– Byłeś kiedyś na polowaniu, panie pisarzu?

– Polowałem dotąd tylko na kłopoty, panie Egger. Kiedyś ojciec zabrał mnie do wesołego miasteczka. Była tam strzelnica, jedna z tych, na której można było za trafienie w balonik dostać pluszowego misia. W moim przypadku to był zdalnie sterowany samochodzik. Obawiam się, że wciąż tam jest.

Starzec się roześmiał.

– Te rzeczy są tylko po to, żeby cię... jak to się mówi?

– Wystrychnąć na dudka?

– O właśnie.

Sibylle odstawiła okazały kubek z mrożoną herbatą na stół, który czasy świetności dawno miał za sobą.

– Bardzo dziękuję, że przyjął nas pan bez zapowiedzi, panie Egger – powiedziała.

– Po prostu Wolfie. Tak mówiła do mnie twoja matka, biedna dziewczyna, i tak samo mówiła moja Margherita. Bardzo lubiła Erikę, powiedzieli ci?

– Ciotka Helga zawsze opowiadała, że pani Margherita była wyjątkową kobietą.

– *Genau*. Miała dobre serce. Jak twoja matka. Naprawdę było mi przykro, kiedy się dowiedziałem, co zrobiła. Wszyscy bardzo lubili Erikę.

– A Elisę?

Wolfie zmrużył oczy.

– Jesteście tu z jej powodu?

– Także.

Starzec wstał z fotela, podszedł do okna i poprawił zasłonki.

– To ja ją znalazłem, ale to już wiecie.

– W dwa tysiące piątym?

Wolfe wrócił na fotel. Założył nogę na nogę. Gdyby nie ciężkie górskie buty i twarz poorana bruzdami po latach życia w surowym klimacie, mógłby uchodzić za emerytowanego profesora.

– Tam był mały namiot. W środku i dookoła mnóstwo butelek. Wódka. Szedłem moją zwykłą trasą i to te przekłete butelki najpierw zobaczyłem. Butelki i namiot. Był żółty i otwarty. W środku znalazłem trochę trawki. Nie rób takich oczu, Sibylle, doskonale wiesz, o jaką trawkę mi chodzi.

– W gazetach o tym nie pisano.

– A dlaczego miałoby o tym pisać, dziecko?

– Też prawda.

Z kieszonki koszuli w zielono-niebieską kratę Wolfe wyciągnął przygniecionego papierosa i zapalił go, używając mikroskopijnej zapalniczki.

– Elisa nie była już tą porządną dziewczyną co kiedyś. Przykro mi to mówić, ale taka jest prawda. Jeśli chcecie kłamstw, jak mawiała moja biedna Margherita, to najbliższy kościół jest w Campo Tures. Ale Elisa pomysł miała genialny. „Turystyka z plecakiem”, tak go nazwała. Założyła agencję.

Staruszek wskazał na słońcę.

– Nie smakuje wam?

Sib i Tony nałożyli sobie po plasterku. Freddy popatrzył błagalnie na oboje, ale otrzymał tylko pieszczotę. Psiakom takim jak on słońcina była *verboten*.

– Ludzie płacili za wycieczki z przewodnikiem – kontynuował zadowolony Wolfe – srali w krzakach i jedli żarcie przypalone na ognisku. Ale nie w Kreuzwircie. Dzięki Bogu i rezerwatowi Perkmana w dolinie nie ma żadnych turystów. To był dobry pomysł. Odkąd zrobiła się modna ta historia z powrotem do natury, ludzie są gotowi zapłacić sporo grosza, żeby, jak to się mówi, coś przeżyć. Doświadczyć gór. Nie tak mówicie wy, młodzi?

Patrzył na Tony'ego.

– Niektórzy tak robią.

– Elisa piła. Trochę za dużo. Dlatego rzuciła studia. Byłaby pierwszą magister w rodzinie. Ale rzuciła studia po paru semestrach. Czy trymestrach, nie wiem, jak to tam działa. Margherita mawiała, że ja jestem magistrem od głupot i suszonego gówna.

Charczący śmiech.

– Jak Elisa umarła?

– A jak myślisz, młodzieńcze? Była pijana. Poślizgnęła się. Uderzyła się w głowę i *kaputt*.

Wolfie zgasił papierosa. Tony wykorzystał moment i pokazał mu kartkę, na której naszkicował uśmiech kolibra.

– Widział pan coś takiego? Wtedy, w dwa tysiące piątym?

– Uśmiech kolibra? A dlaczego miałbym go zobaczyć tam, gdzie zginęła dziewczyna?

– Pan wie, co to jest uśmiech kolibra?

– Wszyscy wiedzieli. Poza tym już wam mówiłem, Margherita przepadała za Eriką. I wiedziała, że dzieci nie robią nic, tylko jedzą i srają. O ile w moich czasach przynajmniej srało się za darmo, to teraz, przy tych jednorazowych pieluchach, nawet kupa kosztuje. Więc w zamian za parę lirów dawała sobie postawić karty. Musiałbyś je widzieć! Aż miło było posłuchać, jak Margherita się śmieje. Mówiła, że Erika naprawdę potrafi czytać w przyszłości. – Wolfie bębnił palcami po oparciu fotela. – Ale raka jej nie przepowiedziała. Może jeszcze by żyła, a ja nie marnowałbym czasu na strzelanie do lisów. I... – Nagle jakby przypomniał sobie coś niezwykle istotnego, wskazał na Freddy'ego skulonego u stóp Tony'ego. – A on ma smycz?

– Oczywiście.

– To trzymaj go zawsze krótko tu, w dolinie. Lisy.

– Od kiedy to lisy atakują psy?

– Wodowstręt. Kreuzwirt jest jedyną okolicą w całej Górnej Adydze, gdzie choroba jest endemiczna. Możesz rozrzucić przynęty ze szczepionką dla lisów i nietoperzy, bo to nietoperze przenoszą wirusa, ale to nic nie daje. Wścieklizna wciąż tu jest. Widziałeś kiedyś wściekłe zwierzę?

– Nie.

– To nie jest ładny widok. I nigdy bym nie chciał zostać w jednym pokoju z bernardynem cierpiącym na wodowstręt.

– Freddy muchy by nie skrzywdził.

– Wścieklizna robi ze zwierzętami dziwne rzeczy. Jeśli zachorują, trzeba je zabić. Tego samego nie da się zrobić z ludźmi, niestety. Ich trzeba leczyć. Nie, nie jestem cyniczny. Leczenie nie jest miłe. Boli. I nieliczni je przeżywają. Nieliczni, ale są tacy. Na twoje szczęście, Sibylle.

– Nigdy nie ugryzł mnie żaden lis – powiedziała Sib. – Nie pamiętam. Albo...

– Mówiłem o twojej matce.

– O Erice?

– Twoja matka jako dziecko była... tak, była trochę dziwna. Ale – dodał pospiesznie – nie ze swojej winy. Twoja babka, Helene, ona to miała nie całkiem dobrze z głową. Helga ci mówiła, prawda?

Ciotka Helga zwierzyła się Sibylle, że jej siostra cierpiała na przykrą chorobę, która uniemożliwiała jej zajmowanie się sobą i córką. Miejscowi orzekli po prostu, że jej babka była zwyczajną wariatką. Tak, Sibylle wiedziała.

Wolfe zapalił kolejnego papierosa.

– Kiedy Erika była mała, uwielbiała chodzić sama po lasach. Wolą to niż siedzenie w domu, tak myślę. Spotykałem ją często podczas moich spacerów. Śliczna mała blondynka, która mogła stać godzinami i rozmawiać z rudzikiem albo kuną.

– Rozmawiać?

Wolfe się uśmiechnął.

– Ćwierkała. Albo gwizdała do świstaków. Albo do kań. Mówiła, że umie rozmawiać ze zwierzętami i że one jej odpowiadają. Jak jakaś rusałka, rozumiesz? Tylko że zwierzęta są zwierzętami, nie zabawkami.

Rozdział XVI

1

Dziewczynka skuliła się pod pniem sosny. Wyszła do lasu, bo matka zaczęła tłuc talerze. „Tak jest najpraktyczniej!”, wyjaśniła bardzo z siebie zadowolona i Erika zrozumiała, że czas się ulotnić.

Płakała. Rana wciąż ją piekła, ale to nie z jej powodu Erika płakała. Nie płakała dlatego, że rano wstała z bólem głowy, od którego szczękały jej zęby, ani nawet dlatego, że mama tłukła talerze i wieczorem będą musiały jeść wprost z garnków. Erika płakała, bo była spragniona.

Straszliwie spragniona.

Ale nie mogła pić. Kiedy próbowała zbliżyć usta do wody, ogarniały ją straszliwe mdłości.

Poza tym było jej przykro z powodu Pani Lisicy. Zawsze była dla niej miła. A jednak dwa tygodnie wcześniej Pani Lisica ją ugryzła.

To dlatego Erika płakała, bardziej nawet niż z pragnienia, bo od tamtej pory nie widziała Pani Lisicy, a chciała ją przeprosić. Zwierzęta były dobre. Jeśli gryzły człowieka albo mu groziły, to dlatego, że to on coś zrobił.

Nigdy na odwrót.

– Maleńka?

Wolfie. Zazwyczaj miło było spotkać się ze strażnikiem leśnym. Lubił żartować i zawsze częstował ją gumą balonową. Jedną z tych, co szczypały w język.

– Co się dzieje?

– Niedobrze z mamą.

Wolfie zapalił papierosa. Kiedy Wolfie palił, to był znak, że chce porozmawiać. Ale Erika pragnęła zostać sama.

– A ty?

– Chyba się przeziębiam.

– Mogę zobaczyć tę ranę na ramieniu?

– To nic takiego.

– Ale nie masz nic przeciwko, jeśli tylko rzucę okiem, prawda?

Erika pokazała ślad po zębach Pani Lisicy.

Wolfie zbladł. Odchrząknął i rzucił papierosa na ziemię. To zaniepokoiło Erikę. Wolfie nigdy nie wyrzucał wypalonego do połowy papierosa, a już tym bardziej nie zostawiałby w lesie żarzącego się niedopałka. Zawsze gasił go na ziemi obcasem, a potem wkładał do kieszonki koszuli.

– Boli cię głowa, maleńka?

– Trochę.

– Ugryzł cię lis?

Erika nie odpowiedziała.

Wolfe zdjął strzelbę z ramienia i przykucnął przed nią.

– Możesz mi powiedzieć.

– To była moja wina. – Erika z trudem powstrzymywała łzy. – Nie strzelaj do Pani Lisicy, proszę. Ona nie jest zła.

– Nie zrobię tego, obiecuję. Ale powiedz, kiedy cię ugryzła? Wczoraj?

– Dwa tygodnie temu.

Wolfe wziął do ręki manierkę i potrząsnął. Chlupot wody sprawił, że dziewczynka zadrżała.

– Gorąco dzisiaj, prawda? – zapytał strażnik. – Jak jest gorąco, to mnie bardzo chce się pić. Chce ci się pić, Erika?

Wolfe przechylił manierkę i pozwolił, by wypłynął z niej strumyczek wody. Przejrzystej, jasnej. Świeżej.

Dziewczynka przewróciła oczami.

2

– Zaczęła drzeć. Chwyciły ją skurcze. Próbowала mnie podrapać. Wyglądała jak opętana. Schowałem manierkę i dopiero wtedy się uspokoiła. Wziąłem ją na barana, pobiegłem do miasteczka, wsadziłem do jeepa i zawiozłem do Bressanone. Do szpitala. Gdyby tylko Helene była uważniejsza albo gdyby Erika wcześniej powiedziała, że ukąsił ją lis. Tylko że ona...

– Postrzelona Erika wbiła sobie do głowy, że to jej wina – skomentowała kwaśno Sib.

– To było w dziewięćdziesiątym drugim. Twoja matka była dzieckiem. Samotnym dzieckiem umysłowo chorej matki. Nie mówiłabyś tak, gdybyś wiedziała, co ona musiała znieść. Protokół Milwaukee. Wicie, co to jest?

Tony i Sibyllę pokręcili głowami.

– Spora dawka leków. Kiedy dotarłem na pogotowie, lekarze rwali sobie włosy z głowy. Od dekad się nie zdarzyło, by ktoś przyszedł ze wścieklizną w tak zaawansowanym stadium. I nietrudno sobie wyobrazić dlaczego.

– Gdyby mnie ugryzł wściekły lis – wtrącił Tony – nie czekałbym dwa tygodnie z pójściem do szpitala.

– W takim wypadku wystarczyłaby szczepionka. Cztery dawki. Bolesne, ale ratują ci życie. Protokół Milwaukee jest straszny. Lekarz powiedział, że jest tylko jeden procent prawdopodobieństwa, że Erika wyzdrowieje. Margherita wybuchła płaczem i ja też...

– A Helene? – zapytała Sib.

– Helene nie poszła nawet odwiedzić własnej córki. Ani razu. Lekarze wezwali pomoc społeczną, a ta pojechała do twojej babki. Zastali ją na próbie podpalenia zasłon. Zamknęli ją w szpitalu psychiatrycznym, gdzie umarła parę lat później, a Erikę oddali na wychowanie twojej ciotce Heldze.

– Wiem.

– Tego dnia, kiedy Erika poszła do szpitala, modliliśmy się. Modliłem się ja i modliła się Margherita, która nigdy nie chodziła do kościoła i miała dość szczególne relacje z tym, co na górze. Jeden procent, Sibylle. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewności, że nie przyszlabyś na świat. Ale Erika była silna. Tak samo jak twoja ciotka Helga. Wiejska stara panna dostała córkę bez rozkoszy porodu. Tak mi powiedziała, kiedy sąd powierzył jej Erikę. Twarda była ta Helga. Tylko dwa razy widziałem, jak płacze. Pierwszy raz, kiedy lekarze jej powiedzieli, że Erice nie grozi już niebezpieczeństwo, a drugi, kiedy przywieźli ją do domu w dziewięćdziesiątym ósmym.

– W dziewięćdziesiątym ósmym? – Tony nie zrozumiał. – Czy to znaczy, że Erika spędziła w szpitalu sześć lat?

Sibylle spojrzała na Wolfiego z taką nienawiścią w oczach, że Tony pomyślał, że zaraz się na niego rzuci.

– W dziewięćdziesiątym ósmym – powiedziała – Erika uciekła z domu. Kiedy wróciła, była w ciąży. Nigdy nie powiedziała, kim był ojciec. I wróciła sama. Nie została przywieziona. Tak mi zawsze mówili.

– Rzeczy nie zawsze tak się mają, jak ludzie mówią. Jesteś dorosła, Sibylle, powinnaś o tym wiedzieć.

– Kto?

Wolfie opuścił głowę.

– Kto ją znalazł? Gdzie?

Wolfie wstał i otworzył drzwi.

– Nie mnie powinnaś o to pytać, dziecko. A ty trzymaj bernardyna na smyczy. Dla zwierząt nie ma protokołu Milwaukee.

Rozdział XVII

1

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

„I dlaczego, u diabła, nikt o tym nie mówił w dziewięćdziesiątym dziewiątym?”.

Zamiast odpowiedzi Sib warknęła:

– Nie potrafisz przyspieszyć tej karety?

Tylko prędkość potrafiła ją uspokoić, a Sibyllie nie chciała pokazywać się ciotce Heldze w takim stanie. Gniewna, więcej – rozwścieczona. Mogła powiedzieć rzeczy, których by potem żałowała. Ale pisarzowi się nie chciało. Mustang nie przekraczał czterdziestu na godzinę.

– Odpowiedz na pytanie – powiedział.

Sibyllie zagryzła wargi.

– Myślałam, że wiesz. Myślałam, że to nieistotne.

– Twoja matka znika rok przed śmiercią, a ty myślisz, że to nieistotne?

– Mustang z sześćdziesiątego ósmego ma trzysta koni. Koni, nie żółwi. Osem cylindrów, silnik widlasty! – krzyknęła Sibyllie. – A ty nie wykorzystujesz nawet połowy.

Tony zrozumiał. Umilkł. Ale nie przyspieszył.

2

Wolfe musiał złapać za telefon, kiedy tylko Tony i Sib od niego wyjechali. Kiedy dotarli do domu ciotki Helgi z obowiązkowymi czerwonymi pelargoniami w oknach i małym prostokątem zadbanej trawy, już na nich czekała. Był z nią facet, którego Tony nigdy dotąd nie widział. Wysoki. Wygolony na łyso. Żółty kolczyk w uchu upodabniał go do pirata.

Sibyllie wysiadła z mustanga, zanim jeszcze Tony całkiem stanął na ziemi.

– Musimy porozmawiać. Zaraz.

Weszła do domu.

Ciotka Helga, duża kobieta o kręconych włosach, podążyła za nią. Facet przypominający pirata poczekał, aż Tony podejdzie, by uścisnąć mu dłoń.

– Oskar.

– Tony.

Właściciel Black Hat był o jakieś dziesięć lat starszy od Tony’ego i sądząc po bicepsach, gdyby chciał, mógłby rozłożyć go na łopatki, nawet mając drugą rękę przywiązaną do pleców. „A raczej mógłby spróbować”, pomyślał Tony. Na moment między mężczyznami pojawiło się napięcie. Potem Oskar usunął się z drogi i kiedy Tony wszedł do kuchni, w której dorastała

zarówno Erika, jak i jej córka (na ścianach wisiały dziecinne rysunki obu dziewczynek), Sibylle zdążyła już zasypać Helgę pytaniami.

– Miej szacunek dla swojej ciotki – uniósł się Oskar stojący za plecami Tony’ego.

– Obydwoje. Wciąż mnie okłamywaliście – oskarżyła ich Sibylle. – Przez lata.

– Takie rzeczy opowiadasz swojemu przyjacielowi? Że jesteśmy kłamcami?

Przyjacielowi. Klasyczna prowokacja.

Tony nie połknął haczyka.

– Gdybyś miał mi coś do powiedzenia, zrobiłbyś to na zewnątrz. Nie na oczach pań, ma się rozumieć. Więc tak naprawdę nie masz ochoty zgrywać twardziela, chcesz tylko zyskać na czasie. A skoro tak, to stul pysk.

Sibylle szeroko otworzyła oczy. Takiego Tony’ego jeszcze nie słyszała.

Usiadł obok niej.

Oskar zwrócił się do dziewczyny.

– Tak naprawdę to ja jestem ci winien wyjaśnienie. Ale najpierw chcę, żebyś coś wiedziała.

– Oszczędź mi gadki, że zrobiliście to dla mojego dobra, okej?

Freddy zaskomlał.

Kiedy Oskar zaczął mówić, ciotka Helga napełniła miskę wodą i postawiła ją przed nosem bernardyna. Tony’emu nie podała nic. To też klasyka.

Rozdział XVIII

W lodowato zimnym powietrzu unosił się zapach sosnowych igieł. I piwa. Zwłaszcza piwa. Bardziej dyskretny i kwaśny był smród spalin. W tle odór uryny.

Oskar zaparkował samochód, białego volkswagena, zostawiając włączone światła awaryjne. Nie było takiej potrzeby, parking był niemal całkiem pusty, ale zrobił to, by samemu sobie przypomnieć, że zatrzymał się tylko na hamburgera i piwo.

Rozprostował plecy i poszedł w stronę niewielkiego baraku na środku placu, jednego z tych, które stoją na poboczu większości dróg krajowych. *Brattaro*, jak mówią na nie (i na ich właścicieli) w Górnej Adydze. Etymologia banalna, ale wymowna. Co robi *brattaro*? Serwuje *bratwurst*, czyli hot doga, wraz z całą resztą rzeczy szkodzących zdrowiu. Podlewając go hektolitrami piwa Forst. Stąd nazwa.

Oskar usiadł na ławie przed barem, choć temperatura płyty kuchennej była niemal nie do wytrzymania. Zamówił hamburgera i frytki z keczupem i tabasco.

Zjadł pół porcji, kiedy usłyszał znajomy głos. Zazwyczaj Oskar nie wściubiał nosa w nie swoje sprawy, a *brattari* tego świata na każdej szerokości geograficznej były oazami spokoju i miłości, gdzie każdy miał święte prawo zajmować się swoimi sprawami. Tylko że głos należał do Eriki.

A Erika uciekła z domu kilka miesięcy wcześniej. Pięć, mniej więcej. I ani Helga, ani karabinierzy nie mogli jej znaleźć. W Kreuzwircie zaczęto mówić, że się zabiła. Oskar był innego zdania. Znał Erikę od dziecka, bardzo ją lubił, zatrudnił ją na część etatu w Black Hat i wiedział, że nigdy by nie popełniła samobójstwa. Miotła się, owszem. Jak wszyscy w jej wieku. Mówili, że chcą odejść, kreślili wielkie projekty, ale w końcu wielkie projekty zderzały się z rzeczywistością. W Kreuzwircie dobrze się żyło. Wielkie projekty były dla młodzieży z miasta, nie dla nich.

Oskar zostawił hamburgera na plastikowym talerzyku, wytarł dłonie i podszedł do niebieskiego fiata panda. Dziewczyna nachylona nad oknem rozmawiała z kimś w środku.

– Erika?

Odwróciła się do niego, zaskoczona. Panda natychmiast odjechała.

– Co tu robisz, Oskar?

Wydawała się zmęczona.

Miała podkrążone oczy i wyglądała, jakby nie jadła porządnie od wielu dni. Choć Oskar miał ochotę ją uściskać, powstrzymał się.

Czy to, co widział na jej rękach, to były sińce?

- Twoja ciotka się zamartwia.
- Spuściła wzrok.
- Ja też – dodał.
- Nie odpowiedziała.
- Szukali cię przy urwiskach. Z psami.
- Nie umarłam.
- Mogłaś napisać.
- A co by to dało?
- Chcesz wrócić do domu?
- Ja... – zaczęła – nie czuję się za dobrze.

Dopiero wtedy Oskar ją przytulił. Zawiózł do ciotki Helgi. A ciotka Helga zawiadomiła karabinierów. Następnego ranka Erika obudziła się i zwymiotowała. Ciotka Helga od razu zrozumiała dlaczego.

„Miejmy nadzieję, że dziecko będzie zdrowe”.

To właśnie powiedziała Oskarowi przez telefon, prosząc go, żeby podwiózł je do szpitala.

Sińce to był drobiazg. Erika była lekko odwodniona. Poza tym zdrowa jak ryba.

I tak – Pomyłona Erika była w ciąży.

Rozdział XIX

– Który *brattaro*? – zapytała Sibylle. – Ten na sześć dwa jeden? Na wariancie K?

– W tamtych czasach numeracja była inna.

Zły uśmiech pojawił się na twarzy dziewczyny.

– Czy moja matka była dziwką?

Oskar splótł żylaste ramiona na piersi. Ciotka Helga mięła fartuch. Sib uderzyła dłonią w stół.

– Narkomanką? Jednym i drugim?

– Uspokój się, Sibylle – szepnął Tony – proszę cię.

Dziewczyna odwróciła się i wycelowała w niego palec.

– Nie waż się. Nawet nie próbuj.

– Ty taka nie jesteś – odpowiedział Tony spokojnie. – Co byś zrobiła na ich miejscu?

– Powiedziałabym prawdę.

– Prawda jest taka, że nikt jej nie zna – odpowiedziała ciotka Helga. – Czy w tamtym miejscu były prostytutki? Tak. Byli dilerzy? Wszyscy to wiedzą. Ale czy możemy być pewni, że Erika się prostytuowała? Sama nigdy nic nie powiedziała.

Sibylle parsknęła ze wzgardą.

– A wy nie pytaliście. Czy nie tak to działa w Kreuzwircie?

– Miała pieniądze – wyjaśnił Oskar. – Niezbyt wiele, ale wystarczająco, by przeżyć jakiś czas. Nie było jej tylko kilka miesięcy.

– Sto sześćdziesiąt trzy dni – doprecyzowała ciotka Helga. – Nie masz pojęcia, co przeżywaliśmy.

– Znajdź sposób, żebym miała.

– Bo jak nie, to co? – uniósł się Oskar. – Też uciekniesz z domu? Zabierze cię stąd ten...

Walscher.

– ...facet? – dokończył Oskar.

– Wcześniej też uciekała? – Sib nie dało się powstrzymać. – Prostytuowała się? Tarot był przykrywką? A pieniądze? Skąd miała pieniądze?

– Pensja kelnerki. Napiwki z Black Hat. Czytała z kart. Ludzie jej...

– Dawali jałmużnę?

– Jesteś niesprawiedliwa! – zawołał Oskar. – Wszyscy kochali Erikę.

– Nie macie nic przeciwko, że zacznę w to wątpić?

– Czy cię okłamaliśmy? – powiedziała ciotka Helga. – Tak. Zrobiliśmy to dla ciebie. Dla Eriki. I gdybym miała to powtórzyć, zrobiłabym tak samo

nawet tysiąc razy. Bóg mi świadkiem. Erika by tego chciała. Kochała cię, nawet nie wiesz, jak bardzo. Zrobiłaby wszystko, żeby cię chronić.

– Masz pojęcie, jak ja nienawidzę tej suki?

Ciotka Helga zbladła. To było jak uderzenie w twarz.

Nawet Oskar wyglądał, jakby dostał policzek.

– Ona – powtórzyła z oburzeniem Helga – była twoją *matką*.

– Ja nie mam matki – wycedziła Sibylle. – Nigdy jej nie miałam. Ja mam tylko kłamstwa. Stertę kłamstw. Wielką górę dymiącego gówna. Wszyscy kochali Erikę? Wszyscy jej sprzyjali? Piękna śpiewka. A jednak Erika uciekła z domu. Erika się zabiła. A może i to jest kłamstwem?

– Co ty mówisz? – zapytał Oskar.

– Mówię, że ludzie, którzy są kochani, się nie zabijają. Nie uciekają. I nie proszą o jałmużnę.

– Zabraniam ci! – wybuchła Helga. – Zabraniam ci mówić takie rzeczy w mojej obecności! Erika nigdy nie prosiła o jałmużnę. Nikogo. To ludzie chcieli, żeby im stawiała tarota. Ja nienawidziłam tych przeklętych kart. Ale to była jedyna rzecz, której moja niezrównoważona siostra potrafiła ją nauczyć, i Erika się z nimi nie rozstawiała. Chcesz wiedzieć, co znaczyło ją wychowywać? Kiedy mi ją powierzono, spała na podłodze. Brała pościel i kładła się pod łóżkiem. Robiła sobie kryjówkę, tak jak zwierzęta. Parę miesięcy zajęło mi przekonanie jej, żeby spała na materacu. Okno miała otwarte nawet w środku zimy. A w szkole... – Helga zapadła się w siebie. – Miała niewielu przyjaciół. Trudno było się do niej zbliżyć.

– To już słyszałam. Postrzelona Erika. Erika Cię Porwie.

– Głupstwa. Zwyczajne głupstwa.

– Ja wyrosłam w samym środku tego, co ty nazywasz głupstwami.

– To tylko złośliwości.

– Złośliwości? W takim przyjaznym miejscu jak Kreuzwirt? Naprawdę?

Oskar położył dłoń na ramieniu Sibylle.

– Ja to rozumiem. Masz pytania. I słusznie. Ale prawda jest taka, że Erika zabrała wszystkie odpowiedzi ze sobą, kiedy postanowiła się zabić.

Sibylle strząsnęła z siebie jego dłoń i zerwała się z miejsca.

– Ona się nie zabiła. Ona została zamordowana!

Helga się przeżegnała.

Sibylle spuściła głowę, włosy zasłoniły jej twarz. Ale nie płakała.

Tony dostrzegł jej spojrzenie. Ta dziewczyna była determinacją w stanie czystym. Kiedy on miał dwadzieścia lat, nie byłby w stanie wytrzymać takiego napięcia. Spróbował wyobrazić sobie siebie w jej sytuacji i przeszedł go dreszcz. On wpadłby w szal. Tymczasem Sib nie tylko się trzymała, ale też miała dość zimnej krwi, by zmusić tych dwoje do wejścia na pole minowe. Ani kobieta, ani łysol nie zdawali sobie z tego sprawy, ale Sibylle precyzyjnie ich przesłuchiwała.

– To bzdura. – Oskar wybuchnął śmiechem tyleż fałszywym, co głośnym.

– I kto miałby ją zabić? – dodała ciotka Helga. – A więc to sobie wbiłaś do głowy? Jezu Chryste. Wszyscy...

– ...kochali Erikę. Jasne. Na pewno. Także ci, którzy rysują uśmiech kolibra na murach w Kreuzwircie? Ci, którzy bawią się w widmo?

– To sposób na odreagowanie – odparł Oskar. – Dziecinny. Straszny. Ale to sposób na radzenie sobie z traumą. Ludzie śmieją się z nieszczęść, żeby nie płakać.

– Ludzie śmieją się z tego, czego się boją – poprawił go Tony ponurym tonem.

– Pieprzenie.

Sibylle popatrzyła mu prosto w oczy.

– Naprawdę wierzysz w to, co mówisz?

– Samobójstwo Eriki zmieniło wiele rzeczy. To wciąż otwarta rana.

– Tak jak Elisa?

Oskar spojrzał na nią twardo.

– I jak Gabriel. O nim też wiesz, prawda?

– Wiem – skłamała Sibylle. – Wiem, jak skończył.

Tony zanotował w pamięci, by przenigdy nie grać z nią w pokera.

– To był delikatny chłopak. Trafił w niewłaściwe towarzystwo. Ostatni raz, kiedy go widziałem...

– Oskar...

– Nie, Helga, Sibylle sama by do tego doszła. Powiedzieliśmy ci, że Gabriel nie przyszedł na pogrzeb twojej matki. To nie było kłamstwo. Ale widziałem go na pogrzebie Elisy. W dwa tysiące piątym.

– A więc to nieprawda, że Gabriel nie postawił więcej stopy w Kreuzwircie.

– Trzymał się na uboczu. Nosił brodę i długie włosy. Miał podkrążone oczy. I nerwowe tiki. Ciągle się rozglądał. Jak paranoik.

– Albo narkoman.

– Tak.

– Elisa nie żyje. Gabriel się uzależnił. Karin...

– Karin ma dużą firmę. Musiała szybko wydorosnąć.

– A Martin?

– Daj spokój Martinowi. Biedny chłopak.

– On też znikł z widoku.

– Jest chory.

Sibylle zmieniła temat.

– Dwa tysiące piątym. Pogrzeb Elisy. Gabriel.

Oskar pokręcił głową.

– Chciałem do niego podejść, przywitać się, zapytać o rodziców. Ale jak tylko zobaczył, że idę w jego stronę, wskoczył do vana i odjechał. Już go więcej nie widziałem.

„Ups – pomyślał Tony. – Oskar właśnie wdepnął w wielkie gówno”.

Spojrzał prosto w oczy właścicielowi Black Hat.

– Jakiego vana?

– Nie pamiętam.

– Narkomani nie mają vanów. Narkomani pracują dla kogoś, kto ma vana. Co nam powiesz o tym vanie, Oskar? Jakiego był koloru? Miał jakiś napis? Coś typu: Hydraulicy Carcano albo Szambonurek Tony?

– Daj spokój. Daj spokój.

– A to czemu? Skoro naprawdę nie ma tu nic do ukrycia...

– Nic a nic...

– ...jeśli chodzi o Erikę. Dlaczego więc przeszkadzasz Sibylle, by zamieniła parę słów z jednym z przyjaciół jej matki?

Do utarczki włączyła się Helga.

– Próbowaliście rozmawiać z Karin?

– Van – powiedziała Sib, zwracając się do Oskara. – Opowiedz o vanie.

Rozdział XX

1

Tony próbował nie myśleć o tym, co miał zamiar zrobić. Była jedenasta wieczorem, środa po „wtorku, kiedy to narobiłem sobie w Kreuzwircie przyjaciół”, jak ochrzcił ten dzień. Pełne nienawiści spojrzenie, którym pożegnał go Oskar, było bezsłowną obietnicą: „Prędzej czy później się spotkamy”, której nie dałoby się wyrazić jaśniej.

Ale to było wczoraj.

Dzisiaj komary zżerały go żywcem, a Tony przekroczył już próg zaniepokojenia, choć nie mógł zrobić nic poza spoglądaniem na zegarek i czekaniem.

To się nazywa wolna wola: miało się wydarzyć coś niedobrego, ponieważ on sprawi, że się wydarzy. I robi to, ponieważ takie są reguły gry.

Właśnie dlatego zostawił Freddy'ego w Bolzano.

Ostatnie słowa, które ciotka Helga wypowiedziała do Sibylle, brzmiały: „Polujesz na widma, moje dziecko”. Tony myślał o tym przez całą noc.

Flannery O'Connor, autorka, którą Tony uwielbiał, napisała, że widma potrafią być okrutne i pouczające. Pasowało jak ulał do tego, co przeżywała Sibylle. Widmo jej matki mogło zniszczyć jej życie.

Tony już raz widział, jak to działa. Jego ojciec był człowiekiem dręczonym przez widma. Widmo ubóstwa, od którego uciekł, kiedy wyemigrował do Górnej Adygi, sprawiło, że stał się jeszcze bardziej nieszczęśliwy. Widmo rasizmu, które tu na niego czekało, sprawiło, że stał się rasistą najgorszego rodzaju. I było jeszcze widmo najbardziej przerażające. Widmo przemocy.

Czy to była owa pouczająca przemoc, o której mówiła Flannery O'Connor, pytał sam siebie Tony, popijając ciepłe już piwo. Może tak, może nie. Co on mógł wiedzieć o myślach wielkich pisarzy. On był tylko Sophie Kinsellą w...

– Tony? Carcano? *Pocałunek o północy*?

Podniósł wzrok znad kufla.

Uśmiechnął się.

2

Błękitne logo na boku białego fiata ducato, którym Gabriel przyjechał na pogrzeb Elisy, cieszyło się niejaką sławą przynajmniej w pewnych środowiskach: pralnie przemysłowe Baldini.

Przed południem w środę po „wtorku, kiedy to Tony narobił sobie w Kreuzwircie przyjaciół”, Sibylle miała zmianę w lokalu i pisarz sam odwiedził siedzibę firmy w Merano, mieszczącą się w wielkim hangarze przy drodze prowadzącej do Sinigo.

Pan Baldini, mężczyzna około sześćdziesięcioletni o godnych hokeisty barach, które ledwie mieściły się w koszuli w prążki, przywitał go uściskiem dłoni i pełnym podziwu komentarzem na temat mustanga, po czym zaprosił do biura.

– Z tego, co zrozumiałem, szuka pan Gabriela Planka, tak?

– Dowiedziałem się, że w dwa tysiące piątym pracował dla pana.

– I czemu go pan szuka?

– Sprawy prywatne – brzmiała odpowiedź, którą Tony sobie przygotował, kiedy dojeżdżał do siedziby pralni.

– Pieniądze?

– Rodzina. Jeden z jego wujów umiera. Był bardzo przywiązany do tego chłopaka.

– Przykro mi. Z powodu choroby, ma się rozumieć. Ale serio? – zapytał Baldini. – Był przywiązany do tego gnoja?

– Nigdy się nie ożenił i nie miał dzieci. Kiedy Gabriel był dzieckiem, często się nim zajmował – wyjaśnił Tony. – Później stracili kontakt. Ja jestem przyjacielem rodziny. To bardzo porządny człowiek. Chciałby go zobaczyć po raz ostatni. Wie pan, jak to jest w takich wypadkach.

– Może się rozczarować. Gabriel nie jest już dzieckiem. A przynajmniej nie *ty* dzieckiem.

– Wie pan, gdzie go mogę znaleźć?

Baldini obrócił fotel, by spojrzeć przez jedyne okno w biurze.

Podwórko przed firmą było pełne furgonetek i personelu popychającego pełne wózki. Choć budynek był wygłuszony, czuło się wyraźnie drżenie kolosalnych urządzeń w jego wnętrzu. Komin z wymalowanym logo pralni wyrzucał biały dym w kobaltowe niebo.

– W piekle, jeśli miałbym zgadywać. I naprawdę nie dlatego, bym nie był osobą cierpliwą, panie Carcano. Kradł. Gabriel zajmował się transportem pościeli i innych rzeczy z hoteli naszych klientów do firmy i z powrotem. To był dwa tysiące trzeci, dwa tysiące czwarty. W dwa tysiące czwartym został złapany, jak szperał po szufladach gości. Błagał mnie, bym go nie zwalniał, mówił, że ma zły czas, a ponieważ to był pierwszy raz, załatwiłem sprawę. Ale durny nie jestem, okej?

– Za pierwszym razem ty jesteś złodziejem – wyrecytował Tony znane powiedzenie – za drugim ja jestem głupi.

Baldini kiwnął głową.

– Tak samo mówię i tak właśnie jest. Koniec z hotelami. Za wiele pokus. Przenoszę go do szpitali i restauracji. Co można ukraść w szpitalu? Cewniki i antybiotyki? Bez żartów. A w restauracji? Talerze i sztuce?

– Tymczasem on znów...

– Żeby tylko. Pewnego pięknego dnia okazuje się, że ten ćpun razem z jednym swoim kumplem używał *moich* furgonetek do *swoich* dostaw, wyobraża pan sobie? Za coś takiego można sporo czasu spędzić w więzieniu. A ja bym tam trafił razem z nimi.

– Gabriel był złodziejem, narkomanem i dilerem?

– Na dodatek agresywnym. Bił się z byle powodu. Łatwo puszczały mu nerwy.

– Zwolnił go pan w dwa tysiące piątym?

– W listopadzie. Rzucił się na mnie. – Na twarzy mężczyzny pojawił się lekki uśmiech. – No, powiedzmy, że próbował.

Tony podrapał się po brodzie.

– Wiem, że nadużywam pańskiego czasu, ale złożyłem obietnicę. Muszę znaleźć Gabriela.

Baldini pociągnął nosem. Zabębnił grubymi palcami po biurku.

– Niech mnie pan nie oszukuje, Carcano. Powiem szczerze: jest pan fatalnym aktorem. Ja wiem, kim pan jest. I nie interesuje pana Plank. To płotka. Pan chce dorwać tego drugiego, tego w kowbojskim kapeluszu. Jego współnika. Jest pan gliną, prawda?

– Nadal diluje?

Baldini spochmurniał.

– Ja nie rozmawiam o takich rzeczach.

– Ale wie pan, gdzie mogę go znaleźć?

Mężczyzna masował sobie szczękę pokaznym kciukiem i taksował go wzrokiem.

– Będę panu wdzięczny. I nie tylko ja.

Kiedy Baldini podał mu informacje, Tony osłupiał. Droga krajowa numer 621. Wariant K. Przyjaciół Gabriela w kowbojskim kapeluszu był właścicielem tego samego baru serwującego hamburgery i frytki, w którym Oskar spotkał Erikę w roku 1998. „Świat jest mały – powiedział do siebie Tony w drodze powrotnej do Bolzano – a Górna Adyga jeszcze mniejsza”.

Tony nie wierzył w przypadki. Nieśmiały kiedyś chłopak ze zdjęcia zrobionego polaroidem stawał się coraz bardziej interesujący i złowieszczy. Tylko trzeba było jakoś go namierzyć. Problem w tym, że dilerzy w kowbojskich kapeluszach zazwyczaj niechętnie udzielają informacji. A przynajmniej nie po dobroci. Takie są reguły gry, co nie?

3

Sibylle schowana w zaroślach wyzywała się od idiotek. Po raz stutysięczny.

Kiedy Tony zatelefonował do niej, by opowiedzieć, czego się dowiedział od faceta z pralni, oznajmiła, że może wziąć na siebie powybijanie zębów

kumplowi Gabriela. Od razu.

– Pozwól mi się tym zająć – prosił ją pisarz. – Poczekamy, aż nie będzie nikogo w pobliżu. Powiem mu, że jestem starym znajomym Gabriela, dam mu parę banknotów, może i kupię coś, czego nie ma w menu, by go przekonać, że nie jestem z policji, po prostu go uspokoję. Potem zadam kilka pytań. Zarabiam na życie wymyślaniem historii, zobaczysz, że wymyślę jakąś przekonującą. A ty w tym czasie mnie osłaniaj.

W tym momencie zdarzyła się rzecz przedziwna. Sibby Pończoszanka usłuchała rady.

„Ale Sibby Pończoszanka – pomyślała dziewczyna z komórką w dłoni i rojem komarów śliniących się do soczystych czerwonych ciałek jej krwi – popełniła piramidalny błąd”.

Plan Tony’ego miał poważne braki. Tony miał poważne braki. „Osłaniać go” oznaczało schować się wśród sosnowych gałęzi, wdychać smród spalin (oraz czegoś jeszcze mniej przyjemnego) i być gotową do zawiadomienia karabinierów, w razie gdyby...

„...to się nie zdarzy. Wiem, jak rozmawiać z pewnymi ludźmi. Z pewnością nie będę go pytał, czym się zajmuje, żeby dorobić do pensji, okej? Ale lepiej się zabezpieczyć. Ostrożności nigdy za wiele. Zaufaj mi, jestem z Szangaju”.

„A to znaczy, że co?”, zapytała zbita z tropu.

Tony posłał jej rozbijający uśmiech. Ale nie odpowiedział.

Jednak im dłużej się teraz nad tym zastanawiała, tym bardziej dochodziła do wniosku, że pod przykrywką pięknych słów, uspokajania i uśmiechu Tony przechwalał się jak Mister Macho. A to podnosiło ciśnienie Sibby Pończoszance.

Mister Macho był typem faceta, którego nienawidziła. To była pierwsza poważna przeszkoda w Teście Wuja Czy Nie Trafiłam Na..., któremu Sibylle poddawała mężczyzn, jeśli udało im się przejść Egzamin Pierwszego Wrażenia. Egzamin, który – Sib musiała to przyznać – Tony zdałby bez większych problemów. Pisarz przypominał jej aktora grającego główną rolę w jednym z jej ulubionych filmów, tego o byłym killerze, któremu walnięci Ruscy zabili psa, ostatnią pamiątkę po kobiecie jego życia, a on ich wszystkich pozabijał. Niezapomniane zdanie z tego filmu brzmiało: „Widziałem, jak zabił w barze trzech ludzi. Ołówkiem”.

Sibylle uwielbiała romantyczny kontekst, Sibby Pończoszanka – bójki i eksplozje. Ale...

Kiedy Sibby Pończoszanka patrzyła na to, co się działo przy stole Tony’ego, odczuła niepohamowane pragnienie, by użyć komórki, którą ścisnęła w spoczonej dłoni, zadzwonić do pisarza i wysłać go do wszystkich diabłów. Co on wyprawiał?

Flirtował sobie, jakby nigdy nic, kiedy z niej komary wysysały ostatnią krew?

– Czechy – powiedziała.

Najbardziej uderzający był uśmiech. Trochę zaskoczony, trochę nieśmiały. Choć o jej stroju można było powiedzieć wszystko, tylko nie to, że był nieśmiały (Polianna skomentowałaby, że dziewczyna mogłaby nie zadawać sobie trudu wkładania ubrań, skoro i tak...), to dziewczyna wyglądała naprawdę na zaskoczoną.

„No bo jakie mogło być prawdopodobieństwo, że spotka swego ulubionego pisarza przy jednym ze stolików w *brattaro* przy drodze krajowej 621-K? Takie samo jak to, że on spotka miłośniczkę swojej twórczości z egzemplarzem książki w torebce”, pomyślał Tony, nie mniej zaskoczony od dziewczyny (miała na imię Irena, skończyła dwadzieścia cztery lata i powiedziała, że jest turystką i trafiła tu przypadkowo, w co Tony ani przez sekundę nie wierzył, bo jej profesja była aż nazbyt oczywista).

Tony zawsze uważał, że jego najlepszą książką jest *Dwoje*, która w krótkim czasie wyniosła go na szczyty list sprzedaży, ale ulubioną powieścią Ireny był *Pocałunek o północy*. Poprosiła o autograf na swoim egzemplarzu.

– Bardzo mi pomogła, wiesz? – powiedziała.

– Pomogła?

– W nauce włoskiego.

Tony parsknął śmiechem.

– I nie zgadzam się z tym, co mówią. Sophie Kinsella jest inna. Frywolna. Mówi się „frywolna”, prawda?

– Wielu moich kolegów czułoby zazdrość, słysząc, jak władasz naszym językiem.

Irena zarumieniła się, zadowolona z komplementu.

– Ty nie jesteś taki. W zakończeniu twoich książek jest zawsze jakaś melancholia. Łagodny smutek. Ma sens to, co mówię?

– I nigdy nie nosiłem skórzanych portek, jeśli o to chodzi.

Dziewczyna roześmiała się, przechylając głowę, potem lekko dotknęła jego dłoni. Trwało to o kilka sekund za długo. Na szczęście po tej pieszczocie (bo nie był to przypadkowy kontakt, ani trochę) Irena odłożyła książkę do torebki, cmoknęła go parę centymetrów od policzka i na szczytach, które miała zamiast obcasów, poszła na parking.

Tony widział kątem oka, jak zbliża się do szarego nissana, który mignął do niej światłami, nachyla się do okna, rozmawia z kimś, śmieje się, obchodzi auto i wsiada z drugiej strony. A wcześniej macha dłonią w jego kierunku.

Nissan odjechał.

„Co za gówniany świat”.

Tony dopił to, co mu zostało w kuflu, i poczekał, aż poruszy się wskazówka zegarka. „Sześćdziesiąt sekund to za wiele na jedną minutę”, pomyślał.

Rozdział XXI

1

Już od dawna Hannes Berger nie czuł się takim ogierem jak kiedyś. Z tamtego okresu zachował wyłącznie dwie rzeczy: ogromne dziury w pamięci i kowbojski kapelusz, który kupił na koncercie George'a McAnthony'ego, wspomnienie czasów, kiedy jeszcze biznes go nie pożarł, a prochy były przyprawą nadającą smak głównemu daniu, czyli życiu, a nie na odwrót.

Po trzech przedawkowaniach i mnóstwie kłopotów z glinami Hannes zerwał z towarem. Albo prawie zerwał. Sprzedawał go, bo pieniądz to pieniądz, ale wciągał tylko od czasu do czasu, kiedy posuwał jedną z prostytutek, dla których jego kiosk był punktem zbornym. Hannes nie był już ogierem jak kiedyś. Co najwyżej mułem. Pokiereszowanym i potrzebującym wakacji.

Całkiem jak ten gość w głębi, prawie leżący na stole i z kuflem w dłoni. Drugim. Kto może się tak urznąć już drugim piwem?

Hannes zgasił światło.

– Hej, geniuszu!

Gość się nie poruszył.

Hannes zdjął fartuch zawiązany wokół pasa i rzucił go na brzeg zlewu. Gderając pod nosem, podszedł do gościa i oparłszy się prawą dłonią o tłusty blat stołu, nachylił się i potrząsnął go lewą. Energicznie.

– Obudź się, geniuszu.

Geniusz nie był ani trochę pijany. Geniusz nie spał. Geniusz dał mu doświadczyć czegoś, co niegdysiejszy ogier w kowbojskim kapeluszu dobrze znał, ale co w przeciwieństwie do pewnych substancji nie wzbudzało w nim nawet cienia nostalgii.

Dłoń oparta o stół stała się oślepiającą eksplozją bólu.

2

Reguła z Szangaju: jeśli nie możesz ich pokonać, zwiewaj. Jeśli nie możesz zwiać, uderz pierwszy i uderz mocno. Zadaj ból i pokaż, że sam nie boisz się bólu.

W tym konkretnym przypadku – użyj kufła po piwie do roztrzaskania dłoni. Dłonie przeistoczyły małpę w człowieka. Dłonie chwytają, konstruują narzędzia, wyginają materię, rozszczepiają atom i cieszą się skutkiem. Mogą to robić, bo są wrażliwe. Skuteczne. Krótko mówiąc, mają miliardy

końcówek nerwowych. Uderz w dłoń. Uderz mocno. Uderz pierwszy. I nie zatrzymuj się. Bo jeśli się zatrzymasz, jesteś skończony. Takie są reguły gry.

Kowboj padł na ziemię.

Tony nie dał mu odetchnąć. Ani krzycheć. Chwycił go za kołnierz koszuli, zobaczył, że jego spojrzenie staje się szkliste, i spoliczkował go otwartą dłonią.

– Kto tu śpi, geniuszu?

Drugi, trzeci raz.

– Gabriel Plank. Coś ci mówi to nazwisko?

– Nie. Kim ty, kurwa, jesteś?

Czwarty.

– Nie próbuj kłamać.

Piąty.

– Ręka. Złamałeś mi rękę – zajęczał kowboj.

– Pomyśl o tym, co mogę ci zrobić z twarzą.

– Tyś chyba osza...

Tony zamachnął się znowu. Znieruchomiał. Prychnął.

Dopisek do reguły: ludzie boją się wariatów.

Udawaj wariata.

– Pospiesz się, bo przez ciebie się pocę. Za gorąco tutaj.

Tony zaciągnął kowboja aż do baraczku. Wymierzył mu parę kopniaków w żebra, otworzył drzwi mobilnej kuchni i zaczął szperać po szafkach. Znalezienie towaru nie zajęło mu wiele czasu. Spory zapas. Heroina, kokaina, zioło. Kolorowe pigułki.

– Wiesz, że ja też pracowałem w podobnym miejscu? – zagaił, nalewając piwa do kufła. – W barze, nie w takim baraku, ale różnica niewielka. Ojciec nie chciał płacić za moje studia, musiałem sobie sam poradzić. Lubilem robotę barmana. Robiłem świetne koktajle. Wszyscy to mówili.

Kowboj próbował stanąć na nogi.

Tony wsypał do piwa nieco towaru wyciągniętego zza butli z gazem. Prochy i pigułki. Wszystko razem. Zamieszał palcem i wytarł go o dzinsy.

– Wypijesz za moje zdrowie?

Hannes się zatoczył.

– Ty żeś oszalał, ty...

Jednym kopniakiem Tony posłał go z powrotem na podłogę. Schylił się nad nim z kuflem w dłoni, gotowy wlać mu zawartość do gardła.

– Gabriel Plank. Albo wypijesz do ostatniej kropelki.

– Byliśmy kumplami. Wspólnikami.

– Oszczędź sobie tego, co już wiem. Wykorzystywaliście vany pralni do sprzedawania gówna dzieciakom.

– Zabierz ten syf, powiem wszystko, okej?

– Mów.

– Na początku Gabriel był tylko klientem. Chciał pigułek na sen. Mówił, że nękają go nocne koszmary. Sprzedawałem mu je. Wtedy było o nie łatwo. Aptekarze nie robili problemów.

– O jakich latach mówimy?

– Właśnie wysadzili te dwie pieprzone wieże. Niedługo potem.

– I ze stałego klienta stał się współnikiem w interesach? Jak to możliwe?

– Był sprytny. I potrzebował więcej towaru.

– Piguły czy hera?

– Przeszedł na piguły, żeby być na chodzie. Amfa. Ale brakowało mu szmalu.

– Któremu ćpunowi nie brakuje?

– Tylko że on miał pracę. Jakoś potrafił połączyć gównno, które mu sprzedawałem, z pralnią. I miał tego vana. W tamtych czasach znałem mnóstwo ludzi i mając vana, mogłem zarobić kupę kasy.

– A mówią, że Włosi nie mają smykałki do interesów.

– Biznes zaczął się rozwijać. Nawet po tym, jak jego szef go nakrył.

Mimo strachu i bólu dłoni kowboj pozwolił sobie na śmiech.

– Ten zadufek przeniósł Gabriela z hoteli do szpitali i restauracji. Szpitali! Masz pojęcie, ilu ludzi potrzebuje drobnej pomocy na nocnej zmianie?

– Ty mi powiedz.

– W krzyżu mnie łupie i ręka mnie boli jak cholera.

– Porusz tylko jednym mięśniem, a pokażę ci, jak potrafię się wkurzyć.

Kowboj uniósł dłoń. Która nie była już dłonią.

Tony powstrzymał odruch wymiotny.

Później.

Nie teraz.

– Gabriel dalej ćpał, a ty z nim zerwałeś? Słyszałem, że zrobił się gwałtowny.

– Nie wobec mnie. Nie bardziej niż inni. Ale stał się...

– Niezrównoważony.

– Kompletnie pierdolnięty. Paranoik, rozumiesz? A im więcej brał, tym gorszy się stawał. Dostał hopla na punkcie tatuaży i jakiegoś pieprzonego voodoo. Zaczął wygadywać dziwne rzeczy. Coś o światach i ciałach subtelnych.

– Co to znaczy?

– A skąd mam, kurwa, wiedzieć? Mówił, że istnieją miejsca, które są bardziej subtelne od innych. Że jak poskrobiesz, to pod spodem jest... nie wiem co. Garnek ze złotymi monetami? – wybuchnął Hannes, na moment zapominając o bólu. – Był świrem. Nawalonym świrem, rozumiesz?

Tony postawił kufel z mętą zawartością na ziemi. Nie zwalniając uścisku prawej ręki trzymającej kowboja za gardło, z tylnej kieszeni dzinsów wyjął kartkę.

– Ten symbol coś ci mówi?

Hannes wybałuszył oczy.

– Zrobił sobie taki tatuaż. Na piersi. Nazwał to... uśmiech czegoś tam. Nietoperza. Nie pamiętam. W tamtych czasach ja też chodziłem naćpany.

– Uśmiech kolibra. Dlaczego bałeś się Gabriela? Mów. Bił cię? Nosił broń?

– Nie rozumiesz.

– Szybko się uczę.

– Kiedyś... Gabriel i ja pojechaliśmy się najebać. Gdzieś w las. Nie pamiętam gdzie, byłem upalony i cud, że w ogóle stałem na nogach. Tyle pamiętam, że był tam strumień. I od cholery drzew. Zaczęliśmy brać LSD. I kiedy zaczęły się halucynacje, gnój wstaje, pokazuje ten cholerny bohomas na pniu i mówi mi, że jedna jego przyjaciółka została tam zabita, dokładnie tam, gdzie siedzieliśmy.

– Przez kogo?

– Przez widmo.

3

Kiedy Sibylle zobaczyła, jak kufel po piwie w rękach Tony'ego miażdży dłoń faceta w kowbojskim kapeluszu, nie potrafiła zrobić nic więcej, tylko wydała zduszony krzyk i zamarła bez ruchu. Z tej odległości nie słyszała, o czym rozmawiali, ale doskonale widziała twarz Tony'ego.

Przypomniała sobie, co pomyślała, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy w niedzielne przedpołudnie wśród jabłoniowych sadów. „Jedno z tych narzędzi pokrytych gumą, które na pierwszy rzut oka wygląda jak zabawka, ale skrywa duszę z metalu”. Nie pomyliła się.

Tony przeciągnął po ziemi wyjącego z bólu faceta i Sibylle nagle zrozumiała. Pracowała w Black Hat, odkąd prawo jej na to pozwalało, czyli od swoich szesnastych urodzin. Znała się na napalonych samcach. To, na co patrzyła, nie było sceną typu Mister Macho. Tony nie produkował się jak jeleń w czasie rui ani nie gustował w zapachu krwi jak niektórzy znani jej maniacy.

Zrozumiała, że Tony nie posadził jej w tych krzakach z komórką w rękę, żeby w razie czego wezwała pomoc. To *ona* była pomocą. To ona miała kontrolować sytuację. Jeśli powie „stop”, on posłucha. Prawdziwe pytanie brzmiało więc: jak daleko pozwoli mu się posunąć? Póki tamten nie wykrztusi z siebie wszystkiego. Za cenę wyprawienia go do szpitala. To tylko pieprzony diler.

Kiedy jednak Tony zaczął wyglądać tak, jakby miał zamiar rozszarpać twarz kowboja, Sibylle uznała, że czas interweniować.

Ale bez pośpiechu.

– Który to był rok? – wrzasnął Tony.

– Dwa tysiące piąty. Jesień.

– To wtedy dałeś sobie z nim spokój? Powiedział ci, że ją zabił, a ty narobiłeś w gacie? Tak było? Pokłóciliście się i on odszedł?

– Nie. To było w dwa tysiące siódmym. Nigdy mi nie powiedział, że kogoś zabił. Oszalałeś?

– No to co ci powiedział? W dwa tysiące piątym.

– Byliśmy najebani. Nie umiem powtórzyć słowo w słowo. Z tego, co mówił, pamiętam, że tam zginęła jego przyjaciółka. Że została zabita. Przez widmo.

Tony potrząsnął nim.

– A o Erice mówił? O Erice Knapp?

– Wciąż o niej gadał. To dlatego Leah go rzuciła. Boli...

– Kim jest Leah?

– Taka laska. Sucha i bez cycków, jak twoja przyjaciółka.

Tony się nie odwrócił.

– Wszystko w porządku? – zapytała Sib.

– Jeśli nie masz nic przeciwko, to skończyliśmy.

– Jest jeszcze czas – odparła Sib – zanim karetka na powrót zamieni się w dynię. Kim jest Leah?

– Leah była ćpunką. Gabriel nabijał się z niej i mówił, że „Leah” po hebrajsku znaczy „krowa”. Byli ze sobą. Potem miała dość i go rzuciła.

– Wiesz, gdzie są teraz?

– Gabriel? Leah? Nie wiem. Przysięgam, że...

Tony zwolnił uścisk.

Otarł dłonie o koszulę mężczyzny. Jeszcze raz trzasnął go w policzek.

Wyprostował się.

– Ostatnie pytanie. Odpowiesz i będziesz żył długo i szczęśliwie bez potrzeby oglądania mojej twarzy.

Hannes splunął zgęstniałą śliną i krwią.

– Erika.

– Leah była zazdrosna.

– Erika nie żyła.

– Ja wiem, ty wiesz i oni też wiedzieli. Ale ta krowa była zazdrosna o zmarłą. Wierzysz?

Nie odwracając się plecami od Hannesa, Tony cofnął się do mobilnej kuchni.

– Pamiętasz Erikę, kiedy kręciła się w tych okolicach? – zapytał.

– O to samo pytał mnie Gabriel. W kółko.

– A ty co odpowiadałeś?

– Że nie.

Tony kucnął przy płycie kuchennej.

– Co Gabriel mówił o Erice?

– Co ty robisz?

– Erika. Gabriel. Mów.

– Mówił, że Erika była subtelną osobą w subtelnym świecie. Albo coś takiego. Nie wiem, co to miało znaczyć. Mówił, że Erika umarła w jeziorze. Że wszyscy byli przekonani, że się zabiła, ale to nieprawda. Mówił, że została zabita.

– Przez kogo?

– Raz mówił, że Erika została zabita przez widmo. A raz, że to ona była widmem.

– Widmem? – powtórzył Tony, nie przestając majstrować pod płytą. – Tym samym, które według Gabriela zabiło Elisę? Tę dziewczynę z potoku?

– I jeszcze mówił o *Wanderer*.

Wanderer. Wędrowiec, przetłumaczył Tony.

Sibylle zmarszczyła brwi.

– Kto to jest ten Wanderer?

– Gabriel wspomniał o nim tylko raz. Krótco przed tym, jak znikł. Powiedział to w taki sposób... – Kowboja przeszedł dreszcz.

– Bez wyjaśnień?

– Bez.

– A ty nie byłeś ciekaw?

Diler szeroko otworzył oczy.

– Bałem się. Kurwa. Sposób, w jaki to powiedział, te jego teksty. Ten tatuaż. Wciąż go rozdrapywał. Paznokciami. Albo żyletką. Rozcinał. Był...

W powietrzu rozległ się syk, któremu towarzyszył dobrze znany kowbojowi zapach.

Tony się uśmiechnął.

– Jakby się gdzieś gaz ulatniał, czujesz?

Rozdział XXII

Mustang nie odjechał zbyt daleko. Po paru zakrętach Tony zatrzymał się na poboczu. Był mokry od potu i drżały mu ręce.

– Chcesz poprowadzić, Sib?

Zamienili się miejscami i ruszyli dalej. Kreuzwirt spał. Żadne z nich nie powiedziało słowa. Żadne z nich nie podniosło głowy, kiedy mustang minął Ropuszy Dwór. W wieży od strony torfowiska paliło się światło. Ktoś czuwał nad miasteczkiem.

Kiedy dotarli pod dom Eriki, Sib zgasiła silnik i wysiadła. Tony też wysiadł.

– Jesteś dupkiem – powiedziała.

– Wiem.

– Mogłeś mnie uprzedzić.

– Mogłem.

– Mister Macho.

– Naprawdę tak o mnie myślisz?

– Myślę, że masz twarz kogoś, kto musi zwymiotować. Mister Macho nie wymiotuje.

– Nie, on nie.

– I myślę, że nie powiedziałaś mi całego mnóstwa rzeczy. O sobie.

– O tym, co sprawia, że jestem Mister Macho?

– Raczej Panem Nieznanym.

Tony usiadł na miejscu kierowcy. Otarł pot z czoła. Zamknął drzwi. Opuścił szybę.

– Chcesz odpuścić, Sib?

– Nie.

Zapalił silnik i wrzucił wsteczny.

– Tony? – zawołała. – Ta sprawa. To straszny syf, no nie?

Po raz pierwszy, odkąd opuścili barak kowboja, Tony spojrzął jej w oczy.

Sib wyczytała w jego spojrzeniu bezbrzeżny smutek.

– Widma są okrutne i pouczające – szepnęła pisarz. – Uczysz się czegoś?

Sib odsunęła się od samochodu. Pożegnała go gestem i weszła do domu.

Tony poczekał, aż zamknie za sobą drzwi, zawrócił i wyjechał z alejki.

Erika.

Uśmiech kolibra. Perkmanowie, którzy z góry patrzyli na wszystko. Ciotka Helga, Oskar i kłamstwa mówione w dobrej intencji. Gabriel i jego tatuaż. Gabriel i Elisa. Gabriel i Erika. Erika i Elisa, i Gabriel, i Karin. Martin krecik. I znów Erika. I symbol.

Tony zahamował w samym środku niczego. Zdążył jeszcze tylko otworzyć drzwi samochodu.

Rozdział XXIII

1

Budzik wskazywał dziesiątą rano. Freddy nie zatruwał powietrza swoim śmierdzącym oddechem, a on czuł się tak, jakby ktoś wsadził mu głowę do jednej z przemysłowych pralek Baldiniego. Komórka błyskała. Za wiele bodźców naraz.

– Freddy?

Tony niemal nie poznał własnego głosu.

Po omacku znalazł opakowanie aspiryny, którą trzymał w szafce nocnej. Żadnej wody. Włożył kilka pastylek do ust i zaczął przeżuwać. Smakowały obrzydliwie.

– Freddy? Piesku?

Tony spuścił nogi z łóżka. Usiadł. Zawroty głowy. I wizja.

W tej wizji budził się, jakoś udawało mu się nie upaść i szedł do jedynego sensownego miejsca, w którym Freddy mógł się ukryć o tak późnej porze. Na balkon. Poskowyczeć błagalnie, by ktoś go wypuścił na spacer. No bo jak ciśnie, to ciśnie. Jednak w swojej wizji Tony znajdował bernardyna skulonego na legowisku. Martwego. „Musisz zacząć oswajać się z myślą, że...”.

– Fred? Piesku?

Wstał. Nie potknął się. Balkon był pusty, a mieszkanie ciche.

„Musisz zacząć oswajać się z myślą, że...”.

– Nie, nie, nie...

Legowisko było puste, Polianna zostawiła na nim karteczkę.

Ponieważ noc była krótka, biorę Freddy’ego na spacer, a potem na zakupy.

Na stole w kuchni są rogaliki.

Polianna

PS Na stacjonarny dzwonił M.

Dwa razy. Wydawał się zdenerwowany.

2

Dwa razy na stacjonarny i siedem razy na komórkę. Zbliża się katastrofa nuklearna czy co?

Po porządnej dawce kawy, rogaliku i zimnym prysznicu Tony poczuł się nareszcie gotowy, by stawić czoła *postscriptum* Polianny. Uwielbiał M., czyli Maura Giulianiego, agenta zajmującego się jego kontraktami na całym

świecie. Uwielbiał nade wszystko sposób, elegancki i opanowany, w jaki Giuliani potrafił wysysać krew z wydawnictw, nie tracąc nic ze swego stylu.

Chwytny za telefon, Tony uświadomił sobie, że pośród morza mejli wysłanych mu przez „ekspertów” od ezoteryki, które dla porządku przeleciał wzrokiem (jakaś typiara zapewniała go, że potrafi przewidywać przyszłość, czytając ze źrenic; Rosjanin piszący prozą godną Tołstoja prosił o spotkanie w cztery oczy; jakiś wariat uważający się za reinkarnację Świętego Jana Chrzciciela miał wizję, która dotyczyła Tony’ego; w końcu jeden z aspirujących pisarzy, nie otrzymawszy odpowiedzi, obrzucał go wyzwiskami), znalazł się jeden od Maura.

W temacie nadawca wpisał tylko trzy wykrzykniki. W treści był link do strony *Perły Giovanni*, portalu „informacji alternatywnej”, który przywrócił blask ekskrólowej działu kryminalnego. Dwieście tysięcy odsłon dziennie, napawała się. Jakby to miało dla Tony’ego jakiegokolwiek znaczenie.

Na pierwszym planie była jego twarz. Przyklejona do twarzy dziewczyny ubranej w spódniczkę mini. Bardzo ładnej i bardzo wyzywającej.

Irena.

Ten, kto zrobił te zdjęcia, był fachowcem. Irena i Tony wyglądali tak, jakby zamierzali się pocałować w sposób, który pasowałby do okładek jego powieści. Galeria zawierała jeszcze inne fotografie. Tony siedzący przy dobrze widocznym kuflu piwa, zapatrzony przed siebie. Irena i Tony podczas rozmowy. Irena dotykająca jego dłoni. Irena wstająca od stolika. Tony przechodzący obok nissana z rękami w kieszeniach, jakby szukał w nich kluczyków. Irena nachylona do okienka nissana. Irena wsiadająca do nissana.

Potęga obrazu.

– Milani byłby z ciebie dumny, Giò.

Tytuł złożony wersalikami nie pozostawiał wątpliwości co do tego, kim byli inspiratorzy tego artykułu.

SEKRETNE SŁABOSTKI PISARZA

Czyżby autor **romantycznych** książek o miłości kochał przygodne spotkania z niebezpiecznymi **kraślami**?

Tak się właśnie wydaje. A jeśli Antonio Carcano, znany lepiej jako Tony (ech, ta włoska tęsknota za Ameryką), jest nie tylko **miłośnikiem młodziutkich** dziewcząt z ulicy, co pokazuje nasz **ekskluzywny** materiał fotograficzny?

Wiadomo każdemu, kto trzyma rękę na pulsie (tak jak redakcja *Perł Giovanni*!), że miejsce, w którym pisarz powieści spod znaku **miłości & pięknych uczuć** został nakryty podczas oddawania się zalotnej **wymianie płynów** z I., profesjonalistką w miłosnym fachu (która odmówiła naszym korespondentom podania swojego **prawdziwego wieku**!), znane jest także jako centrum handlu różnymi **substancjami**.

A może nasz romantyczny pisarz nie gardzi również **białą kreską**? Może, by nabrać sił po swej (nie tylko literackiej) aktywności, szuka **śniegu** nawet w lecie?

I tak dalej. Pięć tysięcy słów. Kolejny artykuł tłumaczył, dlaczego psy zawsze wpatrują się w swoich właścicieli, kiedy spełniają potrzeby fizjologiczne. Psie defekacje zasłużyły sobie na niecałe dwa tysiące słów i sto pięćdziesiąt lajków. Tekst dotyczący pisarza otrzymał ich dwieście trzydzieści. Nie, dwieście czterdzieści. Co czyniło Tony'ego królem wyróżnień.

W pierwszym odruchu chciał zadzwonić do Giovanny i powiedzieć wszystko, co o niej myśli. Ale robiąc to, dałby jej punkt zaczepienia do następnego artykułu. Opuścił.

Powtórnie przeczytał tekst. Zbyt wiele nawiasów. Zbyt wiele wykrzykników. I te pogrubienia. Jego redaktor zniechęciłby go za coś podobnego. Ale, musiał przyznać, było to skuteczne. Sporo ludzi uwierzyło w te bzdury. Przynajmniej dwieście siedemnaście osób uważało je za interesujące. Już zamieniła serię poruszonych fotografii w niepodważalne dowody. Łącząc insynuacje i grube kłamstwa, całkiem skutecznie przedstawiła go jako... Właśnie, kogo? Zboczeńca? Narkomana? Co miała na celu? Zburzyć jego... wiarygodność?

Nie powstrzymał cichego śmiechu. Zarabiał na życie pisaniem *fikcji*. Fantazji. Wymysłów. Jego wiarygodność zależała wyłącznie od zdolności wymyślenia historii wywołujących emocje czytelników. Kropka. Naiwność. Już była zadziwiająca. Już i kogoś, kto opłacił tę inscenizację. Te fotografie i insynuacje były dobrą wiadomością. Najlepszą, jaką Tony otrzymał w ostatnich dniach.

Poczuł rozbawienie.

Perkmanowie zrobili ruch pionkiem. A więc zaniepokoiło ich to, co robili wspólnie z Sibyllą. Stąd wniosek, że mieli coś do ukrycia. Coś, co po dwudziestu latach Sibylla wspólnie z nim wciąż mogła odkryć. Nie mógł się doczekać, aż pokaże jej ten artykuł. Ale najpierw obowiązki.

Numer jego agenta był na liście ulubionych. Tuż obok numeru Polianny.

Uch!

Gdyby Polianna przeczytała ten szajs...

– Widziałeś? – Żadnego „dzień dobry, cześć, jak leci”. – Podchwyciły to wszystkie lokalne tytuły. Jest nawet na Twitterze. I na Facebooku.

– Okej.

– Tytuły zarówno włoskie, jak i niemieckie – dodał agent.

– Gównu nie zna granic językowych. Tak jest napisane w statucie naszego regionu autonomicznego. Chcesz wiedzieć, czy to prawda?

– Wiem, że nieprawda, na litość. Mnie interesują wyłącznie reperkusje. Dotyczące twojej, ba, naszej pracy.

Tony złapał się na tym, że patrzy na swoje odbicie w lustrze łazienki. Powinien się ogolić. Wrócił do sypialni i rozgryzł kolejne dwie tabletki aspiryny.

O goleniu pomyśli jutro.

– Odrobina obornika jeszcze nikogo nie zabiła.

Usłyszał westchnienie z drugiej strony.

– Lekceważysz problem. Musimy porozmawiać. Wydać komunikat prasowy. Pomyśleć, czy nie warto ruszyć z pozwem. Mówimy o pomówieniu i zniesławieniu. Powinniśmy...

– Daj spokój pozwom i komunikatom do prasy, okej? Mam teraz powieść do napisania i...

– Tony?

– Tak?

– Wciskasz mi kit?

– Tak.

– Komu nadepnałeś na odcisk?

Tony się uśmiechnął.

– Miłego dnia, Mauro.

Rozdział XXIV

– Ten twój przyjaciel.

– Ma na imię Tony. – Odpowiedź zabrzmiała szorstko. Sib nie zapomniała, co się stało w domu ciotki Helgi.

– Ile o nim wiesz?

– Chyba coś ci umknęło, Oskar. Jestem pełnoletnia.

Pirat uniósł ręce.

– Tak, ale martwię się o ciebie. Pełnoletnia nie oznacza mądra.

– Chcesz dać mi reprimendę? Oszczędź sobie.

– Nie. Było, minęło. Już ci powiedziałem, rozumiem, co ci siedzi w głowie. To twoje życie. Jeśli chcesz je zmarnować, polując na widma...

– Mam tosty do przygotowania.

– Tosty mogą poczekać. Popatrz na to.

Oskar pokazał jej ekran smartfona. Twarz Tony’ego. I twarz Ireny.

– Jesteś pewna, że możesz ufać temu pisarzowi?

Oskar zatrzymał się na fotografii ukazującej Irenę na poboczu.

– A Erika ufała swoim przyjacielom? – rzuciła wyzywająco Sibylle.

– Tu jest napisane, że on jest...

– Byłam z nim wtedy. Ten artykuł to kupa gnoju – powiedziała Sibylle i zrobiła ruch, jakby chciała odejść.

– Nie skończyłem.

– Już trzeci raz nie odbieram telefonu.

– To on?

– Czego chcesz, Oskar?

– Rozmawialiśmy z twoją ciotką. Wczoraj. Yamaha to złom. Helga i ja pomyśleliśmy, że pomożemy ci kupić nową. Używaną.

Zabolało.

Bardzo.

Sibylle zdjęła fartuch i rzuciła na podłogę.

– Biorę wolne przedpołudnie.

– Ty...

– Do zobaczenia po południu.

Przeszła przez salę, ignorując klientów, i wyszła na zewnątrz. Upał. To koszarne lato nie chciało się skończyć. Drżały jej ręce. Czy Oskar i ciotka Helga chcą ją kupić? Do tego się posuwają?

„Odetchnij. Skoncentruj się”.

Priorytety.

To już trzeci raz, kiedy Karin Perkman zaatakowała. Najpierw Rudi, potem oferta Oskara i Helgi, a teraz te internetowe śmieci o Tonym. Za

artykułem w *Perłach Giovanni* musiała stać Karin, podobnie jak za wypadkiem, który kosztował Sib yamahe. I za całą resztą.

Sibylle nadepnęła kotu na ogon i kot nie był uszczęśliwiony.

Tony'emu nie powiedziała o Rudim. Może powinna. Ale wiedziała, co on sobie pomyśli. Bezbronna dziewczynka i tak dalej. Nie było sensu.

Ruszyła szybkim krokiem z telefonem przy uchu.

– Widziałas? – zapytał.

– Oskar był bardzo przejęty.

– Chciałbym, żebyś...

– Za dziesięć minut odchodzi autobus do Bolzano. Właśnie idę na przystanek.

Ależ jej brakowało enduro.

– À propos artykułu. Jak się ma twoja miłość własna?

Tony się roześmiał.

– Nieco obolała.

– Naprawdę myślałeś, że spotkałeś swoją fanke?

– Mam ich sporo, dziewczynko.

– Nie nazywaj mnie dziewczynką.

Sib dostrzegła niebieski autobus i przyspieszyła kroku.

Kierowca właśnie składał gazetę. Dała mu znak, żeby poczekał. I dołączyła piękny uśmiech.

Wrzucił na luz.

– A ty się spiesz – powiedział Tony. – Jest ktoś, z kim chcę cię poznać.

– Kto?

– Mówiłem ci kiedyś o Prostata Boys?

Rozdział XXV

1

Nalegała na to Polianna, inaczej Tony nigdy by się nie zgodził. Zostać nauczycielem na wieczorowych kursach Uniwersytetu Trzeciego Wieku w Bolzano? On? Nigdy w życiu. A tymczasem...

Ćwiczenia z kreatywnego pisania dla zaawansowanych.

Kiedy Tony zwrócił uwagę, że na liście nie ma ćwiczeń z kreatywnego pisania dla początkujących, dyrektorka szkoły odpowiedziała, że żaden emeryt z choćby odrobiną miłości własnej nie zapisze się na kurs dla początkujących, by nie trafić w środek stada gołowąsów uważających się za reinkarnację Szekspira. Tony stracił wszelkie argumenty.

Dzień przed pierwszą lekcją wpadł w panikę. Nie miał pojęcia, jak uczyć pisania, ponieważ nigdy nie zastanawiał się nad tym, jak to działa. Wpadał na pomysł, pozwalał, by ten przez jakiś czas krążył mu w głowie, wyobrażenia wchodziła w overdrive, aż w końcu Tony czuł, że nadszedł czas, by usiąść przy klawiaturze i słowa pojawiały się same. Nie dysponował instrukcją obsługi.

„Daj spokój magii i skoncentruj się na podstawach”, poradziła Polianna, jak zawsze praktyczna.

Podstawy.

Gramatyka, ortografia, zdrowy rozsądek. Logika. Nieco lektur. I dużo praktyki. Krótko mówiąc: jeśli chcesz pisać, pisz.

Tony niemal natychmiast zrozumiał, że jedyną prawdziwą trudnością w uczeniu grup złożonych z dziesięciu czy piętnastu zwawych starsuszków, było nieokazywanie emocji, kiedy nadchodził moment czytania na głos ich prac.

Emeryci przekonani, że ich plemię przeszkodziło w wybuchu trzeciej wojny światowej. Białe jak gołębek panie piszące o śmiałych kapitanach marynarki i nieskazitelnych dziewczętach (niekiedy pojawiał się wariant lokalny, czyli śmiali kapitanowie strzelców alpejskich i młode cnotliwe dziewczęta), które jednak w głębi...

Siłą rzeczy z niektórymi uczestnikami kursu nawiązał coś na kształt szczególnej więzi podlanej bolzańskim sosem. Wspólne piwo po zajęciach. Pogaduszki. Jak w klubie, do którego należał, kiedy był znacznie młodszy.

Nazwę Prostata Boys wymyślił Claudio, emerytowany kolejarz i mistrz ciętej riposty. To była rzeczywiście dobra nazwa dla klubu, jedyny problem – oponował Tony na początku – że do grupy należała także jedna kobieta, *Tante* Frida, ciotka Frida. Jedyna na kursie przedstawicielka płci żeńskiej (i jedyna niemieckojęzyczna z domu), która dołączała do bandy

siwowłosych wyrostków podczas ich najazdów na bar niedaleko siedziby uniwersytetu.

„Ty tego nie rozumiesz, bo jesteś bardzo młody i bardzo głupi – mówił Claudio, spoglądając nań szelmowsko znad kieliszka czerwonego wina – ale Tante Frida ma większe jaja od całego tu obecnego ludzkiego złomu. Ciebie nie wyłączając”.

To był pierwszy i zarazem jedyny raz, kiedy Tony zobaczył, jak Tante Frida się rumieni. Nie tylko dlatego, że z ust Claudia kolejarza zazwyczaj nie wychodziło nic poza przekleństwami i krytyką wszystkiego, co się rusza, ale także dlatego, że nikt z obecnych nie zaoponował. Tante Frida naprawdę była twarda.

2

– W jakim sensie? – zapytała Sibylle, kiedy czekali na zielone światło.

– Tante Frida ma wycucie rytmu, fabuły i postaci – wyjaśnił Tony z uśmiechem. – Tylko że język ją zawodzi. Tante Frida pisze kryminały. Uwielbia je. Ale pisze je jak karabinier cierpiący na wypalenie zawodowe.

– Nie rozumiem – powiedziała skołowana Sib.

– Jaki autor kryminałów użyłby zdania: „Pocisk zagłębił mu się w ramię, a z niego wydobył się krzyk”?

Sibylle się roześmiała.

Tony pogodnie ciągnął swoją opowieść:

– Obawiam się, że to kwestia skrzywienia zawodowego. Tante Frida przez dziesięciolecia była zmorą prokuratury. Parafrazując Claudia kolejarza, znanego również jako Poeta Puf Puf, Tante Frida była przez całe lata najbardziej cwaną adwokatką w Bolzano i w całej prowincji. Kiedy oznajmiła, że idzie na emeryturę, sporo ludzi w branży świętowało, możesz mi wierzyć. Ale wiesz, co najbardziej mi się podoba w tej uroczej staruszce?

– Nie mam pojęcia.

Tony zaparkował mustanga na via Duca d'Aosta, kilka kroków od surowego gmachu sądu.

– Tante Frida zaliczyła sześć lat w więzieniu. Zabójstwo. Dziewczyna z Val Pusteria, która wyszła za niewłaściwego mężczyznę. Tante Frida funduje mu trzy ciosy nożem. Patrzy, jak umiera. Potem wzywa karabinierów. Sędzia daje jej dwadzieścia lat. W więzieniu Tante Frida zaczyna się uczyć. Najpierw gimnazjum, potem matura. To jej nie wystarcza. Zapisuje się na prawo. A w wolnym czasie czyta dokumenty ze swojego procesu. I zaczyna się zastanawiać. Aż dotąd czuła, że zrobiła coś niewłaściwego, więc uważała, że zasługuje na karę. Rozumiesz?

– Poczucie winy.

– W więzieniu to się zmienia. Kto był naprawdę winny? Mężczyzna, który bił ją każdego wieczoru? Który gwałcił ją przez całe lata? Czy ona, która pewnego pięknego dnia miała dość i wsadziła mu nóż w żołądek?

– Doprowadziła do ponownego procesu i zamieniła zabójstwo na przekroczenie obrony koniecznej? Rewelacja.

– Zrobiła coś lepszego. Wygrzebała tyle błędów w działaniach prokuratora, tyle uchybień procesowych, a nawet zaniedbań w śledztwie karabinierów, że wyszła z więzienia z czystą kartoteką i przeprosinami od państwa. Pomachaj jej, Sib.

Z okna na trzecim piętrze kamienicy uśmiechała się do nich kobieta.

Sibylle pozdrowiła ją gestem.

– A skoro Perkmanowie chcą wojny...

Rozdział XXVI

1

Gabinet Tante Fridy był dokładnie taki, jak Sibylle sobie wyobrażała, kiedy czekali na windę. Praktyczny, jasny. Elegancki. Była to jednak niedbała elegancja. Mniej więcej taka jak strój Tante Fridy.

W obecności adwokatki Sibylle poczuła się onieśmielona. Tony powiedział, że Tante Frida jest twarda. Ale nie powiedział, że ma charme tego samego rodzaju. To nie była kwestia ubrania czy postawy. Tante Frida emanowała dziwną energią. Może mądrością. Albo spokojem kogoś, kto przeżył piekło i wyszedł z niego bez szwanku.

Uścisk jej dłoni był żelazny. Na twarzy poranej tysiącem maleńkich zmarszczek wyróżniały się przenikliwie błyszczące oczy w kolorze intensywnego błękitu.

– Jak się ma moje ulubione psisko?

Freddy polizał ją po ręce.

Tante Frida zaprowadziła ich do biurka. Sterta dokumentów, komputer najnowszej generacji, ani odrobiny kurzu i pręgowany kot. Zwierzak się przeciągnął. Rzucił okiem na Sibylle, potem na Freddy'ego. Freddy przestał machać ogonem. Opuścił łeb. Zmrużył oczy. Wyrażenie „jak pies z kotem” pasowało do nich jak ulał. Kot ziewnął.

– Sio, Severino, sio! – zawołała Tante Frida.

Kot wyszedł. Freddy warknął coś pod jego adresem. Kot zignorował prowokację.

Tante Frida zamknęła drzwi, usiadła, założyła okulary z dwuogniskowymi soczewkami (zamiast ją postarzyć – zauważyła Sibylle, coraz boleśniej świadoma swoich szortów i koszuli związanej nad pępkiem, odsłaniających powypadkowe siniaki – sprawiały, że wyglądała jeszcze bardziej fascynująco) i zagaiła:

– A więc, Tony, można wiedzieć, w jakie kłopoty się wpakowałeś?

2

Kiedy Tony skończył opowiadać, na twarzy staruszki pojawił się uśmiech rekina. Nie licząc wanny wypełnionej piraniami, nie było bardziej przerażającego widoku niż Tante Frida na wojennej ścieżce. Nazwisko Perkman wywołało w niej pewien rodzaj ekscytacji.

– Zna ich pani?

– Moja droga, znam Perkmanów od zawsze. Wszyscy ich znają. Z wyjątkiem tego tu młodzieńca. Ale z drugiej strony, kim są

Perkmanowie? Drewno, wyciągi narciarskie, naturalnie elektronika. Działania tu, tam i jeszcze gdzie indziej. A odkąd Karin kieruje firmą, doszedł rozwój alternatywnych źródeł energii. Konikiem Perkmanów zawsze była ekologia. Oto, kim są Perkmanowie. Nic specjalnego.

– Wprawiasz mnie w zakłopotanie, Tante Frida. I wiem, że robisz to celowo.

– No to mnie pozwij. Powiedziałaś to, by moja nowa młoda koleżanka zauważyła, jak bardzo trzymasz głowę w chmurach. Gdyby jeszcze sama tego nie dostrzegła.

– Czy kiedykolwiek spotkała się pani z Karin? – zapytała Sibylle. – Rozmawiała z nią pani?

– Zimna suka. Tak jak jej ojciec.

– Zrobiła kiedyś coś nielegalnego?

Tante Frida zasłoniła usta dłonią, by ukryć protekcyjny uśmiech.

– Szczęśliwa młodzież. Wszyscy robią coś nielegalnego. Tylko że są tacy, którzy kończą w więzieniu, i tacy, których adwokatem jestem ja. Jak ty, panienko.

– Ja?

– Tak, ty. Właśnie zostałam moją nową klientką. Kancelarii, którą zostawiłam mojej wnuczce Isabelli. Tej kancelarii. Ale uważam, że to właściwy moment, by zaliczyć jeszcze jeden, ostatni obrót karuzeli. A więc masz szczęście być także moją *jedyną* klientką. Masz coś przeciwko temu?

– Ja nie...

– Koszty są już pokryte. Ten swego rodzaju powieściopisarz, którego masz za przyjaciela, przez całe lata musiał znosić moją literacką partaninę. Powiedziałabym, że to aż nadto, by wyrównać rachunki.

Sibylle poczerwieniała.

– Nie, nie mogę się zgodzić.

Tante Frida chwyciła jej dłoń w obie ręce.

– Będę z tobą brutalnie szczerą. Chcesz?

– Oczywiście, ale zdania nie zmienię.

– Po pierwsze, jesteś moim hobby. Odkąd przeszłam na emeryturę, koszmarnie się nudzę. Z wyjątkiem środowych wieczorów. Tony, wiesz, jak bardzo lubię zajęcia z tobą, prawda? – wtrąciła kokieteryjnie. – Ale teraz mamy lipiec, przerwa w zajęciach trwa do października, a moja wnuczka świetnie radzi sobie sama. Dotąd jasne?

– Tak.

– Po drugie i bardzo, bardzo ważne: beze mnie wy dwoje do niczego nie dojdziecie.

– Tante Frida ma rację – dorzucił Tony. – Ma doświadczenie w tego typu sprawach. A my dotąd poruszaliśmy się jak słoń w składzie porcelany.

– Sibby Pończoszanka – szepnęła Sib, obgryzając koniuszek kciuka – ratuj się, kto może.

Tante Frida roześmiała się donośnie.

– Coraz bardziej mi się podobaś. Tony zapomniał powiedzieć, że mam to, co on nazwałby kontaktami. W tłumaczeniu: dzięki mnie będzie znacznie łatwiej zdobyć informacje, a jednocześnie uniknąć zrobienia czegoś bardzo głupiego i bardzo niebezpiecznego.

– Nie mogę – odparła Sib.

Tante Frida zdjęła okulary.

Jej twarz złagodniała.

– Odłóż na bok dumę. Jeśli naprawdę chcesz dotrzeć do końca, jeśli naprawdę chcesz dogrzebać się do prawdy, odłóż na bok dumę. Dumę trzeba dozować ostrożnie. Zachowaj ją na prawdziwe bitwy. Nie na te drobiazgi.

– Ja... – Sib nawinęła kosmyk włosów na palec. – To nie są drobiazgi. Dla pani... dla was pieniądze to drobiazg. Ale dla mnie pieniądze to pieniądze. Rozumie pani? A duma...

Tante Frida była jednocześnie brutalna i łagodna.

– Duma jest jak nóż, który wsadziłam w brzuch mojemu mężowi. To broń obosieczna. Może stać się więzieniem. Takim samym więzieniem jak to, które przeszkadzało mi uciec od tego gnoja. Ponieważ zostałam nauczona, że wszystko, do czego kobieta może dążyć, to być żoną: dobrą i zawsze uśmiechniętą. Nawet wtedy, gdy się ją wykorzystuje jako worek treningowy. To jest rodzaj dumy, od którego należy się trzymać jak najdalej. – W oczach Tante Fridy błysnęło. – Albo możesz jej użyć, by powiedzieć „dość”. Umowa stoi?

– Dziękuję pani, Tante Frida.

Kobieta klasnęła.

– Jako nowa klientka masz prawo mówić mi na ty. Popytam tu i ówdzie. Parę osób wciąż jest mi winnych przysługę. Dam wam znać, co znajdę. Osobiście uważam, że polujecie na widma, ale muszę też przyznać, że to, co mi powiedzieliście, wzbudza trochę podejrzeń, więc trzeba ostrożności i... Tony? A ty gdzie się wybierasz?

Tony, który właśnie wstawał, znieruchomiał ze zdziwioną miną.

– Myślałam, że już skończyliśmy.

– Nie chcemy rozmawiać o oszczerstwie?

– Jakim oszczerstwie?

– Naprawdę jesteś dziwkarczem i kokainistą?

Tony pokręcił głową.

– Perkmanowie mają wpływy. I jest oczywiste, że to oni stoją za rewelacjami Giò. Z tym się chyba wszyscy zgadzamy, prawda?

Tante Frida ograniczyła się do skinienia głową.

– Tak – potwierdziła Sibylle. – Nadepnęliśmy im na odcisk.

– I jestem pewien – ciągnął Tony – że Poliannie pęknie żyłka, jeśli ta fotografia zostanie opublikowana w jakimś lokalnym dzienniku.

Rozumiecie? Lokalnym.

Tony przenosił wzrok z jednej kobiety na drugą, jakby oczekiwał reakcji, one jednak patrzyły na niego z zakłopotaniem.

– Żaden poważny dziennikarz nie weźmie pod uwagę tego chłamu.

– Nie byłabym taka pewna.

– Perkmanowie są potężni, zgoda, ale tutaj. W Górnej Adydze. Ja... – Tony bełkotał w zakłopotaniu. – No więc...

Sibylle zrozumiała i uśmiechnęła się.

– Ty masz czytelników na całym świecie.

Tony wzruszył ramionami.

– Jeśli to jest wszystko, co Perkmanowie mogą mi zrobić...

Adwokatka zdjęła okulary i popatrzyła na niego.

– Módl się, żeby tak było, chłopcze. Módl się, żeby tak było.

Rozdział XXVII

1

Przez całą drogę bernardyn nie zatrzymał się ani na chwilę.

Krzewy, kwiaty, kępki trawy, grzyby, kamienie i skały były obowiązkowo obwąchiwane, skatalogowane i podlane, tak jakby Freddy przygotowywał się do egzaminu wstępnego na członka klubu Prostata Boys.

Tony chętnie spuściłby go ze smyczy, gdyby nie to, co opowiadał Wolfie na temat lisów w tym rejonie. W okolicach Bolzano wściekłą uznano za wyeliminowaną i Freddy nie był zaszczepiony.

– Przykro mi, chłopaku. Jak się nie ma, co się lubi...

2

Narkotykowe fantazje Hannesa, cała ta gadanina o światach subtelnych, widmach i potworach pod łóżkiem zaniepokoiły Sibylle. Tony to podejrzewał, bo dziewczyna nieco zbyt często pytała go, co mogły oznaczać. Dlatego poczuł się w obowiązku opowiedzieć jej o Rickym Riccardzie.

– Ricky Riccardo to porządny chłopak z Szangaju. Trzyma się z dala od złego towarzystwa i nie boi się spędzać czasu wśród książek. Na wskroś porządny gość. W dniu obrony postanawia zrobić sobie odstępstwo od zasad i urządzić samotniczy *Laureaball*, bal magisterski. Ricky Riccardo jest entuzjastą pism Castanedy, więc na swój *Laureaball* organizuje sobie peyotl. Wiesz, o co chodzi?

– Czytałam Ginsberga.

– Ginsberga nie znam, ale od tamtego wieczoru, słońce czy deszcz, dzień czy noc, Ricky Riccardo stoi na balkonie ze spojrzeniem utkwionym w próżni i głaszcze swego kota. Kota, który nie żyje od dwudziestu lat. „A kuku, Ricky’ego Riccarda już nie ma”.

– Załapałam.

Sib nie mówiła więcej o światach subtelnych i osobach subtelnych. Za to prosiła o ostrożność (i to wiele razy, co sprawiło, że Tony poczuł się połączony taką troską), kiedy powiedział, że zamierza pójść do lasu, by odnaleźć miejsce, w którym Gabriel wyciął na drzewie uśmiech kolibra.

– Możesz się zgubić.

Tony pokazał jej mapę okolicy.

– Chcę tylko sprawdzić, czy mój shit-detector jeszcze działa.

– Mapa to jedno, teren to całkiem co innego – odparła Sibylle. – A można wiedzieć, co to jest ten shit-detector?

– To z Hemingwaya. – Tony się uśmiechnął. – Według niego każdy pisarz jest wyposażony w shit-detector, który zaczyna błyskać, kiedy ktoś chce mu wcisnąć jakieś gówno. Kiedy Hannes opowiadał, to nie licząc bzdur w stylu Ricky’ego Riccarda, mój shit-detector siedział cicho. A więc na polanie, na której Wolfe znalazł Elisę, musi być drzewo z uśmiechem kolibra wyciętym w korze.

– Właśnie wygrałeś nagrodę za najbardziej absurdalną decyzję roku – orzekła Sibylle. – A dlaczego mi się wydaje, że coś przede mną ukrywasz?

– Ponieważ jesteś dziewczyną tyleż seksowną, co inteligentną.

Za jednym zamachem Tony’emu udało się wywołać rumieniec na jej twarzy i uchylić się od odpowiedzi.

3

Minęło parę godzin i dobry humor Tony’ego rozwiął się jak dym. Pisarz zaczął przeklinać siebie samego, kowboja Hannesa i Ernesta Hemingwaya.

Kiedy dotarli do strumienia, Freddy, typowo miejski pies, szeroko otworzył ślepia i zaczął chleptać wodę, oszołomiony całym tym bogactwem, którego nikt nie strzeże. Za to człowiek Freddy’ego był wykończony. Bujność przyrody, która rozbudziła psie zmysły, jego dusiła. Jodły, sosny, jesiony, krzewy jeżyn. Nic, tylko zieleń i orkiestra owadów, od której pulsowały mu skronie.

Nagła, zdecydowanie makabryczna i niewczesna myśl przyprawiła go o szczekanie zębów: woda, w której Freddy dokonywał teraz hałaśliwych ablucji, była tą samą, w której utopiła się Elisa i – jeśli mapa nie kłamała – także Erika. Strumień wypływał z jeziora pośrodku torfowiska, w którym zginęła matka Sib.

Tony zaklął i uwolnił ramiona z plecaka. Przywiązał smycz Freddy’ego do jodły rosnącej kilka kroków od strumienia, by bernardyn mógł się dalej pluskać, i zajął się tym, co skłoniło go do wybrania się na ten spacer.

Prawdę mówiąc, fantazje kowboja Hannesa zaniepokoiły nie tylko Sibylle. Jakkolwiek nielogiczne mogłoby się to wydawać, Tony był przekonany, że znalezienie polany, na której Elisa ostatni raz rozbiła namiot, i dotknięcie palcami uśmiechu kolibra wyciętego w pniu pomoże mu wyzwolić się z oparów mistycznego bełkotu dilera w kowbojskim kapeluszu. A może przyjdzie mu tam do głowy coś interesującego, dzięki czemu śledztwo posunie się naprzód? Sen na jawie zawsze był najskuteczniejszą metodą, by zobaczyć rzeczy z właściwej perspektywy.

Jeśli pominąć makabryczne myśli, zmęczenie i upał, miejsce, w którym Tony się znajdował, było całkiem przyjemne. Strumień, polana z paprociami przeszło metrowej wysokości, zwarty mur drzew, bujnie rozrośnięte krzewy, mrowisko. I ledwie widoczna druga ścieżka. Tony podrapał się po czole. Sprawdził na mapie. Tej ścieżki na niej nie

zaznaczono. Sibylle miała rację. „Mapa to jedno, teren to całkiem co innego”.

Złożył mapę i wyobraził sobie Elisę, która nadchodzi ukrytą ścieżką. Wyobraził sobie także Gabriela i Hannesa wiele lat później, jak idą jej śladem. Stąpają chwiejnie, niepewnie, ich ruchy nie przypominają sprężystego kroku dziewczyny. Dlaczego? Czyż Elisa nie umarła z taką ilością alkoholu we krwi, że aż wirowało jej w głowie? Dlatego – odpowiedział sam sobie, kopiąc kamyk czubkiem buta – że Elisa rozbiła namiot, więc kiedy tu przyszła, nie była pijana. W przeciwieństwie do dwóch ćpunów.

Tony wyobraził sobie, jak Elisa słucha tego samego szmeru w koronach drzew, który teraz wypełniał jego uszy. Jak oddycha tym samym, nieco cierpkim powietrzem. Jak zaczyna pić. I przez moment czuł, że jego wyobraźnia bierze rozbieg, już, już gotowa wzbić się do lotu. Jednak nic takiego nie nastąpiło. Choć Tony się starał, nie potrafił zwizualizować sobie nic poza dziewczyną, która siedzi i pije wódkę. Nie uderzyło w niego jak grom żadne oświecenie, nic mu się nie objawiło. Zresztą nie tak to działało.

Jak wszyscy pisarze Tony wiedział, że nie jest prawdziwym twórcą historii, za które otrzymywał tantiemy, nagrody i uściski dłoni. Historie żyły własnym życiem. On się ograniczał do ich zapisywania. Nie było żadnego „do biegu, gotowi, start”, by wprowadzić je w ruch. A tam, w przesiece, było parę miliardów owadów, parę milionów igieł sosny, wielki bernardyn cieszący się życiem i pisarz, który bez dwóch zdań robił z siebie głupka.

To przez upał, tłumaczył sobie.

Przyklął na brzegu strumienia, nabrał powietrza w płuca, zamknął oczy i zanurzył głowę w wodzie. Rajskie doznania musiały być bardzo podobne. Prostując się, Tony zrozumiał dwie rzeczy. Po pierwsze: nawet gdyby zapuścił brodę godną członka Hells Angels i udałoby mu się stoczyć bójkę ze świętej pamięci Joyce’em, nigdy nie zdobędzie mądrości starego Hemingwaya. Po drugie: jego shit-detektor nie potrzebował kalibracji. Kowboj Hannes nie kłamał.

Drzewo, na którym Gabriel wyciął uśmiech kolibra, znajdowało się po drugiej stronie strumienia. Nacięcie było widoczne mimo upływu lat.

Tony zbliżył się do pnia.

„Głowa węża”, powiedział do Sib, kiedy zobaczył uśmiech kolibra po raz pierwszy. Teraz nie był już taki pewien. Symbol przypominał mu rodzaj malowidła naskalnego albo wręcz symbol niebezpieczeństwa wyrażony w obcym języku. Nacięcia były głębokie: dwie równoległe linie pionowe, dwie kolejne na dole i dwa karby poziome powyżej, jak oczy. Martwe oczy. Ale dlaczego nie da sobie spokoju z tymi niezdrowymi myślami? To był fatalny pomysł, żeby wybrać się tu w pojedynkę, bo sam zaczynał sobie napędzać strachu. Może już czas, żeby...

Nagły dźwięk ściał mu krew w żyłach, a jednocześnie wzbudził niedowierzanie. Tony był zdumiony. Freddy? To on potrafi warczeć?

4

Warczenie było określeniem poprawnym, ale nieprecyzyjnym. Freddy warczał, skomlał, dygotał i sikał jednocześnie, zwracając pysk w stronę krzaka rosnącego obok mrowiska. Skoncentrowany wzrok, napięte mięśnie.

– Chłopaku, co się dzieje?

Freddy nawet nie zaszczycił go spojrzeniem. Krzak. Dla psa wszystko inne przestało istnieć.

Tony ułamał gałąź. Uznał, że jest wystarczająco długa. Przeszedł na drugą stronę strumienia i zachowując jak największy dystans, szturchnął krzak gałęzią.

Nic się nie wydarzyło. Spróbował raz jeszcze, ale gwałtowniej – z takim samym rezultatem co poprzednio. Nic tam nie było, tylko gałązki, liście i mrówki zaabsorbowane robieniem tego, co zazwyczaj mrówki robią w lesie. A jednak Tony był cały spięty. Podszedł parę kroków i gdy był już całkiem blisko, zza krzewu wyłonił się lis. Tony cofnął się gwałtownie, a z gardła wyrwał mu się krzyk. Lis wyszczerzył zęby, z pyska spływała mu piana. Miał żółte, demoniczne oczy. Nerwowo poruszał łbem.

„Wścieklizna”, pomyślał Tony.

– Erika! – zaskrzeczał lis. – *Erika!*

Do biegu, gotowi, start!

Wszystko trwało ledwie parę sekund, ale było to jedno z tych „do biegu, gotowi, start”, których Tony nigdy nie zapomni.

Oczy lisa zamieniły się w przepaść, z której wylewał się mrok. Ten mrok zakrzywił świat. Wokół jego ciała ziemia ugiwała się niczym rozciągnięte prześcieradło, na którym ktoś położył kulę do kręgli.

Tony się zachwiał.

Ciężki oddech rozbrzmiewający w jego uszach nie należał do niego ani tym bardziej do lisa – to był łoskot kipieli. Kipiel wydobywała się z oczu zwierzęcia. Tam w środku był ocean atramentu.

Ziemia się *nachyliła*.

Kula do kręgli zrobiła się jeszcze cięższa. Tony się potknął. Nie stracił równowagi.

Jakaś jego część, ta szangajska, mówiła mu, żeby dał spokój pierdołom w stylu Ricky'ego Riccarda, żeby podszedł do Freddy'ego, który nie przestawał warczeć, uspokoił go i spieprzał razem z nim.

Druga część, ta pisarska, musiała zrobić notatkę: z oceanu atramentu wynurzała się postać – Erika w unurzanej w błocie sukience z balu naturalnego. Pisarska część Tony'ego wiedziała, dlaczego Erika tam jest.

To było miejsce subtelne. Miejsca subtelne są błędami w systemie. Rozstępami, przez które tacy jak on wciskali się do środka, by kraść historie. Nadszedł czas wyrównania rachunków. Erika wynurzyła się z jednego z takich rozstępów, by Tony ten rachunek zapłacił.

Erika Cię Porwie w końcu przyszła.

„Jesteś w wariancie K, chłopaku. Pamiętaj. K”.

Freddy zaskowyczał i Tony natychmiast się otrząsnął. Cisnął w lisa gałęzią. Nie trafił. Zwierzę cofnęło się i popatrzyło na niego z wściekłością.

– Krrrka! Ka! – zakaszłało. – Krrrka!

A nie żadne „Erika”.

– Krrrka! Ka! Ka!

Przez ciało zwierzęcia przechodziły straszliwe drgawki. Oczy były szeroko wytrzeszczone. Odślonięte zęby kąsały powietrze. Freddy znów zaczął warczeć.

Tony odwrócił się plecami do lisa.

– Zaśpiewaj ze mną, Freddy – powiedział i zaczął uderzać otwartą dłonią w udo, wystukując rytm. – Pamiętasz, Freddy? *Another One Bites The Dust*. Dobra magia Freddiego Mercury’ego, pamiętasz? Freddie Mercury sprawiał, że grzmoty ustawały, pamiętasz?

Przez chwilę wydawało się, że to zadziała. Freddy przestał się denerwować, smycz zrobiła się luźna. Były tylko oczy człowieka i psa, wpatrzonych w siebie nawzajem. I równie przerażonych.

– Kochamy Freddiego Mercury’ego, prawda? Freddiego Mercury’ego, nie Freddy’ego Kruegera – szeptał Tony, uświadamiając sobie z lękiem, że zbliża się do bernardyna.

Bał się? Bał się Freddy’ego? Co się, u diabła, dzieje? „To, co się dzieje z subtelnymi osobami, kiedy trafiają w miejsca subtelne”, odpowiedział sam sobie. Wyciągnął dłoń, by pogłaskać psa po pysku. Freddy obwąchał jego palce.

– Brawo, Fred, brawo. A teraz idziemy, a teraz...

– Krrrka! Krrrka! Ka! Ka!

Lis się przybliżył.

Freddy zaczął ujadać. Tony chwycił go prawą dłonią za kufę.

– Pam. Pam. Pam. Pamiętasz, jak tam chodził bas, Fred?

W kieszeni razem z telefonem komórkowym Tony miał jeden z tych śmiesznych wielofunkcyjnych scyzoryków dla niedzielnych górolazów. Nie puszczając pyska Freddy’ego, otworzył scyzoryk, pomagając sobie zębami i raniąc się wargę. Na widok krwi lis zrobił się jeszcze bardziej pobudzony.

– Ka! Ka! Krrrka!

Tony starał się go ignorować.

– Dla zwierząt nie ma protokołu Milwaukee, Fred, okej? Więc lepiej myśl o Freddie Mercury. Piosenka. Dobra magia. Jestem z tobą, okej? Nie bój

się.

Lis drżał. Ślina się. Wydawał ten swój koszmarny dźwięk:

– Krrrka! Ka! Kkkaaa!

Gdyby lis ukąsił Freddy'ego...

Pisarz puścił pysk psa i owinał sobie smycz wokół prawej dłoni, ignorując ból, jaki sprawiała mu taśma wpijająca się w skórę. Podniósł lewą dłoń uzbrojoną w nóż i przygotował się na szarpnięcie. Ostrze opadło i przecięło smycz od strony drzewa.

Gdy tylko Freddy poczuł luz, zebrał energię, by rzucić się na lisa. Tony wbił pięty w ziemię i ciągnął z całych sił. Sto dziesięć kilo czystego morderczego instynktu ruszyło na wściekłego lisa.

Mięśnie Tony'ego napięły się do granic wytrzymałości, ból był niemal nie do zniesienia. Tony poczuł, że jakaś siła katapultuje go naprzód. Przestraszył się, że nie da rady. Obroza jednak wykonała swoje zadanie, Freddy'emu zabrakło tchu i cofnął się. Tony szybko poprawił chwyt, gotując się do kolejnego szarpnięcia.

Nie nastąpiło. Lis znikł.

Freddy zaskowyczał.

Rozdział XXVIII

Godzina szczytu w Black Hat wypadła między pierwszą a drugą. Pracownicy fizyczni, rzemieślnicy, handlowcy i urzędnicy biurowi z Kreuzwirtu i Campo Tures wchodzili do środka, od progu narzekając na upał, żartując z zepsutego klimatyzatora w knajpie, głodni i niecierpliwi. Godzina pełna „zrobisz mi szybciotko tosta?”.

Zazwyczaj Sib nie lubiła pracy o tej porze. Uważała ją za nudną i stresującą. Jednak tego dnia była zadowolona, że nie musi odpowiadać na żarciki klientów.

Tante Frida poradziła jej, by przełknęła dumę, i to była dobra rada. W dziewięciu przypadkach na dziesięć właśnie duma pchała Sibby Pończoszankę w kłopoty. Jednak przełknięcie dumy miało swoją cenę – wielką gulę w gardle.

Zanim to wszystko się zaczęło, przed ósmym czerwca i „Erika zrukuje ci życie”, Sibylle miała plany. Oszczędzić dość, by pójść na studia, wkuwać jak szalona i zrealizować swoje największe marzenie: projektować motocykle.

Miała wszystkie papiery potrzebne, by to osiągnąć. Oraz talent, jak twierdzili niektórzy jej dawni nauczyciele. I oczywiście wątpliwości. Zgoda, politechnika, ale gdzie? Czy w Trydencie jej niemiecki akcent będzie przeszkodą, czy też doda jej egzotycznego sznytu? Czy w Innsbrucku będą na nią patrzeć tak jak na każdą inną studentkę, czy może nuta odmiennego dialektu, która wymykała się jej zawsze, kiedy Sib czuła się pod presją, przystawi jej pieczętkę wieśniary, co to właśnie zesła z gór. Nieważne. Sibylle czuła, że to jest jej droga. Zrozumiała to wtedy, gdy jako jedenastolatka położyła dłonie na kierownicy skutera któregoś z chłopaków z Kreuzwirtu. Gdy miała lat piętnaście, była już świetna w tuningowaniu skuterów kolegom z klasy. Jako szesnastolatka zakochała się w yamahach. Problemem nie był wiek, Sib umiała być cierpliwa, kiedy koncentrowała się na jakimś planie. Dwa lata szybko miną. Jak zawsze problemem były pieniądze. Jak je zdobyć?

Z pomocą przyszła jej ciotka Helga. Powiedziała, że Oskar szuka kelnerki na część etatu. To było w sam raz dla niej. Ale jeśli opuści się w nauce, Oskar ją zwolni. Sibylle poczuła się tak, jakby złapała Pana Boga za nogi.

Początki były trudne, zwłaszcza wieczorami, kiedy napaleni faceci w Black Hat nie potrafili trzymać łap przy sobie. Dobrze widoczny majcher na fajfusów pomógł się jej zaaklimatyzować. Za pensję i napiwki kupiła yamahe i zaczęła odkładać na studia.

Sib nigdy nie zastanawiała się nad swoją pracą w Black Hat ani nad tym, dlaczego Oskar ją zatrudnił. Ciotka Helga i Oskar troszczyli się o nią.

Co więcej można było powiedzieć?

Sib nie przyszło nawet do głowy, że zajęła miejsce należące kiedyś do Eriki. Kelnerki na część etatu w tym samym lokalu. A przede wszystkim Sib nigdy nie pomyślała, że Helga i Oskar się nad nią litują.

„Przełknij dumę”, powiedziała jej Tante Frida. Ale gdzie było napisane, że ma to jej sprawiać przyjemność?

– Hej, Niki!

Tylko jeden człowiek nazywał ją Niki. Jak Niki Lauda. Willy Daum. Lucky Willy. Sześćdziesiąt dziewięć lat i sztuczna szczeka zawsze na wierzchu. Willy nieustannie się uśmiechał. No bo czemu by nie? Przecież był szczęściarzem.

Były listonosz, była nadzieja motocrossu, w wolnym czasie mechanik, wielki smakosz soku z pomarańczy (nigdy nie widziano, by pił cokolwiek, co nie było świeżo wyciśniętym sokiem z pomarańczy) i – również w wolnym czasie – dostarczyciel używanych motocykli dla młodych blondynek. To Willy załatwił jej yamahę za pół ceny i nauczył ją, jak przemienić motocykl w zięjącego ogniem smoka i jak należycie go dosiadać. Sib jeszcze mu nie podziękowała za sztuczkę ze sprężyną.

– To co zawsze?

Willy dał jej znak, żeby podeszła. A ponieważ Willy był najmniej niebezpieczną osobą we wszechświecie, Sib posłuchała.

Rozdział XXIX

1

Po upływie miliona lat pies i jego człowiek wyłonili się z lasu. Podrapani przez krzewy, obolali, z poranionymi łapami (Freddy) i całą resztą (Tony).

Pierwszym impulsem Tony'ego było klęknąć i ucałować asfalt. Ale miał już dosyć szaleństw jak na jeden dzień. Zamiast tego objął bernardyna.

Gdyby ktoś tamtędy przejeżdżał, zobaczył go, jak klęczy uwieszony u psiej szyi z twarzą zanurzoną w brudnej sierści, i uznał jego zachowanie za co najmniej niezwykle, mógł iść się pieprzyć.

Freddy chciał uratować Tony'emu życie. Bernardyn rzuciłby się na wściekłego lisa, by to zrobić. Bo Freddy był durnym grubasem o mózgu tycim jak u kanarka. Durny, durny pies, który nie wiedział, że gdyby lis ugryzł tego idiotę, jego człowieka, nie stałoby się nic strasznego, jedynie przejażdżka na pogotowie, żeby wbili mu w tyłek długaśną igłę. Ale gdyby lis ugryzł Freddy'ego...

– No dobrze. Niebezpieczeństwo minęło. – Tony odetchnął głęboko i wstał. – A my zachowaliśmy odrobinę godności, prawda?

Rozejrzał się. Nie miał bladego pojęcia, gdzie się znajduje. Mapa, nóż, sweter i plecak zostały przy strumieniu. Tony włożył ręce do kieszeni. Klucze, portfel. Ekran telefonu był rozbity.

Tony wykalkulował, że wstążka asfaltu pod jego nogami musiała być wariantem K („nie zapomnij, wariant K jest niebezpieczny”), bo nie zasłzi wystarczająco daleko, by wyjść z doliny. Mustang został na parkingu przy drodze 621K, wystarczy go odnaleźć, by zakończyć ten nieprzyjemny dzień. Ale gdzie jest ten parking? Iść w prawo czy w lewo?

– Tony mówi, że w lewo. Czy Freddy ma jakieś zastrzeżenia?

2

– Słyszałem, że miałaś kłopoty.

Jak szybko wieści się rozchodzą.

– Rudi zajechał mi drogę. Pofruwałam trochę, ale jestem cała.

– On twierdzi, że to ty na niego najechałaś. Powiedział, że chce złożyć doniesienie.

– Nie robi tego.

– Ale tak powiedział.

– Wierzysz mu?

Willy wzruszył ramionami.

– Jak tam siniaki?

- Parę mam. Ale z motocykla nic nie zostało.
- Słyszałem.
- Od Oskara?
- Od twojej ciotki.
- To tylko motocykl.

Willy się uśmiechnął.

- Nie waż się więcej mówić takich rzeczy w mojej obecności.

Kariera sportowa Willy'ego skończyła się w 1972 roku. Nie na torze. Willy nie miał ani jednego wypadku podczas zawodów. W lipcu tego roku Lucky Willy testował jednośląd Moto Guzzi swojego kuzyna Manfreda na drodze numer 621, kiedy zdradziła go plama oleju na asfalcie. Połamana miednica i pęknięta kość czaszki. Lekarz powiedział, że Willy był o włos od śmierci. To dlatego nazywali go Lucky Willy.

Głowę miał twardą, ale złamana miednica nie zrosła się dobrze. Willy utykał, zwłaszcza kiedy zanosilo się na deszcz. Wielka szkoda. Gdyby nie to pechowe zdarzenie, Lucky Willy byłby wielkim rajdowcem.

- Przepraszam. Mam kłopoty. Jestem... podenerwowana.

Oprócz Oskara drzemiącego za barem i paru emerytów zagłębianych w lekturze „Dolomiten” („Na siedemnastej stronie pod nagłówkiem *Media Star* był tekst o Tonym, znacznie mniej jadowity niż na stronie Giò, z obawy przed adwokatami”, pomyślała Sib nie bez satysfakcji) w Black Hat nie było nikogo.

– I nadchodzą kolejne. – Willy wskazał na plakat z Jo Zornem wiszący obok wejścia. Piosenkarz country z gitarą, którą trzymał jak Johnny Cash, wpatrywał się w horyzont.

- Słyszałaś kiedyś jakąś jego piosenkę?

– Coś słyszałam.

– Jo Zorn był o krok od wielkiej sławy, wiesz, był jednym z tych, co chodzą do telewizji i wypełniają fanami stadiony. Umarł, zanim to osiągnął. Pochodził stąd. Josef Zorn, dla wszystkich Jo. Widziałem, jak brzdąkał na gitarze, jak był o, taki mały. Nazywał ją oblubienicą diabła. Ale wiesz, jak to się mówi, kto się z diabłem układa...

Sib cofnęła się o krok.

Willy uśmiechnął się do niej z nieskończoną łagodnością.

– Przynajmniej umarł, zanim zdążył się zestarzeć. Oszczędził sobie mnóstwa niefajnych rzeczy. Ja jestem tylko Lucky Willy, który mógłby coś osiągnąć, a tymczasem...

- Co mi próbujesz powiedzieć?

– Że wciąż mam świetny wzrok i słuch. Zwłaszcza słuch. Szczególnie kiedy ktoś odbiera telefon i zaczyna szeptać. Ciekawość jest rodzaju żeńskiego, ale musi być jakiś element w mężczyznach... jak wy go teraz nazywacie?

- Chodzi o Oskara?

Lucky Willy skinął głową.
– Przygotuj się na ulewę, Niki.

Rozdział XXX

Kierunek okazał się właściwy. Pół godziny później chromy mustanga błysnęły między drzewami. Ale nie, szczęście nie było jeszcze po stronie Tony'ego i Freddy'ego.

Kiedy Tony był zajęty tangiem z Panną Wścieklizną, jakiś debil zabawił się kosztem jego samochodu. Przebite wszystkie opony, a na masce napis wryty czymś ostrym, nożem albo kluczem.

Tony otworzył drzwi. Freddy wskoczył i zwinął się w kłębek na tylnym siedzeniu. Wyglądał na wykończonego i natychmiast zasnął. Tony odkręcił okno, żeby dać mu dopływ powietrza, i zamknął drzwi. Potem wrócił podziwiać grawerunek na masce mustanga.

POJEP

Nie „pojeb”. Właśnie „pojep”.

Klasyczny przykład kreatywnej ortografii.

Z piersi Tony'ego wyrwało się coś w rodzaju krótkiego szloch. Telefon, mimo opłakanego wyglądu, był sprawny. Pisarz zadzwonił po pomoc drogową, powiedział, gdzie się znajduje, powtórzył parę razy, bo przerywało, pożegnał się i wtedy telefon padł. „Co za pojep”. I w tym momencie puściło całe skumulowane napięcie. Tony wybuchł tym rodzajem śmiechu, którym w szkole możesz sobie napytać biedy u nauczycieli: niepohamowanym i wszechogarniającym.

– Halo, szeryfie, jesteśmy na drodze numer sześćdziesiąt sześć – chichotał. – Ścigamy forda mustanga model pojep.

Łzy popłynęły mu po policzkach. Już nie dało się przestać. Ze śmiechu rozboleł go brzuch.

– Steve McPojep w pamiętnej roli w *Bullitt*.

No i naturalnie...

Tony podniósł ręce i naśladując głos spikera ze stadionu sportów zimowych Palaonda w Bolzano, zawołał na całe gardło:

– I oto Tooony Pojep Carcaaanooo! Owacjaa!

Prawie usłyszał rzeszę kibiców skandującą „Po! JEp! Po! JEp! Po! JEp! Po! JEp!”. I poczuł potężne parcie na pęcherz. Pieprzona reakcja histeryczna. Ten cholerny lis, Freddy i... Myśl o wściekłym lisie, niebezpieczeństwie, które groziło Freddy'emu, i strachu, którego się najadł, powinna go uspokoić. Zamiast tego przyszedł mu do głowy inny obraz. Strona z działu kulturalnego gazety „La Repubblica” z recenzją jego książki zawierającą tylko jedno słowo: POJEP.

Ze śmiechu zgiął się wpół, trzymając się za brzuch. „Jeszcze trochę, a się posikam – pomyślał. – Jeśli nie przestanę, zleję się w spodnie, a Polianna...”.

– Proszę pana?

Tony podniósł dłoń.

– Chwi... chwileczkę.

Brakowało mu powietrza.

– Dobrze się pan czuje? Wszystko w porządku?

Śmiech Tony’ego zamienił się w ośli ryk. A ośli ryk w gwałtowny kaszel.

– Tak, d... dobrze – wybełkotał – dobrze.

Z wysiłkiem przyjął wyprostowaną postawę, opierając się o samochód.

Modląc się do boga pisarzy, rzucił okiem na rozporek spodni. Nie posikał się. Hemingway byłby z niego dumny. Hemingway, łowca lwów, kobieciarz i autor niezapomnianego arcydzieła *Stary pojep i...*

Ostatni wybuch śmiechu Tony zamaskował udawanym atakiem kaszlu.

– Potrzebuje pan pomocy?

– Zatelefonowałem po pomoc drogową. Ale dziękuję, że się pan zatrzymał.

Tony wyciągnął dłoń. Uścisk dobrego samarytanina był silny. Dobry samarytanin uśmiechnął się do niego. Miał szparę między jedynekami i jechał czerwonym pikapem.

Rozdział XXXI

Jak obwieszczał napis na szyldzie, Black Hat był salą taneczną. W głębi lokalu znajdowało się podwyższenie dla orkiestry. W każdy piątek grano tu muzykę na żywo. Ale przez resztę tygodnia Black Hat był po prostu barem. Biada jednak temu, kto by się ośmielił powiedzieć to przy Oskarze.

Biada również temu, kto nazwałby schowkiem to, na co Oskar mówił „biuro”. Parę metrów kwadratowych wydzielonych z przebieralni dla artystów (równie ciasnej) i magazynu (ten z kolei był niemal tak wielki jak sala barowa), które zawsze wywoływały w Sibylle poczucie klaustrofobii. Nie było tam nawet okna. Tylko biurko z komputerem, plakat Hanka Williamsa i jedno krzesło.

To nigdy nie był dobry znak, kiedy Oskar zapraszał tam kogoś na rozmowę. A już na pewno, gdy ten ktoś zastawał go przy rachunkach z długopisem w ręku i ściągniętą twarzą.

Nie waż się. Nie waż się płakać. Nie daj mu tej satysfakcji.

– Okej. – Głos jej zadrżał. Ale tylko trochę.

– To dla mnie bardziej przykre niż dla ciebie. Ale sama widziałaś rachunki. Sprawdziałem wszystko trzy razy. Niestety...

Sib rzuciła mu spojrzenie, po którym zamilkł.

– Niestety... – podjęła.

Oskar opuścił głowę, nie kończąc.

Sib wystarczyła sekunda, by powiedzieć to za niego.

„Niestety poszłaś do Lehrerin Rosy. Rozmawiałaś z Hannesem kowbojem. Niestety zadajesz za wiele pytań. Nie wystarczą ci zwłoki wyłowione z jeziora. Nie przyjęłaś nowej yamahy. Prawdziwy policzek. Mogłaś to zrobić. Powinnaś była to zrobić”.

Miała ochotę chwycić księgi rachunkowe i rzucić nimi o ziemię. Złapać komputer i rozbić go na gębie Oskara. Wykrzyzczyć mu całą swoją pogardę. Ale to by w niczym nie pomogło, poza tym, że – najprawdopodobniej – skończyłoby się wybuchem płaczu. A tej satysfakcji nie zamierzała mu dać. Ani jemu, ani Karin Perkman.

– Niestety nadepnęłam komuś na odcisk – powiedziała tylko.

Rozdział XXXII

– Cztery opony przebite. Jedna to nieszczęście. Dwie to znak od losu. Ale cztery to...

– Wandalizm.

– Kurewski.

Nieznajomy poprawił czapkę na głowie. Miał koło metra osiemdziesięciu, szerokie bary i wygląd amatora befsztyków, który zarabia na życie pracą na świeżym powietrzu. Szpara między jedynkami i dołek w podbródku nadawały mu aurę osoby, która potrafi być do rany przyłoż, jeśli zechce.

– W pełni się zgadzam, panie...

– Rudi. Nazywam się Rudi Brugger.

Czy Tony nie słyszał już tego nazwiska?

– Zadzwoił pan po karabinierów? Ten samochód musi być wart fortunę.

Oryginał?

– Tak.

Rudi gwizdnął z podziwem.

– Absolutne cacuszko. Przepraszam, nie dosłyszałem, jak się pan nazywa.

– Carcano. Tony.

Rudi cofnął się o pół kroku ze zwinnością tancerza.

– Żartuje pan? Pisarz? Ten z Bolzano?

Mauro, agent Tony’ego, twierdził, że dziewięćdziesiąt dwa procent jego czytelników to kobiety. Tony nigdy nie wierzył w te dane. Było mnóstwo facetów, którzy z przyjemnością czytali o złamanym sercach, a odkąd E.L. James rozpoczęła triumfalny pochód przez świat wydawniczy, także o sadomasochistycznych praktykach w zaciszu gabinetów. A jednak trudno było sobie wyobrazić tego osiłka zaczytanego w *Pocałunku o północy* albo *Łowczyńni nocnych motyli*...

– We własnej osobie. Możemy sobie mówić na ty?

Rudi klepnął go z rozmachem po plecach. Otarcia i sińce podziękowały.

– To dla mnie zaszczyt.

Rudi zniknął we wnętrzu czerwonego pikapa. Po chwili wyszedł z niego, machając egzemplarzem *Dwojga*, pierwszej powieści Tony’ego. Był tak zadowolony, że przez chwilę Tony wrócił do teorii światów subtelnych.

O ile w lesie trafił do świata wyszczerzonych zębów i piany leżącej z pyska (wariant „Krrrka! Ka!”), o tyle w tej chwili, obok zgwałconego mustanga, napisu na masce i szczerzącego się faceta z egzemplarzem jego powieści, musiał trafić wprost do fantastycznej krainy Oz.

– *Dwoje* to moja ulubiona – powiedział Rudi. – *Szczęśliwa Cyganka* też jest niezła, może tylko trochę długa. A *Północ* jest naprawdę dobra. Dla mnie zaraz po *Dwojgu*. Ten policjant, który najpierw wygląda na drania,

a okazuje się fantastycznym samotnym ojcem. Jak miała na imię jego córka? Ta, co przypisywała wszystkie kolory tęczy nastrojom ojca? Tato czerwony. Tato...

– Lara.

– Właśnie, Lara! Cudowna. A potem jeszcze ta, co sprzeciwia się woli rodziny, byle tylko... – Rudi urwał. – Przepraszam. Jestem fanem.

– Widać.

– W każdym razie *Dwoje* jest najlepsza ze wszystkich. Nie robię ci przykrości, że tak mówię?

– Nie, bardzo mi miło to słyszeć.

– Mogę ci zadać pytanie?

– Oczywiście.

– Nawet jeśli będzie osobiste?

– Spróbujmy.

Niespodziewanie wyraz twarzy Rudiego się zmienił. Facet nie wyglądał już na jowialnego drapieznika, który opowiada historyjki, żeby podnieść cię na duchu. Wyglądał po prostu na drapieznika.

– Jak śpisz w nocy, panie pisarzu?

– Słucham?

Gość zaczął czytać.

– „Otworzyła się ciałem i sercem. Jej umysł stał się falowaniem rozkoszy, gdy on wchodził w nią ruchami nieśmiały i jednocześnie...”.

Rudi nie otworzył na pierwszej lepszej stronie. Między kartkami tkwiła zakładka, a fragment był dodatkowo podkreślony. Kto zadaje sobie trud, by zakreślać fragmenty jego powieści? To nie drapieżny wyraz twarzy Rudiego przestraszył Tony’ego. Przestraszyły go zakładka i podkreślenia.

– Zabrałem ją z biblioteki w Campo Tures. Z biblioteki publicznej, rozumiesz, panie pisarzu? A skoro już sobie tak rozmawiamy w cztery oczy, jesteśmy dorośli, nie? Opowiadanie o tym, jak, z kim i gdzie można zamoczyć, to normalna sprawa. Dla dorosłych. Ale do biblioteki chodzą... – Rudi potrząsnął dłonią. Jego głos zrobił się przenikliwy. – Widziałem tę książkę w ręku *dziewczynek*. Praktycznie dzieci. A ty jak to nazywasz?

– Możesz się cofnąć?

Rudi uderzył go książką w pierś. Nie za mocno. Taki leciutki kuksaniec.

– To jest pornografia! – zawołał. – To jest nieczystość. Por-no-gra-fia.

– Krok w tył, proszę.

– Możesz spać w nocy, panie Carcano? Zadowolony i wygrzany jak jajo w kurzej dupie? Zasypiasz, licząc zera na koncie w banku? Gdybym był na twoim miejscu, nie spałbym tak spokojnie. Nigdy nie wiadomo, czy ktoś nie otworzy i ciebie tak jak...

Klakson. Laweta pomocy drogowej.

– Jeszcze się zobaczymy, mądralo.

Rudi przywitał się z kierowcą lawety. Żarcik, uścisk ręki, pożegnanie. Potem wsiadł do swojego czerwonego pikapa. Otworzył okno. Nachylił się w stronę pisarza.

Z uśmiechem wypowiedział zdanie, które zaparło Tony'emu dech w piersiach.

Rozdział XXXIII

1

To nie było jezioro na pocztówkę.

Nie miało nic wspólnego z alpejskimi jeziorami, marzeniem wszystkich fotografów. Jezioro w Kreuzwircie nie pozowało do zdjęcia. Przypominało bardziej staw z poszarpanymi brzegami. Jak gdyby Bóg tego dnia, w którym postanowił je stworzyć, gdzieś się spieszył. Wetknął swój boski palec w środek torfowiska, a potem napełnił tę dziurę wodą. Załatwione. Co dalej na liście?

To bezimienne jezioro nie było nawet duże. Jakieś dwadzieścia metrów od brzegu do brzegu, nie więcej. Ale było głębokie. I choć źródło napełniało je przez cały rok, jego wody nigdy nie były naprawdę przejrzyste ze względu na błoto torfowiska. W środku nieprzejrzystość zamieniała się w mrok.

Ale w sumie Bóg wykonał porządną robotę. Jezioro miało swój urok. Zwłaszcza kiedy nozdrza przyzwyczyły się już do woni torfowiska. Poza tym w przeciwieństwie do alpejskich jezior, fotogenicznych i pełnych poezji, ale zasadniczo martwych, jezioro w Kreuzwirt kipiało życiem. Żaby, ropuchy, traszki, a wokół brzegów dżdżownice, motyle każdego kształtu i rozmiaru, ptaki.

Sibylle nie pamiętała, jak długo siedzi nad brzegiem, naprzeciwko miejsca, w którym doktor Horst wyciągnął z wody ciało Eriki.

Nigdy jeszcze nie czuła się tak samotna. Samotna i wściekła.

„Zadowolona jesteś? Spieprzyłaś mi życie. Po raz drugi”.

– Pieprzona Erika.

Żeby się uspokoić, powinna założyć kask i dodać gazu. Ale yamaha nadawała się na złom. A po tym, jak Oskar ją zwolnił, możliwości kupienia nowej skurczyły się do minimum.

„Bądźmy poważni”, pomyślała. Yamaha była najmniejszym z jej zmartwień. Sib musiała jeść. Płacić rachunki. Oszczędności zgromadzone na studia rozejdą się w mig. Minie parę miesięcy i będzie musiała spakować walizki i sprzedać dom Eriki.

Kogo chciała oszukać? Było znacznie gorzej. Nikt w Kreuzwircie nie da jej pracy, nikt nie kupi domu otoczonego krzakami dzikich jeżyn. Nie wzięliby go, nawet gdyby Sibylle im dopłaciła. Przeznaczeniem domu Eriki było wysysanie z niej krwi przez całą wieczność.

To właśnie przydarzało się tym, którzy zadzierali z Perkmanami.

Chyba że Sibylle postanowi zapomnieć o wszystkim. Bo Perkmanowie byli w porządku. Jeśli tylko zechce, sprawa szybko się skończy. Wystarczy,

że wstanie, otrząśnie się z torfowego blocka i zadzwoni do bramy Krottn Villa.

Karin i Michl wysłuchają jej problemów. Pocieszają Sibyllę się ukorzy. Powie, że się pomyliła. Że głupie rzeczy przychodzą do głowy głupim dziewczynom, takim jak głupia Sibyllę. Karin i Michl przyjmą jej przeprosiny, osuszą łzy i spalą zdjęcie Eriki z uśmiechem kolibra. Wszystko zostanie wybaczone.

Zażyj lekarstwo, Sib.

Jest gorzkie, ale pomoże.

Zachowasz dom. Kupisz motocykl. Może nawet lepszy niż używana yamaha. Spotkasz fajnego chłopaka z okolicy. Takiego bez fiu-bździu w głowie, takiego, który będzie cię zabierał zimą na narty, a latem nad morze. Mąż bez komplikacji. Od czasu do czasu przeczytasz kolejną książkę Tony'ego i doznasz ukłucia melancholii. Szybko przejdzie, zobaczysz. A kiedy obudzi się w tobie Sibby Pończoszanka, kiedy nocą poczujesz, że się dusisz, kiedy jakiś gówniarz narysuje uśmiech kolibra na drzwiach twojego domu, wsiądziesz na swój nowy piękny motor i pojedziesz w las spokojna, że żaden czerwony pikap nie zajędzie ci drogi. Przy odrobinie dobrej woli świat z wolna zacznie się zmniejszać. Jego granice się skurczą. Aż zostaną tylko Kreuzwirt i pelargonie w oknach.

Małe szczęśliwe miejsce dla małej szczęśliwej Sibyllę.

2

O zachodzie słońca Sibyllę uznała, że czas wrócić do domu.

Rozdział XXXIV

1

Byli uczynni.

Zastępcza toyota i tiszert w rozmiarze XXXL, który wisiał na nim jak na strachu na wróble. Jeśli chodzi o opony, potrzebowali kilku dni, nie mieli takiego rozmiaru. Jeśli chodzi o karoserię, nie mieli odpowiedniego sprzętu, ale mogli poradzić się jednego gościa, który...

Tony uciął rozmowę. Włożył parę banknotów do brudnej od smaru ręki faceta z pomocy drogowej, nabazgrał swój numer telefonu na kartce i zapytał o najbliższy gabinet weterynaryjny.

Doktor Pirrone zdezynfekował skaleczenia Freddy'ego i zaoferował, że zrobi to samo ze skaleczeniami Tony'ego. Potem zaaplikował psu pierwszą dawkę szczepionki na wściekliznę. Freddy nie był entuzjastą tego pomysłu, ale przyjął zastrzyk z klasą dobrego stoickiego bernardyna. Weterynarz zapisał go na dalszy ciąg w następnym tygodniu. I jeszcze następnym, po raz trzeci. Po tym wszystkim Panna Wścieklizna już Freddy'emu nie zagrozi. Tony podziękował.

Wciąż w Campo Tures znalazł sklep z telefonami komórkowymi i kupił sobie nowy. Jadąc do Kreuzwirtu, zadzwonił do Polianny. Spóźnił się na kolację, ale wszystko jest w porządku. Zrobili sobie porządny spacer. „Żadnych kłopotów. I wspaniałe słońce. Nie martw się o nas”. Próbował się dodzwonić do Sibylle, dwa razy, ale nie odbierała.

2

Zostawił toyotę na parkingu przed Black Hat chwilę po ósmej.

Niebo na zachodzie miało obrzydliwy kolor zakrzepłej krwi. No i dobrze. Ani Tony, ani Freddy nie mieli nastroju na romantyczne zachody słońca.

Rozdział XXXV

1

Ktoś palił papierosa przed drzwiami jej domu. Skulona postać siedziała na schodkach. Żar z papierosa oświetlał twarz.

– Wolfie.

Emerytowany strażnik leśny wpatrywał się w nią przez chwilę mętным wzrokiem. Miał zaczerwienione oczy. Sib po raz pierwszy widziała go pijanego.

– *Ciao*, dziecko. Słyszę, że u ciebie ostatnio tak sobie.

– Gówniany czas.

Wolfie wskazał na swój plecak. Solidny, niejedno już przeszedł.

– I na tym nie koniec. Obawiam się, że to moja wina.

Sib zdrętwiała.

Wolfie próbował wstać. Zachwiał się i usiadł z powrotem.

– Mam słabą głowę. Pomożesz mi?

Sibylle nie chwyciła dłoni, którą mężczyzna wyciągnął w jej stronę.

– Najpierw powiedz, co tu robisz.

– Uparta. I ślepa. To niemały problem.

– W Kreuzwircie?

– Na tej ziemi, moje dziecko.

– Karin cię przysłała?

Wolfie spróbował wstać raz jeszcze, zachwiał się, ale tym razem nie upadł.

– Wszyscy jesteśmy coś winni Friedrichowi. To był w porządku gość. Należności niespłacone ojcom trafiają do kieszeni dzieci. Czy nie tak się mówi?

– Co masz w plecaku?

Wolfie rzucił niedopałek na ziemię. Zdeptał go obcasem. Schylił się po niego. Mało brakowało, a upadłby na twarz. Gdyby tak się stało, Sib zostawiłaby go tam. Schował niedopałek do kieszonki koszuli w kolorze khaki i wskazał na plecak.

– Otwórz go.

Zawahała się, ale zrobiła to. W plecaku znajdował się trzonek od kilofa.

– Miałeś połamać mi kości?

– Nie... znaczy...

– Znaczy jeszcze nie?

Wolfie zapalił kolejnego papierosa. Splunął na ziemię.

– Po tym, co chemia zrobiła z mojej biednej Margherity, czuję do nich obrzydzenie. Jakbym brał do pyska spalone gówno. Ale nie rzucam. Każdy

papieros przybliża mnie tam, gdzie ona teraz jest. Tęsknię za nią. Tęsknię za tamtymi czasami. Wszystko miało swoje miejsce. Margherita była moim miejscem. Teraz czuję się bez pary. Stara skarpeta bez pary.

To wyznanie wypowiedziane bez śladu użalania się nad sobą, tylko z głębokim bólem, w każdym innym momencie zrobiłoby na Sibylle wrażenie.

Ale nie tego dnia. Nie, kiedy Wolfie miał trzonek od kilofa w plecaku.

– Myślisz, że nie potrafiłabym rozwalić ci głowy?

– Wyświadczyłabyś mi przysługę, dziecko.

Sib poczuła nagłą chęć, by to zrobić. Wziąć ten cholerny trzonek i roztrzaskać czaszkę starego pijaczyny. Tęsknił do swojej ukochanej żony? Sibby Pończoszanka ekspresowo by go do niej wysłała.

– Najpierw tobie – syknęła – a potem tej suce Karin.

Wolfie uśmiechnął się krzywo.

– Zanimbyś zdążyła podejść bliżej, Rudi by cię zatrzymał. Albo Michl. Albo...

– Albo dzielni mieszkańcy Kreuzwirtu.

Sib z obrzydzeniem rzuciła trzonek kilofa na ziemię.

– Po co przyszedłeś?

– Prędzej czy później trzeba zapłacić za grzechy.

– Jakie grzechy?

– Wszystkie. Co do jednego. Dlatego tu jestem. Żeby zapłacić za grzechy.

I zostawić ci ostrzeżenie.

– Od Karin?

– Od Michla. Przyszedł osobiście. Zawsze mnie przerażał. Bardziej niż Karin. Może dlatego, że jest lekarzem, a ja nigdy nie lubiłem lekarzy. – Wolfie podrapał się po niedogolonym podbródku. – Karin jest wściekłym lisem. Jak ten, który ukąsił twoją matkę. Ktoś ją zaraził i co ona może z tym zrobić? Nic. Ale Michl, tylko on mógłby... Moja biedna głowa...

Wolfie musiał się oprzeć o ścianę. Sib zrobiło się żal starca. Podtrzymała go i pomogła mu usiąść na ziemi. Weszła do domu, napełniła szklanę wodą.

– Dzięki.

Sib przykucnęła obok niego.

– Co może ci zrobić Michl, że tak się go boisz?

– Wszystko. I nie ponieść konsekwencji.

– Karin by mu nie zabroniła?

– Może tak, może nie. Może naprawdę się kochają, a może tylko bawią się patrzeniem, jak skaczymy. To mnie w nich przeraża. Karin mówi, a ty skaczesz. Karin mówi, a ja... ja jestem tutaj. Z tym durnym kijem, żeby grozić dziecku.

– A jak nie, to co? Co ci zrobią?

– On nie jest mój, rozumiesz, dziecko? Dom nie jest mój.

Nikt się nie zatrzymał. Nikt ich nie widział. Drobnej dziewczyny, która podtrzymywała starca ze sflaczałym plecakiem na ramionach. A jednak Sibylle i Wolfie spotkali po drodze wielu mieszkańców Kreuzwirtu. „Staliśmy się niewidzialni”, pomyślała. A może tylko ona stała się niewidzialna. Jak Erika, zanim się utopiła.

Sib odprowadziła Wolfiego do domu. Pomogła mu otworzyć drzwi i położyć się w małżeńskim łóżku. A kiedy przykrywała go do snu, zobaczyła, jak bierze z nocnego stolika fotografię Margherity i kładzie ją na poduszce obok siebie.

Życzyła mu dobrej nocy.

Wolfie nie odpowiedział. Już spał.

Sibylle wyszła. Z trzonkiem od kilofa na ramieniu.

Rozdział XXXVI

Tony usiadł przy kontuarze.

– Bourbon. Jim beam.

– Sibylle nie ma – oznajmił Oskar. – I nie podajemy alkoholu kierowcom.

– Kieruje pies. A Big Jim jest dla mnie. I nie szukam Sibylle.

Oskar podał mu whiskey. Tony wypił jednym haustem, przypominając sobie ostatnie słowa, które powiedział mu Rudi. „Miłego wieczoru, panie Carcano. Dla pana i dla Eriki”.

Nie Sibylle. *Eriki*.

I to go przeraziło. Ale podsunęło mu także pewną myśl.

– Wiesz, jak się mówi w takich wypadkach, nie?

– Nie.

Tony mrugnął do niego.

– Krrrka.

– Proszę?

– To w języku lisów – odparł Tony. – Oznacza: mam do ciebie trzy pytania. A może nieco więcej, nie wiem, od ciebie zależy. Poza tym trzy to ładna liczba. A więc mam do ciebie trzy pytania. Trzymaj się mocno, oto pierwsze: zależy ci na dobru Sibylle?

Oskar zabrał butelkę z kontuaru.

– Nie lubimy tu pijaków.

– Pies prowadzi. Ja zadaję pytania. Pytanie numer jeden: zależy ci na dobru Sibylle?

– Pójdiesz sobie, jak już odpowiem?

– Z prędkością światła. – Tony położył banknot na ladzie. – Zatrzymaj resztę.

– Jest dla mnie jak córka.

– Drugie pytanie. Kim jest Rudi?

Oskar potarł sobie knykcie.

– Po co ci to wiedzieć?

– Rudi. Wielki, muskularny. Dołek w podbródku. Doskonały gust, jeśli chodzi o dobór lektur, ale fatalny charakter.

– To syn Petera.

Zapach środka odkażającego. Esencja różana. Dom opieki o tej idiotycznej nazwie, Jutrzenka. Lehrerin Rosa i jej krzyżówka. Rudi, syn Petera, który zbudował oranżerię dla pani. Dlaczego wcześniej na to nie wpadł?

– Dozorca w Ropuszynie Dworze.

– Tak.

– Założę się, że mieszka w domu, który Friedrich Perkman podarował jego ojcu. Bo Perkman był kimś, kto...

– Kto troszczył się o ludzi. Tak.

– I co jeszcze Rudi robi dla Perkmanów? Od czasu do czasu przeciera rodzinne srebra czy...

– To nie twoja sprawa. Ani moja.

Tony podsunął mu opróżnioną szklanę.

– Byłbyś tak dobry i nalał mi wody? Niegazowanej, bardzo proszę. Nienawidzę bąbelków. I bez cytryny. Mam już dosyć kwasu na dziś.

Oskar nie ruszył się z miejsca.

– Oskar, uwierz mi, ja jestem przekonany, i mówię to szczerze, że Sibylle jest ci bliska. I jestem pewny na sto procent, że mimo charakterku, który okazuje, ona to odwzajemnia. – Stuknął palcem w blat. – Wody spragnionym, bardzo proszę.

Oskar podsunął mu szklanę mineralnej.

Tony wypił zawartość duszkiem. Nie zdawał sobie sprawy, jak był odwodniony przez ostatnie godziny.

– I tu właśnie jest problem. Przynajmniej dla mnie. Bo ten śliczny szczeniaczek bardzo się przywiązał do dziewczyny i nie chce jej sprawić przykrości.

– Grozisz Sib?

– Nie, grożę tobie.

Oskar wybuchł głośnym śmiechem. Na jego miejscu Tony zrobiłby to samo. Między nim a właścicielem Black Hat było przynajmniej dwadzieścia kilo różnicy.

– Wiesz – ciągnął Tony z szyderym uśmiechem – w starych dobrych czasach w mojej dzielnicy było na pęczki takich wielkich i umięśnionych pewniaków jak ty. Chodzili z nożem w kieszeni i mieli ogromną chęć wygarbować skórę takim gnojkom jak twój aktualny rozmówca. Albo upuścić im trochę krwi. Więc trzeba było być bardzo szybkim i ja byłem szybki. Jak błyskawica. Ale niekiedy szybkość nie wystarczała. Więc się uczyłeś. Chcesz wiedzieć, czego mnie nauczyły te osiłki?

– Mów, co masz do powiedzenia, i nie pokazuj się więcej w moim lokalu.

– Zgoda. Ale najpierw musisz mi wyjaśnić, z jakiego powodu ktoś, kto prowadzi miejsce takie jak to, wybiera się na hamburgera i frytki do kiosku? Nie podajecie tutaj hamburgera z frytkami? Może w dziewięćdziesiątym ósmym nie było jeszcze tej płyty do smażenia? Kokaina? Piguły? Czego szukałeś u kowboja Hannesa? A przede wszystkim: gdybym zadał to pytanie Sibylle, co by o tobie pomyślała?

Oskar zbladł.

Tony nie odpuścił.

– Może jeździłeś tam na dziewczyny. Takie, co uciekły z domu i potrzebowały pieniędzy. Jak Erika. Tak więc bądźmy znów przyjaciółmi i odpowiedz na trzecie i najważniejsze pytanie: skłamałeś, kiedy powiedziałaś, że Sibylle jest dla ciebie ważna?

Oskar zacisnął pięści. Tętnice szyjne na wierzchu, oczy zwężone w szparki, nozdrza rozedrgane i rozwarłe.

Tony nawet nie mrugnął.

– Jesteś pewien, że to dobry pomysł?

Pięść oparła się o kontuar. Oskar nalał sobie szczerą porcję jima beama.

Wychylił zawartość, nie przestając patrzeć na pisarza z nienawiścią.

– Kokaina. W dziewięćdziesiątym ósmym Black Hat był na krawędzi. Miałem trzydzieści trzy lata i puste konto. Nie wiedziałem, co robić. Musiałem zwolnić personel. Ale nie Erikę.

– Dlaczego?

– Z powodu tego, jak ją traktowali. Żal mi jej było.

– Kto?

– Wszyscy.

– Gabriel, Elisa, Karin?

Oskar pokręcił głową.

– To były dzieciaki. Nie miałem nic do dzieciaków. Kłóca się, a następnego dnia jakby nic się nie stało. Zadarłem z dorosłymi. Kpili z Eriki za jej plecami. Ta sprawa z tarotem. Erika naprawdę była przekonana, że potrafi czytać przyszłość z kart. A oni ją jeszcze zachęcali. Żeby mieć potem co opowiadać.

Tony uniósł brew.

– I płacili jej?

– To był sposób na pokazanie, gdzie jest jej miejsce.

– A więc tak: redukujeś zatrudnienie, przybywa ci roboty. Jedziesz do *brattaro* przy sześćset dwadzieścia jeden K po zapas kokainy. I znajdujesz Erikę. Co dalej?

– Sprawy się ułożyły. Zły czas minął.

– Nie dla Eriki.

– Mówiłem o Black Hat.

Tony prychnął sarkastycznie.

– Perkman nie zostawia przyjaciół w biedzie, co nie?

– Podsunął mi pomysł, żebym zamienił Black Hat w salę taneczną. Przestrzeni było dość. Wystarczyło tylko trochę zainwestować. Pomógł mi zorganizować pierwsze koncerty. I zamieścić reklamy w gazetach.

– I to wszystko?

– Jeśli wkurzyłeś Perkmana, to wkurzyłeś Petera. A jeśli wkurzasz Karin...

Rozdział XXXVII

Kiedy Sibylle oznajmiła Heldze, że zamierza zamieszkać w domu, który Erika dostała w spadku po matce, ciotka nie była szczęśliwa. Dom jej siostry potrzebował solidnego remontu, prawdopodobnie wielkiego nakładu środków. Sib ryzykowała, że utopi w nim wszystkie oszczędności.

Poprosiła o radę Oskara. Właściciel Black Hat po szybkiej inspekcji orzekł, że czarno to widzi. Instalację elektryczną mógłby wziąć na siebie, Sibylle przeżyje bez wymiany kafelków w łazience, a na pleśń można dostać doskonałe środki. Ale okna i drzwi trzeba było koniecznie wymienić, bo framugi kruszyły się przy dotknięciu. A to już kosztuje mnóstwo pieniędzy. Mniej więcej tyle samo co naprawa dachu, który w wielu miejscach przeciekał.

– Jesteś pewna, Sib, że chcesz brać na siebie tyle roboty?

Było tak samo jak z yamahą: jeśli Sibylle wbiła sobie coś do głowy, to koniec, nie dało się jej nic przetłumaczyć. Dzięki przysługom życzliwych i niewielkiej pożyczce z banku dom Eriki z powrotem stał się zdalny do zamieszkania. Nie, nie był doskonały. W pokojach hulał przeciąg. Bojler w łazience działał w kratkę, a butle z gazem pod małą kuchenką śmiertelnie przerażały Sib. Ogrzewanie zimą kosztowało fortunę. Ale był jej własny.

W tych ścianach zawsze czuła się bezpiecznie.

A teraz dom otoczony jeżynami stał się pułapką. Widywała pułapki w lesie, natrafiała na złapane w nie lisy. W pewnym momencie niemal wszystkie zwierzęta ogarniała rozpacz z głodu, pragnienia i bólu i zaczynały kasać uwięzioną łapę, by ją odgryźć i uciec. Przerażający widok.

Sibby Pończoszance zachciało się śmiać. Lisy są mądre i nie kończą w nekrologach. Zrób jak lis, odgryź sobie łapę i uciekaj daleko stąd.

Sib podniosła trzonek od kilofa i wydała okrzyk. Brzęk pękającej szyby w pierwszym oknie rozgrzał jej serce.

Rozdział XXXVIII

Jasnowłosa blondynka, łudząco podobna do Sibylle – ale to nie mogła być ona, bo Sibylle nigdy nie zrobiłaby czegoś podobnego – tańczyła wokół domu Eriki, tłukąc okna czymś w rodzaju masywnej pałki.

– *Di Erika kimpt di holn!* – krzyczała. – Erika przyjdzie i cię zabierze! Ta suka nadchodzi!

– Sib? – zawołał Tony, nie dowierzając temu, co widzi.

Dziewczyna rzuciła trzonek kilofa na ziemię.

– Oskar – powiedziała, jakby to miało wytłumaczyć wszystko.

– Co Oskar?

– Dostał telefon od Karin. No więc jestem bez pracy. Nadepnęliśmy komuś na odcisk, prawda? A Wolfie miał mi zostawić ostrzeżenie. Ale był zbyt pijany, żeby to zrobić. Więc sama sobie zrobiłam ostrzeżenie.

Roześmiała się. Ten śmiech przypomniawszy Tony'emu skrzek wściekłego lisa. Krrrka! Krrrka! Ka! Nawet Freddy wyglądał na przestraszonego.

– Po kolej, dobrze? Oskar cię zwolnił, bo tak kazała mu Karin. Dotąd nadażam. Dalej już nie. Dlaczego demolujesz własny dom?

– Dlatego że Wolfie był zbyt pijany, żeby to zrobić. – Głos Sibylle zabrzmiał piskliwie. – A ja jestem durna. I ty też. Bo wciąż nie zrozumiałeś, że Perkmanowie są panami wszystkiego. I wszystkich.

– Sib, proszę cię...

– Proszę?! – Sibby Pończoszanka rzuciła się na niego jak rozpędzony pociąg. – Nie mam pracy, nie mam nikogo. A motor... ten skurwysyn Rudi zniszczył mój jebany motor. Nawet jego nie mam!

Tony poczuł skurcz w żołądku.

– Mówiłaś, że to był wypadek. Że się wywróciłaś.

– Rudi zajechał mi drogę tym swoim tirem.

– Rudi?

Sibylle złapała się za głowę i zaczęła znowu powtarzać:

– *Di Erika kimpt di holn! Di Erika kimpt di holn!*

Tony zareagował instynktownie. Objął ją. Próbowwała się uwolnić. Nie pozwolił jej. Wybuchła szlochem. Tony poczuł łyżę przez bawełnę tiszertu.

– Erika nie żyje. To jedyna osoba, która nie może cię już skrzywdzić. Nie złość się na nią – powiedział, gładząc ją po włosach. – Dlaczego nie powiedziałaś mi o Rudim?

Sib przełknęła dumę.

– Nie chciałam, żebyś pomyślał, że nie potrafię się o siebie zatroszczyć.

– Nigdy bym tak nie pomyślał.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

W dali dało się słyszeć niepowtarzalne wołanie nura rdzawoszyjnego. Freddy zaskowyczał.

Łzy wyschły. Oddech Sib się uspokoił.

Tony spróbował się odsunąć, ale Sib przytrzymała go z całej siły.

– Poczekaj jeszcze chwilę, okej?

– Okej.

– Nic w tym seksualnego, jasne?

– Nawet o tym nie pomyślałem.

– Potrzebuję się tylko wysmarkać. Kiedy płacze, leci mi gil z nosa.

– Naprawdę potrafisz sprawić, by mężczyzna poczuł się potrzebny.

Sibylle zachichotała.

– A jak tam twój dzień, Panie Smarkatka?

– Bardzo pojepany.

Nie wypuszczając jej z objęć, Tony opowiedział o lisie, mustangu i swoim spotkaniu z Rudim.

– Wiadomość jest jasna – zakończył. – Masz stąd odejść. Powinnaś była to zrobić już wcześniej.

– Chcesz odpuścić?

– Ani mi się śni – odparł Tony. – Minęły już czasy, kiedy Carcanowie zginali karki.

To nie były jego słowa. Wypowiedzenie ich sprawiło, że poczuł dreszcz. I gniew. Wielki gniew, który przeszył jego ciało jak wstrząs elektryczny. Sibylle musiała to poczuć, bo odsunęła się i popatrzyła na niego pytającym wzrokiem.

– Mówię ci tylko, że potrzebujesz bezpiecznego miejsca, w którym wyłiesz się z ran. Możesz zatrzymać się u mnie na kilka dni. Mam pokój gościnny, z którego nigdy nie korzystam. Jeśli nie chcesz, są hotele. Ja płacę, o tym nie będziemy dyskutować. Ważne, żebyś...

Sibby Pończoszanka dała mu kuksańca w bok.

– Zapomnij, Mister Macho. Ja się stąd nie ruszam.

Był nieprzejednany.

– Perkmanowie uderzają tam, gdzie wiedzą, że cię zabolą. Motor, praca, pieniądze, dom. A przede wszystkim duma. Bo wiedzą, że ty nigdy nie prosisz o pomoc. Ale nie jesteś już mile widziana w Kreuzwircie i to nie jest dla ciebie bezpieczne miejsce. Dlatego chcę, żebyś spakowała walizki i pojechała do Bolzano. Zaprosiłbym cię już wcześniej, gdybyś mi powiedziała o wypadku. I...

Westchnienie.

Drugie westchnienie.

– Próbuję ci powiedzieć, że nawet jeśli ty odpuścisz, Pan Smarkatka nie odpuści i pociągnie to aż do samego końca.

– Dlaczego?

Tony podniósł oczy do nieba i powtórzył zdanie sprzed dwudziestu lat.

– Bo już nie ma gwiazd.

Rozdział XXXIX

1

Był wieczór 23 marca. Milani czekał na niego przed wejściem do redakcji. Niemal siłą wepchnął Tony'ego do swojego Citroëna, zagadał go kompletnie i zmusił do wędrówki od baru do baru. Nazwał to Jim Beam Tour.

W samym środku nocy, urznięci w trzy dupy, znaleźli się na jakiejś wiejskiej ulicy tuż za miastem. Tony leżał na ziemi, Milani niewiele dalej obsikiwał uschnięty krzew winorośli, wydając z siebie jęki zadowolenia.

– Przywykniesz – powiedział fotograf. – Musisz tylko nauczyć się jednej sztuczki. Połykać bez smakowania.

Tony zdołał przewrócić się na bok, tylko na tyle, na ile było trzeba, by nie zwymiotować na siebie. Kiedy skończył, Milani włożył mu w usta papierosa i zapalił.

– Co to za piosenka? – zapytał Tony w pewnym momencie.

Milani rzucił okiem w stronę zaparkowanego nieopodal Citroëna. Z samochodowego radia dobiegała rytmiczna melodia.

– *Criminal*. Fiona Apple.

Tony widział teledysk na MTV. Dziewczyna wyglądająca na zagubioną wpatrywała się z jakąś okrutną dzikością w obiektyw kamery. Przerazający kontrast. A Fiona Apple przypominała...

– Erika – wybełkotał Tony. – Proszę cię. Ma na imię Erika. Nie nazywa się Fiona Apple. Nazywa się Erika.

– Jestem niemal pewien, że twoja zmarła narzeczona nigdy nie nagrała piosenki. Podkreślam słowo „zmarła”. Jeśli chcesz być dziennikarzem, powinieneś znać odmianę czasowników. *Nazywała* się Erika – poprawił go Milani. – Chyba coś ci się dzieje z głową, co?

– A kto ci powiedział, że chcę być dziennikarzem?

– Bo jesteś wkurwiony – zarechotał fotograf. – Widziałem to już pierwszego dnia. Ty chcesz się boksować z całym światem.

– O czym jest ta piosenka?

– O tym, że czuje się winna, bo została zgwałcona. Dom wariatów, nie?

Tony poczuł w ustach smak torfu.

– Już nie ma gwiazd – wymamrotał.

– Że co?

– Poszły sobie. Gwiazdy. Erika mi powiedziała.

Milani wybuchł charkotliwym śmiechem.

– Jesteś bardziej pijany ode mnie. Gwiazdy wciąż są. To samoloty znikły. Przez cały dzień nie widziałem ani jednego.

– Samoloty?

– Takie ze światełkami. Co latają. Widziałeś kiedy?

2

– Milani miał rację. Dwudziestego czwartego marca rozpoczęły się naloty na Serbię. Przestrzeń powietrzna nad Górną Adygą została zamknięta dla lotów cywilnych. *Walscher* i *tralli* mogli wreszcie oglądać konflikt etniczny z prawdziwego zdarzenia w bezpośredniej transmisji telewizyjnej. Poprosiłem, żeby mnie odwiózł do domu. Świeżak wywiesił białą flagę. Milani powiedział, że mnie rozumie. Przeprosił.

– Za co?

– Wtedy myślałem, że za wciągnięcie mnie w tę historię. Ale dzisiaj, kiedy doszedłem do wniosku, że to Friedrich Perkman kazał mu mnie pilnować, myślę, że czuł się winny. Więc chyba za mnie i za Erikę. Następnego dnia...

Krzywy uśmiech.

– Następnego dnia zapisałem się na kurs operatora wózka widłowego. Nie poszedłem pracować do stalowni, znalazłem robotę w innej firmie. Nie mogłem znieść myśli, że będę widywał ojca. Kłóciliśmy się tak bardzo, że w końcu wyprowadziłem się z domu. Zacząłem studiować, co mój ojciec zawsze nazywał stratą czasu. Poza pracą na wózku widłowym, żeby dorobić, od czasu do czasu pracowałem jako barman. Przez kilka lat moje życie składało się z książek, wózka widłowego i „co dla pana?”.

Sib dała mu kuksańca.

– To akurat znam.

– Któregoś dnia poszedłem do kina na jakąś komedię. W pewnej chwili zobaczyłem w głębi sali chłopaka i dziewczynę. Wszyscy się śmiali, a tych dwoje trzymało się za ręce i płakało. Poczujęm to samo co wtedy, kiedy zobaczyłem Erikę nad brzegiem jeziora. Tylko że tamtego dnia wreszcie ją zrozumiałem. Zrozumiałem, co wyczytałem w oczach twojej matki: że nic nie ma sensu. – Tony’emu wyrwał się gorzki śmiech. – Tam nie było cierpienia, radości, walki, nic. Było oszustwo. Dla mnie, dla tych dwojga, którzy płakali, kiedy wszyscy inni się śmiali, dla Eriki. Byłem wściekły i śmiertelnie przerażony. Nie chciałem, żeby przerażenie mnie pożarło, a jedyne, co potrafiłem zrobić, by do tego nie dopuścić, to pisać.

Tony zobaczył swoje odbicie w oczach Sibylle i to, co ujrzał, nie spodobało mu się. Zbyttno przypominało Freddy’ego, kiedy wyczuł wściekłego lisa.

– Jeśli rzeczywistość jest niebem bez gwiazd, ja będę opowiadał o miłości, która zawsze zwycięża. Jeśli życie i śmierć nie mają sensu, ja będę opowiadał historie ze szczęśliwym zakończeniem. Świat kłamie? Ja będę kłamał jeszcze bardziej. Napluję w gębę temu cholernemu niebu. Tak właśnie powstało *Dwoje*. Kiedy skończyłem pisać, uznałem, że Erice ta

książka by się spodobała. To był ostatni raz, kiedy pomyślałem o twojej matce.

Popatrzył na Sib przeciągle.

– Wysłałem ją do agenta. Głównie dlatego, żeby się jej pozbyć. On ją przyjął i powiedział, że bym nie robił sobie wielkiej nadziei. Nie miałem jej, stawiałem sobie inny cel. Książka czekała na wydanie trzy lata, ale kiedy pojawiła się w księgarniach... Bum!

Sibylle płakała. Jej oczy lśniły. Były żywe. Bezkresne.

Tony dotknął jej łzy. Była ciepła.

– Tu nie jesteś bezpieczna. Pozwól sobie pomóc.

– Ze względu na Erikę?

– Ze względu na to, że chcę napisać szczęśliwe zakończenie dla ciebie.

– Lubię książki, które kończą się pocałunkiem.

– Ja też.

Tony poczuł perfumy Sib, a pod nimi zapach jej ciała. Łaskotanie jej włosów na podbródku. Sib była tak blisko, że czuł, jak ogarnia go błękit jej oczu, jak go otula i napełnia spokojem. To trwało tylko sekundę, ale to była sekunda, w której Tony mógł *oddychać*. A potem dźwięk dochodzący z krzaków sprawił, że się wzdrygnęli. W poświęcie księżyc dreptał jeź, który po chwili znikł w ciemnościach. Freddy wydał z siebie psi odpowiednik „łął!”. Sib się uśmiechnęła, Sibylle odsunęła, a Sibby Pończoszanka pokazała Tony’emu język.

– A teraz już sobie idź – powiedziała – zanim...

– Przyjedziesz?

– Nie dziś, Panie Smarkatka. Ale obiecuję. Tylko się spakuję. I z kimś się pożegnam.

Tony odczekał, aż Sib wejdzie do domu. Wsiadł do toyoty. Uruchomił silnik.

Odjechał. Dwieście metrów. Może trzysta.

Zatrzymał samochód.

– Freddy, co powiesz na biwak?

Tony i Freddy spędzili noc za jeżynami, czekając, aż Karin Perkman zrobi kolejny ruch. O świcie Tony obudził bernardyna i wrócili do samochodu. Pisarz był kompletnie zmięty. Oparł głowę o kierownicę i zasnął. Dziesięć sekund albo godzinę później ze snu wyrwał go gwałtownie głos Sib.

– Nie masz ochoty na kawę?

Filizanka przeszła z rąk do rąk. Tony poczuł się śmieszny.

Odchrząknął.

– Moment na pocałunek już minął, prawda?

Sibylle się roześmiała. Wspaniale było usłyszeć, jak się śmieje.

– Nie masz za dobrego wyczucia czasu.

Rozdział XL

1

O ósmej Tony przekazał Freddy'ego pod opiekę Polianny. O ósmej dziesięć był już na ulicy. O ósmej trzydzieści stał przed oddziałem banku.

Niecierpliwy.

2

Także Sib spała tej nocy krótko i źle. Była zdezorientowana. Z powodu Tony'ego. Widziała, że nad nią czuwa. Miała pokusę, by zaprosić go do środka albo przynajmniej wysłać do domu, żeby się wyspał w porządnym łóżku. Ale jego obecność sprawiła, że czuła się bezpiecznie. Podobnie jak jego uścisk.

Było jej smutno. Z powodu Eriki. Z powodu tego, co jej opowiedział Tony. Z powodu siebie samej. Z powodu Wolfiego? Również. A Rudi? A Oskar? Marionetki w rękach Perkmanów.

Była zagubiona. Czy naprawdę poczuła wtedy pragnienie, by zamknąć usta Tony'ego pocałunkiem? Czy to był tylko krótki moment? Wybryk Sibby Pończoszanki? Fala emocji wzbudzona wszystkim, co się wydarzyło?

Wydawało się jej, że tak. Zaraz potem była przekonana, że wręcz przeciwnie. Smutek, dezorientacja, radość. I strach. Przed ciotką Helgą.

Ciotka otworzyła drzwi, zobaczyła plecak i walizkę i przytuliła ją do piersi. Strach znikł.

– Dzięki Bogu, maleńka. Dzięki Bogu.

– Przykro mi...

– Nie... Rozumiem.

Weszły. Usiadły w kuchni. Jedna naprzeciwko drugiej.

– Ale muszę wiedzieć.

– Dlaczego?

– Bo inaczej pozostanę na zawsze córką Pomyłonej Eriki.

Helga wskazała na plecak Sibylle.

– Wrócisz?

– Nie wiem. Opowiedz mi o Erice. Proszę.

– Bolał ją. Ten przydomek. Śmiała się z niego. Ale widziałam, że ją boli.

– Karin? Gabriel?

– Wszyscy.

– Oskar też?

– Nie, Oskar bardzo ją lubił.

Ciotka Helga miała w dłoniach fartuch. Tyle razy Sibylle widziała ten gest.

– Kreuzwirt już taki jest. Wiesz przecież.

Tak, wiedziała. Ale po raz pierwszy Sib uświadomiła sobie, że ludzie mówili o Kreuzwircie nie jak o miejscowości, ale jak o żywej istocie.

„Kreuzwirt już taki jest”. Kreuzwirt nie chce turystów. Kreuzwirt nazywa rzeczy po imieniu. Kreuzwirt zawsze pomaga przyjaciołom. Od czasu do czasu Kreuzwirt kogoś morduje.

– Kiedyś mi powiedziałaś, że pracowałaś dla Perkmanów.

Ciotka Helga pokiwała głową.

– A konkretnie dla pani. Frau Christine. To była cudowna kobieta. Pochodziła z bardzo starej rodziny. Friedrich był w niej zakochany. Trudno sobie wyobrazić bardziej zakochaną parę niż tych dwoje. Byłam na ślubie, wiesz?

Helga poszła po stary album z fotografiami i zaczęła go przeglądać.

– Siedemdziesiąty ósmy. Przed narodzeniem Eriki i bliźniaków. Sprzątałam. Wieżyczki jeszcze nie zbudowali, ale biblioteka już była. Pani bardzo lubiła czytać. Poezję, powieści. Były tam książki dla wszystkich. Friedrich każdej soboty jeździł do Innsbrucku po nowe. Ale były też książki zamknięte na klucz. Zakazane.

„Stare księgi, bardzo cenne”. Tak powiedziała Lehrerin Rosa.

– Co znaczy, że zakazane?

– Nikt nie miał prawa ich czytać. Mnie samej było wolno tylko ścierać z nich kurz. Horst i Perkman mówili, że to po prostu książki naukowe. Ale ja nigdy w to nie wierzyłam.

– A co wiesz o Horście?

– To co wszyscy.

– Przyjechał do Kreuzwirtu w siedemdziesiątym trzecim, tak?

– Z Michlem. Ależ to było piękne dziecko. Ciche, inteligentne. Bardzo inteligentne. Kim była matka i czemu z nimi nie przyjechała, pozostało tajemnicą. W siedemdziesiątym trzecim Horst miał kłopoty. A Friedrich...

– Pomagał wszystkim. Wciąż ta sama historia – parsknęła z irytacją Sibylle. – Masz problem? Perkman go rozwiąże. Oskar też wciąż mi to powtarza.

Helga się zawahała.

– A może to kłamstwo? – naciskała Sibylle.

– Po prawdzie...

– Bardzo cię proszę...

– Po prawdzie to Oskar nienawidził Perkmana.

Gdy został sam w pokoju depozytów, Tony pozwolił sobie na chwilę przerwy. Drżały mu ręce. Z gniewu. Ale to nie był jego gniew.

To był gniew jego ojca.

Giuseppe Carcano zmarł w maju 2006 roku, kilka tygodni po opublikowaniu *Dwojga*. Kiedy Tony był z matką na pogrzebie, powieść trafiła na szczyt listy bestsellerów. Po ceremonii jeden z przyjaciół ojca podał mu karteczkę. Spotkanie. Giuseppe miał coś dla niego. Coś, o czym matka nie mogła się nigdy dowiedzieć.

Tony się tego spodziewał. Jego ojciec był praktycznym człowiekiem, takim, który nie pozwalał, by syn wyszedł z domu bez żetonów do telefonu w budce, i który w burzliwym dla Górnej Adygi 1988 roku nie zostawiłby rodziny na łaskę losu. Tamtego roku wziął syna na stronę i po raz pierwszy porozmawiał z nim jak z dorosłym. Powiedział mu, że ma rację, że ucieka, kiedy starsi chłopcy szukają zwady, bo nasz Pan powiedział, że trzeba nadstawić drugi policzek. „A nasz Pan to nasz Pan, jasne? Ale...”.

Tony otworzył kasetkę. Dwudziestkadwójka jego ojca. Mała, krępa. Brzydka. Tony potrzymał ją w ręku. „Mężczyzna – powiedział Giuseppe – musi zawsze chronić swoją rodzinę. To jedyne, co się liczy, jasne?”. Tony sprawdził bezpiecznik i podpiął magazynek tak, jak go nauczył ojciec. Przeładował i przypomniał sobie reakcję matki, kiedy odkryła pistolet. „Co chcesz z tym robić?! – krzychała. – Dać się zabić? Chcesz, żeby twój syn dorastał bez ojca?!”.

Giuseppe cisnął pistolet do Isarco. Wrzucił go do rzeki. Tak powiedział matce. Tony nie wierzył w to nawet przez sekundę.

Jego ojciec był praktycznym człowiekiem. Takim, który nie zostawiał swojej rodziny bez ochrony.

Tony schował dwudziestkędwójkę, wręczył banknot pracownikowi banku, który dezaktywował wykrywacz metalu, i wyszedł, pożegnawszy się powściągliwym skinieniem głowy.

4

– Kiedy Oskar był w twoim wieku, miał wielkie plany.

– Black Hat?

Ciotka Helga wyciągnęła strudel i podała Sib kawałek.

– Oskar kupił ziemię w osiemdziesiątym szóstym, zanim jeszcze zdobył pozwolenie na budowę. To była z jego strony naiwność. I dlatego zbankrutował.

– Zbankrutował?

– Black Hat miał być hotelem. Taki był jego pomysł. Chciał zbudować pierwszy hotel w Kreuzwircie. Był zbyt młody, żeby pamiętać, jak Friedrich Perkman przekonał mieszkańców, by odpuścili sobie turystykę. No i był uparty. Całkiem jak ty. Nie smakuje ci strudel?

Helga była doskonałą kucharką, a jej słodkości były na głowę wyroby z cukierni, jednak w tej chwili Sibylle po raz pierwszy w życiu jadła jej ciasto tylko po to, żeby zrobić ciotce przyjemność.

– Perkman poszedł do niego i zaproponował, że odkupi ziemię. Oskar odmówił. Chciał tego hotelu za wszelką cenę. Tylko że pozwolenia zaczęły się opóźniać. Problemy techniczne. Różne takie. Perkman wrócił do niego i zaproponował, że kupi ziemię za trzykrotność jej wartości. Oszalałająca kwota. Oskar zarzucił Friedrichowi, że wkłada mu kij w szprychy. Powiedział, że jeśli jeszcze raz się pojawi, wezwie karabinierów. Perkman nie odpowiedział. Wysłał Petera.

Widelec z kawałkiem strudla znieruchomiał w powietrzu.

– Ojca Rudiego?

– Tak, Peter przekazał mu ofertę Perkmana. Zostawi go w spokoju, jeśli zamiast hotelu zbuduje salę taneczną. Kompromis. Oskar się zgodził. Dokumenty dotarły niecały tydzień później. Ale Oskar musiał poczekać dwa miesiące, zanim je podpisał. Z powodu licznych złamań. Rozumiesz, co chcę ci powiedzieć, dziecko?

– Jeśli Perkman troszczył się o przyjaciół – odparła Sibylle – to co w takim razie robił wrogom?

Helga nie odpowiedziała. Szukała czegoś i po chwili znalazła. Pokazała Sib zdjęcie.

Przedstawiało Friedricha Perkmana, znacznie młodszego od mężczyzny w fotelu na kółkach, którego Sib parokrotnie widziała na ulicy, kiedy jego choroba była już w stanie zaawansowanym. Gęste wąsy, dumna postawa. Po jego prawej ręce doktor Horst. Okrągłe okulary i lekko zaznaczająca się nadwaga, która we wspomnieniach Sibylle była jego cechą charakterystyczną. I pani. W tradycyjnym stroju. Żadna kobieta z Tyrolu Południowego nie ubrałaby się w dniu ślubu na biało. To byłoby niestosowne.

– Frau Christine.

Smukła. Promieniejąca. Zakochana. Z kaskadą blond loków.

Aż podskoczyły na dźwięk telefonu.

Tony.

– Tante Frida znalazła Gabriela.

– Gdzie?

– Nie spodoba ci się to.

Rozdział XLI

1

– Dobrze wyglądam?

Mężczyzna siedzący w cieniu ograniczył się do chrząknięcia.

Nie przejęła się tym. W swojej karierze spotkała już wielu świrów.

Zacęła w branży, kiedy miała dwadzieścia lat. Cięża spadła na nią jak piorun z jasnego nieba. Zwykły facet spotkany w barze. Typowe jednorazowe pukanko. Nigdy więcej go nie widziała. Potem niespodzianka. Nic nie potrafiło tak szeroko otworzyć oczu na rzeczywistość jak ultrasonografia. Zero pieniędzy. Zero pracy. Zero perspektyw.

Jedyną wartościową rzeczą, którą posiadała, było jej ciało. Więc wystawiła je na sprzedaż. Za pierwszym razem płakała. On się przestraszył i zaczął ją przeproszać. Ona posłała go do diabła. Wyzwała od najgorszych. Rzuciła się na niego z pięściami.

Ale pieniądze przyjęła.

Potem się przyzwyczała. Sekret polegał na opróżnieniu umysłu. Robieniu listy zakupów. Myśleniu o stopniach córki w szkole (tak szybko rosła) albo...

Koło trzydziestki zauważyła, że liczba klientów maleje. Woleli młodsze i jędrniejsze ciała. Jej kapitał zaczynał tracić na wartości, więc, jak mówili ekonomiści w telewizji, znalazła sobie niszę na rynku, wychodząc z podstawowego założenia: mężczyźni są naiwni. Przychodzili do niej po szybki numerek albo po to, czego nie mogli już dostać od żon (jak je za to winić...). W każdym razie wszyscy myśleli, że to oni rządzą. Błąd. Klienci płacili, by oddać władzę komuś silniejszemu od nich. Dlaczego więc nie uczynić sprawy bardziej... jednoznaczną?

Nisza na rynku. Piękne określenie. Mniej klientów, większy zysk. Prawdziwa gratka.

2

– Podobam ci się?

Mężczyzna wstał z fotela i poprawił jej perukę na głowie. Wziął ją za podbródek i delikatnie obrócił twarz w prawo, potem w lewo.

– Zaczynamy.

Był u niej nie pierwszy raz. Płacił. I to od razu, bez targów. Ale trochę ją przerażał. To, czego od niej żądał, było... dziwne. Może nie dziwniejsze od tego, czego zazwyczaj żądali klienci (jej ulubiony płacił za to, by zmuszała go do obdarowywania jej prezentami), ale niepokoił ją sposób, w jaki

wyrażał swoje oczekiwania. Poza tym był ćpunem. Znaki nie pozostawiały wątpliwości. Ale płacił dobrze, a sprzęgło w jej punto nadawało się już na złom. Więc to nie był dobry czas na grymaszenie.

Mężczyzna zdjął koszulę i ukląkł przed wypełnioną po brzegi wanną. Zimna woda. Żeby go zadowolić, wsypała do środka kostki lodu.

Niecierpliwy.

– Na co czekasz?

Kobieta chwyciła go za włosy, długie, ale nie brudne (choć był ćpunem, skrupulatnie przestrzegał reguł domu, dlatego udawała, że nie widzi jego nałogu), pociągnęła tak, by go trochę zabolalo, i zanurzyła jego głowę w wodzie. Zaczęła liczyć. Sto dwadzieścia jeden, sto dwadzieścia dwa, sto dwadzieścia trzy...

Przy stu osiemdziesięciu wyszarpnęła jego głowę z wody.

– Jeszcze. Dwie minuty.

Minuta była okej. Dwie też. Kiedy zażądał trzech, zawahała się.

– To niebezpieczne.

Wytatuowany mężczyzna wskazał na swoją kurtkę leżącą na łóżku.

– Tam jest jeszcze jedna setka.

– To nie jest kwestia pieniędzy.

– Jeśli nie dam rady, podniosę rękę.

Pokręciła głową.

– Nie. Nie zrobisz tego. A ja będę miała przejebane.

Popatrzył jej prosto w oczy. Miał małe, rozbiegane źrenice. Naćpany. Kompletnie naćpany.

– Dwieście.

– To nie jest...

– Trzysta. Plus to co zwykle.

Piękna sumka, nie ma co mówić. Kobieta uległa. Chwyciła go za włosy i wepchnęła pod wodę. Zaczął się szarpać. Bąbelki popłynęły na powierzchnię. Musiała użyć siły, żeby go utrzymać.

Przy dwieście dziewięćdziesiąt dziewięć rozluźniła chwyt. Płakał. Rozdzierający widok.

– Dlaczego? – zapytała.

– Chcę wiedzieć, co się wtedy czuje. Jeszcze raz, proszę.

Zdarzyło się jej mierzyć z klientem uzbrojonym w nóż. Często znajdowała się w takich sytuacjach, że wielu z funkcjonariuszy, których poznała w czasie swej kariery, straciłoby zimną krew. Tamtego dnia zrozumiała, że może być coś gorszego od noża czy pogardliwego spojrzenia gliniarzy. Na przykład uśmiech tego faceta.

– Nie, dość. Czas minął. – Zdjęła jasną perukę i rzuciła daleko od siebie. Wyciągnęła dłoń. – Trzysta. Jak obiecałeś. Potem znikaj. I nie chcę cię więcej widzieć.

Gabriel popatrzył na perukę leżącą na ziemi i zaczął drzeć.

– Coś ty jej zrobiła?! – krzyknął. – Coś ty jej zrobiła?!
Potem rzucił się na nią, chwycił za gardło i ścisnął.

Rozdział XLII

– Zabił ją?

– Mało brakowało. Miała przy sobie schowany nóż. Nie była naiwna. Dźgnęła go. Potem wezwała karabinierów. Aresztowali go. Mówiąc ściślej, aresztowali oboje, ale ona została uniewinniona. To było w dwa tysiące ósmym. Od tamtego czasu Gabriel jest gościem przy via Dante.

Tony zmarszczył brwi.

– Wydawało mi się, że za poważne przestępstwa nie trafia się do więzienia w Bolzano, tylko do Padwy.

– Masz rację. A jednak wasz przyjaciel, pan Plank, siedzi za kratkami właśnie tam. I nie jest to jedyny punkt w jego kartotece.

Tante Frida wyjaśniła, że oprócz usiłowania zabójstwa Gabriel odsiadywał wyroki za posiadanie narkotyków z zamiarem rozprowadzenia, napad, kradzież, włamanie, rabunek, rabunek z bronią w rękę, napaść na urzędnika państwowego i niezliczoną liczbę przestępstw drobniejszych, ale również opisanych w aktach, które Tante Fridzie udało się zdobyć. Wiele z nich popełnił już w więzieniu.

Przede wszystkim bójki.

– Większość czasu spędza w izolatce. Dotarłam również do diagnozy. Paranoja z zaburzeniami dysocjacyjnymi. Gabriel jest kompletnym czubem. Do tego niebezpiecznym dla otoczenia.

– Ale czy z taką diagnozą – wtrąciła Sibylle – nie powinien trafić do szpitala psychiatrycznego?

– Co do zasady tak – odparła Tante Frida – tym bardziej że jest narkomanem. Ale obrońca Gabriela nigdy nie wyciągnął sprawy choroby psychicznej ani uzależnienia. Rzucił okiem na dokumenty procesowe i jeśli chcecie usłyszeć moją zawodową opinię, dał popis niekompetencji. Sędziowie zawsze wymierzali jego klientowi najwyższy wymiar kary. A on nigdy, naprawdę nigdy – podkreśliła mecenas – nie odwoływał się od wyroku.

Tony uniósł brew.

– Dziwne.

– Nie, nie dziwne. Niemożliwe. Tym bardziej że znam tego adwokata.

– Wyjaśnił ci to?

Tante Frida wygładziła turkusową spódnice.

– To nie było konieczne. Obrońca Gabriela Planka nazywa się Johannes Kaufmann. *Drugi* najlepszy adwokat w Górnej Adydze.

– A więc to nie była niekompetencja.

– Ani trochę. My, papugi, nazywamy to działaniem umyślnym. Ktoś nie chce, żeby Plank wyszedł z więzienia.

– Kaufmann jest w jakiś sposób związany z Perkmanami, prawda? – zapytała Sibylle.

– Obecnie to jego jedyni klienci. No, poza Gabrielem, jeśli naprawdę wierzycie, że stać go było na honorarium dla Kaufmanna. Dlatego oszczędziłam sobie telefonu do niego.

– Musimy się z nim spotkać. Nie z Kaufmannem – powiedziała Sibylle. – Z Gabrielem. Jeśli Perkmanowie...

Tante Frida podniosła dłoń.

– Perkmanowie chcą, żeby Gabriel został za kratkami. Ale chcą go mieć na swoim terenie. Gdyby został przeniesiony do Padwy czy Triestu, nie mogliby go kontrolować. Tutaj to całkiem co innego. Żeby spotkać się z Plankiem, trzeba przejść przez jego adwokata. Od dziesięciu lat nikomu się to nie udało.

– Ale Karin nie chce, żeby stracił życie – powiedziała cicho Sibylle. – To tak samo jak z Martinem. Dlaczego? Martin jest jej bratem. Gabriel zwykłym ćpunem. Gdyby Karin chciała go zlikwidować, mogłaby znaleźć nieskończoną liczbę sposobów, żeby to zrobić. Przedawkowanie. Wypadek drogowy.

„Pikap, który zajeżdża mu drogę w środku lasu – pomyślała. – Albo upozorowane samobójstwo”.

– A więc albo Gabriel wie coś – kontynuowała dziewczyna – co i Karin chce wiedzieć...

– Albo Gabriel jest w posiadaniu czegoś – orzekła Tante Frida – co mogłoby sprowadzić kłopoty na rodzinę Perkmanów.

– Właśnie.

– Albo – dodał Tony ponurym głosem – Gabriel coś zrobił. Coś, za co śmierć byłaby zbyt... łagodną karą.

Kobiety spojrzały na niego pytająco.

Spróbował jaśniej.

– Dotąd myśleliśmy, że to Martin zabił Erikę. Ale nie mamy za wiele, by to potwierdzić. Sama to powiedziałaś, Sib. Martin zabija Erikę, Horst i Perkman zacierają ślady i zamykają go w domowym więzieniu. Tak? Jak dotąd zachowanie Karin potwierdzało tę hipotezę. Wypadek z pikapem, fotografie z Ireną, inscenizacja Rudiego z moim mustangiem, Oskar, który cię zwalnia. Jak mówi Tante Frida, Perkmanowie mają niejednego trupa w szafie. To bezdyskusyjne. Ale brakuje motywu. Nie wiemy, dlaczego Karin zachowuje się w taki sposób. A więc może idziemy złym tropem? Dlatego przychodzi mi na myśl pytanie: a co, jeśli Karin wymierza karę Gabrielowi? A co, jeśli to on zabił Erikę?

Sibylle bawiła się puklem włosów.

– Tylko z jakiego powodu? I dlaczego w takim razie przez ten cały czas trzymają Martina w zamknięciu?

– Może Martin coś widział i nie potrafi trzymać języka za zębami? To by tłumaczyło, dlaczego Gabriel nie znalazł się w zakładzie dla psychicznie chorych. Tam są fachowcy, którzy mogliby usłyszeć, co ma do powiedzenia. A w więzieniu...

– Nikogo nie interesują przestępstwa popełnione przez osadzonego.

– Właśnie. Chcesz znaleźć motyw Gabrielowi? Ja nie wierzę w motywy, niemal nigdy nie mają sensu, ale... mógłby być taki sam jak w przypadku Martina: szaleństwo. Albo też Gabriel był zakochany w Erice, a ona odrzuciła go o jeden raz za dużo.

– Zapominasz, że Martin ma na koncie przemoc, a Gabriel nie. To znaczy nie miał jej wtedy. Jego problemy z wymiarem sprawiedliwości zaczęły się dopiero po śmierci Eriki. Zapominasz o wypadku z osiemdziesiątego ósmego. To Martin zaatakował Elisę, nie Gabriel. I zapominasz, że Martin znikł z okolicy w dniu śmierci Eriki, a Gabriel trafił do więzienia dziewięć lat później. – Sib pokręciła głową. – Tak czy inaczej, musimy z nim porozmawiać. Bez Gabriela nic nie mamy.

– Z Kaufmannem i Perkmanami na straży to nie będzie łatwe – stwierdziła Tante Frida. – Możesz komuś raz nadepnąć na odcisk, ale dwa razy...

Na przekór ponurej atmosferze Tony się uśmiechnął.

– Znam cię, Tante Frida. Kiedy tak robisz, to znaczy, że już obmyśliłaś rozwiązanie.

Kobieta uniosła dłonie do piersi i zatrzepotała rzęsami.

– Oj, potrafisz ty czytać w sercu dziewczęcia.

– Pamiętaj, że są ludzie gotowi zapłacić, by móc się ze mnie nabijać. Znalazłaś sposób, by ominąć Kaufmanna i porozmawiać z Gabrielem?

– Nie spodoba ci się.

– Już to gdzieś słyszałem. Powiedz, co mam zrobić.

Tante Frida wymieniła porozumiewawcze spojrzenie z Sibylle.

– Oj, wy, mężczyźni, dlaczego zawsze jesteście tak egocentryczni?

Rozdział XLIII

1

Matteo Zanon był biurokratą, ale uwielbiał przedstawiać się jako dobry ojciec rodziny. Jego dzieci (nie biologiczne, dzięki Bogu) sporo narozrabiały i nie ulegało wątpliwości, że należała się im kara, ale on wierzył w rehabilitację. A rehabilitacja to nie były tylko kraty w oknach i podłe żarcie. Oznaczała również, przynajmniej raz na jakiś czas, przymknięcie oka. Tak postępuje dobry ojciec.

Dlatego zgodził się na prośbę Tante Fridy, udając, że nie domyśla się podstępu pod pozorem spotkania zakochanych. Przedstawianie prostytutki jako narzeczonej było trikiem, który Zanon znał od zawsze. Zaniepokoiło go jednak, że Tante Frida nalegała, by idąca za nią młoda kobieta w butach na obcasie i minispódniczce nie została przeszukana. Tante Frida przysięgła mu więc nie tylko, że krew nie zostanie przelana, ale też że nikt się o tym nie dowie, a już na pewno nie Kaufmann.

Co do tego ostatniego dyrektor Zanon miał nieco wątpliwości. Kaufmann to lepki skurwysyn z oczami i uszami wszędzie, ale jako że Zanon był dobrym ojcem rodziny i miał u Tante Fridy spory dług wdzięczności, postanowił przymknąć oko. Odwiedziny towarzyszki życia zostały zatwierdzone.

Ale nie był spokojny.

Spśród wszystkich jego synków osadzony numer 66-55-321 był tym, którego – musiał to przyznać sam przed sobą – kochał najmniej. Osadzony numer 66-55-321 wzbudzał w nim strach. A ta dziewczyna była szczuplaczkiem. Jeśli 66-55-321 rzuci się na nią...

Zanon odprowadził ją z biura do schodów. Z drugiego piętra na korytarz. Do cel. Zakręć w prawo, zakręć w lewo. Przeszli obok pomieszczeń do nauki i nadrabiania zaległości w edukacji.

Kolejne schody i byli na miejscu.

Dziewczyna drgnęła, kiedy Zanon odezwał się do niej.

– Proszę tu poczekać. Kamera wewnętrzna jest wyłączona. Jak pani widzi, obok drzwi jest guzik. Proszę go nacisnąć, jeśli sprawy potoczą się w niepożądanym kierunku. Rozumie pani?

Dziewczyna skinęła głową.

– Proszę powtórzyć.

– Jest przycisk na wypadek niebezpieczeństwa. Kamera jest kaputt. Zrozumiałam.

Dyrektor ruszył z powrotem. Zatrzymał się. Zażył tabletkę maaloxu.

Wrócił do niej.

– To jest naprawdę konieczne, panienko?

2

Kraty w oknach przyprawiły ją o klaustrofobię. Nie mówiąc o smrodzie. Mieszanka potu, brudu, żarcia i testosteronu. Plus komentarze osadzonych.

Idąc za dyrektorem Zanonem, Sibylle ze wszystkich sił starała się patrzeć w dół i skoncentrować na jego głosie, który wyjaśniał jej regulamin więzienny. Ale słyszała. Zwłaszcza milczenie. Milczenie, które zostawiała za sobą, przechodząc. Sprawiało, że czuła się brudna. I smutna.

Pomieszczenie było niemal puste. Łóżko, krzesło. Zapach chloru drażnił oczy i wyciskał z nich łzy. Usiadła na łóżku. Materac się ugiął. Zajęczały sprężyny.

Sib gwałtownie wstała. Na równe nogi. Tak znacznie lepiej.

„To naprawdę konieczne, panienko?”

Tak.

Trzy kroki naprzód. Ściana.

Trzy kroki wstecz. Ściana.

Instynkt podpowiadał jej, by dała sobie spokój. By nacisnęła przycisk i kazała się stąd wyprowadzić. Na powietrze. Pozbyć się tych łańców. Znów być Sibylle. I nie dowiedzieć się nigdy tego, co Gabriel mógłby jej wyjawiać. O Erice. O Martinie.

Gabriel był kluczem. Bez Gabriela nic nie mieli. Perkmanowie by wygrali. Znowu. A Erika umarłaby raz jeszcze.

Odgłos zbliżających się kroków. Sib włączyła dyktafon ukryty w torebce.

Rozdział XLIV

1

Miał na sobie workowate džinsy i biały tiszert. Dwaj strażnicy kazali mu usiąść na pryczy. Nie przywitani się z nią, nawet na nią nie spojrzeli. Jeden z nich, przysadzisty i z wąsami, zdjął więźniowi kajdanki. Mężczyzna rozmasował sobie nadgarstki. Miał na nich paskudne ślady. Nie tylko tam, gdzie żelazo wgryzło się w ciało. Na muskularnych i wytatuowanych ramionach było pełno sińców. Jeden, okazały i ciemny, widniał na podbródku. Kto wie, ile jeszcze ukrywało się ich pod ubraniem. Sibylle przypomniała sobie, że Tante Frida mówiła o bójkach, w które wdawał się Gabriel w więzieniu.

- Dyrektor powiedział pani o przycisku? – zapytał jeden ze strażników. Sib skinęła głową.
- Proszę powiedzieć głośno.
- Tak.

2

Z chłopaka z polaroidem, który marzył, że zostanie astronautą, pozostały jedynie okulary. Grubsze i w innych oprawkach. Jeśli chodzi o resztę, Gabriel mógł być zupełnie inną osobą. Nie tylko ze względu na mięśnie, długie włosy i wszechobecne tatuaże. Emanująca od niego aura niebezpieczeństwa sprawiała, że wydawał się kimś całkiem innym.

Westchnął. Podniósł oczy i spojrzał na Sibylle.

- Wiedziałem, że przyjdiesz.

Głos należał do kogoś prowadzącego przyjazną pogawędkę. Ale spojrzenie...

„Pamiętaj, że to wariat. Bądź ostrożna – powiedział jej Tony. – Jeśli tylko się ruszy, żeby się do ciebie zbliżyć, jeśli powie coś, co ci się nie spodoba, cokolwiek, jeśli tylko krzywo na ciebie spojrzy, rzucaj wszystko i uciekaj. Jeśli nie możesz kogoś pokonać, zwiewaj. Zgoda?”

Sibylle usiadła na krześle, aż nazbyt świadoma odległości między jej kolanami a kolanami osadzonego. Mniej niż półtora metra.

- Dziękuję, że się zgodziłeś...

Gabriel jej przerwał.

– Jesteś mężczyzną czy kobietą? A może dla ciebie to pytanie nie ma w ogóle sensu?

- Nie rozumiem.

Ledwie dostrzegalny gest Gabriela w stronę kamery.

– Jest wyłączona – powiedziała Sibylle, starając się mówić spokojnie i bez napięcia.

Gabriel puścił do niej oko.

– O czym chcesz rozmawiać?

– O Erice.

Więzień zdjął okulary. Popatrzył na nią, a potem założył je z powrotem.

– Co z nią zrobiłeś? – zapytał. – Wybrałeś blondynkę, żeby do mnie przysłała. Jest do niej podobna. Co z nią zrobiłeś?

– Nie rozumiem – powiedziała Sibylle. – O co chodzi?

– Kto na nas patrzy? Kaufmann? A może Karin opuściła willę i tu przyjechała? – Z kieszeni dżinsów wyciągnął zmiętą paczkę marlboro. – Nie będzie ci przeszkadzać?

Ton niezobowiązującej rozmowy towarzyskiej.

– Nie krępuj się.

Gabriel pokazał jej zapalniczkę. Zapalił ją, pocierając o ścianę.

– Nie pozwalają nam mieć zapalniczek. Ale zapalniczki tak. Idiotyczne, nie sądzisz?

Pozwól mu gadać.

Sibylle poprawiła torebkę na kolanach. Miała nadzieję, że mikrofon jest dość czuły, by wyłapać wszystko, co Gabriel mówi.

– Trochę. Tak. Dziwne.

Zaciągnął się dymem.

– A może tam po drugiej stronie jest Horst?

– Doktor Horst nie żyje.

– Josef oczywiście nie żyje. Ale coś mi się zdaje, że doktor Michl Horst jest w świetnej formie. Znasz go? Niezły typ. Taki wyniosły. Zawsze elegancki, zawsze na dystans. Podoba się kobietom, tak mówią. Z pewnością podoba się Karin. – Gabriel wskazał na Sib papierosem. – Doskonale się przygotowałeś. Blondynka, kręcone włosy. Wyglądasz jak ona. Jak Erika. Subtelna osoba dla twojego subtelnego świata. Ale jeśli myślisz, że to wystarczy, żeby mnie oszukać, to się mylisz. Jesteś uzbrojony?

– Nie, ja...

– Co masz w tej torebce? Nóż? Pistolet? Po sposobie, w jaki ją trzymasz, wygląda na pistolet. A może wolisz mnie zabić gołymi rękami? Jestem pewien, że byłbyś zdolny. Choć to nie twój styl. Zresztą wątpię, by udało ci się rzucić mnie na kolana. Nie mnie. Ale ty nie chcesz mnie zabić, prawda?

Sibylle przygryzła wargę.

– Co to jest subtelna osoba?

Gabriel wypuścił dym nosem.

– Osoby subtelne to klucz. I zamek.

– Ty także jesteś osobą subtelną?

Śmiech.

– Ja jestem łowcą. Gdybym był subtelną osobą, nie siedziałbym tutaj. Siedziałbym na twoim miejscu.

To nie miało sensu. Jednak Sibylle nie rezygnowała.

– A ja... kim według ciebie jestem?

– Masz wiele imion.

– Podaj choć jedno.

– Powiem ci, jakie ja ci nadałem. Ty jesteś zdobyczą.

Sib drgnęła.

– Nie podoba ci się, prawda? – zapytał Gabriel z przebiegłym uśmiechem.

– Dlaczego... zdobyczą?

Więzień nachylił się do przodu, szepcząc i nie przestając się uśmiechać.

– Ponieważ prędzej czy później zmiażdżę twoją piękną główkę i odeślę cię tam, skąd przybyłeś.

Spojrzenie Gabriela tak zapłonęło, że niewiele brakowało, a Sibylle nacisnęłaby dzwonek alarmowy. Nie zrobiła tego. Wstała i rozpuściła włosy.

– Jestem Sibylle, córka Eriki. Nie wiem, za kogo mnie bierzesz, ale nie jestem tym kimś. I nie jestem twoją zdobyczą.

– Sibylle? Niemowlę?

– Tak.

Sib przypomniała sobie, co powiedział kowboj diler.

– Nie jestem Wandererem – oznajmiła.

Oczy Gabriela zwężyły się w szpary.

– Jeśli naprawdę jesteś Sibylle, to kto powiedział ci o Wandererze?

– Hannes.

– Nigdy nie potrafił trzymać gęby na kłódkę, skurwysyn. Co jeszcze ci powiedział?

– Kim jest Wanderer?

Gabriel zerknął na kamerę monitoringu. Oblizwał wargi. Rzucił papierosa na posadzkę. Nie zgniótł go, pozwolił, by smrodliwy dym dalej rozchodził się po celi. Patrzył, jak jego smużka unosi się do sufitu i niknie, dopóki papieros nie wypalił się do końca.

Wyglądał na zirytowanego.

– W co ty grasz?

– Próbuję zrozumieć – wyjaśniła Sibylle. – Subtelne osoby są kluczem i zamkiem. Dla mnie to nic nie oznacza.

– Klucz, zamek, brama. Klucz, zamek, brama. Klucz.

Gabriel zdjął tiszert.

Sibylle odsunęła się najdalej, jak mogła. Wystarczyło się odwrócić i włączyć alarm. Ale nie zrobiła tego.

Na piersi więźnia widniały tatuaże i ogromna świeża blizna od ramienia od ramienia, od pępka do szyi.

Uśmiech kolibra. Wycięty w żywym ciele.

Gabriel przesunął po nim paznokciem. Potem zagłębił go w ciele. Popłynęła krew.

– Klucz – powiedział. – Brama. Są ważne. Ale najważniejszy jest ten, który przez nią przechodzi. Wanderer. Bierze osoby, pożera ich duszę. Sprawia, że padają na kolana. Zakłada je jak rękawiczki. Używa ich. Potem się ich pozbywa. I znów zabija.

Szloch.

Sibylle odwróciła wzrok od okaleczeń Gabriela. Od paznokcia, który nie przestawał grzebać w ranie i jej otwierać.

Mężczyzna płakał.

– I zabija. I zabija. I znowu, i znowu.

Sib ogarnęło współczucie. Potem przerażenie. I znów współczucie. Ale czasu było coraz mniej. Nie będzie miała drugiej takiej okazji.

– Dopóki nie przybędzie łowca? Ktoś taki jak ty?

Gabriel wcisnął palec w ranę do samego końca.

Zajęczał.

– To wiedział Grahame i ty to wiesz – wyszeptał. – Bo ja wiem, kim jesteś.

Sibylle zbliżyła się do niego. Pogładziła go po ręce. Chwyliła za dłoń.

Gabriel nie protestował.

– Jestem Sibylle. Nie jestem... Wandererem. Ani nikim, za kogo mnie bierzesz. Popatrz na mnie. Przypominam...

– Erikę.

Gabriel odsunął się od niej gwałtownie. Otarł twarz dłońmi.

– Zabijają mnie dzień po dniu. Izolacja. I prysznice. Zawsze ktoś na mnie czeka. I lekarstwa. Kaufmann. Karin. Michl. Perkmanowie.

– A Wanderer?

– On tu nigdy nie przychodzi. Myślałem, że ty nim jesteś. Miałem nadzieję.

– Żeby go zabić.

– Żeby to skończyć.

– Czy Perkmanowie o nim wiedzą?

Gabriel milczał.

– Czego chcą od ciebie?

Więzień przybliżył usta do ucha Sib.

– Obserwują nas.

– To nie tak. Kamera nie działa.

– Nie rozumiesz.

– Ja rozumiem, ale musisz mi pomóc, żeby...

Gabriel chwycił ją za gardło. Podniósł. Potrząsnął, jakby była szmacianą lalką.

– Ty! – ryknął. – Rozumiesz!?

Sibylle próbowała się wyrwać. Kopniaki, uderzenia. Na próżno. Gabriel był zbyt silny. Była bezradna wobec więźnia z raną na piersi, która nie przestawała krwawić.

Oczy Gabriela ciskały płomienie.

– Wiesz o martwych dziewczynach? Wiesz o wyspie na środku polany? Wiesz o Mirelli? Nie kłam. Ty nic nie wiesz.

– Proszę cię.

Gabriel ją puścił. Gdy poczuła oparcie dla nóg, próbowała wyrównać oddech i zbliżyć się do przycisku bezpieczeństwa. Kręciło się jej w głowie, czarne plamy tańczyły przed oczami.

– Wiesz, co to jest?! – krzyknął Gabriel, zanurzając paznokcie we własnym ciele. – Wiesz, co zrobił Grahame swojemu synowi? Wiesz?

– Ja chcę wiedzieć o Erice. O uśmiechu kolibra nad jeziorem, który ktoś wymazał. Chcę wiedzieć o Perkmanach, o tym, co się za tym wszystkim kryje...

Gabriel wyrwał kamerę ze ściany i cisnął ją na ziemię.

Sib usłyszała z zewnątrz przekleństwa. Głosy strażników, którzy ją wołali.

– Proszę pani, proszę pani?!

Sib ich zignorowała.

– Błagam cię. Pomóż mi – powiedziała.

Brzęk kluczy. Kolejne przekleństwa.

– Idą – szepnął Gabriel. – Mirella. Mirella zabrała ze sobą wiatr. Jak wszystkie pozostałe.

Drzwi się otworzyły. Żyłaste ramiona chwyciły Sibylle. Niebieski mundur odgrodził ją od zagrożenia.

– Co to znaczy?! – zawołała Sib do więźnia.

Gabriel pchnął strażnika na ścianę. Do celi wpadło jeszcze dwóch, z pałkami w dłoniach.

– Jeśli naprawdę jesteś tą, za którą się podajesz, poszukaj Mirelli.

Strażnicy zaczęli bić. Gabriel zaryczał. Kolejne ciosy. Zgiął się wpół. Upadł. Nie przestawali bić. Ostatnią rzeczą, którą Sibylle usłyszała, zanim wąsаты strażnik wyciągnął ją na korytarz, był śmiech Gabriela.

Rozdział XLV

Tante Frida podała jej szklaneczkę grappy i pilnowała, żeby Sibyllie wypła do dna. Alkohol palił w żołądku. Tante Frida naląła ponownie.

– Jeśli Perkmanowie chcą czegoś od Gabriela – zaczęła Sib, kiedy tylko nabrała rumieńców – to tego nie dostaną.

W uszach brzmiał jej jeszcze dźwięk pałek uderzających o ciało więźnia. Krzyki Gabriela i jego śmiech.

– Nigdy się nie podda – dodała. – Nigdy.

– Mówisz tak, jakbyś była tego pewna.

– Gabriel czuje się natchniony przez jakąś siłę wyższą. To w pewien sposób fanatyk.

– To wariat – skwitował Tony. – I może bardziej chodzi o poczucie winy niż o fanatyzm. Nie zapominaj o tamtej prostytutce. Kazał jej zakładać perukę i prosił, żeby go podtapiała. Potem próbował ją zabić. Peruka z kręconych blond włosów. Nic ci to nie przypomina?

– Nie tyle się go bałam, ile było mi go żal.

– Nie współczuj diabłu, Sib, bo skończy się to kłopotami.

– Kto to jest Grahame? A Mirella? – zapytała adwokatka, sprowadzając rozmowę na bardziej konkretny temat.

– O Mirelli nie mam pojęcia – odpowiedział Tony – ale Grahame to pisarz. Kenneth Grahame. Jego najsłynniejsza powieść to *O czym szumią wierzby*. Książka dla dzieci. Ulubiona książka Martina, z tego, co mówiła Lehrerin Rosa. Pamiętasz, Sibyllie?

Dziewczyna skinęła głową, potem wzięła do ręki dyktafon. Przewinęła nagranie aż do: „Wiesz, co zrobił Grahame swojemu synowi?”.

– Ty wiesz? – spytała.

– Syn Grahame’a się utopił – wyjaśnił Tony. – Zdaje się, że popełnił samobójstwo. Miał dwadzieścia lat.

– Samobójstwo – szepnęła Tante Frida. – Przez utopienie.

Żadne z nich nie powiedziało tego na głos, ale wszyscy pomyśleli o jeziorze pośrodku torfowiska.

– Czy Gabriel chciał powiedzieć, że Grahame zabił swojego syna? – zapytała Sib.

Tony poprawił się w fotelu.

– Skąd miałyby znać szczegóły czegoś, co wydarzyło się prawie sto lat temu? Według mnie chodziło mu o to, że Grahame zrobił ze swoim synem to samo co Perkman z Martinem. Zamknął go w domu. Na cztery spusty.

– Zamknął?

– Grahame napisał *O czym szumią wierzby* dla niego. Kochał go, ale nie na tyle, by przeciwstawić się moralności tamtej epoki, według której należało

się wstydzić wszystkiego, co odmienne. A jednak pomyślcie (i nie bronię tu nikogo), że Grahame mógł zamknąć syna w domu dla obłąkanych i zapomnieć o jego istnieniu, tymczasem został przy nim. Okazując znacznie większą wrażliwość niż przeważająca część jego współczesnych.

– Piękne pocieszenie. Nie na wiele się to zdało, skoro chłopak ostatecznie się zabił – skomentowała kwaśno Tante Frida. – I na cóż tak straszego cierpiał ten biedak?

– Był ślepy na jedno oko. I prawdopodobnie miał też innego rodzaju upośledzenie. Nikt tego nie wie. Samo pojęcie upośledzenia w tamtych czasach było bardzo mgliste. Bezrobotnych uważano za ograniczonych umysłowo, by dać przykład. Ale chodzi o coś innego... Jak Lehrerin Rosa nazywała Martina?

– Krecik.

– Kret jest bohaterem powieści Grahame'a.

– W tym momencie – powiedziała Tante Frida – co innego mnie, hmm... ciekawi. Gabriel mówił o martwych dziewczynach. W liczbie mnogiej.

Wyciągnęła rękę po dyktafon. W gabinecie ponownie rozległ się głos Gabriela: „Mirella zabrała ze sobą wiatr. Jak wszystkie pozostałe”.

– Czy nie puszczamy zanadto wodzy fantazji? – zaproponował Tony.

– Ciebie to nie uderzyło?

– Mówimy o paranoiku.

Sib popatrzyła najpierw na pisarza, potem na adwokatkę.

– Stop – powiedziała. – Co mi umyka?

– Gabriel mówił o kobietach. W liczbie mnogiej – przypomniała Tante Frida. – Powiedział, że Wanderer, kimkolwiek jest...

– Nie kimkolwiek – zaproponował Tony. – Czymkolwiek. Dla Gabriela Wanderer to rodzaj potwora, który pożera ludzkie dusze. No ale Gabriel ma nierówno pod sufitem. Tante Frida, chyba nie wierzysz, że...

Prawniczka uciszyła go jednym wymownym spojrzeniem.

– „Zabija i zabija”. Tak powiedział – szepnęła Sibylle i przeszedł ją dreszcz. – Myślisz, że mogą być jeszcze inne ofiary?

Tante Frida poprawiła okulary na nosie.

– Nic nie mówię. To wyłącznie spekulacje.

– Tam, skąd ja pochodzę – burknął Tony – spekulacje to druga strona monety z napisem „ups, pomyliłem się”. Powściągnijmy trochę fantazję, co?

– Mówię tylko, że trzeba to wziąć pod uwagę, nic więcej. Na pewno powinniśmy się dowiedzieć, kim jest ta Mirella. Czy żyje, czy nie żyje, albo może jedno i drugie.

Sibylle wychyliła drugą szklaneczkę grappy. Tym razem początkowe pieczenie w żołądku przeszło w rozchodzące się po całym ciele przyjemne ciepło.

– Jak można być żywym i martwym jednocześnie?

– Osoby zaginione, niezidentyfikowane zwłoki. Moja specjalność.

- Mnie to się wydaje trochę niejasne – zastrzegła Sib.
 - Rozumiem twoje wątpliwości, ale wiesz, czego mnie nauczyły te wszystkie lata w zawodzie?
 - Że trzeba mieć cierpliwość?
 - Że rzadko znajduje się rozwiązania tam, gdzie się ich szuka. Igła nigdy nie jest w stogu siana.
 - My nie mamy nawet stogu siana – mruknął Tony.
- Tante Frida wysunęła szufladę biurka i wyciągnęła kilka cukierków. Podała najpierw Sib, potem Tony'emu, który w przeciwieństwie do dziewczyny odwinął go z papierka bez patrzenia i włożył do ust. Smak truskawek. Nie znosił go.
- Nie daj się zwodzić filmom, chłopaku. W rzeczywistości policja najczęściej nie znajduje winnego.
 - Rozumiem, Tante Frida, że mówisz to wszystko, żeby nas podnieść na duchu.
 - Najczęściej policja potyka się o sprawcę – odparła adwokatka. A potem, zauważywszy nieodwinięty cukierek w ręku Sibylle, dodała karcącym tonem: – Sib, czym jest życie bez odrobiny cukru?

Rozdział XLVI

Gdy tylko wyszli od Tante Fridy i wsiedli do windy, Tony (niezbyt elegancko wypluwszy cukierek do chusteczki higienicznej) powiedział Sibylle, że musi jechać do Campo Turrez odebrać mustanga i oddać toyotę. Ludzie z warsztatu dali mu znać, że auto jest gotowe, kiedy ona dotrzymywała towarzystwa panu Nierównu Pod Sufitem.

– Pojadę z tobą.

– Jesteś zmęczona. Musisz odpocząć. A poza tym – dodał Tony z enigmatycznym uśmiechem – już uprzedziłem Poliannę.

Sib odwróciła się ku niemu gwałtownie.

– Poliannę?

– Moją niańkę. Ale jeśli tak ją nazwiesz, wkurzy się straszliwie. Niech ci się przypadkiem przy niej nie wyrwie. Pomoc domowa, tak by ją nazwał księgowy.

Sib doceniła próbę ironii. Spotkanie z Gabrielem wycieńczyło ją, Tony też był blady. Jedyną istotą, która wydawała się nietknięta duszną atmosferą, był radośnie merdający ogonem Freddy.

– Czeka na ciebie na dole – ciągnął pisarz. – Zaprowadzi cię do domu. Ja wrócę raz-dwa. Za dużo emocji jak na jeden dzień.

– Nie możesz sam mnie zaprowadzić?

Drzwi wreszcie się otworzyły. Ciasnota windy sprawiła, że oboje czuli się klaustrofobicznie.

– Lepiej będzie, jeśli spotkasz się z Polianną na neutralnym terenie. Jest nieco zaborcza. Tylko o tym też ani mru-mru.

– Co znaczy zaborcza? Jest kimś w rodzaju narzeczonej?

Tomy się roześmiał.

– Raczej mamy. Powiedziałaś, że wyjechałaś z Kreuzwirtu. Naprawdę?

Sib wskazała na swój plecak.

– Nie.

– I jesteś wykończona. Polianna się o ciebie zatroszczy. Odbiorę mustanga i wracam.

Światło słońca ich oślepiło.

Polianna stała prosto jak pień drzewa kilka metrów od toyoty. Miała torebkę przewieszoną przez ramię, spódnicę do kostek i chustkę na głowie.

„Jeśli Polianna nie rozerwie mnie wcześniej na strzępy”, pomyślała Sib, kiedy Tony dokonywał prezentacji.

Kobieta wyglądała na skwaszoną, a i Tony był wyraźnie spięty. Byłoby to nawet śmieszne, gdyby sama Sib nie czuła się na cenzurowanym.

– Polianno, zajmiesz się Freddyem?

– Oczywiście.

- Jeśli będą jakieś problemy, dzwońcie.
- Nie będzie żadnych. Zapnij pasy. I nie jedź za szybko.

Tony wsiadł do samochodu, podniósł rękę na pożegnanie i włączył się do ruchu.

Pierwsze słowa Polianny do Sib brzmiały:

- Chcesz skrzywdzić mojego chłopca, panienko?
- Poproszę o następne pytanie.

Kobieta ruszyła zdecydowanym krokiem w stronę przystanku autobusowego.

„Dzięki, Tony. Piękne dzięki”.

Rozdział XLVII

1

– Pan nie jest purystą, prawda? – Mechanik wskazał na nowe opony mustanga.

„Rzeczywiście – pomyślał Tony – prawdziwy znawca krzywiłby się bardzo, ale znalezienie oryginalnych opon wymagałoby mnóstwa czasu”.

– Ważne, żeby jeździł.

– Jeśli chodzi o napis – dodał mechanik, wkładając mu do ręki kawałek wydartej z notesu kartki – tu ma pan adres mojego kolegi. On może się tym zająć. Jeśli chodzi o gumy, to się z panem zgodzę, ale...

Tony włożył kartkę do kieszeni.

– A ja myślę, że „pojep” dodaje mu charakteru.

– Pana samochód, szefie.

Mechanik powiedział to takim tonem, jakby się rozliczał z wariatem, ale nie przeszkodziło mu to przyjąć gotówki od Tony’ego. Szybko wypisał rachunek, poradził, by zgłosić zdarzenie ubezpieczalni i karabinierom (czego Tony nie zrobił, bo nic by to nie dało), pożegnał się i wrócił do swoich spraw.

Tony wsiadł do mustanga i pojechał do OBI znajdującego się zaraz za miasteczkiem. Kupił ciesielski młotek, sporo gwoździ różnego rozmiaru (lepiej za dużo, niż żeby miało zabraknąć) i płyty paździerzowe o grubości dziesięciu milimetrów. Z pewnym trudem upchnął to wszystko w mustangu i pojechał do Kreuzwirtu.

W bloku, w którym Tony spędził dzieciństwo, nigdy nie trzeba było wołać hydraulika, elektryka czy stolarza. Wystarczyło zadzwonić do drzwi mieszkania Carcanów i sprawa była załatwiona. Dzięki ojcu Tony był jedynym uczniem Szkoły Podstawowej imienia Martina Luthera Kinga, który potrafił odróżnić wkręt Torx od Robertsona, znał różnicę między szczypcami a kombinerkami i umiał bez zająknięcia powiedzieć „rozwiertak”. Niemniej nie posiadał nawet połowy talentu swego ojca. Nie miał do tego ręki. Jednak na pewno umiał założyć płyty paździerzowe na okna domu Sibylle, by deszcz i zwierzęta nie wyrządziły dalszych szkód. Płyty nie byłyby szczególną przeszkodą dla złodziei, ale może wystarczą, by dzieciaki nie próbowały głupot.

Kiedy podjechał pod dom otoczony jeżynami, zobaczył, że ktoś inny pomyślał o tym samym. I wcale mu się to nie spodobało.

Zwłaszcza że dwudziestkędwójkę zostawił w domu.

2

– Przepraszam, to nie było grzeczne z mojej strony.

Sib uniosła głowę znad talerza. Kiedy Polianna zaproponowała jej pierwszą kanapkę, Sib przyjęła ją z czystej uprzejmości. Była przekonana, że po tym, co wydarzyło się w więzieniu, będzie jej trudno przełknąć choćby kęs. Tymczasem właśnie skończyła jeść trzecią.

– Ja...

Sib otarła usta wierzchem dłoni. Uświadomiła sobie, co zrobiła, i spiekła raka.

Polianna się uśmiechnęła.

– To są ulubione kanapki Tony’ego. Gotowana i wędzona szynka, pieczeń jagnięca, pasta z oliwek i ser. Daję kozi, ale tego mu nie mów. To sekretny dodatek.

– Będę milczała jak grób.

– Miła z ciebie dziewczyna. Przepraszam, że cię tak zaatakowałam na początku.

Sibylle się uśmiechnęła.

– Tony powiedział, że jest pani...

– Polianna, nie pani.

– Tony powiedział mi, że jesteś wobec niego nieco opiekuńcza.

Polianna skrzywiła się i przez głowę Sib przebiegła myśl, że znów z czymś wyskoczyła.

– Może trochę tak. A ty – kobieta wróciła do początku – nie skrzywdzisz mojego chłopca?

– Nie jesteśmy...

Sib szukała właściwego słowa, ale Polianna była szybsza.

– Nie trzeba być, żeby kogoś zranić.

– Nie skrzywdzę. Przynajmniej nie w sposób zamierzony.

– Tony już nie jest chłopakiem, który chował się w bibliotece. Pamiętam go. Nauczył się przyjmować ciosy i oddawać. I wciąż kłócił się z ojcem. Ale w pewnym sensie się nie zmienił. Wiesz, że to ja podarowałam mu Freddy’ego? I to ja go przekonałam, żeby udzielał lekcji kreatywnego pisania. Prosiła mnie o to jego matka. Byłyśmy ze sobą bardzo związane. To ona powiedziała Tony’emu, że może sobie pozwolić na pomoc domową, która zapełni mu lodówkę, kiedy on będzie pisał. Musiałabyś widzieć to mieszkanie, kiedy weszłam tu po raz pierwszy.

– Zapuszczone?

– Wręcz przeciwnie. Zbyt uporządkowane. Ale w zły sposób. Maniakalny. Tony zbudował sobie coś w rodzaju...

– Fortecy. Z fosą i aligatorami.

– Wiesz, jak wygląda jego dzień? Pobudka o szóstej, kawa, spacer z Freddyem, druga kawa, nowa powieść do południa, kanapka, wiadomości w radiu, spacer z Freddyem, trzecia kawa, korekta na wydrukach, lekka kolacja, zachód słońca z Freddyem, film na DVD albo lektura, dobranoc.

– Sądziłam, że życie pisarza jest bardziej ekscytujące. Autografy, wielbiciel...

Polianna się roześmiała.

– Tony i scena to przeciwieństwa. Nie chodzi nawet na promocje. Tylko pisze. I to jest niebezpieczne.

– Dlaczego? To w końcu jego praca. I lubi ją.

– Kocha. Ale ryzykuje, że... – Polianna szukała właściwego słowa.

To Sib je znalazła. Mężczyzna w tiszczynie na spacerze z psem na smyczy. Samotny, wśród jabłoni. Nieco zbyt blady, nieco zbyt zagubiony w myślach, nieco zbyt gniewny.

Mężczyzna, który pisał powieści z happy endem, by plunąć w twarz niebu bez gwiazd.

– ...że się zatraci.

Rozdział XLVIII

Oskar przestał wbijać gwoździe, kiedy tylko mustang wjechał w alejkę prowadzącą do domu. Położył młotek u stóp drabiny, wytarł ręce w ścierkę i ruszył w stronę samochodu.

Tony wyłączył silnik i wysiadł. Gotowy do starcia.

– Przykro mi z powodu Sib – zaczął właściciel Black Hat, krzyżując ręce na piersi.

– Z powodu domu czy z powodu pracy?

– Musiałem.

– Karin Perkman zadzwoniła?

– Michl. Gdzie jest Sibylle?

– W Bolzano. Przeszkadza ci to?

Oskar pokręcił głową. Kolczyk zaświecił w słońcu.

– Jest pełnoletnia. Czasem przerwa dobrze robi. Nawet jeśli ta wasza relacja nie potrwa długo.

Tony miał ochotę wybuchnąć śmiechem. *Relacja.*

Zniszczenia semantyczne dokonane przez telenowele.

– Zdaje mi się, że nie znasz Sibylle nawet w połowie tak dobrze, jak ci się wydaje, kolego.

– Mam do ciebie trzy pytania, Tony.

– Już to gdzieś słyszałem.

– Chcesz dobra Sib?

– To też mi coś przypomina.

Oskar wbił mu palec w klatkę piersiową.

– Odpowiedz.

– Nigdy bym jej nie skrzywdził. A teraz zabierz ten palec albo każę ci go połknąć.

– Domyślałem się, że będę musiał się tym zadowolić.

– To moje motto. Drugie pytanie?

– Chcesz zobaczyć, czego Sibylle sobie oszczędziła, wyjeżdżając z Kreuzwirtu? – Oskar nie czekał na odpowiedź. Podniósł tizert, pokazując dziesięciocentymetrową bliznę. Cięcie było czyste, precyzyjne.

– Peter? – zapytał Tony, pamiętając, co Sib powiedziała mu o Oskarze i jego planach zbudowania hotelu w Kreuzwircie. – To jego robota?

– Ta jest z dwutysięcznego. Peter był w tym czasie w domu opieki. Uważali, że już po nim, ale trzymał się jeszcze przez cztery lata. Wiesz, jak to się mówi. Złego diabli nie biorą.

– A więc Rudi. A może Martin?

Oskar opuścił koszulkę.

– Martin był już zamknięty w willi, a Rudi... Wiem, że mieliście starcie, ale to, co zrobił ci Rudi, było tylko inscenizacją. Teatrykiem. Wiem, co mówię. Rudi jest w porządku. Ma przyjaciół, lubi filmy. Czasami chodzimy razem na ryby.

– Ma też dobry gust literacki. Kogo próbujesz oszukać, Oskar? – zapytał Tony wojowniczym tonem. – Rudi próbował zabić Sibylle.

Odpowiedź Oskara go zdumiała.

– No to gdzie jest ciało?

– Ciało?

– Chciał ją zabić czy tylko przestraszyć?

Tony poczuł, że krew uderza mu do głowy.

– Gówno prawda.

Odwrócił się, by odejść. Nie miał nic do powiedzenia łysemu.

Oskar zatrzymał Tony'ego, chwytając go za rękę.

– Rudi zniszczył ci samochód. I porządnie przestraszył. Nie kłam, narobiłeś w gacie. Zapytaj lepiej, co by zrobił, gdyby naprawdę dobrał ci się do skóry.

Tony uwolnił rękę.

– Dlaczego nie zapytasz o to samo kowboja Hannesa?

– Nie szukam kłopotów. Chcę tylko, żebyś zrozumiał. Rudi robi to, co każą mu Perkmanowie. Jeśli mu powiedzą, żeby cię przestraszył, założy maskę psychola, spędzi z tobą pięć niezapomnianych minut, a potem pójdzie do domu obejrzeć film lub wpadnie do Black Hat na piwo. Ale Peter, jego ojciec... – Oskar pokręcił głową. – W tej sprawie z hotelem Perkman kazał mi dać mi kilka klapsów. Może wybić zęb. Nic więcej. I Rudi tak by zrobił. Ale jego ojciec złamał mi łokieć w trzech miejscach, ciesząc się każdą sekundą tortur. Peter był gnojem, który przejeżdża samochodem psa jedynie po to, by z satysfakcją patrzeć, jak ten pies umiera.

Na twarzy Tony'ego pojawił się grymas obrzydzenia.

– Przychodzi mi na myśl parę średniowiecznych lekarstw dla ludzi, którzy robią takie rzeczy.

– A tak w ogóle to w dwutysięcznym roku Rudi był trzynastolatkiem i ważył czterdzieści kilo w ubraniu. Myślisz, że wychudzony dzieciak byłby zdolny mi to zrobić?

Wskazał na zakrytą tiszertem bliznę.

– A więc kto?

– Michl.

Tony poczuł obezwładniający zawrót głowy.

Michl?

– Byłem wstawiony, idealny moment, żeby zaatakować. Gdy Michl mnie kroił, Karin się śmiała. Śmiali się oboje. Ona też tam była i podobało się jej przedstawienie.

Michl!

Karin!

– Dlaczego? Dlaczego to zrobili?

– Kreuzwirt jest jak zwierzę. Stare. Złośliwe. Z trudem dostosowuje się do zmian. Nie toleruje ich. Wszystko ma swoje miejsce i tak ma zostać. Na zawsze. A ja chciałem wyjechać. Zamknąć Black Hat i zniknąć. Miałem już dość.

– Czy Erika też nie chciała zostać tam, gdzie było jej miejsce?

– Zaczynasz rozumieć.

– A gdzie było jej miejsce?

– Na samym dole łańcucha pokarmowego. Można stawiać tarota. Można być pomyloną. Ale robić coś takiego w świetle dnia, walczyć o swoją... odmienność, co to, to nie. Erika przekraczała wytrzymałość tego miasteczka. Była zbyt żywa, zbyt swobodna. Kreuzwirt jest jak klatka dla chomika, a ty jesteś chomikiem. Dopóki biegasz w kołowrotku, nic złego ci się nie stanie. Ale nie waż się wysiąść.

– Miejsce, w którym nie zmienia się nic poza nazwiskami aktorów, prawda? Rudi zajmuje pozycję swojego ojca. Karin swojego. Zaś Michl robi za chomika, jak przed nim jego ojciec.

Jakby w Kreuzwircie czas utknął w jakiejś pełnej szlamu spirali. A jeśli ktoś odważył się wyrwać z obrotowego ruchu...

– Powiedziałeś, że masz trzy pytania. Brakuje jednego.

– Wybierzesz tę sprawę z głowy Sibylle?

– Ona nie zrezygnuje.

– Więc bądź blisko niej.

– A ty nie bądź posłusznym chomikiem. Jeśli coś wiesz, powiedz. Nie czekaj, aż komuś stanie się krzywda.

Oskar odwrócił się, żeby popatrzeć na dom Eriki.

Kiedy znów spojrzał na Tony'ego, wyglądał, jakby się postarzał o dwadzieścia lat.

– Z Gabrielem był jeszcze ktoś – wyszeptał. – Kiedy go spotykałem. Jak... brałem od niego towar.

– Nie byłeś czysty w tamtych latach?

– Nie.

– Kokaina?

– Wpadłem w to znowu. Brałem towar od Gabriela, nie od Hannesa. Wydawało mi się, sam nie wiem, że to może mniej poważne, kiedy kupuję od kogoś znajomego. Czasami z Gabrielem była dziewczyna. Jego kobieta.

Tony zadrżał.

– Czy ona miała na imię Mirella?

– Powiedziała, że ma na imię Yvette. Yvette Fontana. Ale Gabriel nazywał ją Leah. Wkurzała się, kiedy tak do niej mówił. Chuda laska. Ćpunka bez dwóch zdań.

Leah krowa, jak nazwał ją *brattaro* w kowbojskim kapeluszu.

– A imię Mirella? Coś ci mówi?

– Nigdy nie słyszałem.

– Nie ma żadnej dziewczyny o tym imieniu w Kreuzwircie? Takiej, która miałaby coś wspólnego z Gabrielem?

– Znalazłeś go?

– Siedzi w więzieniu. Próba morderstwa.

– Nie wiedziałem.

– Ale nie jesteś zaskoczony.

– Nie.

– To wszystko, Oskar?

– W dwutysięcznym ta rana była dla mnie wiadomością. Dziś wiadomość się zmieniła. Jest dla ciebie. Od Eriki. Uratuj jej córkę, zabierz ją stąd. Tak daleko, jak tylko możesz.

Rozdział XLIX

1

Sib obudziła się i na chwilę ogarnęła ją panika. Pomyślała, że wciąż jest w celi. Kraty w oknach, wzmocnione drzwi. Mdlący zapach. Na szczęście to nie trwało długo. Była w mieszkaniu Tony'ego. W dzielnicy, którą on wciąż nazywał Szangajem. Pamiętała kanapkę z pastą z oliwek i kozim serem. „Ale nie mów tego Tony'emu”. Była w bezpiecznym miejscu, nie na via Dante. Żadnych krat w oknach.

Która godzina? Przepuszczane przez żaluzje smugi światła były ukośne, zegar na wyświetlaczu telefonu mówił, że właśnie minęła piąta po południu.

Sibyllę się przeciągnęła.

Kiedy Polianna zorientowała się, jak bardzo Sib jest zmęczona, zakończyła pogawędkę i zaprowadziła ją do pokoju gościnnego. Pokoju z widokiem na zamek Sigmundskron. Łóżko, które wyglądało bardzo zachęcająco, dwie szafy („Masz tyle miejsca, ile chcesz”, powiedziała Polianna, patrząc na wypchany do granic możliwości plecak Sibyllę przywieziony z Kreuzwirtu) i małe biurko z krzesłem. Gdy Polianna pokazała jej pokój, Sibyllę ku swemu zaskoczeniu zadała sobie pytanie, ile kobiet spało w tym łóżku. Albo w tym pokoju obok. „To jego sprawa. Nie bądź dzieckiem”.

Polianna zostawiła jej swój numer telefonu. „Lodówka jest pełna. Pamiętaj tylko, żeby zmienić wodę Freddy'emu. Bernardyny cierpią w upale. W każdym razie jeśli będziesz czegoś potrzebowała, dzwoń bez obawy. Mieszkam po drugiej stronie ulicy”.

Po jej wyjściu Sibyllę pozwoliła zwyciężyć ciekawości. Mieszkanie Tony'ego było przestronne. Kuchnia jak ze statku kosmicznego, najnowszy model klimatyzatora („To dla Freddy'ego – pomyślała z uśmiechem. – Kupił go dla Freddy'ego”), kilka reprodukcji słynnych obrazów, parę plakatów, odtwarzacz stereo, lustro obok drzwi wejściowych – mniej więcej standard. A do tego legowisko psa, sofa i książki. Tysiące książek. Były wszędzie. Mury forticy Tony'ego. Sib ziewnęła i to jej przypomniało, jak bardzo potrzebuje odpoczynku. Z półki zdjęła jedną z powieści Tony'ego i wzięła ją do swojego pokoju. Trochę się wstydziła, że dotąd nie przeczytała ani linijki żadnej jego książki.

Położyła się na łóżku w ubraniu. Po trzech stronach zasnęła.

2

Kilka godzin później, gdy minął pierwszy moment oszołomienia, Sibylle wstała i wyszła z pokoju. Boso, z rozwichrzonymi włosami i suchym gardłem, jeszcze nie do końca kontaktując. W legowisku głośno chrapał Freddy, pieszczony przez powiew klimatyzatora.

– Dobrze spałaś?

Sib aż podskoczyła.

Tony odłożył telefon komórkowy na kanapę i uśmiechnął się do niej.

– Nie chciałem cię przestraszyć.

– Mogłeś mnie obudzić.

– Nie chciałem.

– Znowu mejle od świrów?

Tony bezradnie potrząsnął głową.

– Zaczynam żałować, że poprosiłem Chiare o rozpowszechnienie informacji w społeczności tych porąbańców.

– Aż tak źle?

– Facet, który myśli, że jest antychrystem, jest najsympatyczniejszy.

– Świat jest dziwny – stwierdziła Sibylle. – Dawno wróciłeś?

– Uciałem sobie pogawędkę z twoim byłym pracodawcą. Pokojową, nie martw się.

– Streść mi.

– Powiedział, żebym cię nie skrzywdził.

– Ciekawe. To samo powiedziała mi Polianna.

Grymas na twarzy Tony’ego.

– Była twarda?

– Po Tante Fridzie? Żartujesz? Powiedz prawdę, masz słabość do silnych kobiet?

– Do silnych kobiet i do tych... – Tony utknął.

Które budzą się rozczochrane.

Które okręcają sobie włosy na palcach.

Które nie zdają sobie sprawy, jak są odważne.

I które...

– ...które potrafią gotować – zakończył, wstając. – Co poradzisz, jestem neandertalczykiem. Masz ochotę na kawę?

Sib poszła za nim do kuchni.

– Wiedziałaś, że w dwutysięcznym Oskar chciał sprzedać Black Hat i wyjechać?

– Nie.

Tony postawił kawiarkę na płycie.

– I że Karin z Michlem solidnie go wtedy pokroili?

Rozdział L

To był kiepski dzień dla Madame dell'Angelo. Ostatni klient, sprzedawca z H&M marzący o ślubie z kolegą, który nie potrafił zapamiętać jego imienia, wyszedł o dziesiątej rano. Zadowolony i jak zawsze pełen nadziei. Potem już nic. Madame dell'Angelo wykorzystała wolny czas i zrobiła zakupy na Zalando, zaktualizowała sobie profil na Facebooku (kotki i nieprawdziwe cytaty znanych autorów), dodała kilka sztucznych pajęczyn do posążka Santa Muerte, który przybył do Bolzano bezpośrednio z koreańskiej fabryki za jedyne 29 euro i 99 centów, zadzwoniła do matki, którą chwyciło letnie przeziębienie, zjadła na obiad kanapkę z serem i popiła napojem dietetycznym. Kiedy mniej więcej o piątej po południu postanowiła zamknąć interes i wrócić do domu, usłyszała dzwonek do drzwi i spojrzała przez judasza.

Mężczyzna i kobieta. On koło czterdziestki, ona młodsza. Blondynka, długie włosy. Madame dell'Angelo poprawiła turban, wisiorki na szyi i ukryła zadowolenie. Pary były jej ulubionymi klientami. Zwłaszcza te w kryzysie. Para niedobrana, zapłata gwarantowana. Przechodzące kryzys pary widziały w niej ostatnią deskę ratunku, licząc, że Madame złoży z powrotem coś, czego już nie ma. A to oznaczało wiele konsultacji. I dodatkowe rytuały. I amulety do trzymania pod poduszką.

I...

Usadziła ich przy stoliku pośrodku pokoju, zapaliła świece i potasowała karty tarota. W tym czasie przestudiowała mowę ciała klientów (dziewczyna była spięta, facet stanowił klasyczny przykład postawy „jestem tu tylko dla niej”) i zadała kilka wstępnych pytań.

– Diabeł. Namiętność wygasła – powiedziała, pokazując pierwszą kartę.

Dziewczyna przyłożyła dłoń do twarzy.

– Nie smuć się, moja droga. Zobaczmy, co Arkana chowają dla ciebie w zanadrzu. Diabeł nie zawsze oznacza nieszczęście. Zdejmij zasłonę z oczu. Nie wierz w to, co czytasz.

– Dokoła jest mnóstwo szarlatanów – skomentował mężczyzna.

– Ale wy przyszlście do Madame dell'Angelo.

Madame dell'Angelo zawsze mówiła o sobie w trzeciej osobie.

Nowa karta. Powściągliwość.

– Pogoda ducha i spokój. Widzicie tę złotą amfore? Przedstawia rozum. Rozum jest często heroldem...

– Heroldem? Naprawdę tak powiedziałaś? – Mężczyzna spojrzał najpierw na nią, a następnie na dziewczynę u swego boku. – Wielkie nieba. *Heroldem* – powtórzył z niedowierzaniem. A potem zdmuchnął świece. – Masz

pojęcie, co by mi zrobił mój redaktor, gdybym przedstawił mu maszynopis z takim słowem?

Młoda kobieta wstała i zamknęła drzwi na klucz. Potem odsunęła zasłonę zaciemniającą jedyne okno w pomieszczeniu.

Mężczyzna wziął talię z rąk Madame i zaczął układać karty na stoliku.

– Teraz moja kolej.

Dwie równoległe linie po trzy karty, pionowo. Dwie u podstawy, pod kątem. Jeszcze dwie wyżej, poziomo. Uśmiech kolibra.

Madame dell'Angelo zdjęła turban, odsłaniając kaskadę ciemnych, puszystych włosów. Wiedziała, że prędzej czy później to się stanie. Że prędzej czy później ktoś przyjdzie.

– Nie jesteś ciekawa swojej przyszłości, Yvette?

Yvette Fontana alias Leah, alias Madame dell'Angelo przegoniła dłonią dym z gasnącej świecy.

– Nie ma potrzeby – powiedziała. – Chcecie wiedzieć o Gabrieli i Mirelli.

Rozdział LI

1

To Tante Frida zdobyła dla Tony'ego i Sibylle adres Madame dell'Angelo. Kiedy odkryła prawdziwą tożsamość dziewczyny Gabriela, odnalezienie jej było dziecinnie proste. Yvette Fontana nie dość, że miała nietypowe imię i nazwisko, to jeszcze została zatrzymana w 2007 roku razem z Gabrielem na parkingu dyskoteki w Appiano z podejrzeniem o handel kokainą. Oskarżenie upadło, bo prawdopodobnie zdążyli pozbyć się towaru, ale to, co znalazło się w policyjnej bazie danych, już tam pozostało.

„I nie mów mi nic o prywatności, Tony, bo zacznę krzyczeć”.

„Przecież nawet nie otworzyłem ust”.

Yvette Fontana, absolwentka studiów psychologicznych, po detoksykacji i serii dorywczych prac, odnalazła swoje miejsce jako wróżbitka. Jej praktyka w dawnej pracowni tatuażu artystycznego przy via Cassa di Risparmio w centrum Bolzano została zarejestrowana jako studio terapeutyczne.

Tony docenił ironię.

2

– Gabriel miał w środku ogień – zaczęła Yvette, porzucając mówienie w trzeciej osobie. – Poznaliśmy się w dwa tysiące trzecim, na dyskotecę. Podszedł do mnie, żeby mi sprzedać trochę ecstasy. Nigdy wcześniej jej nie zażywałam, ale słyszałam o niej i powiedziałam sobie „dlaczego nie?”. Zaczęliśmy rozmawiać. Był dowcipny, inteligentny. Zakochałam się. Wkrótce wpadłam w nałóg. Historia przewidywalna i nudna jak flaki z olejem.

– Byliście ze sobą bardzo długo.

Yvette uśmiechnęła się smutno.

– To mi się podobało. Związek z Gabrielem był ekscytujący. Przynajmniej na początku. Zawsze byłam grzeczną dziewczynką, skończyłam studia, bo moja rodzina tego chciała. A z nim czułam się jak Bonnie u boku Clyde'a. Chociaż często spaliśmy w schroniskach dla bezdomnych lub na ulicy.

– Czy Gabriel był agresywny? – zapytała Sib.

– Nie. Nie wobec mnie. Nigdy. Ale miał swoje problemy. Erika. Jej śmierć. Skoro tu jesteście, to znaczy, że o niej wiecie. Gabriel trzymał jej zdjęcie. Powiedział, że kiedyś każe Kreuzwirtowi za to zapłacić. Że od razu zrozumiał, że została zabita. Powiedział mi, jak ludzie o niej mówili.

– Pomyłona Erika?

– Żeby tylko. Według niego gadali tak z zazdrości. Mówił, że Erika była wolna, genialna. Ale mówił tak, jakby był...

– Zakochany?

– Owładnięty obsesją – powiedziała Yvette. – Sporo plotek krążyło o Erice. Niektóre prawdziwe, według niego. Na przykład, że nocami włóczyła się po lesie. Że widywano, jak rozmawiała ze zwierzętami. Nie tylko w dzieciństwie. A potem pojawiły się *jeszcze inne* plotki. Jeśli jakiś mężczyzna zostawił żonę, to znaczyło, że Erika go uwiodła. Takie rzeczy. Płacenie za stawianie tarota stanowiło pretekst do nazywania jej dziwką. Kiedy poszła do pracy w Black Hat, plotkowano jeszcze więcej. Erika mówiła, że ma to gdzieś. Ale Gabriel wiedział, że jej z tym źle. Uczepiła się tarota, żeby czuć się kimś wyjątkowym.

– Tak źle, żeby się zabić?

– Tak źle, by uciec z domu.

Sib otarła pot ze skroni. Choć pod sufitem obracał się wentylator, w pomieszczeniu panował łącie tropikalny upał.

– I wrócić w ciąży. Czy Gabriel wiedział, kto jest ojcem?

– Nie. On mówił, że Erika była najbardziej samotną osobą, jaką kiedykolwiek znał. Dlatego postanowił, że Kreuzwirt za to zapłaci. Czyste szaleństwo. Zakładał blond perukę i szedł rysować ten przeklęty symbol na ścianach domów. To był jego sposób, by działać ludziom na nerwy. Kompletnie pokrecone. A jednak zawsze uważałam to za romantyczny gest.

– To Gabriel był podglądaczem, który włamywał się do domów?

– Nie. On nie. Powiedziałyby mi. Przed śmiercią Eriki był zwyczajnym dzieckiem. Ale to go zmieniło. Potem zaczął się naprzykrzać Kreuzwirtowi tymi malunkami. Jego ojciec dość szybko się zorientował, poprosił o przeniesienie i zabrał ze sobą rodzinę. Gabriel powiedział mi, że kiedy ten biedak odkrył jego perukę, wystraszył się i pomyślał, że syn jest gejem.

– Ludzie o otwartych umysłach – mruknął Tony.

– Kreuzwirt – orzekła Sib.

– Wyjechali, ale co się miało stać, to się stało. Gabriel został naznaczony. Miał koszmary o Erice, o jeziorze, o miasteczku. Dorastając, zaczął się faszzerować lekami. Najpierw żeby zasnąć, potem, żeby nie zasnąć, a w końcu dlatego, że nie mógł się bez nich obejść. Miał obsesję. Na punkcie Eriki i von Juntza. Czasami byłam zazdrosna. O martwą kobietę. Szalone, wiem.

– Kto to jest von Juntz?

– *Unaussprechlichen Kulden*. To książka. Von Juntz jest jej autorem. Myślałam, że wiecie.

Unaussprechlichen Kulden.

Nienazwane kultury.

– Pierwsze słyszę.

– Gabriel zabrał mnie kiedyś do Kreuzwirtu. Nie weszliśmy do miasteczka, zostaliśmy na zboczu, pod drzewami. Pokazał mi Ropuszy Dwór. Powiedział, że jest tam biblioteka i że kiedy był dzieckiem, poszedł tam z Eriką, Elisą i Karin. I Erika znalazła w niej von Juntza. Gabriel mówił, że w środku było pełno rycin. On się ich bał, ale Erika nie. Ten symbol, uśmiech kolibra, zobaczyła właśnie w tej książce. Oczywiście kiedy doktor Horst nakrył ich na przeglądaniu książki, był wściekły. Za to, że nie zamknęła na klucz szafy, w której stała książka, zwolnił pokojówkę, ciotkę Eriki...

Sib otworzyła szeroko oczy.

– Helgę? Miała na imię Helga?

– Nie wiem. Może.

Kłamstwa. Ile kłamstw opowiedziała jej ciotka Helga?

– Od tamtego czasu – ciągnęła Yvette – Erika zaczęła układać karty zgodnie z tym rysunkiem. Uśmiech kolibra. Mówiła, że to symbol szczęścia, bo kolibry przynoszą szczęście. Erika lubiła zwierzęta, a Gabriel mi powiedział, że bardzo dobrze naśladowała ich głosy. Wiedzieliście o tym?

– Tak.

– Po latach Gabriel zdobył skądś kilka zmiętych i pokreślonych kserokopii stron z von Juntza. Wyjaśnił mi, że nie było ich w pierwszym wydaniu i że czegoś w nich brakowało, ale że bez problemu wystarczały, by zrozumieć, że Erika się myliła.

– W czym?

– Uśmiech kolibra miał na celu przywołanie Wędrowca. Tak go nazwał: Wędrowiec. Innym razem: Ten, Który Przychodzi i Odchodzi. Albo Widmo. Albo Tommy Promień Słońca. Gabriel mówił, że Horst był nieostrożny, zostawiając tę książkę na wierzchu. Uważał, że powinien był ją spalić. Ten symbol... Wicie o subtelnych światach?

Tony poruszył się nerwowo.

– Bardzo mało.

– Gabriel mówił, że jest wiele światów. Niektóre są kopiami naszych, ale z drobnymi różnicami. Symbol olimpijski składa się z sześciu kółek, nie z pięciu, Yvette jest blondynką, nie brunetką, Adyga przepływa przez Rzym, a...

– HC Bolzano stać na graczy z NHL.

– Pomiędzy światami znajdują się podwaliny. Podwaliny służą do powstrzymywania zła, aby nie przelewało się na zewnątrz, ale jednocześnie pełnią funkcję zbiornika. Ponieważ zło, według von Juntza, jest niezbędne dla funkcjonowania wszechświata. Bez śmierci nie ma życia. Bez żałoby nie ma odrodzenia. Bez wojny nie ma pokoju.

– Poczekaj – wtrącił Tony. – Wszechświat zatrzymuje zło w podwalinach, a potem, co jakiś czas, rozpyła je trochę tu, trochę tam, aby wszystko gładko chodziło? To jest szalone. I idiotyczne.

– To samo mówił Gabriel. Wszechświat jest idiotą. Ślepym idiotą, który w kółko popełnia te same błędy. Ale tylko taki mamy. A subtelne miejsca są tam, gdzie światy znajdują się najbliżej siebie. Większość ludzi ich nie widzi. Niektórzy, trochę bardziej wrażliwi od reszty, wyczuwają ich obecność. Subtelne osoby, jak Erika, kołyszają się między światami jak na huśtawce. Zazwyczaj subtelne osoby są szczególnymi indywiduami, tak powiedział Gabriel. Żyją swoim życiem, nie zdając sobie sprawy z mocy, jaką posiadają, a polega ona na tym, że potrafią zajrzeć pod podszewkę rzeczy. Ale żeby to zrobić, potrzeba kluczy.

Yvette wskazała karty tarota leżące na stoliku.

– Subtelne osoby to brama, klucz i zamek. O tym mówi von Juntz. O tym, w jaki sposób i dzięki jakim symbolom można dotrzeć do innych światów przez bardziej delikatne punkty rzeczywistości. Erika zaczęła się bawić jednym z tych symboli. Jednym z najgorszych. Uśmiechem kolibra, przez który mógł przejść Wędrowiec.

– Więc Wędrowiec nie jest człowiekiem?

– Tommy Promień Słońca nie jest stąd. Jest inkubem. Uśmiech kolibra służy do uzyskania bezpośredniego dostępu do podwalin. Tam przebywa Wędrowiec.

Plusk spadającej kropli w czymś, co przypominało klepsydrę z wodą. Dźwięk klaksonu w oddali.

Nagły śmiech Tony’ego.

– Bardzo to sugestywne. Ale teraz wróćmy do Mirelli. I do Martina Perkmana. Do Gabriela. I Kennetha Grahame’a. Słyszałaś kiedyś to nazwisko?

– *O czym szumią wierzby.* Gabriel cytował tę powieść prawie tak samo często jak von Juntza. Mówił, że te dwie książki są w jakiś sposób powiązane, ale nigdy nie wyjaśnił dlaczego. Czy mówił o Martinie? Tak, często. Mówił też o Elisie i Karin. Zwłaszcza o Karin. Nienawidził jej, uważał, że to ona stała za większością plotek o Erice.

– Z tego, co wiemy, przyjaźniły się.

Na twarzy kobiety przebranej za wróżbitkę pojawił się bardzo wymowny grymas.

– A Mirella?

Yvette się zachmurzyła.

– Mirella Buratti. Pamiętam jej matkę, jej apele w telewizji. Styczeń dwa tysiące ósmego. Gabriel powiedział, że zabił ją Wędrowiec. To był dziwny czas. Gabriel prawie przestał brać, tylko trochę amfetaminy, żeby nie spać. Ale nie brał już halucynogenów ani nic innego. Przestał dilować. Chciał znaleźć tę dziewczynę, a handel narkotykami zabierał mu czas. Oczywiście, że mu się nie udało. Kilka miesięcy później zaatakował tę dziwkę i... – Yvette maltretowała swój naszyjnik. – To Gabriel mnie zostawił.

Powiedział, że związek z nim jest niebezpieczny. Zaraz po tym, jak poznał tego lalusia.

– Jakiego lalusia?

– Michła Horsta. Lekarza. Chłopaka Karin Perkman. Nie wiem, o czym rozmawiali.

„Śmiali się. Kiedy go kroili”.

– Wiem tylko, że po tej rozmowie Gabriel spalił wszystkie swoje notatki, mnóstwo map pełnych uwag, notesy, a nawet kserokopie *Unaussprechlichen Kulten*. Wsadził mnie do samochodu i zabrał do centrum odwykowego w Trydencie. Zawiózł mnie tam i powiedział, że nigdy więcej się nie zobaczymy.

Yvette spojrzała na Sib i Tony’ego. Jej oczy były pełne łez.

– Ja to nazywam miłością. A wy?

Rozdział LII

– I co myślisz?

Sibylle i Tony spacerowali, ciągnąc za sobą Freddy'ego. Od czasu do czasu spotykali jakiegoś szaleńca pedaującego na rowerze górskim, jakiegoś fanatyka joggingu i całkiem sporo psiarzy, ale mimo że było już po zachodzie słońca, upał był tak dotkliwy, że zniechęcał większość ludzi do wystawiania nosa z domu.

– Myślę, że ten cały Tommy Promień Słońca to bzdura. A subtelne światy i podwaliny wszechświata są jeszcze większym nonsensem. Zawieszam wyrok w sprawie wszechświata idioty, ponieważ wokół jest tylu idiotów, że podejrzanych jest więcej niż jeden. I myślę, że miłość jest naprawdę dziwna, jeśli chcesz to w ogóle nazywać miłością.

– Zostawił ją. Zanim ją skrzywdził. W pewnym sensie ją chronił.

– Przed samym sobą? Brawo on – odparł Tony. – Tylko nie zapominaj, że wcześniej zrobił z niej ćpunkę.

Sibylle kopnęła kamyczek na ścieżce.

– Przepraszam – powiedział Tony. – Po prostu niektóre rzeczy wyprowadzają mnie z równowagi.

– Przeprasiny przyjęte. Mówisz, że Tommy Promień Słońca jest zjawą ze świata... – Sibylle pomyślał o chłopaku z Szangaju, który spędzał całe dni na głaskaniu niewidzialnego kota – ...ze świata „A kuku, Ricky'ego Riccarda już nie ma”?

– Podobnie jak skrzydlate konie, Wróżka Zębuszka i smerfy.

– A Mirella? Wiesz, czy Tante Frida czegoś się dowiedziała?

– Próbowałem do niej zadzwonić, ale była trochę...

– Obcesowa?

– Lakoniczna. Powiedziała mi, żebym dał jej, piii, pracować. „Piii” było kilkakrotnie podkreślone. Koniec rozmowy. Lepiej nie naciskać zbyt mocno. Kiedy jest w fazie maniackalnej, wychodzi z niej charakterek. – Zaśmiał się.

– Tante Frida ma dostęp do policyjnej bazy danych. Jeśli Mirella Buratti istnieje, a jej zaginięcie zostało zgłoszone, jak twierdzi Yvette, to Frida na pewno ją znajdzie. I nie pytaj mnie, czy dostęp do serwerów policji jest legalny. Nie chcemy tego wiedzieć, prawda?

– Nix.

– W każdym razie, jeśli w gazetach pisano o Mirelli, a jej matka była w telewizji, to możemy jej szukać bez pomocy Tante Fridy. Zajmę się tym, jak tylko wrócimy do domu. Ale, Sib, dopóki nie udowodnimy, że jest inaczej, proszę cię, żebyś zachowała jasność umysłu. – Tony zatrzymał się i złagodził ton. – Zawsze lepiej skorzystać z trybu warunkowego. Okej? Kluczowym słowem jest „jeśli”.

– A co z Wędrowcem? – nie ustępowała Sib. – A co z dowodami, które zebrał Gabriel? Być może to dlatego Michl spotkał się z nim w dwa tysiące ósmym i przestraszył go tak, że chłopak opuścił Yvette i zniknął.

– Jakimi dowodami? Na razie mamy tylko tyle, że ktoś tam coś powiedział. Stójmy mocno na ziemi, Sib. To wszystko nie znaczy, że Wędrowiec, czy kto tam jeszcze, naprawdę istnieje.

Innymi słowy, mimo podjętych wysiłków wciąż kręcili się w kółko. Tony poczuł narastającą frustrację, którą wzmagają upał i zmęczenie.

– Czy ty nigdy nie dajesz się wyprowadzić z równowagi? – zakpiła Sibylle.

Tony posłał jej krzywy uśmiech.

– Chcesz znać prawdę?

– Dawaj.

– Tommy Promień Słońca pachnie mi przyznaniem się do winy.

– Że zabił Mirellę i może jeszcze jakąś inną dziewczynę?

Tony pozwolił swemu spojrzeniu błądzić po winnicach i zamku Sigmundskron.

Nieco dalej na południe spokojnie płynęła Adyga.

– I tu wracamy do naszego magicznego „jeśli”.

Rozdział LIII

Sibylle wpadła do pracowni Tony'ego w środku nocy. Drgnął z zaskoczenia.

– Wiem, kim on jest!

– Kto? Co? – zapytał zdezorientowany. – Która jest godzina, Sib?

Dopiero wtedy Sibylle zauważyła chaos panujący w pomieszczeniu. Wszędzie walały się kartki, a drukarka wypluwała kolejne partie papieru.

– Co tu się dzieje?

– Tante Frida odrobiła pracę domową.

– To wszystko o Mirelli?

Tony przetarł oczy.

– W pewnym sensie.

– Dlaczego mnie nie zawołałeś? I co to znaczy „w pewnym sensie”?

Wiesz, że jesteś naprawdę nie do zniesienia, kiedy tak robisz?

– Myślałem, że śpisz.

– Nie spałam. Odpowiesz mi?

– Jedna rzecz naraz. O kim ty mówisz?

– Tommy Promień Słońca. Widziałam twoje DVD. I książki. W twojej edukacji popkulturowej są poważne luki. I pomyśleć, że to film z twoich czasów – powiedziała Sibylle z uśmiechem.

– Z moich czasów?

– Kiedy miałeś tyle lat co ja teraz.

– *Podziemny krąg? Matrix?*

– Egzorcysta.

– Ten film wyszedł, zanim się urodziłem – zaprotestował Tony. – *Dziewczynko.*

– Trzecia część *Egzorcysty* jest z dziewięćdziesiątego roku.

– Miałem wtedy jedenaście lat.

Sibylle szeroko otworzyła oczy.

– Naprawdę? – Drażniła się. – Tylko jedenaście? Może powinieneś zacząć stosować jakiś krem przeciwzmarszczkowy.

– Bardzo śmieszne.

Sib usiadła na kanapie, skrzyżowała nogi i udawała, że nie zauważa nonszalancji, z jaką Tony starał się im nie przyglądać. Udała nawet, że jej się to nie podoba.

– Tommy Promień Słońca, czyli Tommy Sunlight – wyjaśniła – to postać stworzona przez Williama Petera Blatty'ego.

– Powiniennem go znać?

– Oczywiście, że tak. Był geniuszem. Napisał książkę, na podstawie której nakręcono *Egzorcystę*, i sam wyreżyserował jego trzecią część, która z kolei oparta jest na jego powieści *Legion*.

– Czyli że szukamy pisarza, który ma fioła na punkcie horrorów?

Sibylle chwyciła kolorowy magazyn i rzuciła w niego.

– Kretyn.

Tony się uchylił.

– Oświeć mnie. Bo ja nic z tego nie rozumiem. To pewnie starość.

– Trzecia część *Egzorcysty* jest właściwym sequelem pierwszego filmu.

Widziałeś?

– Tylko ten pierwszy. Bałem się jak cholera.

– Prawdziwe z pana lwie serce, Panie Smarkatka. Film odniósł ogromny sukces, więc nakręcili sequel z podtytułem *Heretyk*, ale Blatty go nie firmował. Za to po latach napisał książkę *Legion* i wyreżyserował na jej podstawie ten właściwy sequel *Egzorcysty*, czyli *Egzorcystę* numer trzy. I teraz: jest wiele różnic między filmem a książką, a główna z nich to nazwisko złego. W filmie nazywa się Pacjent X, w książce Tommy Sunlight.

– Czyli Tommy Światło Słońca.

– Wiesz, o co chodzi w trzecim *Egzorcysty*?

– Dziewczynka, która wymiotowała zieloną papką i kręciła głową o trzysta sześćdziesiąt stopni, dorosła i jest ekskluzywną prostytutką. Poznaje Richarda Gere'a z kartą American Express i zakochuje się w nim.

– Demon Pazuzu wraca do miasta. I zabija masę ludzi. Tylko że policja nie może go znaleźć.

– No przecież, w końcu jest demonem.

– Zwłaszcza że, cytując Gabriela, Pazuzu „wkłada ludzi jak rękawiczki”.

– Genialny sposób na oszukiwanie techników kryminalistyki, ale nie sądzę, żeby to ci pomogło.

To był żart, ale zabrzmiał kiepsko. Tony się rozejrzał. Przyszła jego kolej, by przekazać nowiny Sibylle.

Od czego tu zacząć?

Rozdział LIV

1

– Wróćmy do rzeczywistości. Przedstawiam ci Mirellę Buratti. Spójrz. Kliknięcie myszki.

2

Kobieta na nagraniu ścisnęła w dłoniach chusteczkę. Było wyraźnie widać, jak jest udręczona.

Umalowała się na wywiad, nałożyła trochę podkładu, oczy podkreśliła kredką, ale nie udało się jej powstrzymać łez i na twarzy widać było ślady rozmazanego makijażu.

Film został wyemitowany podczas wiadomości telewizyjnych w styczniu 2008 roku. Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie. Kobieta nazywała się Grazia Buratti. Jej córka Mirella zaginęła czterdzieści osiem godzin wcześniej.

Fotografia dziewczyny kilkakrotnie pojawiła się na ekranie. Pulchna twarz Mirelli uśmiechała się spod kaskady jasnych włosów.

3

Tony zatrzymał obraz.

– Mirella miała dwadzieścia trzy lata, kiedy zaginęła – powiedział. – To było jedenastego stycznia dwa tysiące ósmego roku. Matka zwróciła się do policji już następnego dnia, ale ponieważ córka była pełnoletnia, trzeba było odczekać czterdzieści osiem godzin. Trzynastego stycznia wciąż żadnego śladu, więc informacja o zaginięciu trafiła do gazet. Apel powtarzał się przez kilka dni, potem cisza. Ktoś ją gdzieś podobno widział, ale nic konkretnego nie dało się ustalić.

– Nigdy jej nie znaleziono.

– Nigdy. Tu masz raport o zaginięciu. Ale Tante Frida nie ograniczyła się do Mirelli. – Tony rozłożył ręce, wskazując na entropię, która opanowała jego pracownię. – Masz tu osoby zaginione, mieszkańców Górnej Adygi. Zakres czasowy: od dziewięćdziesiątego dziewiątego do dziś. Jest ich ponad trzysta. W stosunku do całej populacji to olbrzymia liczba. Frida przesłała mi również akta wszystkich spraw dotyczących osób zaginionych, które zostały rozwiązane. Wypadki, ucieczki z miłości, zagubieni w lesie i znalezieni martwi...

– Ile?

- Przynajmniej trzy razy tyle.
- Trzy razy tyle?
- Zgadza się. I nie zawołałem cię od razu dlatego, że próbowałem wybrać się w małą podróż do świata „jeśli”.
- Sib zmarszczyła brwi.
- Świata „jeśli”?
- Próbowałem rozumować tak, jakby w historii o Wędrowcu i gadaniu Gabriela kryło się coś prawdziwego. Odłożyłem na bok rzeczywistość i zacząłem spekulować, jak by powiedziała Tante Frida.
- No i?
- Zadałem sobie pytanie: co Erika i Mirella mają ze sobą wspólnego? Bardzo niewiele. Pochodziły z różnych miejsc, mówiły innymi językami, prowadziły odmienne życie i żyły w różnych czasach.
- Ale obie były młode, były kobietami i blondynkami.
- Oczywiście, to trochę mętne, ale przebywałem w świecie „jeśli”, okej? Sibylle kiwnęła głową na znak, że słucha uważnie.
- Próbowałem zawęzić poszukiwania właśnie do tych trzech parametrów. W rezultacie masz ten bałagan w pokoju. Siedemdziesiąt cztery blondynki poniżej trzydziestego roku życia zaginęły w ciągu ostatnich dwudziestu lat.
- Nie myślałam, że aż tyle.
- Ja też nie – dodał pospiesznie Tony, który już zaczynał żałować, że ujawnił swoje przemyślenia. – Na razie te dane nic nie znaczą. To nawet nie są prawdziwe dane, bo nie wiemy, czy Mirella została zamordowana, czy może po prostu wyjechała sobie na Hawaje. Nie wiemy nawet, czy Erika została zabita... Mamy bardzo mocne podstawy, by tak sądzić, ale nie mamy żadnych twardych dowodów. I żeby było jasne: nawet nie brałem pod uwagę Elisy.
- Myślisz, że nie ma z tym nic wspólnego?
- Myślę, że jedyne pewniki, jakie mamy, to że Mirella rzeczywiście zaginęła i że ten, kto zabił nam ćwieka, to facet, który ma nie po kolei w głowie. Znasz wyrażenie „niewiarygodny świadek”?
- Spojrzałam mu w oczy. Gabriel nie kłamał. I nie jest szalony.
- Istnieje diagnoza, która mówi coś dokładnie przeciwnego. Sibylle zaczęła przeglądać pliki.

4

Anne Liebermann, 24 lata

Studentka.

Data zaginięcia: 22 listopada 2009 roku. Ostatni raz widziana o 13.40 na przystanku autobusowym w Brunico. Miała na sobie czerwoną czapkę z daszkiem i jasnoniebieską kurtkę narciarską. Słuchała muzyki i poruszała głową do rytmu. Wyglądała pogodnie.

Uśmiechnięta dziewczyna na zdjęciu przytulała się do drzewa.

Marianna Caiani, 29 lat

Pracownica biurowa.

Data zaginięcia: 3 lipca 2011 roku. Ostatni raz widziana o godzinie 15.05, gdy wyszła z fabryki farb, w której pracowała. Miała na sobie bawełniane spodnie i ciemną bluzkę. Pożegnała się z koleżankami i kolegami, ale była trochę rozkojarzona. Wsiadła do samochodu, wiśniowego mini, i od tamtej pory jej nie widziano. Auta nigdy nie znaleziono.

Na zdjęciu z jarmarku bożonarodzeniowego Marianna miała śmieszłą czapkę z reniferowymi rogami.

Lucia Macchi, 28 lat

Bezrobotna.

Data zaginięcia: 15 września 2006 roku. Ostatni raz widziana przy wyjściu z dyskoteki w Aldino. Awanturowała się z bramkarzem, który zwrócił uwagę, że jest pijana. W dochodzeniu wyszło na jaw, że dziewczyna pracowała w dyskotece okazjonalnie i bez umowy.

Na zdjęciu opublikowanym przez śledczych Lucia patrzyła wojowniczo w obiektyw.

Helena Gamper, 22 lata

Studentka.

Data zaginięcia: 15 sierpnia 2010 roku. Ostatni raz widziana przez matkę w Moso, w Passirii. Helena umówiła się z przyjaciółkami na basen. Nigdy nie dotarła na miejsce spotkania.

Na fotografii siedziała na skuterze marki Vespa.

Julia Unterkircher, 23 lata

Robotnica.

Data zaginięcia: 6 września 2015 roku. Ostatni raz widziana o 19.15 przez dalekiego krewnego w centrum Bressanone. Powiedziała, że czeka na taksówkę. Krewny zaoferował, że ją podwiezie, ale Julia odmówiła, więc wrócił do swoich zajęć.

Zdjęcie przedstawiało wysoką dziewczynę w koszulce klubowej Wilków z Pusterii.

Studentka...

5

– Sib?

Tony potrząsnął nią delikatnie.

– Czy naprawdę chcemy wierzyć, że jakiś szaleniec zabija siedemdziesiąt cztery osoby i uchodzi mu to na sucho?

Sibyllie nie odpowiedziała. Wciąż miała w oczach przerażenie tych wszystkich istnień, które rozplynęły się w nicość.

Tony mówił dalej:

– Załóżmy, że zabójca jest kimś w rodzaju geniusza zła, a policja to tępaki i idioci. Policz, ile czasu zajęłoby komuś zlokalizowanie ofiary, zabicie jej, sprawne pozbycie się zwłok, ba! ekstremalnie sprawne, bo nie znaleziono ani jednego ciała. Uwzględnij czas potrzebny do zatarcia śladów zarówno po ofierze, jak i po mordercy. Rok? Sześć miesięcy? Nawet niech to będą trzy miesiące. Siedemdziesiąt cztery razy trzy to dwieście dwadzieścia dwa miesiące, czyli osiemnaście lat. Osiemnaście lat, kobiety znikają co trzy miesiące i nikt nie jest zaniepokojony?

Sib spiorunowała go wzrokiem.

– Nie żartuj sobie, Tony. Nie jest powiedziane, że zabił wszystkie siedemdziesiąt cztery. Mógł zabić jedną na dziesięć, a może tylko dwie lub trzy, a pozostałe po prostu uciekły z domu lub...

– Właśnie o to chodzi. Parametry są nieprecyzyjne. Ponad połowa kobiet w Górnej Adydze to blondynki. Już to jedno wywraca wszystkie hipotezy.

– Widzę to każdego ranka w lustrze – zripostowała Sib z irytacją. – Ale tak, okej. Przyjęłam do wiadomości. Nie wyciągajmy pochopnych wniosków.

– Jedna rzecz naraz. Zapomnijmy o świecie „jeśli”. Znaleźliśmy Mirellę. Zacznijmy od niej i jej matki. Myślę, że warto zadać jej kilka pytań. Reszta to tylko teorie.

– Niczego nie brakuje?

– Są jeszcze materiały drugorzędne.

– Czyli?

– Artykuły prasowe, świadectwa niewnoszące nic do śledztwa, notatki służbowe, protokoły, protokoły i jeszcze więcej protokołów.

– Wydrukuj mi to wszystko.

– Wszystko?

– Wszystkie akta. Nie tylko blondynek.

– Sib, jest późno. Musimy...

– Nie jestem śpiąca i nie mam nic do czytania.

– To setki stron. Może tysiące. Nie mogę wydrukować ich wszystkich.

– Masz tablet?

Tony miał i podłączył go do komputera.

– Możesz stracić z pola widzenia to, co istotne.

– Chcę wszystkie akta, które przesłała ci Tante Frida, także te dotyczące spraw rozwiązanych. Co do sztuki.

– Sib...

– Wy tłumacz mi coś, Tony. Proszę – przerwała mu, spoglądając wojowniczo. – Skoro naprawdę myślisz, że masz rację, skoro naprawdę myślisz, że to strata czasu...

– Bo tak jest.

– ...to dlaczego jesteś taki przerażony?

Rozdział LV

Grazia Buratti mieszkała w jednym z bloków komunalnych przy via Milano wybudowanych na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Obok domofonu ktoś przylepił naklejkę z psychodelicznym Jezusem. Trzecie piętro.

Kobieta zaoferowała im mrożoną herbatę brzoskwiniową domowej roboty. Napój był przesłodzony i miał gorzki posmak, ale orzeźwiały. Przez szeroko otwarte okno dochodziły krzyki dzieci kopiących piłkę na podwórku. Włoski mieszał się z albańskim, marokańskim i tigrinią.

Matka zaginionej dziewczyny zajęła miejsce naprzeciwko nich w saloniku zastawionym zdjęciami córki, świętymi obrazami w wątpliwym guście i zakurzonym telewizorem. Miała zaczerwienione, wilgotne oczy, ciężkie powieki i poobgryzane paznokcie. Dezodorant jedynie po części tłumiał woń ciała potrzebującego porządnej kąpieli.

W rogu pokoju stał stary komputer podłączony do routera z migającą diodą.

– Używam go, by podtrzymać pamięć o Mirelli – wyjaśniła kobieta, przechwyciwyszy spojrzenie Tony’ego. – Chcę, żeby ci, którzy popełnili błąd, zapamiętali ją na zawsze.

– W sensie, że policja?

– Tak, ci dranie. Wcale jej nie szukali. Wcale. W każdym razie nie na serio. Od pierwszego dnia mówili, że uciekła. Dla nich sprawa była zamknięta, mieli co innego do roboty. Jakby moja Mirella nie była ważna.

– Pani nie wierzy, że uciekła?

Kobieta zacisnęła pięści.

– Nawet przez sekundę. Dobrze ze sobą żyłyśmy. Mirella miała pracę w biurze łowiectwa i rybołówstwa prowincji. Szukała mieszkania, żeby się uniezależnić. Dlaczego miałyby wyjeżdżać?

– Miała kogoś? Chłopaka albo...

– O to samo pytała policja.

– A więc nie?

– Nie.

– Może miała jakiś romans, o którym pani nie wiedziała.

– Wiedziałam wszystko o mojej córce! – wybuchła kobieta zirytowanym tonem kogoś, kto tysiąc razy powtarza tę samą historię. – Wiedziałam, że zakochała się w swoim szefie, Dariu Rossinim. I wiedziałam, że był żonaty. Powiedziałam Mirelli, żeby się z tym pogodziła i ruszyła dalej, bo niektóre rzeczy lepiej zostawić, ale nie robiłam scen. Na Mirellę nie trzeba było krzyczeć, była rozsądną dziewczyną.

– Policja...

Tik w lewym oku. Kobieta potarła je tak gwałtownie, jakby chciała wydostać je ze oczodołu.

– Policja, policja... – Uderzyła pięścią w udo.

– Pewnego dnia zastałam go pod domem. Szefa Mirelli. Daria Rossiniego. Małego człowieka. Oskarżył mnie, że zrujnowałam mu życie. Jakby mi zależało na jego reputacji.

– Wydał się pani niebezpieczny?

– Ten mały człowiek? – Kobieta dopiła resztkę swojej herbaty. – On nie byłby w stanie skrzywdzić muchy. Tylko gadanie i pogrozki.

– Pozory myślą.

– Policja przewróciła jego życie do góry nogami. Dlatego żona go zostawiła. Dowiedziała się o jego romansie z moją córką i odeszła od niego. Ale nic na niego nie znaleźli. Potem przestali szukać. Powiedzieli, że Mirella uciekła z domu. Idioci. Za każdym razem, gdy idę na posterunek, słyszę, jak szepczą. „Wariatka”, mówią o mnie. Ale ja wiem, że Mirella nie żyje, czuję to. Potrzebuję już tylko zapłakać nad ciałem mojej córki. Wyprawić jej przyzwoity pogrzeb. Móc... – Słowa uwięzły jej w gardle.

– A więc myśli pani, że córka nie żyje – powiedziała łagodnie Sibylle.

– Chodźcie ze mną.

Weszli do pokoju dziewczyny. Nad łóżkiem wisiał olejny portret przedstawiający Kurta Cobaina. Wyglądał tak, jakby namalowała go sama Mirella. W kącie, między szafą a oknem, stały jeszcze dwa inne.

Jim i Jimi. Morrison i Hendrix.

Spora kolekcja kolorowych świeczek w towarzystwie ceramicznego aniołka na półce zastawionej książkami. *Jak walczyć z nieśmiałością. Ja jestem okej, ty jesteś okej. Fitness dla leniwych. Jeśli chcesz... możesz!* Parę pozycji o odchudzaniu. Kryształ, aromaterapia i feng shui, ale żadnego tarota ani czegoś w tym stylu, zauważył Tony. Pod stojącą w rogu deską do prasowania znajdowała się zwinięta i spięta elastyczną opaską piankowa mata. Na desce leżała złożona bluzka w ukośną kratę. Na ścianach kilka fotografii. Mirella w uścisku z przyjaciółkami. Mirella pokazująca język. Rozmarzona Mirella w świetle zachodzącego słońca nad brzegiem morza. Mirella, która nawet na plaży nosiła szorty i luźne koszulki. Mirella z koleżankami, nigdy z chłopakami. Mirella, która zakochała się w swoim szefie. Mirella, która powiesiła swój dyplom księgowej obok Kurta Cobaina.

Mirella, która...

– Naprawdę myślicie – zapytała pani Buratti – że taka dziewczyna może odejść z domu bez pożegnania?

Rozdział LVI

Miała na imię Alessandra, ale na identyfikatorze przypiętym do bluzki widniał napis „Alexandra”. Pracowała w drogerii w centrum, opiekowała się działem artykułów dla zdrowia. Produkty do pielęgnacji skóry, preparaty na trądzik, mikstury łagodzące podrażnienia, kremy do opalania. Przez telefon powiedziała, że może im poświęcić tylko kilka minut, bo inaczej szef się wkurzy. A ona ma umowę na czas określony.

O ustalonej godzinie spotkali się na ulicy. Po szybkiej prezentacji usiedli przy stoliku w barze niedaleko sklepu.

– Grazia powiedziała nam, że często do niej chodzisz.

– Żal mi jej. Odkąd jej córka zaginęła, nie jest tą samą kobietą, którą była, kiedy Mirella i ja chodziłyśmy razem do szkoły. Teraz wygląda jak wrak, ale kiedyś była żywotna jak matka natura.

– Byłyście blisko z Mirellą?

– Bardzo.

– Wiedziałaś o Rossinim?

– O tej świni? – skrzywiła się. – On tylko się z nią pieprzył. Nigdy nie miał zamiaru zostawić żony. Ale Mirella miała kogoś jeszcze. Powiedziałam o tym Grazii. Powiedziałam też policji, ale nie mam pojęcia, kim on był. Nigdy go nie widziałam, a Mirella nigdy nie powiedziała mi wprost, ale pewne rzeczy można wyczuć.

– Co masz na myśli?

Dziewczyna poprawiła służbową bluzkę. Tony jej nie zazdrościł. Przy tej temperaturze równie dobrze mogła mieć na sobie kombinezon do nurkowania.

– Mirella stała się bardziej... świetlista. Piękniejsza. Bardziej o siebie dbała. Nawet schudła. Nie żeby to było złe, ale Mirella zawsze była trochę przy kości. Obcięła włosy. Krótko, na Valentine, tę z komiksu. Nie wyglądała z nimi jakoś super, ale jej się podobało i to wystarczyło, żeby zrobiła się bardziej... seksowna. Nabrała pewności siebie. Zerwała z grupą przyjaciół, wszystkimi dawnymi kolegami ze szkoły i...

– Takimi jak ty?

Alexandra bawiła się łyżeczką.

– Na początku było mi przykro. Ale dzień przed tym, jak zniknęła, wpadła do mnie i dała mi to. Pomyślałam, że może was zainteresować.

Kieszonkowe wydanie. Kenneth Grahame, *O czym szumią wierzby*. Bardzo zużyty egzemplarz.

– Należał do niej?

– Tak mi powiedziała. A teraz na pewno wy też zechcecie zapytać o ten gryzmoł, prawda?

– Jaki gryzmoł?

Alexandra pokazała im pierwszą stronę książki.

Każda podróż to nowy początek

Obok zamaszystego podpisu Mirelli widniał uśmiech kolibra.

– My też? – powtórzyła Sibylle. – Chodzi ci o policję?

– Oni to sfotografowali, spisali moje zeznania i nigdy więcej ich nie widziałam. – Alexandra wstała i spojrzała na zegarek. – Nie, chodzi mi o jednego faceta. Tego wytatuowanego, z długimi włosami.

Rozdział LVII

Korzystając ze strumienia powietrza płynącego z klimatyzatora, Sibylle zanurzyła się w lekturze materiałów zebranych przez Tante Fridę. Tony siedział przy biurku i żuł końcówkę czarnego bica. Miał ich na pęczki; były porzucane po całym mieszkaniu. Mówił, że pismo odręczne pomaga mu się koncentrować. Po części była to prawda, a po części przesąd. Bo pierwszą wersję *Dwojga* napisał właśnie takim długopisem.

– O czym myślisz?

Tony się poderwał.

– Przestraszyłam cię?

– Myślałem. Mam tendencję do...

– Błądzenia myślami?

– Wielcy pisarze błędzą myślami – poprawił ją Tony. – Ja ograniczam się do znikania na chwilę.

– I gdzie byłeś, kiedy zniknąłeś?

– W domu Mirelli. Powiedz mi, jakie książki czytasz, a powiem ci, kim jesteś. Mirella czytała wiele poradników rozwoju osobistego. *Jak stracić na wadze w ciągu stu dni* albo *Zmień swoje życie, przemeblowując swój dom*.

– Wolę Stephena Kinga.

– Zawsze uważałem, że poradniki są znacznie bardziej przerażające niż powieści Kinga.

– Nie wydajesz się typem zaczytanym w poradnikach na temat diety makrobiotycznej.

Tony się uśmiechnął.

– Jestem pisarzem. Pisarze czytają.

– A ja, głupia, myślałam, że pisarze piszą. Dlaczego uważasz, że są przerażające?

Tony wstał i zdjął z półki dość obszerny tom.

– Podręcznik myślistwa?

– Badania do powieści, której nigdy nie napisałem. Myślałem o pewnych... parametrach.

– Blondynki przed trzydziestką?

– Nie całkiem.

Tony usiadł, a bic wrócił do jego ust. Nawet jeśli pisarz miał wzrok skierowany na nogi Sibylle, nie patrzył na nie. Znow zaszył się w jakimś zakamarku swojej głowy.

– Myślisz, że jestem cynikiem? Odpowiedz szczerze.

Pytanie zaskoczyło Sibylle.

– Mogłabym użyć wielu przymiotników, żeby cię opisać, ale cynik? Nie.

Tony zamrugał powiekami, wracając do rzeczywistości i pracowni z oknem wychodzącym na via Resia. Z kilkusekundowym opóźnieniem oderwał wzrok od nóg Sib.

– Autorzy tych podręczników są cynikami. Dobrze wiedzą, że przez dodanie do diety paru kropel soku z cytryny nie zmienisz swojego sposobu postrzegania świata. I na pewno nie znajdziesz miłości życia ani nie zrobisz kariery, stawiając kryształ kwarcu na stoliku nocnym. To manipulatorzy. Wykorzystują ludzkie słabe punkty do... cóż... zarabiania pieniędzy.

– W pewnym sensie wszyscy artyści to robią. Poprzez pisanie, malowanie lub muzykę manipulują emocjami odbiorców swoich dzieł i zarabiają na chleb. Ty też to robisz.

– Nieprawda. Cytując jeden z horrorów, który tak bardzo lubisz: „Sprzedaję dym, a nie pieczeń”.

Sibylle pstryknęła palcami.

– Łatwe. *Halloween*, wersja Roba Zombi. Ta druga. Carpenter uważał, że jest do dupy. Ale mnie się całkiem podobała. Zdanie wypowiada doktor Loomis, grany przez Malcolma McDowella, tego z *Mechanicznej pomarańczy*.

– Moje obeznanie z popkulturą nie jest takie złe, zauważyłaś?

– Jesteś także bardzo dobry w unikaniu pytań. Nie jesteś cyniczny, ale *unikacki*. Czy jest takie słowo, „unikacki”?

– Nie wydaje mi się.

– Powinni je wymyślić.

Tony wbił długopis w podbródek.

– Łatwe odpowiedzi. Ci goście sprzedają łatwe odpowiedzi. Oferują pieczeń, ale nie ma czegoś takiego jak pieczeń. Ja sprzedaję dym. Fikcję. Kilka dni w towarzystwie historii, które pozwalają zaczerpnąć oddechu. Tego szukają moi czytelnicy. I bardzo się cieszę, że mogę im to dać. – Bic zaczął tańczyć w powietrzu, jak gdyby Tony dyrygował orkiestrą, którą tylko on słyszał. – Co oferują ludzie, którzy piszą te podręczniki? Zmiany. Zmień ubranie, zmień fryzurę. Spróbuj zmienić sposób, w jaki patrzysz na siebie. Przede wszystkim, i to jest coś, czego nie mogę znieść, wszyscy ci guru po prostu popychają cię do dzielenia ludzi na pozytywnych i negatywnych. I oczywiście sugerują, by trzymać się z daleka od negatywnych.

– Co w tym złego?

– Że to oni ci mówią – odparł sucho Tony – kim są ci negatywni.

– Brzmi to tak, jakby byli samymi Charlesami Mansonami.

Tony uśmiechnął się i na chwilę przeobraził w małego chłopca, który uciekał przed swoimi dręczycielami do biblioteki.

– Trafny przykład. Stworzyć zależność. Tego właśnie chcą. A to prowadzi do izolacji, wykluczenia z grup, które do tej pory cię otaczały. Na przykład z rodziny. Widziałaś kiedyś te filmy dokumentalne, gdzie lwica poluje na stado antylop? Nigdy nie wskakuje w środek stada, ona czeka, aż jedna

z antylop, ta najslabsza, oddzieli się od reszty. To trochę socjologia za trzy grosze, ale sama mnie zapytałaś, o czym myślę. Więc już wiesz.

– Czy twoim zdaniem nowy chłopak Mirelli był jakimś manipulatorem?

– Zawsze podchodźmy do wszystkiego ostrożnie, okej? Ale tak. Mirella mogła zostać uwiedziona przez jakiegoś bardzo sprytnego drapieżnika. I vice versa.

– Vice versa?

– Poluję na to, co mi się podoba. Blondynki, młode. To parametry, które tak naprawdę nie odnoszą się do ofiar. Mówią nam, co podoba się naszemu hipotetycznemu, podkreślam, hipotetycznemu Wędrowcowi.

– Myślisz o Gabrielu?

Tony postukał długopisem w kolano.

– Dużo o tym myślałem. Na pierwszy rzut oka Gabriel byłby idealny. Obląkany, gwałtowny, obsesyjnie skupiony na śmierci Eriki i mający słabość do blondynek. Ale czy widzisz Mirellę z kimś takim jak Gabriel?

– Nie, nie bardzo. Gabriel mógł wyrzucić wrażenie na kimś takim jak Yvette, ale na Mirelli... Mirella była klasyczną miłą dziewczyną, która spotyka się ze swoimi szkolnymi przyjaciółkami w sobotnie wieczory, mieszka z matką i zakochuje się w szefie.

– Zgadza się.

– Ale jakieś zdanie sobie wyrobiłeś.

– To tylko teoria.

Sibylle prychnęła.

– Czy trzeba to mówić za każdym razem?

– Tak, trzeba.

– No więc o kim myślisz?

Tony'emu zajęło trochę czasu, żeby odpowiedzieć. Bicz powędrował z ust na biurko. A potem z powrotem do ust.

– O kimś inteligentnym. Potrafiącym manipulować ludźmi. Kimś, kto wie, jak z nimi postępować. Niepobawionym swego wdzięku. Ale jednocześnie zimnym. Bardzo zimnym. Kimś, kto obserwuje, studiuje, czeka. Nie działa impulsywnie.

– I ma słabość do blondynek.

– Czy dobrze mi się wydaje, że Karin Perkman jest blondynką? Zagrajmy w grę urodzin, Sibylle. Ile lat miał Michl Horst w dziewięćdziesiątym dziewiątym?

Sib nawet się nie zająknęła, podając mu informację. Odkąd znalazła zdjęcie Eriki w swojej skrzynce pocztowej, nieustannie obliczała daty urodzin.

– Jest z siedemdziesiątego drugiego. Jeśli się nie mylę, z lutego albo...

Drzwi pracowni otwarły się na całą szerokość. Stała w nich Polianna. Błada.

– Jest tu ktoś, kto...

„Kto cię przeraża”, pomyślał Tony. A ktokolwiek przerażał Polianę, prosił się o kłopoty.

Mężczyzna wszedł, nie czekając na zaproszenie.

– Miło mi pana poznać, panie Carcano.

Rozdział LVIII

Wysoki, krótkie siwe włosy. Wojskowa fryzura. Okulary w cienkich metalowych oprawkach. Lodowate spojrzenie. Wyzywający uśmiech. Drogi lniiany garnitur.

– Edward Bukrijew.

Rosyjski akcent.

Trydent i Górna Adyga były pełne Rosjan. Dawniej Merano stanowiło ulubiony kurort carskiej arystokracji. Zaś brzegi jeziora Garda zostały w niedawnych czasach praktycznie skolonizowane przez Nowych Rosjan, których namnożyło się po upadku Związku Radzieckiego. Ale co Rosjanin robił w jego domu?

Tony dał znak Poliannie, że wszystko jest w porządku. Nawet jeśli nie było. Ten facet cuchnął pieniędzmi. Ogromnymi pieniędzmi. To nie była tylko kwestia ubrania, ale całej jego postawy. Bogaci, ludzie, których pieniądze liczone są w wahaniach na giełdzie, a nie w gotówce, poruszają się w taki sposób, jakby nic nie mogło ich nawet drasnąć. I zawsze przynoszą kłopoty.

Jak Perkmanowie.

Polianna wyszła, zamykając za sobą drzwi.

– Panie Bukrijew – odezwał się Tony do gościa – nie mam pojęcia, kim pan jest ani jak mnie pan znalazł, ale niech pan usiądzie.

Sibylle wstała i podeszła do okna. Spięta. Czujna. W największej możliwej odległości od przybysza. Splotła ręce na piersiach. Zatęskniła za majchrem na fajfusów.

– Proszę mi wybaczyć to najście – zaczął Bukrijew – ale próbowałem się z panem skontaktować mejlowo. Na próżno. Dlatego przyszedłem.

„Księgarka Chiara – pomyślał Tony. – Mejle”. Oprócz obłąkańca, który nazwał go „drogim panem Antychrystem”, Tony pamiętał jeszcze, że skasował co najmniej trzy wiadomości od Rosjanina piszącego jak Tołstoj. To, że ten człowiek pojawił się w jego domu, przyprawiło go o dreszcz.

– Nie należy pan do osób, które ulegają presji, prawda, panie Carcano? – podjął Rosjanin.

– Co ma pan na myśli?

Bukrijew wskazał na półkę nad biurkiem.

– Zagraniczne wydania pańskich sukcesów. Dla niektórych osób byłoby nie do zniesienia trzymanie ich w tej samej przestrzeni, gdzie pracują. Sukces może wyrzucić pewien rodzaj presji na tych, którzy go osiągnęli.

– A mnie one uspokajają – odparł Tony. – Podobnie jak nieprzychylnie recenzje. Oznaczają, że nie jestem geniuszem. Geniusze umierają młodo i w biedzie, a ja chcę żyć długo i wygodnie.

– A jednak stanął pan przeciwko Karin Perkman.
– Czyta pan plotkarskie portale, panie Bukriejew?
– Czytam wszystko, co jest dla mnie użyteczne – odparł Rosjanin i zwrócił się do Sib: – Pani Knapp, jak przypuszczam. Teraz rozumiem, dlaczego tu obecny niegeniusz postanowił narazić swoją długą i wygodną przyszłość na niebezpieczeństwo. Pozwoli pani, że to powiem: jest pani klejnotem.

– Jeśli nie powie pan zaraz, co pan tu robi – brzmiała odpowiedź Sibylle
– ten klejnot skopie panu tyłek.

Rosjanin chyba docenił ripostę. Otworzył aktówkę i wyjął kartkę papieru.
– Proszę.

Najzwyklejsza kserokopia na najzwyklejszym papierze. Reprodukacja stronicy starego tekstu, sądząc po druku. Na samym środku widniał uśmiech kolibra.

Sibylle przekazała kartkę Tony’emu.

– Czy wie pan, kim jest Friedrich von Juntz? – zapytał Bukriejew. – *Unaussprechlichen Kulten*?

– Nie – skłamał Tony – ale jestem wielkim fanem Sophie Kinselli. Czytał pan?

Bukriejew zamknął aktówkę i oparł ją sobie o bok.

– Dziwny człowiek z tego Friedricha von Juntza. Zmarł w tysiąc osiemset trzydziestym trzecim roku w wieku zaledwie czterdziestu jeden lat. Antropolog, powiedzielibyśmy dzisiaj. Ale także astronom, matematyk i opiumista. Co czyni go w naszych oczach kimś fascynującym, nie sądzi pan?

Tony nie odpowiedział. To nie miało znaczenia. Nie dla Bukriejewa. Po raz pierwszy na jego lodowatej twarzy pojawił się żywszy wyraz.

– Poprosił pan o rozwikłanie tajemnicy pewnego symbolu nieświadomą dziewczynę, niejaką Chiare z księgarni...

– Carnival. Przy via Andreas Hofer.

– Zgadza się. Młoda księgarka rozpuściła wiadomość w społeczności osób zainteresowanych takimi... szczególnymi sprawami. „Czy ktoś zna ten symbol?”. Pytanie dotarło do mnie. I tym kimś jestem właśnie ja. – Rosjanin wskazał na kserokopię w rękach Tony’ego. – Dlatego próbowałem się z panem skontaktować i dlatego tu jestem. Ten symbol pochodzi z arcydzieła von Juntza, *Unaussprechlichen Kulten*. To kserokopia strony, niestety z drugiego wydania tego tekstu. Rzadkiego, ale nie tak rzadkiego jak pierwsze, które zostało osobiście zredagowane przez uczonego z Düsseldorfu na krótko przed jego przedwczesną śmiercią. Von Juntz został zamordowany. Prawdopodobnie za ujawnienie rzeczy, które uważano wtedy za nie do ujawnienia – zakończył Bukriejew.

– To idiotyczne.

– Tak pan uważa?

– W tysiąc osiemset trzydziestym trzecim roku ludzie nie ginęli za książki.

– W latach dwudziestych i trzydziestych następnego stulecia, nie wspominając już o latach czterdziestych, notatki Oppenheimera, Heisenberga czy Fermiego były ściśle tajne. Każdy, kto przeczytał z nich choćby słowo, mógł zostać zabity przez tajne służby.

– Uprawia pan czyste ćwiczenie z retoryki. Fermi i jego koledzy zajmowali się bardzo konkretnymi sprawami.

– Konkretnymi i straszliwymi, zgadza się.

– Mówi to pan w taki sposób, jakby chciał mi grozić.

– Wręcz przeciwnie, panie Carcano. Oferuję panu pomoc. Chce się pan dowiedzieć czegoś o von Juntzu, a ja tu jestem po to, żeby powiedzieć panu, co wiem.

– Dlaczego?

Rosjanin udał, że nie usłyszał pytania. Tony miał zamiar je powtórzyć, gdy Bukrijew wyciągnął z walizki spory plik kserokopii i podał mu.

– Co to jest?

– Nie ugryzie. Proszę.

Tony przyjął kartki.

– To są kserokopie drugiego wydania von Juntza z mojej osobistej kolekcji.

– Nie ma pan pierwszego wydania? – zakpił Tony. – Było zbyt drogie?

– O ile mi wiadomo, istnieje tylko jeden nieuszkodzony egzemplarz pierwszego wydania.

– W bibliotece Perkmanów? – włączyła się Sibylle.

– W bibliotece Horsta – poprawił ją Rosjanin.

– Znał go pan?

Bukrijew znów przywdział obojętną maskę.

– Spotkałem się z nim raz. Złożyłem mu ofertę zakupu pierwszego wydania von Juntza, ale roześmiał mi się w twarz. Kiedy umarł, zaferowałem Friedrichowi Perkmanowi trzy razy tyle, ale on już postradał zmysły...

– Co pan ma na myśli?

Bukrijew rozsiadł się wygodniej.

– Są trzy rodzaje osób zainteresowanych tym rodzajem książek. Tacy, którzy leczą raka sodą oczyszczoną, tacy, którzy o północy podrzynają kurze gardło, by wezwać diabła, i tacy, którzy doceniają istotne cechy tych tekstów.

– Istotne, czyli?

– Posiadanie pierwszego wydania von Juntza jest jak posiadanie dzieła sztuki. To niebagatelna inwestycja ekonomiczna. Tak zwana bezpieczna przystań. Jestem biznesmenem, panie Carcano, a nie rzeźnikiem kurczaków.

– A Perkman? – chciała wiedzieć Sibylle. – Tańczył z duchami przy świetle księżyca?

– Perkman dał mi do zrozumienia, że poważnie wierzył w jej dziwaczną zawartość.

– Czy mówimy o tym samym Perkmanie, który w latach siedemdziesiątych zrozumiał, że elektronika jest przeszłością?

– Ludzie się zmieniają, panno Knapp. Zwłaszcza gdy się starzeją i chorują. Poza tym kto powiedział, że komputery i starożytne legendy nie mogą się przenikać? Podwaliny tezy von Juntza o wszechświatach równoległych można postrzegać jako swego rodzaju zwiastuny teorii Schrödingera czy Tomonagi. A Wędrowiec mógłby być dobrą ilustracją badań Paula Diraca nad antymaterią.

Dyskusja kierowała się w stronę, która przyprawiała Tony'ego o ból głowy, więc przeniósł ją na znacznie konkretniejszy obszar.

– Nawet kulinarne przepisy Polianny, gdy je odczytać o północy przed lustrem, kryją w sobie niesamowite ezoteryczne i naukowe prawdy. Niech pan ze mnie nie żartuje, panie Bukriejew. Ile jest wart von Juntz? To znaczy jego pierwsze wydanie.

– Zaoferowałem Perkmanowi siedem milionów euro.

– Siedem milionów? Kogo pan chce nabrać?

Rosjanin wskazał na bibliotekę Tony'ego.

– Widzę, że jest pan miłośnikiem twórczości Hemingwaya. Ile by pan zapłacił za egzemplarz *Starego człowieka i morza*?

– Cenę okładową, jak sądzę.

– A gdyby to było pierwsze amerykańskie wydanie?

– Nie mam pojęcia.

– Aktualne ceny dochodzą do dwudziestu tysięcy dolarów.

– Do czego pan zmierza?

– Do tego, co wie każdy kolekcjoner. Że książki często mają ciekawe historie, a część ich wartości zależy od tych historii. Proszę sobie wyobrazić, że proponuję panu zakup egzemplarza *Starego człowieka...*, który John Fitzgerald Kennedy miał w kieszeni dwudziestego drugiego listopada tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku. Egzemplarz poplamiony krwią Króla Artura. Jego wartość byłaby nieoceniona, nie sądzi pan?

– Zapytam jeszcze raz. Czego pan od nas chce, panie Bukriejew?

– Chciał pan wiedzieć, co to za symbol, a ja jestem tu, by powiedzieć, co wiem.

– Zamieniam się w słuch.

– Według von Juntza ten symbol to brama Zła. Sygnał, który pozwala Złu na wcielenie. Klucz do przyciągnięcia Wędrowca.

– Jak na cynicznego biznesmena przypomina pan bardziej drugą kategorię niż trzecią, panie Bukriejew. Mam ukryć psa czy ogranicza się

pan do podrzynania gardeł kurczakom?

Bukrijew wstał.

– Proszę zachować kserokopie von Juntza. Nigdy nie wiadomo, co z tego wyniknie. – Uśmiechnął się. – I proszę pozdrowić ode mnie Zingerlego.

– Zingerlego?

– Właśnie urodziła mu się córeczka, a ja nie miałem jeszcze okazji mu pogratulować. Kłaniam się, panienko. Życzę pani długiego i wygodnego życia.

Rozdział LIX

We śnie Sibylle spotkała swoją matkę.

Erika miała na sobie długą czerwoną sukienkę. Nie były w Kreuzwircie, lecz w mieszkaniu Tony'ego. Erika była boso.

Na podłodze zostawiła mokre czarne ślady.

Przyniosła ze sobą zapach bagna i jeziora. Miała lodowato zimną skórę. Ale Sibylle pozwoliła się przytulić. Pozwoliła, by ręce Eriki ją objęły.

– Powinnaś dodać cytrynę do diety, dziecko.

Sibylle uwolniła się z uścisku.

– Powinnaś zerwać z toksycznymi ludźmi.

Tommy Promień Słońca miał na sobie czerwoną wieczorową suknię pokrytą błotem.

– Powinnaś przewyciężyć przeszłość.

Miał białe oczy, a usta jak paszcza lwicy.

– I obetnij włosy. Wyglądasz o wiele lepiej z krótkimi włosami.

Rozdział LX

1

Górna Adyga była pełna ludzi o nazwisku Zingerle, ale Ignaz Vinzenz Zingerle Edler von Summersberg, urodzony 6 czerwca 1825 roku w Merano i zmarły 17 września 1892 roku w Innsbrucku, był tylko jeden. I tylko do niego Bukriejew mógł się odnosić. To nie instynkt doprowadził Tony'ego do tego wniosku, lecz prosta logika.

2

Z takim nazwiskiem Ignaz Vinzenz i tak dalej miał przed sobą tylko dwie życiowe możliwości: zostać kupcem jak jego ojciec lub zrobić karierę teologa jak jego wujek, który uTORował sobie drogę aż do Watykanu. A jednak Ignaz został filologiem, germanistą, a przede wszystkim znawcą mitów i sag. Innymi słowy, całe życie pływał w tym samym morzu, które tak bardzo kochał rosyjski magnat. Albo Perkman, nim umarł. Albo Horst, jako że najwyraźniej biblioteka Perkmana była właściwie biblioteką Horsta.

Fotografie Ignaza Vinzenza Zingerlego przedstawiały mężczyznę o dobrotliwej twarzy i obfitej brodzie. Kogoś takiego wyobrażamy sobie, jak zabawia gromadkę wnuków opowiadaniem historii przy kominku. I pali fajkę, by trzymać się stereotypu. Jedyiny żyjący potomek Ignaza Zingerlego założył w internecie stronę o swoim znakomitym przodku. Thomas Zingerle, bo tak nazywał się potomek filologa, mieszkał pod stokami Plose, rzut kamieniem od Bressanone, w pięknej willi otoczonej winnicami. Życie musiało być dla niego łaskawe.

Potomek Ignaza nie nosił brody, miał ciemne włosy i dał Tony'emu znak, by wyłączył silnik. Pchał wózek. W środku spokojnym snem drzemało niemowlę. Trzecia i ostatnia latorośl, wyjaśnił Tony'emu.

3

Thomas Zingerle zaprowadził go do willi, nowoczesnego budynku z dużymi oknami, w którym panował radosny rozgardiasz. Dom kogoś, kto ma trójkę dzieci i jest z tego powodu szczęśliwy.

– Od lat marzyłem o napisaniu biografii Ignaza, ale obawiam się, że moje umiejętności pisarskie ograniczają się do wystawiania faktur.

– Czym się pan zajmuje?

– Produkcją paszy dla zwierząt hodowlanych. Ignaz nie byłby ze mnie dumny.

– Dlaczego? Nienawidził hodowli zwierząt?

Thomas Zingerle („Po prostu Thomas – powiedział już przez telefon – tradycja nazwisk długich na kilometr skończyła się w XIX wieku”) otworzył drzwi i pokazał Tony’emu salon pełen przedmiotów, książek, pamiętników i fotografii. Rodzaj muzeum.

– Ja poszedłem w ślady ojca. Ignaz był buntownikiem. Jego ojciec chciał, by został kupcem lub teologiem. Ale on wybrał inną drogę. Wina jednej książki. Tej.

Wskazał na tom.

– Baśnie braci Grimm – powiedział Tony z uśmiechem.

– Czytała mu je opiekunka. Kiedy Ignaz był trochę starszy, odkrył, że bracia nie wymyślili ani słowa z tego, co napisali. Po prostu zebrali opowieści, które ludzie przekazywali sobie od wieków. I postanowił zrobić to samo. Oto jego pierwsza publikacja.

Sagi Tyrolu Południowego.

– Ciekawy człowiek.

– I inteligentny. Tutaj – kontynuował Thomas – znajduje się wiele jego notatek. Grimmowie zatrudniali korespondentów, którzy przepisywali legendy tam, gdzie się je opowiadało, a potem listownie przesyłali je braciom. Ignazowi nie podobała się ta metoda i rozwinął własną, bardzo awangardową. Nie tylko osobiście rozmawiał ze źródłami, ale w swoich tekstach bardzo uważnie oddzielał własne refleksje od tego, co opowiadał mu rozmówca. Dzisiaj to prawie oczywista metoda, ale on był jednym z pierwszych, którzy ją stosowali.

Z szuflady w szafie Thomas wyciągnął zdjęcie. Dwóch uśmiechniętych mężczyzn w śmiesznych spodniach, kapeluszach z piórkiem i z plecakami na ramionach stało obok muła objuczonego workami i sporą skrzynią. Jednym z mężczyzn był Ignaz, drugi, dużo młodszy, nosił wąsy w stylu Franza Josefa i patrzył dumnie w obiektyw.

– Nazywał się Fritz Giraldi. To był *Welschtiroler*, to znaczy...

– Trydentczyk, Włoch urodzony pod flagą cesarza.

– On był przewodnikiem Ignaza, towarzyszył mu, gdy ten szedł robić wywiady. Fritz znał góry jak własną kieszeń.

– Był myśliwym? – Tony wskazał muszkiet na ramieniu człowieka z wąsami.

– To był początkowo powód, dla którego Ignaz go wybrał. Potem, pomimo różnicy klas społecznych i kultury, stali się bliskimi przyjaciółmi.

– Ignaz też polował?

– Nie, broń była dla ochrony. Tyrol Południowy w tamtych czasach, sądząc po listach, które Ignaz pisał do żony, był dość prymitywnym i niebezpiecznym miejscem. Ale nie przyjechał tu pan z tego powodu, prawda? Przez telefon powiedział mi pan, że chodzi o *Unaussprechlichen Kulten*.

Tony pokazał Thomasowi Zingerlemu plik kserokopii, które dał mu Bukriejew. Pisarz spędził nad nimi całą poprzednią noc, a mimo to zrozumiał niewiele lub zupełnie nic. Nie tylko z powodu utrudniającej czytanie szwabachy ani nawet nie przez archaiczną niemczyznę, lecz z powodu tego, co pisał von Juntz (opiumista, jak powiedział Rosjanin, a Tony znalazł tego potwierdzenie już w pierwszych liniach tekstu). Niejasne formuły i bezsensowne skróty, deliryczne wyprawy na wyżyny ukryte za zasłoną rzeczywistości. Długa lista inwektyw pod adresem Schopenhauera („Jak mógł mylić język Majów z aklo!”) bardzo go rozbawiła, musiał to przyznać, ale co do reszty...

Wędrowiec. Podwaliny, które wydzielały Zło. Wszechświaty w chwiejnej równowadze.

Ricky Riccardo, jeśli tam jesteś, zagwiżdż.

Przede wszystkim Tony wciąż się zastanawiał, dlaczego Bukriejew go odwiedził. Może i był bogatym ekscentrykiem szukającym słuchaczy dla swoich dziwacznych historii, ale Tony w to nie wierzył. Bukriejew był biznesmenem, a jeśli biznesmeni coś robią, to wyłącznie dla spodziewanego zysku. Tony spróbował więc szybko znaleźć coś na jego temat. W bazach danych gazet, które prenumerował, Bukriejew pojawiał się rzadko, zawsze w związku z dużymi inwestycjami w rurociągi lub kontraktami na autostrady i mosty. Facet taki jak on zawsze chce coś w zamian, doszedł do wniosku pisarz.

Pytanie: co?

Nie znalazł odpowiedzi.

A jednak podczas gdy pierwsze światło dnia przeciskało się przez okiennice, a on po raz trzeci czytał *Unaussprechlichen Kulden*, na stronie trzydziestej drugiej dostrzegł symbol, który nie miał nic wspólnego z urojeniami von Juntza.

Pieczeń.

Co mówił Bukriejew? Książki mają ciekawe historie. Zgadza się. Pieczęć na stronie trzydziestej drugiej należała do biblioteki klasztoru Sabiona w Chiucie niedaleko Bolzano. Tak więc Tony z samego rana, zanim odwiedził Thomasa, nie budząc Sibylle śpiącej snem sprawiedliwego, zabrał psa na spacer i zadzwonił do klasztoru.

Bardzo uprzejma, mimo wczesnej pory, zakonnica powiedziała mu, że egzemplarz książki, o którą pyta, drugie wydanie von Juntza, nie należy już do zbiorów klasztoru. Został podarowany na początku lat osiemdziesiątych cerkwi prawosławnej w Moskwie i obecnie stanowi część prywatnej kolekcji niejakiego Edwarda Bukriejewa.

– W jaki sposób ta książka w ogóle trafiła do klasztoru?

– Krótko przed śmiercią podarował ją klasztorowi Ignaz Vinzenz Zingerle. Posiadał dwa egzemplarze i pomyślał, że drugie wydanie może zainteresować ówczesnego opata.

- Dwa egzemplarze *Unaussprechlichen Kulten*?
- Oprócz tego drugiego wydania, które przekazał klasztorowi, Zingerle miał również bardzo rzadkie pierwsze wydanie. Rzecz jasna zachował je dla siebie. Niestety zostało skradzione. Nie wiemy przez kogo i nie wiemy jak. Jedyłą pewną rzeczą jest to, że obecnie pierwsze wydanie *Unaussprechlichen Kulten* jest częścią kolekcji Perkmanów.
- Ale skoro pochodzi z kradzieży, to jak to możliwe, że... Zakonnica wybuchła głośnym śmiechem.
- No wie pan, panie Carcano, jest pan naprawdę naiwny.

4

– Czy Ignaz kiedykolwiek mówił o książce Kennetha Grahame’a *O czym szumią wierzby*? Może w związku z *Unaussprechlichen Kulten*? Wiem, że to brzmi głupio, ale...

Thomas uśmiechnął się do niego jak ktoś, kto dobrze wie, o co chodzi.

– Ale jak? Ignaz zmarł w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym drugim, a Grahame opublikował *O czym szumią wierzby* w tysiąc dziewięćset ósmym.

Tak się właśnie dzieje, powiedział sobie Tony, kiedy przestajesz myśleć i zaczynasz zestawiać fakty, które nie mają żadnego logicznego związku.

– Bukriew tu pana przysłał, prawda? – zapytał Thomas z chytrą miną.

Tony się zaczerwienił, a Zingerle parsknął śmiechem.

– Jeśli jest mowa o moim przodku, to zawsze pojawia się Bukriew. Właśnie z powodu teorii łączącej *Unaussprechlichen Kulten* z Kennethem Grahame’em.

– A więc jest coś na rzeczy?

– W latach czterdziestych niemiecki uczony Michael See wysunął szaloną teorię łączącą Ignaza z Grahame’em. A to w związku z przygodą, którą mój przodek miał krótko przed śmiercią.

– Jak on to połączył?

– Chodziło mu o podobieństwo do *Pinokia*.

Tony uznał, że źle usłyszał.

– *Pinokia*? *Collodiego*? Tego *Pinokia*?

– Naprawdę zna pan von Juntza i nie wie nic o *Pinokiu*?

Rozdział LXI

1

Z oczami suchymi od wpatrywania się w tablet Sibylle zaczęła się zastanawiać, czego, u diabła, szuka. Numeru identyfikacji podatkowej i prawa jazdy gościa, który uprowadził Mirellę? Tego na pewno nie dałoby się wyciągnąć z całej masy danych, którymi zasypała ich Tante Frida. Nie z tym, co mieli. To było jak łowienie sardynek siecią na tuńczyka.

A więc czego *naprawdę* szukała?

Czegoś, odpowiedziała sobie, co zawęziłoby oczka sieci tak bardzo, żeby – jak to ujęła Tante Frida – potknęli się o właściwą sardynkę. Tylko że nie znajdzie tego czegoś, gapiąc się na twarze nieznanych dziewczyn. One jedynie kradły jej energię i jasność umysłu. A więc należało się cofnąć. Usunąć z pola widzenia Erikę, Horsta, Perkmana. Zapomnieć o Gabrieli i skupić się na Mirelli. Czy jest coś, co pominęli? Sibylle walnęła się w czoło.

– Mirella...

Było coś konkretnego, namacalnego, obiektywnego, o czym ona i Tony nie pomyśleli. A raczej nie coś, tylko ktoś, komu można zadać kilka pytań. Nie demon, nie zjawa ze świata „jeśli”. Świadek, który wcale nie będzie szczęśliwy, gdy mu się przeszkodzi. Czyli specjalność Sibby Pończoszanki.

Dlaczego nie wpadła na to wcześniej? „Dlatego że zachowywaliśmy się jak uparte dzieci – pomyślała. – Utknęliśmy w szczegółach i straciliśmy z oczu pełny obraz”. Sibylle uśmiechnęła się, gotowa do wykręcenia jednego ze swoich typowych numerów. Ale żeby to zrobić, musiała pójść na małe zakupy. Styl, jak powtarzała ciotka Helga, to jeszcze nie wszystko.

Ale prawie.

W sklepie na Szangaju kupiła sukienkę, która uzyskałaby aprobatę Polianny (przy pierwszym spotkaniu Sib dostrzegła to wymowne spojrzenie pod tytułem „Czy naprawdę musisz chodzić tak ubrana?”, które dobrze pamiętała u ciotki Helgi), wróciła do mieszkania, żeby się przebrać, znalazła w internecie adres lokalnego biura łowiectwa i rybołówstwa i pojechała tam autobusem. Weszła do urzędu i stanęła w kolejce z teczką na dokumenty w rękę. Teczka, rzecz jasna, zawierała tylko czyste kartki. Była na pokaz. Podobnie jak sukienka. Styl to nie wszystko, ale prawie.

Gdy nadeszła jej kolej, uśmiechnęła się i weszła do biura kochanka Mirelli.

– Rossini – przedstawił się z uśmiechem.

– Buratti – odpowiedziała.

Aż podskoczył.

Sib zamknęła drzwi.

– Mirella Buratti.

Usiadła. Założyła nogę na nogę.

– Niech mi pan opowie o Mirelli.

– Proszę wyjść.

– Grzecznie proszę.

– Wynoś się!

Sib położyła na biurku majcher na fajfusów. Nowiusieńki, *made in Szangaj*, który nie uzyskałby aprobaty ani ciotki Helgi, ani Polianny. Za to Tante Fridy owszem.

2

– Wiedział pan, że Collodi należał do masonerii?

– Szczerze mówiąc, nie.

– Ale proszę nie myśleć o spiskach, UFO ani zamachach. W czasach Collodiego masoneria była swego rodzaju klubem wolnomyślicieli. I tym właśnie był Collodi: wolnomyślicielem. Może trochę zbyt wolnym, bo został wydalony. Z powodu *Pinokia*.

– Krytyka nigdy nie jest życzliwa dla geniuszy.

Thomas się uśmiechnął.

– O czym opowiada *Pinokio*? O długiej podróży, którą musi odbyć marionetka, aby stać się dzieckiem z krwi i kości. Do pomocy ma Wróżkę o Turkusowych Włosach. I to właśnie Wróżka narobiła mu kłopotów u dzieci wdowy. Niech pan zwróci uwagę: nikt dotąd nie używał słowa „turkusowy” w odniesieniu do postaci kobiecej...

– To taki chłopiący kolor.

– To kolor ceremonialnego fartucha masonów. Współbracia Collodiego w lot zrozumieli. *Pinokio* to po prostu alegoria drogi inicjacyjnej, którą masoński uczeń podejmuje w celu osiągnięcia ostatecznej mądrości.

– Ależ to naciągane.

– Michael See, uczony działający w latach czterdziestych, stwierdził w jednym ze swoich tekstów, że Kenneth Grahame zrobił to samo z von Juntzem. Przekształcił wiedzę zawartą w *Unaussprechlichen Kulten*, którą jak przypominam, autor rozpowszechnił w bardzo niewielu egzemplarzach (pięćdziesięciu w pierwszym wydaniu), w całkiem udaną bajkę dla dzieci.

Tony pomyślał o treści książki Grahame'a i zebrało mu się na śmiech. Nieśmiały i łagodny Kret, Szczur, który mieszka nad rzeką, Ropuch z fikcją na punkcie samochodów.

– Czytałem von Juntza i jako dziecko uwielbiałem *O czym szumią wierzby*, ale to jest czyste szaleństwo. Przepraszam, jeśli jestem bezpośredni.

– Niech mi pan pozwoli skończyć. Według Michaela Seego Ignaz Zingerle był dowodem potwierdzającym jego teorię. I to jest także powód, dla

którego Edward Bukriew zawsze składa mi życzenia świąteczne i nigdy nie zapomina o urodzinach moich dzieci i mojej żony. Otóż Zingerle natknął się... Najlepiej, jak sam pan zobaczy.

Thomas wskazał na drewnianą skrzynię, podobną do tej, którą widział na grzbiecie muła na zdjęciu przedstawiającym Ignaza i jego przewodnika z podkreślonym wąsem. Tony pomógł gospodarzowi ją otworzyć. W środku była dziwna maszyna.

– W czasach Ignaza filologia była ważną dziedziną. Odzyskanie poczucia tożsamości i korzeni leżało na sercu ówczesnym panującym. Dlatego Ignaz miał prawie nieograniczone fundusze. A był geniuszem. To urządzenie pomagało mu w badaniach. Ignaz nie tylko spisywał bajki i legendy, które mu opowiadano. Chciał, aby to wszystko zostało przekazane potomności. Żył w czasach wielkich zmian. Przeżył je w niezmiernie bolesny sposób. Kolej wyrównywała góry, sterowce zawładnęły niebem. Wszystko, co kochał, znikало. Ale jednocześnie doceniał to, co niosła nowa technologia.

– Czy to jest coś w rodzaju fonografu?

Thomas kiwnął głową.

– Ignaz chciał, aby potomność mogła nie tylko czytać legendy, ale przede wszystkim ich słuchać. Ton. Język. Kaszel. Wszystko. Niestety większość oryginalnych nagrań zaginęła. Zniszczył je pożar w sześćdziesiątym pierwszym, ale w pięćdziesiątym trzecim syn Ignaza, a mój pradziadek, zdążył przegrać część z nich na szpule. Słynne „szpule Zingerlego”.

Wręczył mu jedną z nich. Była ciężka.

– A Bukriew chce je kupić, mimo że są fałszywe? – zapytał Tony.

Thomas się roześmiał.

– Ma pan rację, w czasach Ignaza nie było magnetofonów. On jeszcze tłoczył w wosku. Na walcach pokrytych woskiem, ściśle rzecz biorąc. A to są taśmy z lat pięćdziesiątych. Dlatego tak mało osób wierzy, że na tych szpulach są autentyczne nagrania tego, co Ignaz zarejestrował na walcach woskowych, a nie fałszerstwo. Nawet więcej: praktycznie wszyscy uczeni są zdania, że oryginalne nagrania nigdy nie istniały.

– Ale nie ludzie tacy jak Bukriew.

– Albo jak ja, panie Carcano.

– Dlaczego?

– Bo mój ojciec powiedział mi, że sam widział, jak jego dziadek, a mój pradziadek, przegrywał na te taśmy to, co zapisano na woskowych walcach.

– Mógł kłamać.

Thomas wzruszył ramionami.

– Nie próbuję pana przekonać, panie Carcano. Ja tylko mówię, że niektórzy ludzie są przekonani, że na tych taśmach jest to, co Michael See nazwał związkami Grahame'a i von Juntza. Że praca von Juntza była bardzo podobna do pracy wykonanej przez braci Grimm w ich czasach.

– Więc *Unaussprechlichen Kulten* zawiera rodzaj starszej, przekazanej ustnie wiedzy, którą pański przodek zapisał na woskowych walcach i którą Grahame zamienił w swojej książce w bajkę?

Thomas właśnie skończył majstrować przy starym magnetofonie, bardzo odmiennym od poprzedniego urządzenia. Może nie był *aż tak* stary, ale na pewno nie był to produkt najnowszej generacji marki Sony.

– Zgadza się.

Thomas założył szpulę na maszynę i włączył prąd. Przekręcił kilka przełączników. Zawory zaskwierczały, coś trzasnęło raz i drugi. Zabrzęczało.

– Wprowadzę pana w kontekst. Ignaz i Fritz są w Valle Aurina. Wie pan, gdzie to jest?

– Dolina leżąca wyżej nad Pusterią.

– Jest rok tysiąc osiemset dziewięćdziesiąty, dwa lata przed śmiercią Ignaza. Zima, bardzo złe warunki pogodowe. Zachował się list od żony Ignaza, który bardzo wyraźnie o tym mówi.

– „Ubierz się ciepło, bo przemarzniesz”?

– Bardziej w stylu: „Gdzie ty, u diabła, się szwendasz? W twoim wieku!”. Ignorując pogodę i porę roku, Ignaz i Fritz juczają muła i jadą do Valle Aurina. Ignaz promienieje, jego listy z tego okresu są pełne wykrzykników. Po tylu latach i tylu badaniach ma szansę spełnić jedno z marzeń swojego życia. – Thomas przekręcił przełącznik. Szpule się poruszyły. – Przeprowadzić wywiad z czarownicą.

Rozdział LXII

– Czego pani ode mnie chce?

Sib potrafiła wyobrazić sobie tego faceta, jak wrzeszczy na Grazię Buratti, matkę Mirelli, oskarżając ją o zrujnowanie mu życia i grożąc nie wiadomo czym.

Sibby Pończoszance idea pokrojenia tego gościa na plasterki wydawała się niezwykle kusząca.

– Niech mi pan opowie o Mirelli.

– Powinienem zadzwonić na policję.

Sib zaczęła się bawić majchrem na fajfusów.

– Nie robi pan tego.

Rossini popatrzył najpierw na nóż, potem na twarz Sibylle. W obu wyczytał tę samą determinację.

– Suka. Żona mnie zostawiła i teraz widuję dzieci raz w tygodniu. Jej zaginięcie, i mówię to w cudzysłowie, spowodowało na mnie kłopoty.

– Nie byliście zakochani?

– Nie mogę mówić za nią.

– Chcę poznać pański punkt widzenia.

Rossini poprawił krawat. Używał taniej wody po goleniu. Całe biuro było przesiąknięte tym zapachem.

– Podobała mi się. Nie była nie wiadomo jaką piękną, trochę może ciuśmokowata, ale... miała to coś.

– Więc pan ją sobie posuwał w ukryciu przed żoną.

Rossini się spiął.

– Jest pani moralistką?

– Jestem tylko ciekawa.

– Po co te pytania?

– Przyjaciółka Mirelli poprosiła mnie, żebym się przyjrzała jej zaginięciu.

– Zaginięciu, akurat. Widziałem ją potem. Rok później. W barze karaoke. Wie pani, że Mirella lubiła karaoke? Ciągle mnie tam zabierała. Prawdziwy koszmar. Trzeba było jechać aż do Trydentu, żeby nie natknąć się na kogoś znajomego.

– Dlaczego nie powiedział pan policji?

– Było późno, a ja byłem pijany. Nie uwierzyliby mi.

Ignorując wojowniczą pozę Rossiniego, Sibylle schowała majcher na fajfusów do torebki.

– Mówił pan, że nie lubi karaoke. Że to koszmar.

– No i co z tego?

– No więc zastanawiam się, dlaczego rok po zniknięciu Mirelli pojechał pan na karaoke.

Rossini pochylił głowę.

„Kogucik przestał stroszyć piórka”, pomyślała Sib.

– Tęsknił pan za nią?

Rossini nie odpowiedział.

– Niech pan będzie szczerzy. Tęsknił pan za nią. I dlatego tam pan pojechał, prawda?

Fasada niewrażliwego gnoja rozpadła się na kawałki.

– Tak. Brakowało mi jej. Mirelli. Była nieporadna, za każdym razem, gdy mieliśmy się spotkać, wydawało się, że planuje zamach stanu, tak była niespokojna, ale tęskniłem za nią. Wtedy myślałem, że ona nie żyje, że ktoś ją zabił. A ja czułem się odpowiedzialny. Wyobrażałem sobie Mirellę z poderzniętym gardłem w rowie, innym razem na dnie przepaści. Albo z pętlą na szyi.

– Samobójstwo?

– Jeśli ktoś był kandydatką na samobójczynię, to na pewno ona. Taka zamknięta, samotna. Miała przyjaciół, ale ze szkoły. Zawsze ci sami. Czy jest coś smutniejszego?

„Tak, kierownik biura posuwający stażystkę”, pomyślała Sib. Mimo wszystko Sibby Pończoszanka nie trawiła tego faceta.

– Bar karaoke. Który?

– Tukan. Niedaleko zjazdu z autostrady Trydent Południe.

– I tam widział pan Mirellę.

– To była ona. Jestem pewien, że to była ona.

– Był pan trzeźwy?

– To dlatego trzymałem głowę na kłódkę przed policją. Nie, nie byłem. Ale jestem pewien, że to była ona.

– W nocy?

Rossini stuknął palcem wskazującym w blat biurka.

– W nocy, z daleka i nie na trzeźwo, ale to była ona.

Sibylle nie dała się zbić z tropu.

– Dlaczego pan się ze mnie nabija, panie Rossini? Co pan ukrywa?

– Już nic – odparł mężczyzna zmęczonym tonem. – Ale to była ona. Jestem pewien, że to była ona. Wie pani dlaczego? Bo miała na sobie płaszcz, który jej dałem. Czerwony płaszcz, bardzo szczególny. Fason z lat sześćdziesiątych, trochę w hipisowskim stylu. Byłem na kongresie w Weronie i tam go kupiłem. Spodobał się jej. Mówiła, że to jej ulubiony.

– Więc widział pan w nocy kogoś w tym samym płaszczu. I chce mnie pan przekonać, że to była Mirella.

– Niech mi pani da skończyć. Mirella mnie pozdrowiła. Zanim wsiadła za kierownicę samochodu i znikła. Kiedy się żegnaliśmy, zawsze robiła gest, „nasz sekretny gest”, mówiła, z powodu tego całego ukrywania się. I kobieta w czerwonym płaszczu zrobiła ten sam gest. Identyczny. Nikt go nie znał, tylko ona i ja.

- A potem wsiadła do samochodu i odjechała.
- Wie pani, co jest w tym najdziwniejsze?
- Pan niech mi powie.
- Mirella nie miała prawa jazdy.

Rozdział LXIII

...zamknąć okno, żeby...

Hałasy.
Chrząknięcie.

Zaczynamy. Frau Holle, miło mi panią poznać. Nie wie pani nawet, od jak dawna... taką jak pani.

Tony patrzył na Thomasa. Nagranie miało fatalną jakość. Szmery, szумы w tle, brakujące słowa. Na dodatek niemiecki, którym mówił Ignaz Zingerle, był dla Tony'ego bardzo trudny, ledwie zrozumiwały. Na szczęście Thomas podjął się roli tłumacza.

Śmiech kobiety sprawił, że obaj się wzdrygnęli.

Nie jestem żadna Frau. Nie mam... kto by mną rządził.

Przepraszam, Fräulein Holle.

Nie Holle. Tak mnie nazywa... ludzie. Głupi.

Raz jeszcze proszę o... więc panią nazywać?

... i tyle, Herr Professor.

To piękne imię. Ale może się pani przybliżyć tu do tego... o, tak, wtedy lepiej usłyszą. Doskonale. Może pani powtórzyć swoje imię?

Trzeszczący głos odezwał się głośno i wyraźnie.

Erika. Nazywam się Erika.

Rozdział LXIV

To nie była myśl. To był cień myśli, która wciąż nie potrafiła znaleźć słów, by się wyrazić. Rodzaj swędzenia, które im dłużej trwało, tym bardziej stawało się nie do zniesienia.

Słowa Rossiniego sprawiły, że w pamięci Sibylle odezwało się coś, czego wciąż nie potrafiła zidentyfikować. Jakby wśród papierów Tante Fridy przeczytała coś, co jej mózg odrzucił i zarchiwizował, a co teraz domagało się uwagi. Sibylle była pewna, *pewna*, że potknęła się już o coś użytecznego w masie informacji od Tante Fridy.

Nie na liście blondynek przed trzydziestką. Na tej drugiej, zawierającej również doniesienia złożone przez pomyłkę i sprawy rozwiązane. W największym stogu siana. Tam, gdzie byli uciekinierzy przed wierzycielami kulący się w dworcowych poczekalniach lub osoby z problemami psychicznymi, które trafiły do schronisk prowadzonych przez wolontariuszy. Dzieciaki, których rodzice nie puścili do kina, odnalezione kilka dni później, skruszone i przerażone. Kochankowie, którzy uznali, że ich namiętność nie jest warta radykalnego zerwania z poprzednim życiem.

Oraz zwłoki.

Akta Tante Fridy były pełne martwych ludzi. Zwłok bez tożsamości, czekających, aż jakieś elektroniczne archiwum połączy odbitki palców z twarzami i imionami, ciał wciśniętych do lodówki i czekających na kogoś, kto nad nimi zapłacze.

Trzymając tabletkę tuż przed oczyma, Sibylle szeptała do siebie, przeklinała i prychała, mając nadzieję, że jedna z tych twarzy, adnotacja lub data powstrzyma to cholerne swędzenie. Cień jakiegoś...

Jest!

Tony na pewno nazwałby to historią z Rickym Riccardem, ale ona widziała to na własne oczy. Czarno na białym.

Martwych ludzi wracających z grobów.

Rozdział LXV

Zmarli zawsze wiedzą, gdzie są. ...nic się nie dzieje. Nie mają mistrzów, nie... uczniów. Zmarli znają świat. Boją się świata.

Gdzie się znajdują zmarli? I dlaczego boją się świata? Boi się pani świata, Fräulein Erika?

Podziemia. Na skraju lasu. Znam świat górny i dolny. Boję się. Pan też się boi, Herr Professor.

Ja? Dlaczego?

Bo ma pan strzelbę. Boi się pan Fräulein Eriki, Herr Professor? Wierzy pan w to, co... we wsi?

Niech mi pani opowie o zmarłych.

Zmarli zawsze wiedzą, gdzie są. Mądrzy zmarli.

Ma pani na myśli cmentarz za wioską?

Nie. Nie. Zmarli są pod drzewami, zanim zacznie się polana.

A co jest na polanie?

Śpiewy i tańce aż do wschodu słońca. I wiele innych rzeczy.

Jakich rzeczy?

Chce pan wiedzieć zbyt wiele, Herr Professor.

Barytonowy głos:

Herr Professor przebył długą drogę, by usłyszeć pani słowa. On jest ważnym człowiekiem, on...

Fritz, proszę...

Przepraszam, Herr Professor.

Czy profesor potrzebuje nauczycielki?

Profesorowie zawsze potrzebują nauczycieli. Jestem dobrym uczniem.

Będzie pan rozmawiał z proboszczem? Ten... wstrętny...

Głos kobiety stał się piskliwy, słowa niezrozumiałe.

Kłamstwa i...

Ma pani moje słowo.

Ten człowiek...

Znowu ten sam baryton:

Niech pani miarkuje język...

Fritz, możesz wyjść? Proszę.

*Ignaz... Jesteś pewien?
Fräulein Erika nie skrzywdziłaby muchy. Proszę cię...*

*Ciężkie kroki.
Odgłos zamykanych drzwi.*

*Osiół.
Nie, Fritz jest przyjacielem.
Każdy człowiek jest zwierzęciem. Fritz to osioł. Nie widzi. Nie słyszy.
A co ze mną? Czym ja jestem?
Borsukiem.
Inteligentne zwierzę.
Bardzo ważne, ale nie bardzo inteligentne.*

Śmiech Ignaza.

*Fräulein Erika, jestem człowiekiem nauki. Może nie jestem... Ma pani rację...
Ale zapewniam panią... Wszystko, co mówią...
Kłamstwa! Kłamstwa! Ja nigdy... dzieci! Nigdy!
Chciałbym...
Chce pan pójść na środek polany. To widać. Chce się pan z nim spotkać. Nie
może pan. Nie jest pan gotowy.
Kto jest na...
Oni wiedzą.
...dzieci?*

Chichot.

*Tony'emu ścierpła skóra. Jeśli te taśmy były fałszywką, to naprawdę
dobrze zrobioną.*

*Drżenie i radość. Strach i rozkosz. W samym środku polany. I śpiewy, i tańce.
Zaginione dzieci? Czy one są na polanie? Gdybym pokazał pani mapę, czy
mogłaby pani wskazać, gdzie one są?
Nie ma żadnej mapy. Polany nie ma na mapie. Dzieci nie ma na mapie. Oni
mówią, że...*

*Jej głos stał się pełen gniewu. Ignaz próbował uspokoić kobietę,
ponownie słyhać było Fritza, wybuchła kłótnia, Fritz trzasnął drzwiami.
Wrócił spokój.*

...zwierzątko.
Czy dzieci to zwierzątko?
Myszki, żabki, fretki i wróbelki.

Tony'emu zabrakło powietrza w płucach.

Czy on chce dzieci?
Mężczyzn. Kobiet. Zwierzątek. Każdy ma w środku małe zwierzę.
Mówi pani o duszy?
To księżowska gadanina.

Znów trzaski i głos kobiety.

Zwierzęta. Wewnątrz. Pan, borsuk. Pana przyjaciel Fritz, osioł. Wiejski ksiądz, świnia.

A więc on chce dusz.
Są miodem na jego usta.
A co z ciałami?
On je ubiera.

Nie rozumiem, Fräulein. Pomimo tego... przerażenia... zwierzątko go pragnę.
Dlaczego miałyby go chcieć? Dlaczego miałyby iść do kogoś, kto chce zjeść ich dusze? Nie rozumiem.

Ślepy kret płacze i rozpacza. Nigdy nie doznawał większej rozkoszy. I nigdy więcej nie dozna.

Te zwierzątko, Fräulein, czy one... są martwe?

Martwe? Kto to może powiedzieć? Ktoś uciekł na wschód, ktoś stał się ptakiem i odleciał.

Dokąd?

Znów chichot.

Na południe od rajów.
Nie sądzę, bym potrafił...

Szept.

Wanderer. Na samym środku polany. On śpiewa. Otwierasz bramę, a on przychodzi. Otwierasz bramę i słyszysz jego śpiew. Na kolanach drżysz i rozpaczasz, na kolanach nie doświadczysz większej rozkoszy. Wanderer śpiewa, a jego pieśń jest wiatrem. Wiatrem, który doprowadza zwierzątko do szaleństwa.

Kim jest Wanderer? Co to jest Wanderer?

Cisza.

Potem rozległo się gulgotanie, ale to nie był głos wydawany przez człowieka.

– Co to jest? – zapytał Tony.

– Garnek – odpowiedział Thomas z powagą na twarzy. – Woda się gotuje.

Wanderer to jeleni, szczur, osioł i kret. To ropucha, to jaskółka, to orzeł. I śpiewa.

Widziała go pani, Fräulein Erika?

Ktokolwiek go widzi, nie jest już Szcurem, Kretem, Lisem, Jeleniem. Jest nim. Jestem zdezorientowany.

Borsuk. Jest pan borsukiem, Herr Professor. Nie może pan zrozumieć.

A kto może zrozumieć?

Ten, kto słucha śpiewu. Niech mi pan poda rękę, Herr Professor.

Ja...

Boi się pan?

Dźwięk krzesła szurającego o podłogę.

Osiemnaście księżyców, Herr Professor. Tak jest napisane na pana dłoni. Przykro mi,

Czy pani mówi, że...

Jestem zmęczona. Herr Professor. I głodna. Chce pan trochę gulaszu?

Jeszcze jedno pytanie, a potem chętnie spróbuję.

Proszę. Jest dobre.

Miseczki. Łyżki.

Bulgotanie stało się głośniejsze. Dźwięk zamykanej pokrywy.

Doskonały.

Słodki jak miód. Tak.

Jedno pytanie, Fräulein Erika. Zanim... przestanie działać.

Kręci się, kręci i wraca.

Tak, to jest technologia. Nowy świat.

Nowy świat będzie taki sam jak stary, Herr Professor. Nic się nigdy nie zmienia naprawdę. Pytanie.

Jeśli ja jestem borsukiem, Fritz osłem, a ksiądz...

...świnią.

To, Fräulein Erika, jakim pani jest zwierzęciem?

Śmiech.

Tym, które zawsze mówi prawdę. Lisem...

Taśma się zatrzymała.

Rozdział LXVI

– Robi wrażenie, prawda?

Robiło. Tony był zlany potem.

– Co to za kobieta?

– Największa porażka biednego Ignaza. Tak napisał w jednym ze swoich ostatnich listów. Mimo wspaniałej kariery i kochającej rodziny Ignaz umierał przepełniony goryczą. Musi pan wiedzieć, że do Valle Aurina zaprowadziło go coś więcej niż tylko ciekawość naukowca. To było konkretne życzenie prosto z Wiednia.

– Rozkaz od cesarza?

– Ignaz był bardzo sławny, a Franciszek Józef stał w obliczu drażliwego problemu. Otrzymał prośbę z kurii biskupiej w Bressanone. O wytoczenie procesu czarownicy.

– Fräulein Erice?

– Została oskarżona o zamordowanie i zjedzenie kilkorga dzieci z okolicy.

Tony się roześmiał.

– To jakiś żart.

– To nie jest żart. Aby rozpocząć proces, biskup potrzebował zgody tak zwanej władzy doczesnej, ale cesarz Franciszek Józef był władcą oświeconym. Cenił naukę i technologię. Prawdę powiedziawszy, również biskup Bressanone nie miał średniowiecznej mentalności, ale...

– *Vox populi, vox dei.*

Nie przestając mówić, Thomas zaczął ostrożnie chować szpule do opakowań.

– Biskup poczuł się zmuszony do złożenia prośby, a cesarz nie mógł odmówić mu pomocy. Tyrol miał strategiczne znaczenie dla cesarstwa. Trzeba było udobruchać ludzi. Dlatego zdecydował się wysłać Ignaza na dochodzenie.

– Wilk syty i owca cała. Z jednej strony okazał ludziom troskę, a z drugiej wysłał człowieka nauki, który za nic nie poparłby bajdurzeń. Czy się mylę?

– Ani trochę. Pod koniec śledztwa Ignaz napisał bardzo szczegółową relację ze spotkania z tą kobietą, wskazując, że nie znalazł żadnych dowodów na to, by była w jakikolwiek sposób związana ze śmiercią dzieci. Cesarz nie wyraził zgody na proces, a biskup Bressanone odetchnął z ulgą. Ignaz wrócił do Innsbrucku, gdzie mieszkał i uczył, przekonany, że wypełnił swój obowiązek, zadowolony z nagrań. Ale wkrótce otrzymał list od Fritza Giraldiego, w którym przyjaciel informował go, że dobrzy ludzie z wioski zbuntowali się przeciwko cesarskiemu dyktatowi i zabili Erikę.

– Spalili ją?

– To tak nie działało. Czarownice wrzucano do jezior. Jeśli po kwadransie wypływały żywe (rzecz niemożliwa dla nikogo, kto nie zawarł paktu z diabłem), były palone. Ale jeśli utonęły, czyli okazały się niewinne, miały zagwarantowane miejsce w niebie.

Tony zamilkł na kilka sekund, żeby się zastanowić.

– Pod warunkiem że cała ta historia nie jest zmyślona – powiedział w końcu.

– Michael See i Edward Bukrijew uważają, że te taśmy są ogniwem łączącym *Unaussprechlichen Kulten* i Kennetha Grahame’a z czymś znacznie starszym. Niech pan przypomni sobie listę zwierząt, którą Fräulein Erika wymienia na nagraniu.

– Ropucha, kret...

– A nawet borsuk. Wszystkie to postacie z *O czym szumią wierzby*. Proszę spojrzeć. – Thomas podał mu notesik.

– Może go pan zatrzymać, jeśli pan chce.

Tony przekartkował. Notes zawierał zapis nagrania oraz cytaty z książek von Juntza i Grahame’a.

Zmarli zawsze wiedzą, gdzie są. Zmarłym nic się nie dzieje. Tak powiedziała czarownica.

W *O czym szumią wierzby* Kret dowodził: *Gdy się znajdujemy głęboko pod ziemią, wiemy, czego się możemy spodziewać. Nic nie może się nam stać, nikt nas nie może osiągnąć*^Z.

U von Juntza napisano: *Gdziekolwiek są, znikają. W pokoju. Stają się czarnym jadem, słodkim jak miód dla Przyjaciela, który mieszka w podwalinach. Są szczęśliwi.*

– No i jeszcze sprawa rozdziału siódmego *O czym szumią wierzby*. Pamięta pan?

Tony zmusił pamięć do wysiłku.

– „Pieśń o świcie”?

– Szczur i Kret szukają pana Ropucha, który zniknął, i docierają na wyspę. W pewnej chwili słyszą dźwięk piszczałki. Szczur i Kret padają na kolana w przerażeniu i ekstazie. Grahame opisuje stworzenie, które gra na piszczałce, kogoś w rodzaju bożka Pana, i nazywa je Przyjacielem i Dobroczyńcą. Von Juntz również nazywa Wędrowca Przyjacielem. Tylko że według von Juntza i Fräulein Eriki Wędrowiec nie gra na żadnym instrumencie muzycznym, tylko śpiewa. Ale koncepcja się nie zmienia. Co więcej, ekstaza, w którą wpadają dwa zwierzęta z książki Grahame’a, jest bardzo dobrze opisana przez Fräulein Erikę, nie uważa pan?

Dokładny cytat słów Fräulein Eriki brzmiał: *Otwierasz bramę, a on przychodzi. Otwierasz bramę i słyszysz jego śpiew. Na kolanach drżysz i rozpaczasz, na kolanach nie doświadczysz większej rozkoszy.*

– Także u von Juntza ten, kto staje przed Wędrowcem, pada na kolana. I śpiewa razem z nim – przypomniał Thomas.

Na kolanach, tak jak Gabriel powiedział Sibylle.

– Założmy, że to prawda – zaczął Tony. – Założmy, że istniała przekazywana ustnie baśń o tym... strażniku? Demonie? Bogu?

– Stworzeniu żyjącym w podwalinach.

– Zawodowo opowiadam piękne historie. A ta, muszę przyznać, jest piękna. Ale nijak nie mogę zrozumieć, dlaczego taki człowiek jak Bukriew miałby się interesować tego typu rzeczami. Również dlatego, że te taśmy, przy braku oryginalnych woskowych walców... przykro mi to mówić...

– To bajki.

– Niech mi pan opowie o von Juntzu w posiadaniu Ignaza. Miał dwa egzemplarze, prawda? Drugie wydanie, które przekazał do biblioteki klasztoru Sabiona, oraz pierwsze, które znajduje się obecnie w zbiorach Perkmanów.

– Horsta, nie Perkmanów – poprawił go Thomas. – Okropny człowiek.

– Poznał go pan?

– Pierwsze wydanie von Juntza, to, które Bukriew chciałby dostać w swoje ręce, zostało skradzione mojej rodzinie w sześćdziesiątym pierwszym, podczas pożaru, który zniszczył stary dom rodziny Zingerle. Pożar był prawdopodobnie przykrywką dla kradzieży.

– Bukriew ją zlecił? A może Horst?

– Obaj byli zbyt młodzi. Von Juntz zaginął w sześćdziesiątym pierwszym, zniknął na czternaście lat i pojawił się w Kreuzwircie w siedemdziesiątym piątym.

– Skąd może pan być pewien, że to był rok siedemdziesiąty piąty?

– Istnieje zdjęcie. Reportaż z lokalnej gazety o Friedrichu Perkmanie i Krotn Villa. Na zdjęciu w artykule Perkman pozuje w bibliotece. Za jego plecami widać egzemplarz von Juntza. Mój ojciec wpadł w szal, poruszył niebo i ziemię, ale jak udowodnić, że to właśnie ten tom, który posiadała moja rodzina? Perkman już wtedy wiedział, jak chronić swoje interesy. Jednak ojciec odkrył, że za kradzieżą najpewniej stał bardzo szanowany człowiek, profesor, Szwajcar. Nazywał się August Darleth i był mentorem Josefa Horsta na Uniwersytecie Genewskim.

– Horst dostał od niego tę książkę? Ukradł mu ją?

– Nie ma sposobu, by się tego dowiedzieć. Niczego więcej mój ojciec nie odkrył.

– Jeszcze tylko jedno pytanie. Co do śmierci syna Grahame'a...

– Smutny przykład wiktoriańskiego purytanizmu – odparł Thomas. – Czy może i pan wierzy, że ojciec potrafi zabić własnego syna?

Rozdział LXVII

Po powrocie do domu Tony zastał Sib dziwnie bladą i niemą.

– Wszystko w porządku?

– Wszystko okej.

Zupełnie nieprzekonany Tony zanurzył palce w sierści Freddy'ego i opowiedział o swoim spotkaniu z Thomasem Zingerlem, a następnie pokazał zapis nagrania rozmowy z Fräulein Eriką.

– Myślisz, że to fałszywka? – zapytała dziewczyna, przeczytawszy tekst.

– Jeśli to żart, to bardzo skomplikowany.

– Może to oszustwo. Dziadek Thomasa chciał wykorzystać sławę Ignaza, by zarobić trochę pieniędzy.

– I sprzedać taśmy jakiemuś bogatemu wariatowi w rodzaju Bukiejewa?

Ale po co używać taśm? Opowiadanie o kopii zaginionego oryginału może i zwiększa fascynację legendą, ale w ten sposób traci się wiarygodność i zniechęca potencjalnych klientów. Kto by płacił za coś, co na dziewięćdziesiąt dziewięć procent jest fałszywe?

Sibylle wskazała na plik kserokopii z von Juntza.

– Czytałeś to. Naprawdę są jakieś podobieństwa?

– Język jest oczywiście inny. Ale tak, są koncepcje, które w jakiś sposób współbrzmia, także z tym, co powiedział ci Gabriel. Ekstaza, która sprawia, że ci, co słuchają śpiewu Wędrowca, klękają. Wędrowiec, który zakłada skórę tego, kto go przyprowadził z podwalin do naszego planu istnienia.

– Tommy Promień Słońca.

– To, co Fräulein Erika opowiada o zwierzętach, które są przerażone, a jednocześnie pogrążone w ekstazie, bardzo przypomina rozdział siódmy *O czym szumią wierzy*, „Pieśń o świcie”. À propos, jest coś, co chciałbym, żebyś usłyszała.

Sibylle wydawała się nieobecna. „Może jest po prostu zmęczona”, pomyślał Tony, wstając. Wziął płytę z kolekcji, wyciągnął z pudełka i włożył do odtwarzacza.

– Pink Floyd – wyjaśnił. – *The Piper at the Gates of Dawn*. To pierwszy utwór z tej płyty, nazywa się *Astronomy Domine*.

Pomieszczenie wypełniły kosmiczne dźwięki, po których nastąpił gitarowy akord, potem włączyła się perkusja. Łagodny, miękki głos zaczął monotonny śpiew.

Freddy potrząsnął łbem i burcząc z niezadowolenia, poszedł do swojego legowiska. Sibylle była tego samego zdania.

– Wolę Led Zeppelin. Floydzi zawsze wydawali mi się zbyt intelektualni.

– Powiem tyle. – Tony wyłączył odtwarzacz. – Syd Barrett miał obsesję na punkcie książki Grahame'a. *Piper at the Gates of Dawn* to oryginalny tytuł

siódmego rozdziału *O czym szumią wierzby*. I wiesz, co jest zabawne? Zanim tu przyjechałem, zatrzymałem się u Chiary w Carnival. Kupiłem książkę Grahame'a, bo moja gdzieś się zapodziała. Wychodząc, przekartkowałem ją i rozdziału siódmego nie było. Dowiedziałem się, że czasami nie jest drukowany.

– To możliwe?

Tony rozłożył ręce.

– Prawa autorskie do tego tekstu wygasły. Każdy może robić z nim, co chce. Może jakiś miły gość uznał, że ten rozdział jest zbyt straszny dla dzieci.

– To idiotyczne.

Tony usiadł u stóp dziewczyny i z powagą na twarzy chwycił ją za rękę. Jej dłonie były lodowato zimne. Tony potarł je, chcąc je ogrzać. Pukiel włosów Sibylle łaskotał jego twarz.

– Nie słuchasz mnie, prawda, Sib?

– Byłam w biurze łowiectwa i rybołówstwa. Rozmawiałam z Rossinim. Majcher na fajfusów pomógł przełamać lody.

Tony szeroko otworzył oczy.

– Nie mów, że mu groziłaś...

Zaniepokojony wyraz twarzy pisarza wywołał jej uśmiech. W oczach Sib pojawiła się wreszcie odrobina życia.

– Taka mała bezbronna dziewczynka jak ja?

– Ty? Ty jesteś praktycznie honorową szangajką.

Sib zarumieniała się, słysząc taki komplement.

– Rossini powiedział, że widział Mirellę. *Po jej zniknięciu*.

– Co to znaczy: *po jej zniknięciu*?

– Że jak mówi twoja nowa przyjaciółka, Fräulein Erika – Sibylle zaczęła czytać fragment zapisu, który przyniósł Tony: – *Wanderer to jeleń, szczur, osioł i kret. To ropucha, to jaskółka, to orzeł*. To znaczy, że staje się tym zwierzętkiem, które przed nim klęka.

Sibylle podała Tony'emu włączony tablet. Artykuł w gazecie, wywiad w języku ladyńskim. Obok znajdowało się tłumaczenie. Tony przeczytał trzy razy, zanim spojrzął na Sib.

– Witaj w świecie Ricky'ego Riccarda, Tony.

Rozdział LXVIII

Veronika Pohl miała krągłą twarz i nosiła okulary w grubych oprawkach. Kiedy się śmiała, w policzkach robiły się jej dołeczki. Według protokołu ze zgłoszenia zaginięcia pracowała w bibliotece w Ortisei, a urodziła się i mieszkała w oddalonej o rzut beretem Santa Cristina Valgardena. Trzeciego września 2011 roku wzięła plecak, kije trekkingowe i rozplynęła się w powietrzu. Miała dwadzieścia siedem lat.

Jako że niewiele wcześniej zerwała z chłopakiem, niejakim Udem Trebo, a pan Trebo, mechanik samochodowy, miał na koncie kilka wykroczeń (pijaństwo, stawianie oporu funkcjonariuszowi i zakłócanie porządku – święta triada Tyrolu Południowego), karabinierzy solidnie go przemaglowali, nie znajdując jednak niczego, co mogłoby go obciążyć. Mimo poszukiwań, publicznych apeli i wytypowania kilku podejrzanych (zatrzymanych i natychmiast zwolnionych) nie było wiadomo nic o losie Veroniki Pohl aż do 13 października następnego roku, czyli 2012, kiedy to strażnik leśny Marco Kostner, podczas patrolu w poszukiwaniu kłusowników w bocznym wąwozie Val Fiscalina natknął się na coś, co z daleka wyglądało jak zwłoki jelenia.

To była Veronika.

Tożsamość ujawniło DNA. Ponieważ przez rok ciało leżało w wąwozie, zostało bardzo niewiele materiału, z którego patolog mógłby wyciągnąć wnioski. Przyczyny zgonu nie ustalono z całą pewnością. Może Veronika Pohl spadła ze zbocza, może zaśląbła.

„La Usc di Ladins”, gazeta wydawana w języku ladińskim i podająca wiadomości z rejonu dolin Gardena, Badia i okolic, relacjonowała tę sprawę. Zrobiła to w ten sam sposób, w jaki historia biednej Weroniki została opisana przez „Dolomiten” i „Alto Adige” – oszczędnie. Z szacunku dla rodziny i społeczności oczywiście, ale także (zakładając najgorsze) aby nie przestraszyć turystów. Nikt nie lubi wyjeżdżać na wakacje tam, gdzie ludzie znikają i zostają znaleźieni w stanie daleko posuniętego rozkładu, gdy już zwierzęta się posiliły.

Jednak „La Usc di Ladins”, w tekście, który podpisał niejaki Alberto Dapunt, jeden z najaktywniejszych dziennikarzy ladińskiego periodyku, relacjonował również teorię (uznaną przez ówczesnych śledczych za urojoną i podejrzaną), którą głosił Udo Trebo, były chłopak Veroniki.

To ta teoria sprawiła, że Sibylle i Tony zrobili sobie wycieczkę do Brunico.

Rozdział LXIX

Mężczyzna miał szeroką, pokrytą bliznami twarz i rzadkie wąsy. Ubrany był w usmarowany kombinezon. Kiedy wyszedł z mroków warsztatu, nie mógł oderwać oczu od samochodu Tony'ego.

– Mam nadzieję, że wybił mu pan wszystkie zęby – powiedział, wskazując na wryty na masce napis.

– Te rachunki są jeszcze do wyrównania. Ale nie dlatego tu jesteśmy.

– Żartuje pan? – zaprotestował oburzony mechanik. – Przecież nie może pan tak jeździć.

– Zawrzyjmy umowę, panie Trebo. Jeśli udzieli mi pan odpowiedzi, na których mi zależy, powierzę panu mojego mustanga.

– Udo. Po prostu Udo. Tak jak jest napisane na szyldzie.

– W porządku, Udo – zgodził się Tony. – W dwa tysiące jedenastym znał pan Veronikę Pohl.

Mężczyzna popatrzył uważnie najpierw na pisarza, potem na dziewczynę, która trzymała pod pachą teczkę na dokumenty. Już gdzieś takie widział. Stosy podobnych leżały na biurkach karabinierów, którzy maglowali go po zniknięciu Veroniki.

Zrobił się ostrożny.

– Jesteście z policji? Czy dziennikarze?

– Ani jedno, ani drugie.

– Więc skąd macie te akta? Kto wam je dał?

– Prawniczka, która podobnie jak my potrafi trzymać gębę na kłódkę. A my jesteśmy pewni, że nie miał pan nic wspólnego ze śmiercią Veroniki. Była pana narzeczoną. To się zgadza, prawda?

Udo wytarł ręce o nogawki kombinezonu.

– Kiedy Veronika zaginęła, spędziłem czterdzieści osiem godzin w areszcie. Myśleli, że ją zabiłem. Przesłuchiwali moją rodzinę, przyjaciół. Godzinami. Traktowali mnie jak przestępcę, dranie. Co jeszcze można powiedzieć?

– Czy Veronika była pańską dziewczyną? – powtórzył Tony.

– Skoro macie te akta, wszystko już wiecie.

– Proszę – odezwała się Sibylle – niech się pan postara. Jak pan mówił, dochodzenie nie było szczególnie dokładne. Pan i Veronika rozeszliście się jakiś czas przed jej zniknięciem, prawda?

– Kilka miesięcy przed. Po dziesięciu latach. Byliśmy razem od szkoły.

– Pierwsza wielka miłość.

Udo wzruszył ramionami.

– Tak się wydawało.

– Przepraszam za brutalność – powiedział Tony. – Czy Veronika miała kogoś jeszcze?

– Tak. Wyjaśniałem to policji. Ale mi nie uwierzyli.

– Inna rzecz, że nikt z przyjaciół czy rodziny Veroniki nie widział jej w towarzystwie nikogo spoza kręgu znajomych. A pan nie mógł podać karabinierom nazwiska ani opisać tej osoby.

Udo popatrzył na niego ponuro.

– Ja też to wiem, panie Pojep.

Śmierć Veroniki musiała go wciąż bardzo boleć.

– Musiałem się przeprowadzić – powiedział Udo. – Mój ojciec miał warsztat w Ortisei. Coś pięknego. Zawsze było dużo pracy. Turyści z rozbitymi samochodami, jakieś kolizje. Albo normalna obsługa: zmiana opon, przeglądy okresowe, takie tam. Ale po historii z Veroniką ludzie przestali mnie traktować jak... swojego. Musiałem się przeprowadzić aż tutaj. Nie mam już kontaktu z nikim w Ortisei. Jeśli mnie znaleźliście, to znaczy, że ktoś was pokierował. Dapunt?

– Tak, on – przyznał Tony.

– Jesteście tu z powodu tego wywiadu?

– Dapunt potwierdził, że był pan wtedy bardzo przekonujący. Uwierzył panu.

– Gliniarze nie.

Tony spróbował zebrać wszystko razem tak, by Udo-po-prostu-Udo się nie wkurzył. Klucz francuski, który mechanik trzymał w ręku, nie wyglądał przyjaźnie.

– Spróbujmy po kolei. Veronika zniknęła jesienią dwa tysiące jedenastego.

– Trzeciego września.

– Jej ciało znaleziono w dwa tysiące dwunastym, trzynastego października. Jest nie do rozpoznania, tożsamość potwierdza dopiero badanie DNA. Nie żyje od ponad roku, więc najprawdopodobniej od dnia swego zniknięcia.

Udo potwierdził skinieniem głowy.

Teraz Tony musiał wykorzystać cały swój takt i delikatność. Bo właśnie w tym miejscu zaczynało się terytorium Ricky’ego Riccarda.

– W grudniu dwa tysiące jedenastego, a wiemy, że Veronika nie żyje już od około dwóch miesięcy, zgłasza pan policji, że zobaczył ją, całą i zdrową, na stacji benzynowej.

– Zgadza się.

– Policja przepuszcza pana przez wyżymaczkę. Posuwają się nawet do zasugerowania, że tym zgłoszeniem chciał się pan przyznać do morderstwa Veroniki. Napęlnia to pana gniewem i frustracją. Więc próbuje pan podgrzać atmosferę i udziela wywiadu „La Usc di Ladins”.

Udo odłożył klucz na metalową szafkę.

– To był błąd.

– Mogę mówić wprost?

Mechanik zapalił papierosa.

– Wolę wprost.

– Veronika nie należała do chudzielców.

– Czy to przestępstwo?

– Nie. Ale w ostatnim okresie, według świadków, zanim zniknęła...

Udo podrapał się nad okiem.

– Słynna dieta Veroniki. A potem trekking. To też było coś nowego. Veronika i ja byliśmy jedynymi osobami w Santa Cristina, które nienawidziły gór. Żadnych nart, żadnych rakiet śnieżnych. Mnie interesowały tylko samochody i silniki, ona chciała zamieszkać w Nowym Jorku. Potem, kiedy się rozstaliśmy, Veronika nagle przeszła na dietę i zaczęła chodzić po górach.

Udo otarł łzę.

– To była ona? – zapytała delikatnie Sibylle. – Ta kobieta na stacji benzynowej, czy to naprawdę była Veronika?

– Widziałem ją.

– Proszę nam opowiedzieć.

– Po co?

– To ważne.

– Był dwudziesty piąty grudnia. Najgorsze święta mojego życia. Rano byłem z rodziną na mszy i nawet ksiądz krzywo na mnie patrzył. Udawaliśmy, że nic się nie stało, ale to było trudne. Wymiana prezentów pod choinką, uśmiechanie się do zdjęcia... W końcu wsiadłem do samochodu i pojechałem przed siebie. Żeby oczyścić głowę. Wiecie, o co mi chodzi?

– No pewnie – odpowiedziała Sib.

– Zatrzymałem się na stacji benzynowej. Tej na A dwadzieścia dwa pod Bressanone. Często tam jeżdżę. Znam parę osób, które tam pracują, przez jakiś czas sam tam pracowałem. Musiałem zatankować i opróżnić pęcherz. Kiedy wyszedłem z tej cholernej łazienki, zobaczyłem ją. – Udo pogładził wąsy. – Stała na drugim końcu parkingu. Pozdrowiła mnie gestem.

– Która to była godzina?

– Dziewięta wieczorem.

– Nagrania?

– Jeśli czytaliście akta, to wiecie. To miejsce było poza zasięgiem kamery. Policja je sprawdziła. Zero. Dlatego mi nie uwierzyli.

– Czy to była Veronika?

– Miała na sobie spódnicę, którą dałem jej na urodziny. Włosy miała inne, dłuższe, kręcone, jakby sobie zrobiła trwałą, ale to była ona. Jestem pewien, że to była ona. A przecież...

– A przecież w te święta jej ciało leżało pod dwoma metrami śniegu w Val Fiscalina.

– Po tym spotkaniu poszedłem porozmawiać z jej rodzicami. To było okropne. Krzyki, obelgi, ale w końcu ich przekonałem i pozwolili mi przejrzeć rzeczy Veroniki.

– Nie było spódnicy – szepnęła Sib.

– I kurtki, w której widziałem ją na stacji benzynowej.

Udo cisnął niedopałek papierosa na ziemię, zdeptał go gniewnym ruchem. Potem go podniósł i wrzucił do kosza na śmieci.

– Nie próbował pan jej zawołać, podejść do niej?

– Próbowałem, ale nie mogłem. Miała samochód, niebieską alfę. I zaraz odjechała.

– Jak pan to sobie tłumaczy?

– Albo się pomyliłem, albo to był duch Veroniki, który przyszedł się pożegnać. – Udo kopnął kosz. – A teraz idźcie – powiedział. – Proszę, idźcie sobie. Muszę się napić, a nie lubię, jak ktoś jest w pobliżu, kiedy to robię. Bywa niebezpiecznie.

Rozdział LXX

Pierwsza powiedziała to Sibylle.

- Seryjny zabójca.
- Seryjny zabójca.
- Naprawdę w to wierzysz?

Smutny uśmiech na twarzy Tony'ego.

- To ja jestem unikacki, pamiętasz?

Siedzieli na dwóch krańcach sofy w mieszkaniu Tony'ego na Szangaju. Każde z nich ze szklanką w dłoni. Woda dla Tony'ego, cola dla Sib. Lód stopił się dawno temu.

Byli wstrząśnięci. Wyczerpani. Przestraszeni.

W tle słyszeli stłumione dźwięki ruchu ulicznego na via Resia i głosy dochodzące z baru na parterze kamienicy, w której mieszkał Tony. Słońce zakryła warstwa chmur, grubych i ciemnych. W radiu mówili o nadchodzącym deszczu, ale na razie w Bolzano panował duszny i wilgotny upał nie do wytrzymania. Mimo to, gdy tylko Polianna wyszła, żegnając się z nimi zakłopotanym i jednocześnie zaniepokojonym spojrzeniem, Tony i Sib otworzyli okna. Potrzebowali powietrza. Smrodliwego, rozpalonego do czerwoności, ciężkiego, ale jednak powietrza.

Freddy leżał ze smętną miną pod wyłączonym klimatyzatorem. Od czasu do czasu chleptał wodę z miski. I burczał niezadowolony. W tle Syd Barrett śpiewał o jakiejś Emily i jej zamiłowaniu do pożyczania sobie cudzych marzeń.

- Jaka jest możliwość potknięcia się o seryjnego zabójcę?

Tony wzruszył ramionami.

– Ja to widzę tak, że pojedyncze morderstwo jest sumą wielu nacisków, które zamieniają człowieka w zabójcę. Seryjny zabójca jest sumą wielu innych zmiennych. Dlatego są rzadsi. Ale nie jestem autorytetem, nigdy nie wierzyłem w motywy.

– Wystarczy włączyć telewizor, otworzyć gazetę. Przez seks i pieniądze ludzie codziennie popełniają okrucieństwa. Nie możesz powiedzieć, że nie wierzysz w motywy.

– Seks i pieniądze są jak wierzchołek góry lodowej. Są tą częścią, która sprawia, że czujemy ulgę.

Sib podciągnęła się, nogi skrzyżowała po indiańsku i odstawiła pustą szklankę na stolik.

- Ulgę?

– Zwróciłaś na to kiedyś uwagę? Kiedy dowiadujemy się o motywie przestępstwa, ludzie tracą zainteresowanie. Kolejne niebezpieczeństwo minęło. A tymczasem to głupie. Niebezpieczeństwo ustaje, gdy zabójca

kończy w kajdankach, prawda? Ale ludzie nie czują się bezpieczni, dopóki...

– Nie odkryje się motywu.

– Motyw ma moc, która sprawia, że mówimy: „Mnie to nigdy nie spotka. Nikt by mnie nie zabił dla tych paru groszy, które mam na koncie. Nigdy nie miałem potajemnego romansu, dlaczego miałbym skończyć pocięty na kawałki gdzieś w rowie?”. Motyw nas uspokaja. Ale to również oznacza, że w naszych oczach ofiara w jakiś sposób sama się o to prosiła. Winny i ofiara zamieniają się rolami.

Tony upił łyk. Woda była ciepła.

– I to dlatego – kontynuował, skrzywiwszy się z niesmakiem – seryjny zabójca nas przeraża. Dowiadujemy się, że Jeffrey Dahmer zjadał ludzi, bo czuł się samotny i, Jezus, wszyscy czasem czujemy się samotni, ale nie porywamy ludzi, żeby ich rozerwać na strzępy. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Normalne morderstwo sprawia, że czujemy się bezpiecznie, bo to wina ofiary, a ponieważ ofiary zawsze robiły coś niewłaściwego, my nigdy nie będziemy ofiarami. Tymczasem w przypadku seryjnego mordercy ofiara pozostaje tylko ofiarą. Po prostu pojawiła się w złym czasie i w złym miejscu, przyciągając uwagę najgorszej osoby, na jakiej mogłaby zrobić wrażenie. A to może się zdarzyć każdemu.

– I nie tylko – dodał ponuro Tony. – Seryjny morderca każe nam się bać, że także my, w pewnych okolicznościach i poddani odpowiedniej presji, możemy zacząć zjadać ludzi. Kto by nie chciał wziąć karabinu maszynowego i zmieść tej cholernej kolejki na poczcie? Spójrz na Freddy’ego. Miły grubas, prawda? A jednak jego przodkowie nie czuliby skruchy, gdyby rozerwali nas na strzępy. Rzymianie używali ich jako psów wojennych.

– Chcesz powiedzieć – rzekła Sibylle – że wewnątrz Freddy’ego...

Tony wrócił myślą do spotkania bernardyna ze wściekłym lisem.

– Kryje się mały Freddie Mercury i mały Freddy Krueger. To samo dotyczy nas, ludzi. Tamtej nocy, kiedy zobaczyłem cię z trzonkiem od kilofa, był moment, kiedy byłem przekonany, że walniesz mnie nim w głowę. To był klasyczny moment Freddy’ego Kruegera.

Sib z powrotem zajęła się dręczeniem kosmyka swoich włosów.

– Czyli uważasz, że ten, kto zabił Erikę, zabił też Mirellę, Veronikę i kto wie, ile jeszcze innych?

– Coś takiego dał nam do zrozumienia Gabriel. I to mnie martwi, bo ja też zacznę w to wierzyć.

Tony potarł powieki.

– Zarówno Mirellę, jak i Veronikę widziano po śmierci – powiedziała Sibylle. – Ponieważ nie wierzymy, że jest tam demon, który zakłada skórę swoich ofiar, i ponieważ zarówno Rossini, jak i Udo przyznali, że widzieli Mirellę i Veronikę tylko przez krótki czas i z pewnej odległości, oznacza to,

że ktoś włożył ubranie tych biednych dziewczyn i wystawił się na widok publiczny. Jakiś rodzaj...

– Jakiś rodzaj zabawy w Wędrowca od von Juntza.

Tony wstał. Wziął szklanę Sibylle i swoją, wypłukał je i napełnił świeżą wodą.

– Wiesz, jaki jest problem z takimi tekstami jak von Juntza? – Tony usiadł obok Sibylle, wręczając jej szklanę. – Że każdy może z nich wyczytać, co tylko zechce.

– A jeśli ktoś pomylił pieczeń z dymem? – zapytała Sibylle. – Co by było, gdyby ktoś uważał, że von Juntz, Kenneth Grahame, a nawet Fräulein Erika mówili o konkretnych rzeczach? Ktoś przekonany, że Wędrowiec jest prawdziwą istotą?

– Brzmi obłąkańczo.

Sib trąciła go w ramię.

– Rób, co do ciebie należy. Płacą ci za wyobraźnię, prawda? Myślisz, że to możliwe?

„I nie wiesz, co się dzieje, gdy przesadzę z wyobraźnią...”.

Ale dobrze. Pieprzyć to.

Tony pomasaował sobie skronie, a potem zaczął mówić:

– Znikają kobiety. Wcześniej zmieniają swoje nawyki. Seryjny morderca uwodzi je, zabija, a potem pojawia się w ich ubraniach. Pokazuje się mężczyznom, którzy kochali jego ofiary. Sprawia mu to przyjemność? A może to tylko potwierdzenie jego mocy? Nie wiemy. Ale wiemy, że zawsze pojawia się z daleka i zawsze przelotnie. I to jest prawie oczywiste.

– Erika jest wyjątkiem. W jej przypadku zjawą był Gabriel, a wiemy, że Gabriel nie jest Wędrowcem. Siedział już, kiedy Veronika Pohl została zabita.

Tony przygryzł wargę.

– Nie, Erika nie jest wyjątkiem.

– Zjawą był Gabriel – powtórzyła Sib. – Yvette nam to powiedziała. A może myślisz, że kłamała?

– Nie sądzę, że skłamała. Ale myślę, że Gabriel mógł nie być jedynym, który chodził po Kreuzwircie z blond peruką na głowie.

– Dwie zjawy?

– W tej chwili nie możemy być niczego pewni. Spekuluję, więc kontynuujemy zwiedzanie głowy Gabriela, zdaje się, że on zawsze był o krok przed wszystkimi. U von Juntza Wędrowiec nazywa się również Przyjacielem. Przyjaciół to nie jest przerażające słowo, prawda? Przyjaciół to ktoś, kto ci doradza i zachęca do zrobienia wszystkiego, co w twojej mocy. Przyjaciół to ktoś, kto słucha twoich zwierzeń, płacze razem z tobą i świętuje twoje zwycięstwa jak własne. Ufasz przyjacielowi. Nawet Szczur, Kret i leśne zwierzęta w książce Grahame'a cieszą się na spotkanie

z grającym na flecie. Przerazenie przychodzi później, gdy muszą uklęknąć, by oddać mu cześć.

Tony wyciągnął jedną stronę z *Unaussprechlichen Kulten*.

– *Wędrowcowi należy się adoracja. Głowa do gwiazd i kolano ku ziemi. W skrusze i uwielbieniu. Gdzie mięsień jest silny, tam się zgina. Gdzie wola się nie poddaje, spojrzenie Wędrowca jest jak miecz tnący. Wybraniec Przyjaciela, Tego, który stoi na podwalinach świata, który jest podwaliną świata, który ze świata subtelnego emanuje, na kolanach słucha Jego pieśni.* Czyli wówczas, gdy morderca zrzuca maskę. Ale aż do tego momentu ten, kto spotyka Wędrowca, widzi w nim przyjaciela.

Sib pomyślała o swoim nocnym koszmarze z Eriką ubraną na czerwono.

– Obetnij włosy. Przejdź na dietę. Zerwij niewłaściwe przyjaźnie. Bądź ze mną szczęśliwa. Tylko ze mną. Rób, co ci mówię. Ktoś taki jest naprawdę przerażający. Myślisz, że powinniśmy zadzwonić na policję?

Tony klepnął się po kolanie.

– Nie mamy nic konkretnego. Same przypuszczenia. Wyśmialiby nas.

– Ale ty w to wierzysz?

– Obawiam się, że tak.

– A więc musimy znaleźć dowód.

– Tylko jak?

Sibylle z determinacją potrząsnęła tabletem.

– Sprawdzając każdy przypadek po kolei. Rozmawiając z przyjaciółmi, chłopakami, krewnymi wszystkich osób, które zaginęły w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Włączając w to rozwiązane sprawy, jak tę Veroniki. Gdzieś tam jest ktoś, albo nawet więcej niż jeden ktoś, kto widział ukochaną osobę po jej zniknięciu, ale nie miał odwagi o tym powiedzieć. A jeśli to zrobił, został wzięty za szaleńca. Ale nie możemy stracić z oczu Eriki. I Perkmanów. To oni trzymają Gabriela z daleka. W jakiś sposób Perkmanowie są związani z...

– À propos – przerwał jej Tony, zacierając ręce z zadowolenia. – Pamiętasz, co mi powiedział Zingerle? Tę historię o kradzieży von Juntza i jego ponownym pojawieniu się w Ropuszym Dworze?

Jego radość wywołała uśmiech na twarzy Sibylle.

– Co takiego wykombinował Tony Pończoszanek?

– Zingerle powiedział, że aż do roku siedemdziesiątego piątego pierwsze wydanie *Unaussprechlichen Kulten* było w posiadaniu niejakiego Augusta Darletha, który bardzo dobrze znał Horsta, ponieważ był jego mentorem na uniwersytecie. Zingerle użył właśnie tego słowa: mentor. Pomyślałem, że warto z nim pogadać. Zadzwoniłem więc na Uniwersytet Genewski. Przedstawiłem się jako badacz szukający kogoś, kto mógłby mi pomóc w odnalezieniu artykułu potrzebnego mi do pracy. Po odbijaniu piłeczki przez departamenty, archiwa i wydziały znalazłem kogoś, kto pracował z profesorem Darlethem. Z żalem powiedział, że biedny August Darleth nie

żyje od lat, co już wiedziałem od Zingerlego. Udałem zrozpaczonego. Potrzebowałem nieosiągalnej publikacji tego wielkiego geniusza, a tu...

– Wzięłeś ich na współczucie.

– Ten gość podał mi adres syna profesora, Samuela, który może potrafiłby udostępnić mi to, czego szukam. Niemal udało mi się rozplakać ze wzruszenia.

– I co ci powiedział ten Samuel?

– Nie rozmawiałem z nim. Na uczelni dali mi tylko jego adres mejlowy. Napisałem do niego mniej więcej to samo, co powiedziałem sekretarce na Uniwersytecie Genewskim. Publikacja jego ojca i tak dalej. Teraz możemy jedynie czekać i zobaczyć, czy ryba chwyci przynętę. Ale wiesz, co jest najdziwniejsze? Zgadnij, czego uczył August Darleth.

Sib wzruszyła ramionami.

– Medycyny, jak przypuszczam. Horst był lekarzem.

– Otóż nie. Ojciec Darletha uczył fizyki i astrofizyki. I był kimś w rodzaju geniusza.

– A więc Horst...

– Nie, nie – przerwał jej Tony. – Nie podszywał się pod lekarza. Horst był legalnie praktykującym lekarzem medycyny. Sprawdziłem. Ale to ciekawe, nie uważasz? Student medycyny ma dość książek do przeczytania, po co mu jeszcze kurs astrofizyki?

Sibylle spojrzała na niego, jakby Tony zmienił się na jej oczach w Obcego.

– Żartujesz sobie?

– Dlaczego miałbym?

– Jesteś idiotą, wiesz o tym?

Zaskoczony wyraz twarzy Tony'ego był szczery. Jak on mógł być aż tak głupi?

– Słyszałeś kiedyś o pasji?

– Co to ma wspólnego z...

– *I ty piszesz romanse!* – Dziewczyna nie ukrywała poirytowania. – Kiedy miałam cztery lata, nauczyłam się jeździć na rowerze. Kiedy miałam czternaście, dostałam w prezencie pierwszy skuter. To był model Testi, dwusuw starszy niż ty teraz. Wieki dochodził do trzydziestu na godzinę. I to mnie złościło. Więc zaczęłam prosić Lucky'ego Willy'ego o rady. Nauczył mnie, jak tuningować silniki. Byłam w tym tak dobra, że tuningowałam skutery wszystkim dzieciakom w dolinie, a mimo to... – Sib powtórzyła, żeby koncept trafił do zakutego łba Tony'ego. – A mimo to nie opuściłam się w szkole. Inaczej ciotka Helga zamknęłaby mnie w domu i wyrzuciła klucz. Pasja. Rozumiesz to pojęcie? Jak długopis w twojej dłoni. To poczucie...

Tony w końcu zrozumiał.

– *Odpowiedniości.*

– Pasja jest tym, dla czego w jednej chwili nie jesteś już sobą. Kiedy zdajesz sobie sprawę, że znalazłeś...

Sib przyszło do głowy, że powiedziała coś złego, bo Tony się w nią wpatrywał. To samo spojrzenie, które poznała, kiedy pisarz wybrał się na spacer w myślach „na drugą stronę”. Z tą różnicą, że tym razem cała ta intensywność skupiła się na niej.

– ...to, czego ci brakowało – dokończył za nią Tony – żebyś poczuł się dopełniony.

– To było tylko po to, żebyś zrozumiał... – Sib się zająknęła.

Nie dokończyła zdania. Tony zamknął jej usta pocałunkiem. Lekką pieszczotą samymi wargami.

– Sibby Pończoszanka, ratuj się kto może? – zapytał zmartwiony.

– Nie jestem tego pewna.

Rozdział LXXII

We śnie Sibylle unosiła się na powierzchni jeziora. Spoglądała w gwiazdy, a te uśmiechały się do niej. Woda, która otaczała jej ciało, była ciepła i pieszczotliwa.

To nie trwało długo.

Gwiazdy nad nią znikaly jedna po drugiej. Skwierczały jak przepalające się żarówki, a potem połykała je ciemność. Kiedy niebo zamieniło się w płaską powierzchnię oślepiającej czerni, woda stała się lodowato zimna.

Sib zaczęła się szamotać.

Obok niej pojawiła się Erika. Miała długie, ostre czerwone zęby.

Chwyliła ją i powiedziała:

Rozdział LXXIII

1

– Obudź się!

Zdezorientowana Sib rozejrzała się po pokoju. Wszędzie leżały porzucane ubrania. Był świt i z pewnością nie na takie przebudzenie miała nadzieję. Kiedy zobaczyła, że Tony majstruje przy broni, otworzyła szeroko oczy.

– Co ty robisz?

Tony podpiął magazynek do dwudziestkidwójki.

– Czas na pogawędkę z Karin.

Zatknął pistolet z tyłu za pasek dżinsów.

Freddy się obudził. Zamerdał ogonem. Najpierw spojrzał na Tony'ego, potem na Sibylle. Powęszył, zmarszczył nos. Zrezygnował z porannych czułości i wrócił do swojego legowiska.

– Skąd masz pistolet?! – krzyknęła Sib.

– Należał do mojego ojca. Chodźmy.

2

Mustang pożerał kilometry, wściekle rycząc. Sib przestała zadawać pytania, gdy prędkościomierz wskazał ponad sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. Opuścili A22, wjechali na drogę numer 621, wariant K. Ograniczenie prędkości na wariancie K wynosiło czterdzieści na godzinę, mustang mknął dwa razy szybciej.

Gdy dotarli do Kreuzwirtu, Tony nie zwolnił, jadąc w kierunku Willi. Drzewa po obu stronach drogi migwały jak rozszalałe zielone plamy, nieliczni przejeżdżający kierowcy nie mieli czasu, by zatrąbić, kleli tylko pod nosem.

– Zwolnij, Tony.

Tony nie zwolnił. Zahamował w ostatniej chwili, tak że zderzak mustanga znalazł się ledwie kilka centymetrów od stalowej bramy Ropuszego Dworu.

Otworzył drzwi, ale Sibylle zatrzymała go w samochodzie.

– Nigdzie nie pójdziesz z tą bronią. Nie jesteś sobą.

– Nigdy w życiu nie miałem takiej jasności umysłu.

Sibylle uderzyła go w twarz.

– Pistolet zostaje tutaj.

Tony dotknął dłonią policzka. Zawahał się. Sib nie była wściekła. Ani też się nie bała. Była smutna. Jej spojrzenie dopowiadało: „albo już nigdy nie

będzie takich nocy jak ta”.

Dwudziestkadwójka przeszła z rąk Tony’ego w dłonie Sibylle, która ukryła pistolet w schowku. Wysiedli. Ruchoma kamera monitoringu śledziła każdy ich ruch. Tony powściągnął impulsywne pragnienie, by podnieść kamień i w nią rzucić. Znalazł dzwonek przy bramie i nacisnął przycisk.

– Czego pan chce, panie Carcano?

Tony spojrział w obiektyw kamery i wypowiedział nazwisko:

– Darleth.

Rozdział LXXIV

Michl Horst był pod krawatem i miał twarz człowieka, który smacznie spał przez całą noc, a rano zbudził się świeży i wypoczęty. Z czystym sumieniem. Nic nie powiedział przez całą drogę.

Zaprowadził ich do biblioteki Ropuszego Dworu. Dębowe półki pełne tomów sięgały aż po sufit. Niektóre z nich chroniły przeszklone drzwi i zamki – słynna zakazana część kolekcji. Na owalnym stole ręcznej roboty, misternie intarsjowanym, leżał słynny egzemplarz pierwszego wydania *Unaussprechlichen Kulten*. Na okładce z ciemnej skóry widniała wytłoczona na gorąco spirala. Michl wskazał im krzesła. Potem usiadł obok Karin Perkman, która tam na nich czekała. Z uśmiechem na ustach.

Karin była cieniem tamtej dziewczynki ze zdjęcia zrobionego polaroidem. Głębokie zmarszczki niepokoju wokół cienkich ust, ciemne plamy pod oczami ostrymi jak sztylety. Miała na sobie bluzkę z długim rękawem i spódnicę o surowym kroju. W przeciwieństwie do Michla wyglądała jak ktoś, kto musiał policzyć sporo owiec, zanim w końcu zasnął. Stary zegar z wahadłem odmierzał sekundy.

– Zastanawialiśmy się – rozpoczęła Karin – kiedy będziemy mieli przyjemność was gościć.

Tony zignorował sarkazm.

– To nie jest wizyta towarzyska. Jestem tu służbowo. – Położył swój smartfon na stole. – Żeby opowiedzieć wam historię, która zaczyna się od końca. Od dzisiejszej nocy, kiedy dostałem mejla od Samuela Darletha, syna profesora Augusta Darletha, cenionego fizyka, astrofizyka i przedsiębiorcy. Tego Augusta Darletha, który był mentorem Josefa Horsta na Uniwersytecie Genewskim.

Tony zauważył, że palce Karin zacisnęły się w pięść. Zauważył też, że nie nosiła pierścionków, a paznokcie miała krótko obcięte, jakby po to, by ich nie obgryzać.

– Tego samego Augusta Darletha, który porzucił nauczanie w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku, by poświęcić się swojej... Możemy ją nazwać miniaturową gwiazdą?

Tony wskazał na symbol firmy założonej przez Augusta Darletha, symbol w stopce mejla, który Samuel wysłał mu ostatniej nocy. Stylizowane słońce.

W środku słońca punkt otoczony trzema trójkątami. Symbol energii jądrowej.

– Zresztą czymże jest elektrownia jądrowa, jeśli nie gwiazdą w miniaturze?

– Pan jest szalony, panie Carcano – powiedziała sucho Karin.

Tony ją zignorował.

– W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku August Darleth zrezygnował z nauczania, by poświęcić się swojej elektrowni atomowej w Karnach, w Szwajcarii, której budowę rozpoczął w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym. Tak więc rezygnuje z katedry na uniwersytecie, uruchamia swój piękny reaktor i w krótkim czasie orientuje się, że ma problem. Nie docenił kosztów utylizacji materiału rozszczepialnego i nagle trzyma w rękach kupę parującego radioaktywnego gówna, bez najmniejszego pojęcia, jak się go pozbyć.

Kilka ujęć na smartfonie: stare zdjęcia protestujących z transparentami, artykuły prasowe.

– Ekolodzy podnieśli krzyk. Długowłose sukinsyny, co to zepsują każdą zabawę, rozbiegły się po okolicach elektrowni Darletha z licznikami Geigera i zaczęły rejestrować anomalie w poziomie radioaktywności.

Tony pokazał dokument, który znalazł na stronie stowarzyszenia ekologicznego: *Elektrownia Karnach i jej szkodliwość dla środowiska*.

– Podsumowanie spacerów: poziom radioaktywności trzykrotnie wyższy od dopuszczalnego. Doszli do wniosku, że na terenie zakładu przechowywano więcej zużytego paliwa jądrowego, niż było dozwolone. Wybuchł skandal i w konsekwencji formalna skarga i dochodzenie.

Tony opowiadał, przesuwając na ekranie smartfona skany dokumentów, jeden po drugim. Były zapisane na maszynie i zeskanowane, trochę ciemne, ale doskonale czytelne i opatrzone fotografiami.

– Kiedy jednak inspektorzy rządowi weszli na teren elektrowni, nic nie znaleźli. Wszystko było w porządku. Nie przeszkodziło to kolejnym protestom, wybuchła wojna na ekspertyzy, oskarżenia padały z obu stron barykady, marsze przeradzały się w starcia. I w tym momencie nastąpił wielki zwrot akcji.

Na ekranie pojawiła się pierwsza strona lokalnej gazety: *Elektrownia otwiera się dla wszystkich*.

– Operacja „Przejrzystość”, wrzesień siedemdziesiątego trzeciego roku. August Darleth pozwolił długowłosym aktywistom wejść do elektrowni Karnach bez żadnych ograniczeń. I co się okazało? Matołki zostały z niczym. Darleth użył magii. – Tony założył ręce na piersi. – Bardzo interesujący człowiek z tego Augusta Darletha. Fizyk, astrofizyk, przedsiębiorca odnoszący sukcesy, ale również pasjonat rzadkich książek. Książek ezoterycznych. Do tego stopnia, że stał się pierwszym i jedynym podejrzanym o kradzież tej oto książki, pierwszego wydania *Unaussprechlichen Kulden*, skradzionej prawowitym właścicielem w sześćdziesiątym pierwszym roku. Tego właśnie tomu, który w siedemdziesiątym piątym znalazł się w tej wspaniałej bibliotece. Czy to nie brzmi trochę... nietypowo? August Darleth, pasjonat, który posuwa się do zlecenia kradzieży książki, a potem nagle oddaje ją ot tak, bez powodu? Z czystej przyjaźni?

– Nie przyszło panu do głowy – odezwała się Karin – że mój ojciec mógł ją po prostu kupić?

Tony pozwolił sobie na lekki śmiech.

– Jestem pisarzem, nie wierzę w bajki. W dwa tysiące szóstym roku Edward Bukrijew oferował za tę książkę siedem milionów euro. Nawet gdyby sprzedawca zaproponował zniżkę godną czarnego piątku w USA, pani ojciec w siedemdziesiątym piątym nie miał takich pieniędzy. A nawet gdyby miał, na pewno nie wydałby ich na książkę. Friedrich miał swój własny mały ekonomiczny cud do pielęgnowania. To Horst miał obsesję na punkcie tych bzdur, nie on. A Horst mógł posiadać najwyżej pięćdziesiąt procent aktywów Friedricha, a i w to, szczerze mówiąc, wątpię.

Tony przesunął dłonią po skórzanej okładce *Unaussprechlichen Kulten*. Zrobiwszy to, poczuł przemożną chęć, by wytrzeć palce o tizert.

– I w tym miejscu – kontynuował – docieramy do Josefa Horsta. Lekarza, ojca małego Michla. Josef Horst przybył do Kreuzwirtu w siedemdziesiątym trzecim roku, bez grosza przy duszy, w czasie, kiedy Friedrich właśnie bankrutował z powodu zamknięcia tartaku. Ale gdy tylko Horst i Perkman zaczynają wspólnie robić interesy, wszystkie ich problemy zostają rozwiązane. Tylko co to ma wspólnego z von Juntzem?

Zrobił przerwę.

Ani Karin, ani Michl nie odpowiedzieli.

Tony zacisnął pięści, oparł je na stole i pochylił się do przodu.

– Wiecie, co powiedział mi nasz wspólny przyjaciel z dziwnym rosyjskim akcentem? Że książki, niektóre książki, są warte dużo pieniędzy. Że są *inwestycjami*. Co Friedrich mógł mieć tak ważnego do zaoferowania Augustowi Darlethowi w zamian za jego skarb?

Z piersi Sibylle wyrwał się jęk. Zdławiony głos, który nappełnił Tony'ego bólem.

Sib zrozumiała.

– Bezpieczne miejsce – powiedziała. – Własność Perkmanów. Ziemię. Jezioro pośrodku torfowiska, głębokie, daleko od wszystkiego, nad które mało kto przychodził. Horst działał jako pośrednik między Friedrichem i Darlethem, prawda?

– Tak – potwierdził Tony.

– Horst zaproponował Friedrichowi zawarcie paktu z diabłem – ciągnęła Sibylle głosem ostrzejszym niż brzeszczot majchra na fajfusów. – Jemu i przy okazji wszystkim mieszkańcom Kreuzwirtu. Ciche życie, geranium w oknach, od czasu do czasu ktoś chorował na raka. Wszyscy wiedzieli. Przecież nie dało się nie zauważyć przewożenia radioaktywnych beczek, ale nikt nie zadawał pytań. Aż Erika, Pomyłona Erika... – Głos Sib zgasł w gardłowym jęku. Jej wzrok zgubił się w próżni.

– Erika – podjął Tony, wskazując palcem na Karin i Michla – popełnia samobójstwo w waszym rodzinnym śmietniku. Więc trzeba sprawić, by jej

ciało zniknęło, bo ciało Eriki stanowi dowód. Trzeba je skremować. Z tego samego powodu Elisa, kiedy ginie, też musi być skremowana. Przecież zginęła w tej samej wodzie co Erika. Tej, która wypływa z jeziora. Może te dwa ciała nie wchłonęły wystarczająco wielkiej dawki promieniowania, ale po co ryzykować? Kolejny problem: ten cholerny Gabriel, który ciągle zadaje pytania. Pewnie, jest szalony, ale... prawie się połapał. W rzeczywistości nie istnieje żaden Wanderer. Jest ich trzech.

Usta Karin zamieniły się w dwie wąskie kreski, z których odpłynęła krew.

Mimo ostentacyjnie pewnej siebie postawy Michl miał krótki oddech.

– August Darleth, Josef Horst i Friedrich Perkman. A teraz – zakończył Tony – powiedzcie nam: ile radioaktywnych beczek wyłowimy z tego jeziora?

– Zero – odpowiedziała Karin.

– Proszę ze mnie nie kpić.

– Transport odpadów – wyjaśniła Karin – trwał przez dwa lata. W siedemdziesiątym trzecim i siedemdziesiątym czwartym. W siedemdziesiątym czwartym elektrownia Darletha została wyposażona w lepsze systemy bezpieczeństwa i nie było już potrzeby wywożenia niczego. Jednak w rezultacie przekupywania urzędników, ekspertów, celników i całej reszty w tym samym roku Darleth znalazł się w finansowych opałach i żeby spłacić zobowiązania, musiał oddać Friedrichowi i Josefowi swój egzemplarz von Juntza. W każdym razie Friedrich i Josef nigdy by się nie zgodzili dalej przemycać te beczki.

– Właśnie to pani sobie wmawia, żeby móc zasnąć w nocy, tak? – zapytała Sibylle.

– Nie. To prawda. Friedrich chciał uratować Kreuzwirt po zamknięciu tartaku, Horst chciał rozpocząć coś nowego. Nie byli chciwi, tylko ambitni. Jezioro jest dziś czyste. Jeśli pani zanurkuje w tej wodzie, nie znajdzie ani jednej beczki z uranem. Mój ojciec i ojciec Michla pozbyli się ich w dziewięćdziesiątym ósmym roku.

– W dziewięćdziesiątym ósmym? – wybuchła Sibylle. – Kiedy Erika uciekła z domu? Czy zobaczyła coś, czego nie powinna? Zabili ją, bo dowiedziała się, co wyprawiali!

Odpowiedź Karin sprawiła, że Sibylle zabrakło powietrza w płucach.

– Erika – powiedziała kobieta niemal z delikatnością – została zabita, to prawda. Ale nie przez mojego ojca. Ani nie przez ojca Michla.

Rozdział LXXV

Elisa nosiła przez całą zimę tę samą kurtkę, a jej spódnice były połatanne. Elisa nigdy nie miała grosza przy duszy i wstydziła się swoich rodziców, którzy cuchnęli gnojem i chociaż byli młodzi, wyglądali jak dwoje starców uginających się pod ciężarem życia w gospodarstwie.

Za to Karin miała szafy pełne ubrań, których nie wkładała więcej niż raz, cały pokój pełen butów, nie wspominając o biżuterii zapisanej jej w spadku przez matkę, ale oddałaby to wszystko za godzinę, jedną godzinę wolności, z którą Elisa nie wiedziała, co począć.

Poza tym Elisa była piękna. Dorastając, Karin coraz bardziej zdawała sobie z tego sprawę. Ona mogła nakładać makijaż i ubierać się według najnowszej mody, ale Elisa... Elisa miała w sobie to coś. Kiedy się pojawiała, wszyscy czuli się tak, jakby ktoś włączył światło w ciemnym pokoju.

No i Elisa nie musiała dźwigać na ramionach brzemienia nazwiska Perkman.

Czasami Karin zazdrościła też Pomyłonej Erice. Kiedy były młodsze, trochę się jej bała. Tarot. Tajemnicze wyrażenia. Potem, w miarę jak dorastała, zdała sobie sprawę, że to bluff. Aż w końcu, gdy potajemnie piły piwo, siedząc opatulone od stóp do głów na dachu szkoły razem z Elisą w lutym 1998 roku, zdała sobie sprawę, że Pomyłona Erika jest w istocie Puszczalską Eriką.

– Nie cieszysz się, że zostałeś ciotką? – zapytała ją Elisa. – Ciocia Karin. Nieźle brzmi.

– O czym ty mówisz?

– Erika i Martin.

– Żartujesz sobie.

– Mówię poważnie. Puszczalska Erika znalazła sposób na zarobienie pieniędzy. Twoich pieniędzy.

– Ale...

– Martin maniak nigdy by tego nie zrobił? – zaszydziła Elisa. – Chcesz, żebym ci pokazała bliznę? Chcesz, żebym ci przypominała za każdym razem, jak pojawiał się nie wiadomo skąd, by mnie ścisnąć i obmacywać?

Nie było potrzeby tego mówić. W reakcji na uściski Martina Elisa zniknęła z prędkością światła, a Erika śmiała się i... ocierała o niego.

– A teraz masz przerąbane. Będziesz musiała ją utrzymywać do końca życia. Kiedy twój ojciec się dowie...

– Martin nigdy nie opuszcza willi.

– Nie kłam. Wiesz, że czasami opuszcza.

– Dobrze, ale robi to sam. Jak mógł się umówić na randkę z Eriką?

Elisa pstryknęła palcami. Pstryk. Pstryk. Potem szybciej. Cała seria. Pstrykpstryk pstrykpstryk.

– Upiłaś się?

– Powiedziałam tylko „do zobaczenia później”. W języku Eriki i Martina. Karin zachciało się śmiać.

– Walnięta jesteś.

– Widziałam ich – zapewniła Elisa z powagą. – Widziałam, jak Erika wspina się na mur, a Martin stoi w oknie. I rozmawiają. Mają swój sekretny język. Ten.

Pstryknęła palcami. Pstryk.

– Jesteś...

– Potwór nie umie mówić, prawda?

– Nie, on umie mówić, tylko...

Pstryk. Pstryk. Czy Karin nie słyszała wcześniej tych dźwięków? W środku nocy?

Elisa zmieniła temat, zasiawszy ziarno wątpliwości. Ale Karin potrzebowała dowodu.

Z wieżyczki obserwatorium astronomicznego można było zobaczyć całe wschodnie skrzydło willi. Łącznie z oknem pokoju Martina, fragmentem murowanego ogrodzenia i torfowiskiem. Z tego miejsca Karin zaczęła szpiegować swojego bliźniaka i odkryła, że Elisa nie kłamała. Martin w oknie i Erika siedząca okrakiem na murze, ukryta wśród gałęzi drzew, rozmawiali tym dziwnym, sekretnym językiem. Karin wpadła w furję i zaczęła planować zemstę.

Jeśli było coś, co odziedziczyła po swoim ojcu, to właśnie to – siłę woli. Erika zapłaci za swój występki. Poniesie karę z rąk Martina. Karin wiedziała, jak do tego doprowadzić. Zaczęła lekceważyć swoje obowiązki: przestała sprawdzać, czy drzwi Martina są zamknięte na klucz i czy więzy dobrze przylegają do nadgarstków. Przestała mu czytać *O czym szumią wierzby* (Boże, jak ona nienawidziła tej książki), żeby zrobił się bardziej nerwowy.

Bardziej agresywny.

Okazję do zemsty stworzył Maturaball. Podszuchując ich tajne rozmowy, Karin odkryła, że w wieczór balu Erika i Martin umówili się na spotkanie nad jeziorem. Tej nocy drzwi do pokoju Martina pozostaną otwarte. Martin wyjdzie na spotkanie. Bardzo, bardzo zdenerwowany. A kiedy potwór jest zdenerwowany... Elisa dobrze wiedziała, co się działo, gdy Martin tracił rozum. Wściekał się. Strasznie. Wkrótce także Erika się dowie.

Rozdział LXXVI

1

– Jestem córką Martina? Jestem... twoją bratanicą?

Karin nie odpowiedziała. Zamiast tego zwróciła się do Michla:

– Zajmiesz się tym?

Horst skinął głową, wstał, podszedł do dębowej szafki, otworzył ją kluczem i opróżnił jedną z półek z części książek, za którymi był sejf. Ze środka wyciągnął pomarańczową kopertę. Wręczył ją Karin, a ta wyciągnęła kartkę papieru złożoną na czworo i pokazała ją Sibylle.

Michl wyjaśnił:

– To test DNA. Twojego DNA. Jedno z wielu badań krwi, które polecił wykonać mój ojciec. Nie ma w twoich żyłach nic z krwi Perkmanów.

– To wy tak mówicie – odezwał się Tony.

– Dlaczego mielibyśmy kłamać?

– Bo wasza historyjka jest bardzo wygodna – odparła zimno Sibylle. – Martin zabił Erikę, narysował symbol i wrócił do domu. Horst zdał sobie sprawę, że coś jest nie tak, więc poszedł po śladach Martina i znalazł ciało. Resztę znamy. Doskonałe, powiedziałbym. Zbyt doskonałe. A wy dwoje wychodzicie z tego czyści jak lilie.

Karin otworzyła tom von Juntza. Wewnątrz były inne niemożliwe zdjęcia. Zdjęcia od numeru dwa do sześć. Erika leżąca na brzegu jeziora, a obok niej uśmiech kolibra.

– Nie ma w tym nic doskonałego. Prawda nigdy nie jest doskonała.

– Po co trzymasz te zdjęcia? – zapytała Sib.

Grymas na twarzy Karin.

– Żeby się ukarać.

– Jak Martin?

– Martin... Tak, oczywiście. Biedny mały Martin. Martin krecik. Martin ofiara.

Karin wstała, pochyliła się w stronę Sibylle z podniesioną pięścią.

– A ja? To ja jestem tu z nim zamknięta! To ja musiałam zająć się tym małym szaleńcem. To ja musiałam go chronić przed Eriką. To ja muszę zachować tajemnicę. To ja muszę chronić Kreuzwirt. Ja...

– Kochanie...

Michl pogładził ją po dłoni. Ten gest uspokoił Karin.

– Zdjęcia miały sprawić, bym nie zapomniała o konsekwencjach tego, co zrobiłam. I nauczyć mnie, żebym nie robiła w przyszłości innych głupot.

– A może – zapytał Tony – żeby powstrzymać Martina przed ponownym morderstwem?

– Myślisz o Elisie? To był wypadek. Elisa nie była tą dobrą dziewczyną, którą wszyscy opisywali. Nigdy nią nie była. Ale zginęła w tym cholernym potoku, więc...

– Więc i ją trzeba było skremować – dokończył Tony. – Fotografia numer jeden. Kto dostarczył ją Sib?

– Uważamy – odpowiedziała Karin – że to był Martin. Wykorzystał zamieszanie wywołane pogrzebem ojca, by ją ukraść i zemścić się na nas. Jak prawdziwy Perkman.

Tony poczuł, że krew zastyga mu w żyłach.

– Nie jest na lekach? Nie jest skrępowany?

– Nie zawsze.

– Wtedy może wyjść. Jeśli chce.

– Myśli pan o Wędrowcu? – zakpił Michl.

– Ile wie Gabriel? – zapytała Sib.

– Nic nie wie. Ale problem z szaleńcami takimi jak Gabriel polega na tym, że krzyki przyciągają uwagę. Nawet jeśli beczek nie ma już w jeziorze, to w wodzie pozostały ślady radioaktywności, które można by wykryć w laboratorium. Kiedy więc zaczął zadawać pytania, próbowaliśmy go przekupić, odesłać gdzieś daleko. Ale nie udało się. Był zakochany do szaleństwa w twojej matce. Nie miał odwagi jej tego wyznać, ale to było widać. A Erika nawet tego nie dostrzegła. Jej śmierć była strasznym ciosem dla jego psychiki. To on zaczął tę sprawę z widmem, wiecie? W ten sposób chciał się...

– Zemścić na Kreuzwircie. Dlaczego go nie zabiliście? Nawet więcej. Dlaczego nie zabiliście ich obu? Gabriela i Martina. Gdybyście się ich pozbyli, nie mielibyście więcej problemów.

– Nie jesteśmy mordercami – odpowiedział Michl. – I myślę, że czas wrócić do rzeczywistości. Wszyscy wiemy, że nie da się obwinić Martina za zabicie Eriki. Nie ma żadnego dowodu. Już nie.

– To prawda – odpowiedział Tony – ale możemy wziąć szklanekę wody z jeziora, poddać ją analizie i zrujnować was na zawsze.

– Chyba że chcecie poznać tożsamość ojca Sibylle w zamian za milczenie. Wiemy, kim jest. Wiemy, gdzie mieszka. I wiemy na pewno, że to jej ojciec. Mamy test DNA, który to potwierdza.

– A dlaczego nie mielibyśmy się na to zgodzić, uścisnąć wam dłoni, a potem i tak was wystawić? Co nas powstrzyma?

– Nigdy nie należy atakować umierającego zwierzęcia – odpowiedziała Karin. – To ten jeden jedyny raz, kiedy ono nie ma oporów, by ugryźć. Ugryźć naprawdę.

Sib nie wzięła kartki od Karin.

Wstała, otworzyła drzwi i wychodząc, krzyknęła:

– Jesteście skończeni! Skończeni, jasne?

Karin podała Tony'emu wizytówkę.

- Niech pan przemówi jej do rozumu, panie Carcano. Dajemy jej czas do jutra. Potem...
- Podejmiecie ostateczne środki.

2

Na zewnątrz padało. Ciepła, obrzydliwa mżawka. Rudi stał przy drzwiach, a kiedy Tony go mijał, Brugger wskazał na mustanga zaparkowanego przed bramą posesji.

– To piękny samochód. Już takich nie robią.

Pięść Tony'ego wystrzeliła do przodu niemal automatycznie.

Rudi zatoczył się do tyłu. Potknął się, a potem upadł na ziemię.

– Jesteśmy kwita – powiedział, masując obolałą szczękę – ale przykro mi, że wziął to pan do siebie, panie Carcano. To był rodzaj gry, rozumie pan? Musiałem tylko zrobić to, o co Karin i Michl mnie poprosili. Kontynuowałem to, co mój ojciec robił dla Friedricha: straszenie ludzi, zarażanie lisów wścieklizną...

– Żeby trzymać wszystkich z dala od jeziora. Pieprzyć ciebie i jebane lisy.

Rudi podniósł się z ziemi. Otrzepał spodnie.

– Panie Carcano, mam nadzieję, naprawdę mam nadzieję...

– Ma pan nadzieję, że nie będzie mnie musiał zabić? To ma pan na myśli?

Rudi potrząsnął głową, wydawał się smutny.

– Mam nadzieję, że pan i panna Knapp będziecie szczęśliwi. My zostaniemy tutaj, gdzie utknęliśmy, ale wy możecie być wolni.

Rozdział LXXVII

Tony prowadził. Sibylle skuliła się na siedzeniu obok. Nietrudno było zgadnąć, co czuje. Ból. Gniew. Rozpacz.

– Musimy porozmawiać, Sib.

– Nie.

– Ta decyzja nie należy do mnie.

Sib odwróciła się do niego.

– A ja już postanowiłam. Zdetonujemy bombę – powiedziała z gniewem.

– Nie tak. Nie podejmuje się takiej decyzji w...

Sib walnęła pięścią w deskę rozdzielczą, potem włączyła odtwarzacz i zwiększyła głośność do maksimum. Elvis. *Hound Dog*. Przez całe dwanaście lat ta piosenka czaiła się w środku.

Kiedy dotarli do Val d'Isarco, Tony ściszył.

– Carcanowie zawsze mieli twardą skórę na dłoniach. Mój ojciec był robotnikiem. Mój dziadek najemnikiem pracującym za dniówkę na roli. Tak samo jak pradziadek. Podobnie po stronie matki. To byli ludzie, którym słońce paliło kark, gdy orali cudze pola. Carcanowie żyli w gównianym świecie i radzili sobie. Pewnie, że byli pełni gniewu, ale to był święty gniew Carcanów. Dawał im siłę, by przeć do przodu, centymetr na dzień, aż wykopią sobie grób.

Tony otworzył okno. Ciepłe powietrze uderzyło go w twarz.

– Kiedy u mojego ojca zdiagnozowano raka, onkolog dał mu sześć miesięcy życia. Ojciec przeżył jeszcze dwa lata. Śmierć godna Carcana, całe życie zmuszanego, by walczyć do ostatniego tchu. A płakać w domu? Nie ma mowy. Carcanowie nie płaczą. Więc zabierałem mamę do kina i tam płakaliśmy. Pamiętasz, jak mówiłem ci o *Dwojgu*? O chłopcu i dziewczynie trzymających się za ręce w kinie? Oni nie istnieli. To była moja matka i ja.

Sib odwróciła się do niego plecami.

– Kiedy *Dwoje* znalazło się na liście bestsellerów – ciągnął Tony – mój ojciec umierał w szpitalu. Nie chciał słuchać recenzji, które matka przyniosła, żeby mu przeczytać. Jego zdaniem mój sukces był błędem systemu i kiedy tylko system zda sobie z tego sprawę, rozerwie mnie na strzępy. Carcanowie mają nagniotki na dłoniach, nie odnoszą sukcesów. To dlatego zamówiłem mustanga. Takiego samego jak w *Bullitt*. Mój ojciec uwielbiał ten film. Dodałem odtwarzacz CD, bo lubił Elvisa. Tak, Giuseppe Carcano słuchał Elvisa Presleya. Każdej nocy modliłem się, żeby mój tata wytrzymał jeszcze jeden dzień, żebym zdążył mu pokazać mustanga. Chciałem, żeby wiedział, że mi się udało. To był policzek, nie prezent. Mustang przyszedł, gdy ojciec wyglądał jak cień człowieka. Był nie do

poznania, tylko oczy pozostały oczami Giuseppego Carcana. Człowieka, który wierzył, że walka na pięści z synem uczyni syna dorosłym.

– Ty i twój ojciec? – Głos Sib był niski, urywany.

– To było wtedy, kiedy oznajmiłem, że się wyprowadzam i że nie będę pracował w hucie. Dobra walka. Wyszedłem z domu posiniaczony i z pustymi kieszeniami. Tamtą noc spędziłem pod ponte Resia. Nigdy nie spałem lepiej, zapewniam cię. Zasnąłem, przysięgając, że ja mu jeszcze pokażę, temu gnojowi. Że Tony nie skończy jak wszyscy inni w rodzinie Carcano. – Uśmiechnął się. – Wiesz, co matka powiedziała mi na pogrzebie? Że takie same słowa wypowiedział mój ojciec do swojego ojca, zanim wziął walizkę i wyemigrował do Bolzano.

Elvis zaczął *Love Me Tender*.

– Mój ojciec zawsze oceniał ludzi po pieniądzech. Ci, co je mają, są lepsi od tych, co ich nie mają. Mustang mówił jego językiem: kosztował tyle co jego czteroletnia pensja. Zaparkowałem go pod oknem sali szpitalnej, w której dogorywał ojciec. Chciałem, żeby zobaczył mój zatruty prezent. Potem wszedłem na górę, podniosłem go z łóżka, zaciągnąłem do okna i mu go pokazałem. Prychnął, że uwierzy dopiero wtedy, gdy udowodnię, że jest naprawdę mój. Zaprowadziłem go więc na parking, trzymając pod ramię. Otworzyłem drzwi. „Widzisz? – powiedziałem. – Jest mój”. A ten dupek odparł, że może i jest mój, ale to na pewno nie jest czterystaosiemdziesiątkaszóstka, taka, jaką miał Steve McQueen. Otworzyłem maskę i pokazałem mu napis czterysta osiemdziesiąt sześć, potem posadziłem go tam, gdzie teraz siedzisz, włączyłem silnik i pozwoliłem usłyszeć ryk bestii. „I kto jest nieudacznikiem, tato? – zapytałem. – Kto jest teraz przegrany, ty głupi sukinsynu?”. – Tony pokręcił głową. – I wiesz, co on na to? Powiedział...

Rozdział LXXVIII

1

Giuseppe Carcano wyciągnął rękę, kikut zniszczony przez chorobę, i powiedział:

- Daj mi papierosa i przejedźmy się, Tonino.
- Wiesz, że już nie palę.
- Ale samochód prowadzić umiesz, nie?

Tony wyjechał na via Vittorio Veneto. Włączył odtwarzacz.

- Elvis – zaświszczał ojciec.
- Twardziel taki jak ty, co, tato?

To była stała śpiewka jego ojca. Elvis był twardzielem, bo Elvis miał czelność śpiewać jak czarnuch przed tymi wszystkimi jebanymi rasistowskimi białasami.

Giuseppe Carcano machnął ręką, jakby chciał powiedzieć „nie gadaj bzdur”.

– Naprawdę kupiłeś tę bajeczkę? Elvis przypomina mi mój pierwszy raz z twoją matką, reszta to bzdury dla takich durnych dzieciaków jak ty. W czasach Elvisa ludzie słuchali radia, a w radiu nie liczył się kolor skóry, mądrało.

- Czy tym dla ciebie jestem, tato? Głupim małym chłopcem?
- Głupim małym chłopcem, co nic nie rozumie. Nic.

Światło na skrzyżowaniu, na którym się zatrzymali, zmieniło się z czerwonego na zielone.

Tony ruszył z piskiem opon. Śmiech Giuseppego był jak drapanie śmierci po płucach umierającego.

– Właśnie tak to się robi – powiedział. – Pokaż, co ta panienka potrafi, Tonino.

- Nie cierpię, kiedy mnie tak nazywasz – odrzekł Tony, przyspieszając. Znowu ten śmiech.

Tony jeszcze przyspieszył.

– Nic nie wiesz – syknął do ojca. – Nic o mnie nie wiesz. Ani o samym sobie. Nie wiesz, że zabierałem mamę do kina, żeby się spokojnie wypłakała, bo ty, głupi chuju, nie chcesz, żeby ludzie płakali przy tobie. Bo się boisz. Boisz się całej tej miłości, którą masz do niej i do mnie. Twardziel, co? Steve McQueen z via Resia.

Wyprzedził alfę. Potem ducato. Kierowca puścił za nim wiązanę. Mustang ryczał. Tony nie miał odwagi spojrzeć na ojca.

Dlatego jeszcze dodał gazu.

– Więc teraz moja kolej, tato. Załatwiłeś sobie raka, żeby mnie wkurzyć. Bo byłoby miło patrzeć, jak się starzejesz, jak kupujesz jedną z moich książek. Zobaczyć, jak się, kurwa, cieszysz z tego, co buduję. Bo ja coś buduję. Daję w prezencie szczęśliwe zakończenie wszystkim Giuseppom Carcanom tego świata. Przepędzam duchy, wymazuję nienawiść. Ale ty jesteś chłop na schwał, ty nie akceptujesz szczęśliwych zakończeń. Ty odchodzisz, zanim twój syn znajdzie siłę, by powiedzieć ci to, co ty, tchórze, powinieneś był powiedzieć mu wiele, wiele lat temu...

Na skrzyżowaniu zapaliło się czerwone. Szara toyota przed nim musiała gwałtownie zahamować. Tony ją wyminął.

– Że cię kocham, ty pieprzony dupku.

Mustang przeszedł z ryku do warkotu. Zwolnił.

– Kocham cię, tato.

Tony był mokry od potu. Na pierwszym skrzyżowaniu zawrócił. W końcu znalazł odwagę, by spojrzeć na ojca.

Giuseppe spał. Tony zaczął się śmiać.

„Jeden zero dla ciebie, tato”.

Kiedy dotarli do szpitala, obudził go. Zdezorientowany ojciec poprosił o papierosa. Tony wyciągnął paczkę ze skrytki mustanga. Pielęgniarka pędziła do nich, pchając wózek i wymyślając Tony’emu.

Kiedy ojciec już siedział na wózk, otworzył oczy. Poruszył ustami.

– Nie palę, tato.

Giuseppe pokazał mu gestem, żeby się przybliżył. Tony musiał się pochylić i wdychać zapach choroby.

– Mówiłem ci, że nie...

Giuseppe ścisnął go za ramię. Mocno.

2

– Minęły już czasy – wystękał ojciec – kiedy Carcanowie zginali karki, prawda, dzieciaku?

Rozdział LXXIX

1

Szangaj.

Sib otarła łzę.

– Ludzie tacy jak Perkmanowie zawsze spadają na cztery łapy – powiedział Tony. – Nigdy nie pójdą do więzienia. Wybuchnie skandal, paru pracowników straci posady, ale Karin i Michl? Zostaną tam, w Ropuszym Dworze. Kreuzwirt zapomni. Ludzie są tam dobrzy w zapominaniu, sama najlepiej wiesz. Ja mogłem pokłócić się z moim ojcem. Mogłem zrozumieć, ile z niego było we mnie. I choć chciałem go zranić, to jednak dowiedziałem się, jak go uszczęśliwić. W ostatniej chwili, ale miałem tę szansę.

2

Telefon zadzwonił o trzeciej po południu. Karin chodziła po pokoju tam i z powrotem, lekko wstawiona.

Odebrał Michl.

– Pod jakimi warunkami? – zapytał niezadowolony.

Słuchał, a jego twarz skrzywiła się w grymasie.

– Pierwszy da się zrobić. Ale drugi...

Cisza.

– Dziś wieczorem. Zgoda.

Odłożył słuchawkę.

Karin wypła kolejny łyk martini.

– No i?

– Zgadzą się.

– Wiedziałam. – Karin się rozpromieniła.

– Ale Sibylle chce się spotkać z Martinem. A Carcano zażądał...

Rozdział LXXX

Tony był trzecią wiadomością, po ucieczce świń z gospodarstwa w Val di Maces i wypowiedziach asesora gminnego na temat przywrócenia ruchu drogowego po osunięciu się ziemi w Val Gardena. Kamera kadrowała kobietę w ciemnym ubraniu, która gdyby nie ponury wyraz twarzy, byłaby bardzo piękna.

Polianna zgasiła papierosa. Gdyby Tony się dowiedział, że wieczorem, po kolacji i szklaneczce kordiału, pozwalała sobie na wypalenie tej trucizny, wściekłby się. Ale prawdziwe damy muszą mieć tajemnice. To część ich uroku. Polianna zatarła ręce, delektując się przedstawieniem.

Kobieta w czerni wysunęła się na pierwszy plan. Na pasku pojawił się napis: *Giovanna Innocenzi, dziennikarka*.

– To była pomyłka – mówiła kobieta. – Nasze źródło celowo chciało zdyskredytować *Perły Giovanni*, dostarczając fałszywych informacji i umiejętnie zmontowanych obrazów, które nie odpowiadały prawdzie.

– Kosztem znanego pisarza Tony’ego Carcana.

– Tak, jego również.

– Możemy więc powiedzieć, że zdjęcia, które przedstawiały pisarza...

Kobieta pokręciła głową.

– Mieliśmy do czynienia z informatorem, który zakpił sobie z naszej redakcji. Dlatego...

Wyciągnięta na kanapie Polianna zgrzytnęła zębami. Pogłośniła.

– Dlatego przepraszamy naszych czytelników, a przede wszystkim przepraszamy zainteresowanego.

– Ma pani na myśli Tony’ego Carcana?

– Tak, to chciałam powiedzieć.

Kamera na kilka sekund zatrzymała się na twarzy Giò. Dziennikarka wyglądała, jakby właśnie najadła się cytryn. Polianna wybuchła głośnym śmiechem.

– Pieprzona suka! – zawołała. – Masz za swoje, ty pieprzona suko!

Potok obelg płynął jeszcze długo. Ale tak samo jak w kwestii papierosa Polianna nie miała cienia poczucia winy. W końcu urodziła się i wychowała na Szangaju.

Rozdział LXXXI

Tante Frida przestała szcztokować sierść Severina, gdy twarz Giovanni Innocenzi pojawiła się na pięćdziesięciocalowym ekranie telewizora w jej salonie. Wyczuwając w powietrzu napięcie, Severino podniósł ogon i potarł łeb o nadgarstek prawniczki. Gdy tylko ubrana na czarno dziennikarka zaczęła mówić, Tante Frida zerwała się na równe nogi i Severino zwinnie się usunął. Koniec pieszczot. Nie obraził się. Był kotem, a koty nie chowają urazy. Przynajmniej do następnego razu, gdy Tante Frida się do niego zbliży. Zgrabnie wskoczył na regał z książkami, zwinął się na egzemplarzu *Moby Dicka* i zamknął ślepią. Nie było lepszego miejsca na drzemkę.

Relacja w wiadomościach dobiegła końca.

Tante Frida chwyciła za telefon.

„Co ty kombinujesz, Tony? Co się dzieje? Dlaczego nie odbierasz?”.

Rozdział LXXXII

1

Woń torfowiska przepędzała zmęczenie. Zapachy. Smrodki. Rozkosz.

Za to dźwięki tego miejsca napawały go pewnym lękiem. Nie tak bardzo jak grzmoty, bo nie było nic gorszego od grzmotów, ale te skrzypienia i szelesty przypominały mu o śliniącym się Czymś, co wyszło z lasu. Śliniace się Coś, które krzyczało „Krrrka!” i które śniło się Freddy’emu więcej niż raz.

Tylko że w tych snach, zamiast zniknąć w gęstym lesie, Coś go atakowało. Gorzej. Coś zatapiało swoje kły w ciele Tony’ego. Tony krzyczał, błagał o pomoc, ale Freddy nie mógł powstrzymać Czegoś. Freddy zawarczał.

To były tylko sny, a teraz nie spał i nic złego się nie działo, bo towarzyszył mu Tony, a Tony nie był takim samym człowiekiem jak inni. Tony umiał śpiewać tę magiczną piosenkę, tę, która przepędzała strach.

Tę, którą nucił właśnie pod nosem, nawet tego nie zauważając.

2

Michl wprowadził ją do dworu. Poszli na pierwsze piętro, a stamtąd korytarzem do stromych spiralnych schodów, którymi dotarli na szczyt wieżyczki obserwatorium. Tam czekała na nią Karin. Wydawała się szczęśliwa, że ją widzi. Kiedy Sib usiadła naprzeciwko, zdała sobie sprawę, że Karin jest po prostu pijana.

– To dla pani – powiedziała córka Friedricha Perkmana, przesuwając kopertę po blacie stolika między nią a dziewczyną.

Sib nawet nie spojrzała.

– Gdzie jest Martin?

– Martin nie...

– Albo Martin, albo nici z umowy.

Karin poprawiła włosy. W jej oczach błysnęła złośliwa radość.

– Chciałam tylko oszczędzić pani bólu.

Zostawiła ją samą.

Sib chwyciła kopertę. Obróciła ją kilka razy w dłoniach. Tam, w środku, nie było nazwiska jej ojca, tylko imię jakiegoś widma. Tony nigdy by tego nie zrozumiał. Tak jak nie rozumiałby, co Sib ma zamiar zrobić. Dlatego skłamała. „Muszę pożegnać się z Eriką i muszę to zrobić sama”. Nie zaprotestował.

Widma są okrutne i pouczające. To samo powiedział jej kiedyś pisarz, a ona się z tym zgadzała. Erika była dla niej okrutna. Chociaż Sib wiedziała, że jej matka została zamordowana, że jej nie porzuciła, gniew tych wszystkich lat będzie jej towarzyszył jeszcze długo. Może zawsze.

Dlatego Sib okłamała Tony'ego. Nie zaakceptowała paktu z Perkmanami, aby poznać tożsamość swojego ojca. Jej ojciec był widmem, a ona nie chciała ich już więcej w swoim życiu. Chciała tylko spotkać się z Martinem, przeżyć za pośrednictwem jego słów to, co wydarzyło się w nocy 21 marca 1999 roku, powiedzieć „żegnaj” widmu Eriki i wbić majcher na fajfusów w serce jej mordercy.

3

„Widma potrafią być okrutne i pouczające”, myślał Tony, kiedy Sibylle znikła we wnętrzościach Krotn Villa, za jej pokrytymi bluszczem ścianami, mauzoleum i wieżyczką obserwatorium, która przypominała palec wskazujący w niebo.

By wskazać na Boga?

Może. Albo na ciemną przestrzeń między jedną gwiazdą a drugą. Ciemna podwalina między światami, jak nazwałby to von Juntz. Żeby uciec od podobnych myśli, Tony zagłębił się w las i doszedł do jeziora.

Patrząc na jego spokojną taflę przy pełni księżyca, poczuł zdziwienie. Oczekiwał, że coś pojmie, dostrzeże jakiś ślad krwi przelanej nad brzegiem lub echo śmierci, która zagnieździła się na dnie. Po okrucieństwie, które się tam wydarzyło, po śmierci Eriki i zniszczeniu jej ciała nie pozostał żaden ślad.

Nawet Freddy machał ogonem, jak gdyby to miejsce było zwyczajne, takie samo jak każde inne. „Może bernardyn ma rację – pomyślał Tony. – Piekło jest byle gdzie”.

Przykucnął i pogłaskał Freddy'ego, który polizał go po twarzy.

– Dobry chłopiec, dobry.

Zadzwoiła do niego Polianna. Powiedziała, że Giò przeprosiła go w wiadomościach telewizyjnych. To był pierwszy warunek, który Sibylle postawiła Perkmanom. „Powinieneś być zobaczyć wyraz twarzy tej przemądrzałej suki”, powiedziała Polianna. Tony nigdy wcześniej nie słyszał, żeby Polianna używała takiego języka. Potem poprosiła go, żeby był ostrożny. „Nie wiem, co kombinujecie, ale podoba mi się ta dziewczyna. I podoba mi się, że cię lubi. Miej ją na oku. Zrób to dla mnie, dobrze?”.

Tante Frida zasypała go telefonami, ale Tony nie odbierał. Rozmowa telefoniczna z Tante Fridą mogła okazać się skomplikowana. Wszystko w swoim czasie.

Światła Ropuszego Dworu przykuły jego uwagę. Tony nie zdawał sobie dotąd sprawy, jak blisko jeziora stał budynek. Obliczył, że osiemset metrów

w linii prostej. W ciemnościach otaczających torfowisko wieżyczka obserwatorium astronomicznego lśniła jak latarnia morska.

4

„Potwór”, powiedziała o nim Karin. To było podłe. Kiedy jednak Martin się pojawił, Sibylle przez chwilę myślała dokładnie tak jak ona. Wydawało się, że jego twarz ukształtował jakiś okrutny i bezmyślny Bóg.

Mężczyzna, którego Michl przyprowadził do pokoju w wieżycze, miał połowę twarzy zniszczoną przez ogień, podczas gdy druga, lewa, była wolna od blizn i prawie identyczna jak szlachetny i dumny portret Friedricha Perkmana na zdjęciach ślubnych, które pokazała jej ciotka Helga.

Michl pomógł mu usiąść. Niewidzące oko Martina cały czas wpatrywało się w dziewczynę. Bliźniak Karin położył ręce na stoliku. Miał długie i silne palce. Nosił ciemny garnitur z czarnym krawatem, w który wpięta była niewielka szpilka z główką w kształcie ptaka. Maleńki koliber z rozpostartymi skrzydłami.

– Jeśli będziecie czegoś potrzebować... – Michl nie dokończył.

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

– Zabiłeś moją matkę.

Nie było odpowiedzi.

– Wsunąłeś jej zdjęcie do mojej skrzynki na listy?

Martin poprawił krawat.

– Dlaczego to zrobiłeś?

Drżenie.

– Dlaczego zabiłeś moją matkę?

Martin pstryknął palcami. Pstryk. Pstryk. Szybka seria. I gwizd. Melodyjny gwizd.

– „Obecnie Puszcza jest dość gęsto zamieszкана – zaczął recytować chrypiącym i niepewnym głosem – przez istoty złe, dobre i obojętne, ot, zwykłe zbiorowisko, nie chcę nikogo wyszczególniać. Na świat składają się różne elementy. Coś mi się zdaje, że i ty się o tym osobiście przekonałeś”.

– *O czym szumią wierzyby?*

Martin kiwnął głową. Pstryk. Pstryk.

– Lehrerin Rosa powiedziała, że nie jesteś idiotą. Nie odgrywaj komedii. Chęć odpowiedzi.

Majcher na fajfusów zaanonsował swoją obecność.

– Za wszelką cenę.

– Czasami – odezwał się nieprzyjemny głos Martina – myślę sny z rzeczywistością. I odwrotnie. Czasami, tak jak dzisiaj, myślę, że nie ma różnicy między tym, co mi się śni, a tym, co widzę. Możesz przysiąc, że to jest rzeczywistość? Możesz mi udowodnić, że nie śnię? Albo że ty nie śniesz?

Albo że oboje jesteśmy tylko snem dziewczyny umierającej nad brzegiem jeziora? – Martin pogładził zniszczoną część swojej twarzy. – Erika była jedyną osobą, która się mnie nie bała. Nigdy nie mierzyła we mnie nożem.

– Gdyby to zrobiła, nadal by żyła. A ty nie.

– Kto ci powiedział, że nie jestem martwy?

Sibylle zacisnęła zęby.

– Skończ te gierki.

– Zawarłaś umowę? Tak jak mój ojciec? Jak oni wszyscy w Kreuzwircie?

Sibylle nie zadała sobie nawet trudu, by odpowiedzieć. Chwyliła kopertę i przedarła ją na pół. Potem jeszcze na dwie części. Zredukowała tożsamość swojego ojca do kupki papieru z tuszem.

– Zawarłam ją tylko po to, żeby z tobą porozmawiać. W cztery oczy.

– I mnie zabić.

Sibylle patrzyła na niego przez długi czas, zanim odpowiedziała.

Sibby Pończoszanka pożegnała się z Tonym. „Nie ma przyszłości dla morderców”, pomyślała.

– I cię zabić.

Rozdział LXXXIII

1

Z willi wypełził cień.

Cień się uśmiechał. Delektował się bliskością śmierci, którą niosła ze sobą noc.

2

– Erika śpiewała dla mnie. Dla kreta. Kret jest pod ziemią. Tak jak umarli. Umarli mają pokój, umarli wszystko wiedzą. Ja nie miałem pokoju, ale wiedziałem wszystko. Wiedziałem o tym, co mój ojciec i Horst ukryli w jeziorze. Słyszałem ich rozmowę. – Chichot. – Myszy. Jak myszy w ścianach. Nigdy mnie nie odkryli. Nikt nie widzi kreta. Kret jest niemy. Kret jest niewidzialny. Tylko Erika widziała kreta. I śpiewała. Śpiewała dla mnie. Tylko ona nie bała się tej twarzy. Mojego...

– Szaleństwa?

Martin kiwnął głową. Potem potrząsnął nią.

– To nie jest szaleństwo. Kret nienawidzi. Po prostu nienawidzi.

– Nienawidzi kogo?

– Wszystkich.

Taka była odpowiedź Martina. Wypowiedziana z dziwną dziecianną radością, jakby nienawiść do wszystkich była najbardziej naturalną rzeczą na świecie. Powietrze uwięzło w płucach Sibylle, która z jeszcze większą siłą zacisnęła dłoń na rękojęści majchra.

Martin pocierał paznokciami obu rąk o siebie nawzajem. Tiktiktik. Jak owad.

– Karin powiedziała, że ogień zabił to, co we mnie dobre, i zostawił to, co złe. Dlatego jestem tym, kim jestem, powiedziała. Kretem. Dlatego płomienie uderzyły we mnie, a nie w nią. Dlatego jestem sam, a ona znalazła miłość.

– Michla.

– Człowieka, którego blizny są w środku.

– On...

– Jest jak jego ojciec. Horst i jego książki. Skoro tu jesteś, to czytałaś von Juntza. I wiesz o Grahamie.

– Czy Grahame zabił swojego syna?

– Może. A może nie. – Martin wskazał na obserwatorium. – Ale go zamknął.

Chichot. Podwójne pstryknięcie. Pstryk. Pstryk. Martin wstał. Sibylle zrobiła to samo, bardzo szybko, z nożem gotowym do pchnięcia. Martin nawet na nią nie spojrzał.

Podszedł do okna, stanął tyłem do niej.

– Chcę, żebyś opowiedział mi o Erice – zażądała Sib. – Jak ją zabiłeś?

– Erika przewidziała ten moment. Tarotem. Powiedziała, że przyjdzie do mnie piękna i rozzłoszczona kobieta. Że ta kobieta przyniesie złe słowa, które przemienią Kreta w księcia. – Martin odwrócił się do Sib. – Ona zawsze miała nadzieję. Zawsze. To dlatego umarła. Bo ufała wszystkim.

– Zaufała tobie. A ty ją zabiłeś. Mieliście spotkanie, chciała cię zabrać na Maturaball...

– Tak, Maturaball. Śpiewy, tańce i śmiechy. Dużo śmiechu. Erika chciała pokazać mi światu. Erika powiedziała, że ludzie się przestraszą, niektórzy poczują obrzydzenie, ale wielu, wielu zrozumie. I krecik nie będzie już martwy, nie będzie musiał cały czas przebywać pod ziemią. Kret, mówiła Erika, mógł widzieć światło słońca.

– Nie tylko wtedy, gdy potajemnie wymykałeś się z Ropuszego Dworu.

– To nie było prawdziwe światło.

– Ona cię kochała.

– Tak.

– A ty i tak ją zabiłeś.

– Karin dowiedziała się wszystkiego. Podśluchiwała nasze tajne rozmowy. Rozszyfrowała nasz język. Dręczyła mnie przez kilka dni przed balem. Chciała mnie rozwścieczyć. Jak z Elisą. Zostawiła otwarte drzwi. Potem poszła na Maturaball z Michlem. Ale ja nie wyszedłem. Tej nocy nie wymknąłem się z willi. Bałem się. Wszystkich tych spojrzeń. Wszystkich ludzi, którzy mieli na mnie patrzeć. Bałem się, że zobaczyliby potwora. – Martin się odwrócił, po jego zdeformowanej twarzy płynęły łzy. – To nie ja zabiłem Erikę.

3

– Zawsze kochałem to miejsce – powiedział głos pochodzący z ciemności.

– Michl.

– Przestraszyłem pana? Przepraszam.

Michl pochylił się nad Freddym. Pogłaskał go po pysku. Bernardyn wydał pomruk zadowolenia.

– Śledził mnie pan?

– Pomyślałem, że pewnie tu pana znajdę. Jak już mówiłem, to piękne miejsce. Zawsze je kochałem. Ma moc rozpraszania złych myśli.

– Nie wygląda pan na cierpiącego na bezsenność.

– Bo też na nią nie cierpię. Karin ma problemy ze snem, ale nawet ona nie może tego nazwać bezsennością. W każdym razie nie w medycznym

tego słowa znaczeniu.

– A Martin?

– Martin jest prostym stworzeniem – odpowiedział Michl. – Potrzebuje niewielu rzeczy.

– Kogoś, kto mu poczyta *O czym szumią wierzby* i będzie krył jego morderstwa?

– Mówi pan w liczbie mnogiej. Morderstwa. Myśli pan, że Martin to Wanderer?

– Prawdę mówiąc, zastanawiałem się raczej, gdzie pan był dwudziestego pierwszego marca dziewięćdziesiątego dziewiątego roku.

Michl zaczął się śmiać. Jego śmiech długo powtarzało echo, karmił się nim mrok torfowiska.

– Zabrałem Karin na Maturaball – odpowiedział. – Miała piękną sukienkę. Patrzyli na nią, wszyscy. Tamtej nocy dużo plotkowano, jeśli wie pan, o co mi chodzi.

– Czyli było mnóstwo świadków. Sami porządni ludzie z Kreuzwirtu, jak sądzę. Którzy byli winni rodzinie Perkmanów sporo pieniędzy. Którzy wiedzieli o interesach pańskiego ojca.

Uśmiech znikł z twarzy Michla.

– Z niektórych rzeczy lepiej nie żartować.

– Tak łatwo jest kupić człowieka?

– Czy pan mnie przesłuchuje, panie Carcano? A może to tylko dusza pisarza czuje się zainspirowana tym pejzażem?

– Jestem ciekawski.

Horst pogłaskał Freddy'ego, a potem wycelował w pisarza lufę beretty.

Freddy zeszywniał.

– Proszę wyrzucić dwudziestkędwójkę – powiedział Michl.

– Jaką dwudziestkędwójkę?

– Broń, którą trzyma pan za paskiem z tyłu.

Tony usłuchał.

Dwudziestkadwójka znikła w krzakach torfowiska.

Freddy zaczął się denerwować. Michl wycelował broń w niego.

– Niech go pan uspokoi. Nienawidzę myśli, że mógłbym skrzywdzić psa.

Tony przykucnął i zaczął głaskać bernardyna.

– Nie było żadnej umowy, prawda, panie Horst? – powiedział, gdy Freddy powoli się uspokajał. – Chodziło o to, żeby ciała znikły w jeziorze?

– Ciała zostaną znalezione, spalone na węgiel. Drodzy przyjaciele ze szpitala zidentyfikują je jako Michla Horsta oraz Karin i Martina Perkmanów. Nie będą musieli nawet kłamać na temat tego ostatniego. Prawdziwa tragedia, nie sądzi pan?

Tony wstał. Pistolet Michla znów był skierowany na niego. Freddy zaskowyczał, ale to wszystko. Zwracał pysk to ku twarzy Tony'ego, to Michla.

Tony jeszcze raz pogłaskał go po łbie.

– Nie docenia pan Polianny – powiedział.

– Pańskiej gospodyni? – Michl się roześmiał. – Dlaczego się tym nie przejmuję?

– Powinien pan. Jeśli jutro nie zostanie mnie w domu, najpierw wpadnie w szal, potem poważnie się zaniepokoi i spróbuje się ze mną skontaktować. Jeśli nie będzie mogła, zadzwoni do mojego agenta, a on się wścieknie, bo mam mu właśnie dostarczyć powieść, za którą załatwił mi już sporą zaliczkę i sam pobrał z niej należny mu procent. A to zapoczątkuje łańcuch wydarzeń, które sprawią, że wielu rozzłoszczonych ludzi zacznie mnie szukać. Lepiej nie wchodzić między wydawcę a jego książkę, proszę mi wierzyć.

Michl znów się roześmiał.

– Doceniam próbę, naprawdę. Tędy proszę. Pan pierwszy. I proszę trzymać tego dużego psa na smyczy. Wokół jest mnóstwo wściekłych lisów.

Rozdział LXXXIV

1

Karin była mokra od potu. Michl się wściekł, kiedy odkrył, że jest pijana. Zmusił ją do wypicia takiej ilości kawy, że aż poczuła mdłości. Wytrzeźwiała na tyle, by móc zrobić to, co właśnie robiła. Spalić więzienie. Spalić Krotn Villa. Zniszczyć to miejsce.

Kiedy zmarł jej ojciec, ona i Michl odetchnęli z ulgą. Koniec uwięzienia. Upadek ze schodów wyeliminuje potwora, potem będą wolni. Ale Martin wszystko zepsuł. Dostarczył fotografię Sibylle, a kiedy Karin i Michl uświadomili sobie, że dziewczyna zaczyna zadawać pytania, wszystkie marzenia o wolności rozwiały się jak dym.

Musieli przygotować nowy plan ucieczki, który obejmował, oprócz śmierci Martina, zniknięcie Sibylle i pisarza.

– Ale potwór musi umrzeć pierwszy.

Jej słowa odbiły się echem po Ropuszym Dworze. Ta przeklęta rezydencja była pełna widm. „Ale one też – pomyślała Karin – zginą w ogniu”.

Dźwigając kanister benzyny, skierowała się do wieżyczki.

2

Twarz Martina skurczyła się w grymasie bólu.

– Gdybym się wymknął, Erika nadal by żyła. Ale nie zrobiłem tego. Stałem przy oknie, słuchając muzyki dochodzącej z Black Hat. Powiedziałem to ojcu, powiedziałem doktorowi Horstowi. Nie uwierzyli mi. Byłem tylko kretem, potworem, dlaczego miałoby mi wierzyć? Jedyne Gabriel mi uwierzył. Powiedziałem mu, co się stało, a on...

– Oszalał.

– Nie, Gabriel zawsze był najbardziej świadomym zwierzątkiem w całej Puszczy. Jedyne, który zrozumiał, że Tommy Promień Słońca jest wśród nas.

Sibylle poczuła, że nie może oddychać.

– Wanderer?

– Wanderer istnieje. Wanderer zabija. I wszystkie zwierzątka w lesie śpiewają dla niego.

Wtedy pojawił się ten zapach. Benzyna. Potem hałas. Jak eksplozja. Potem dym. Kwaśny. Przedostawał się przez drzwi, był gęsty i czarny.

Sibylle chwyciła za klamkę. Zamknięte.

– Kur...

Martin rzucił się na nią.
Majcher na fajfusów wypadł jej z rąk.

3

Michł zakrywał sobie twarz chusteczką. Wiatr kierował dym w ich stronę, zapach był mdlący.

Idący przed nim Tony nie przestawał kaszleć. Freddy rozglądał się przestraszony, drżący, ale nie ciągnął smyczy. Freddy poszedłby za swoim człowiekiem do piekła, byle go nie zostawić. I właśnie to napełniało Tony'ego wściekłością. Uchwycił się jej. Wściekłość była lepsza niż rozpacz. Rozpacz była obrazem Sib wijącej się w płomieniach ogarniających wieżyczkę, ale Tony go przepędził. Sib ma się dobrze, nie umarła i jeśli Tony chce jej pomóc, musi zachować trzeźwy umysł, żeby nie zmarnować szansy, jeśli jakaś się nadarzy.

Michł popchnął go do drzwi dawnej oranżerii, która po śmierci pani została zamieniona w rodzaj szopy na narzędzia.

– Dalej. Są otwarte.

Tony je kopnął.

– Pierdol się.

Usłyszał komentarz Michła za plecami:

– Teatralne, ale wyzwalające. Po lewej stronie jest poręcz. Proszę ją chwycić i iść naprzód.

Nad ich głowami pękła szyba. Ogień rozprzestrzenił się szybko.

Freddy zaskowyczał.

4

Karin spodziewała się płomieni, ale nie wybuchu. W tej samej chwili, gdy zapalka upadła w kałużę benzyny, twarda niewidzialna ręka rzuciła ją na ziemię.

Kobieta wstała, wróciła do schodów i niepewnym krokiem zeszła na drugie piętro. Ruszyła korytarzem i dotarła do drzwi biblioteki. Podłoga została pokryta dywanami, a Michł położył na nich kanister z benzyną, dokładnie tak, jak zaplanowali. Karin już miała zrobić krok naprzód, ale coś ją powstrzymało, jeden szczegół: von Juntza nie było na środku owalnego stołu, gdzie zostawili go poprzedniego dnia.

„Michł”, pomyślała Karin. Michł nie chciał, żeby ta książka spłonęła razem z innymi. Protestował, gdy powiedziała, że *Unaussprechlichen Kulten* podzieli los wszystkich innych tekstów w kolekcji.

Karin nienawidziła tej książki. Książki, nad którą musiała spędzać całe godziny, pochylać się, niszczyć sobie wzrok i napełniać głowę bzdetami, bo tak doktor Horst kazał swojemu synowi i jej też. Nienawidziła jej prawie

tak samo, jak nienawidziła swojego brata bliźniaka, który zawsze podsłuchiwał. I swojego ojca, który wyraził zgodę na te tortury.

Nie, von Juntz musiał zamienić się w popiół. W końcu Michl się poddał. „To tylko głupia książka”, powiedział, całując ją w czoło. Pocałunek Judasza. Michl ją okłamał. I Michl – postanowiła Karin, stawiając kolejny krok – zapłaci jej za to.

Kiedy była w połowie korytarza, jakiś głos wypowiedział jej imię: to był Martin.

Karin zacisnęła pięści.

Michl zapewniał ją, że drzwi obserwatorium astronomicznego się nie otworzą, że są solidne. Ten idiota powiedział, że Martin i Sibylle uduszą się w dymie, zanim dosięgną ich płomienie. A tymczasem...

– Karin!

W tym wołaniu było oskarżenie.

Był gniew. Była *furia*.

Karin zwróciła się do niego, uśmiechnięta.

– Braciszku.

Martin znieruchomiał.

– Kocham cię, braciszku. Zawsze się o ciebie troszczyłam. Pamiętasz? *O czym szumią wierzby*. Kto ci to czytał przez te wszystkie lata? Kto ci dawał jeść? Kto cię chronił przed zimmem? Kto cię zabierał do lasu i nad jezioro?

Martin się zachwiał.

Z pewnością nie pod ciężarem Sibylle, zwisającej bez życia na jego masywnym ramieniu.

Karin rozłożyła ręce.

– Chodź do mnie, braciszku. Zostaw tę dziewczynę w spokoju. Ona nie żyje. Nic więcej nie możemy dla niej zrobić. Zmarła dawno temu.

– Nie, Sibylle...

Karin zaśmiała się, a jej śmiech przebił się przez trzask płomieni.

– To nie jest Sibylle, głuptasie. Sibylle to noworodek. To jest Erika, którą zabiłeś, zwłoki, które ciągnąłeś za sobą przez wiele, zbyt wiele lat. Ale Erika cię nie kochała. Tylko ja cię kocham, braciszku. Chodź do mnie, zabierajmy się stąd. Razem. Zaopiekuję się...

Płomienie dotarły do kanistra umieszczonego w bibliotece i wszystko pożał ryk, który zdawał się wstrząsać fundamentami Krotn Villa. Płomienie, a po nich gęsty czarny dym.

Karin próbowała się ratować, biegnąc do schodów prowadzących na parter, ale straszliwy, oślepiający ból przeszył jej kostki i wydobył z niej rozzdzierający krzyk. Nogi przestały ją podtrzymywać, kolana ugięły się, a gdy spotkały się z podłogą, uderzenie z przeciwnej strony odrzuciło jej głowę w tył.

W tym momencie Karin zobaczyła. I zdała sobie sprawę, że całe życie była ślepa i głucha. Tak jak napisał von Juntz, Wanderer istniał. I tak jak

nakazywały *Unaussprechlichen Kulten*, klęczała przed jego obliczem.

Rozdział LXXXV

1

Gdy dotarli do głównej sali Krottn Villa, Michl kazał mu się odwrócić pod spojrzeniem portretów Friedricha Perkmana i państwa Horstów. Tony usłuchał. Lufa beretty wydała mu się ogromna.

- Proszę klęknąć.
- Jak przed Wędrowcem?
- Niech pan nie będzie śmieszny.

Tony pokręcił głową.

– Przykro mi. Dni, w których Carcanowie klękali, już dawno minęły, panie Horst. Jeśli chce mnie pan zabić, musi pan to zrobić, patrząc mi...

Tony rzucił się naprzód. Wyraźnie zobaczył palec Michla pociągający za spust. Huk wystrzału z beretty. Tony zamknął oczy. Kula przeleciała zaledwie kilka centymetrów od jego szyi. Freddy szczełał przerażony, ale nie uciekł. Druga kula roztrzaskała podłogę między jego łapami. Pies uskoczył na bok, ale nawet wtedy nie uciekł.

W tej samej chwili skończył się skok Tony'ego, który uderzył Michla z główki prosto w twarz. Poczuł, jak pękają chrząstki w nosie Horsta. Michl zatoczył się, trzymając się za twarz. Tony uderzył pięścią, trafił w wątrobę i Horst pochylił się do przodu. Cios kolanem powalił go na ziemię. Tony nie dał mu czasu na złapanie oddechu, rzucił się na niego, zablokował mu ręce, przygniatając je kolanami do podłogi, po czym siedząc na klatce piersiowej Michla, zaczął metodycznie uderzać, aż z kłykci połała się krew. Horst jęknął po raz ostatni, wywrócił oczami i stracił przytomność.

Tony chwycił berettę i wycelował w jego czoło. To byłoby łatwe. Byłoby słuszne. Może. To „może” wystarczyło – Tony nie strzelił.

Wydał z siebie zwierzęcy ryk. Wstał, wymierzył Michlowi ostatniego kopniaka, ale nie strzelił. Zamiast tego pochylił się nad drżącym i skowyczącym Freddyem, który próbował chronić się przed iskrami, które niczym piekielny śnieg spadały z sufitu.

- Znajdziemy Sib – powiedział Tony – i wynosimy się stąd, okej, Fred?
- Chrapliwy głos wykrzyknął jego nazwisko.
- Car... Carcano!

Rudi.

Rudi był maską cierpienia. Miał rozbite usta, lewe oko tak spuchnięte, że nie mogło się otworzyć, ledwo oddychał i trzymał się za pierś, jakby miał więcej niż jedno złamane żebro. A jednak włókł się na czworakach po schodach, próbując dotrzeć do Martina, który wspiał się już na ostatni

stopień schodów. On również był pokryty krwią, a w ramionach trzymał bezwładne ciało Sibylle. Freddy zaskowyczał.

– Erika – odezwał się Martin, pokazując Sibylle – nie żyje. Erika nie żyje.

Nie było żadnego bólu. Nie było gniewu, nie było nadziei. Tony nie czuł nic. Tylko chłód.

Wycelował broń.

– Ona nie ma na imię Erika. Ma na imię Sibylle.

– Sibylle to mała dziewczynka. Sibylle nie potrafi śpiewać.

– Ty. – To było jedyne słowo, które wyszło z ust Tony’ego.

Palec wskazujący spoczął na spuście.

– Świat jest środkiem polany – powiedział Martin – my jesteśmy zwierzątkami. Ja jestem Kretem. Erika była Lisem. Erika nie żyje. Sibylle jest...

Sibylle się poruszyła.

Beretta pozostała niema.

Kątem oka Tony dostrzegł, że Rudi był już prawie za Martinem. W prawej dłoni dozorca Krotn Villa ścisnął nóż o wąskim ostrzu, które odbijało blask ognia. Tony widział, jak mężczyzna pełźnie ku poręczy, chwytając się jej i próbuje stanąć, trzymając się za pierś.

„Pospiesz się, ty cholerny draniu, a przysięgam, że zapomnę nawet o napisie na mustangu”.

Tony musiał grać na zwłokę.

– To ty – powiedział, wpatrując się w Martina – zabiłeś te wszystkie kobiety, tak? Ile? Ile ich zabiłeś?

Żadnej odpowiedzi.

– Za każdym razem – prowokował Tony – zabijałeś Erikę, tak? To ją zabijałeś wciąż na nowo. A potem chodziłeś w ich ubraniach. Miałeś je na sobie. Jak Wanderer.

Ogień był wszędzie. Nie dało się oddychać. W powietrzu wirowały czarne płatki sadzy. Temperatura była nie do zniesienia. Tony modlił się, żeby pot nie zalał mu oczu. Modlił się, żeby Rudi zdążył.

Żeby ten koszmar się skończył.

Rudi wstał z wysiłkiem, przygarbiony, z nożem w prawej ręce.

„Zrób to”, pomyślał Tony.

Rudi wziął wdech, wyprostował się i zamierzył, wyginając rękę do tyłu, z czubkiem ostrza skierowanym na zewnątrz, jak gdyby miał zamiar uderzyć Martina biczem, a nie nożem. Ostrze opadło. Dozorca Krotn Villa wzmocnił uderzenie, wychylając się do przodu, wyginając nogi i tułów w dół jak dziecko puszczające kaczki po wodzie.

Ostrze noża zakreśliło błyszczący łuk, przecięło dym i skosiło ciało Martina tuż nad kostkami jednym sprawnym, skutecznym i niemal eleganckim ruchem. Krew buchnęła z ran i nogi Martina przestały podtrzymywać ciało.

Ze zdławionym okrzykiem bliźniak Karin padł na kolana w tej samej chwili, gdy Rudi wstał, zataczając się, a Tony zdał sobie sprawę, że dozorca Krotn Villa nie trzyma się za pierś, tylko coś do niej przyciska.

Książkę z czarną okładką, na której widniała wytłoczona spirala. *Unaussprechlichen Kulten*.

Martin szeroko otworzył oczy i puścił ciało Sibylle. Zamiast biec do niej, Tony nie mógł oderwać wzroku od okładki von Juntza i sposobu, w jaki nie bacząc na ogień, dym i chaos panujący wokół, zanim wsadził książkę za pazuchę, Rudi przetarł okładkę rękawem koszuli, wycierając ją ze śladów krwi Martina, który wciąż klęcząc, jęczał.

„Martin na kolanach”, pomyślał Tony.

Tak jak...

2

– Szczurze! – wyjąkał wreszcie zdyszany szeptem, drżąc cały. – Czy ty się boisz?

– Czy ja się boję? – mruknął Szczur, a oczy miał przepełnione bezbrzeżną miłością. – Bać się? Jego? Nigdy, przenigdy! A jednak, Krecie, boję się!

Po czym obydwaj zwierzątka przypadły do ziemi i pochyliły łebki, oddając cześć bożkowi.

3

Wędrowcowi należy się adoracja. Głowa do gwiazd i kolano ku ziemi. W skrusze i uwielbieniu. Gdzie mięsień jest silny, tam się zgina. Gdzie wola się nie poddaje, spojrzenie Wędrowca jest jak miecz tnący.

4

..jak przed Wędrowcem.

Tony przeniósł lufę beretty z Martina na Rudiego, który w tym czasie zdążył dotrzeć do Sibylle, podniósł ją i podtrzymywał w talii. Nie przypominał już żywego trupa.

– Nie rób tego – powiedział Tony.

Rudi wyglądał, jakby się zawahał.

– Na podłogę! – krzyknął Tony. – Rzuć to narzędzie na podłogę. I puść Sibylle.

Martin, wciąż klęcząc, wycharczał coś.

– Erika.

W uszach Tony’ego zabrzmiało to jak „Krrrka!”.

Rudi zbliżył ostrze do gardła Sibylle.

– Chcesz usłyszeć jej śpiew?

Po raz pierwszy Tony zobaczył prawdziwe oblicze Rudiego o tysiącu twarzy. Wiejski gbur, zbrojne ramię Perkmana, przyjaciel, który zabiera cię na ryby, gość, z którym miło jest pogadać. Człowiek, który umiał obserwować, badać, kalkulować. Drapieżnik. Facet, który podsuwał nowe hobby, nowych przyjaciół, nowe fryzury. Uśmiech jego mięsistych warg, tak szczery, tak *nieszkodliwy*, może to on właśnie uwiódł Mirellę. Może, ale przede wszystkim za tymi wszystkimi maskami Tony zobaczył twarz Wędrowca.

– Chcesz usłyszeć jej śpiew?

– Nie.

Rudi przesunął się w jego kierunku, osłaniając się ciałem Sibylle jak tarczą i nie zabierając ostrza z gardła dziewczyny.

– Rzuć pistolet.

Tony opuścił broń, Wędrowiec zbliżył się jeszcze.

– Rzuć go.

Tony cisnął berettę w płomienie. Rudi nie przestawał się uśmiechać, a ostrze niemal dotykało gardła Sibylle.

– Jestem Przyjacielem, który przyszedł z daleka – powiedział.

Tony rozpoznał cytaty z von Juntza.

– Przebyłem do ciebie długą drogę, Tony. Przeszedłem przez światy. Podwaliny są moim domem, światy są moim terenem łowieckim. Przynoszę ci ekstazę, chwałę i...

– Krew – powiedział Tony.

Rudi pokiwał głową.

– Tak jest napisane.

Tony uklęknął.

– Tak napisał von Juntz. Ty jesteś Wanderer. Teraz to widzę. Masz moc pokazywania światów. Pokaż mi światy, proszę.

Rudi trzymał się poza zasięgiem rąk Tony'ego.

– Czy to sztuczka, Carcano? Obrażasz Wędrowca?

– Pokaż mi światy.

Tony pochylił głowę, włożył ręce między uda i łydki i przygniół je własnym ciężarem. W tej pozycji nie mógł zrobić nic, by ochronić się przed ostrzem Rudiego.

Wanderer stanął za jego plecami i puścił dziewczynę. Sibylle jęknęła, podniosła rękę, by chwycić Tony'ego, ale Rudi ją kopnął. Tony się nie poruszył. Wanderer zbliżył się do niego... Tony pozostał nieruchomy. Wanderer obmacał jego kark. Tony czuł, jak dłonie Rudiego ześlizgują się w dół po kręgosłupie. Czuł, jak palce liczą kręgi.

Wanderer znalazł właściwy krąg, chwycił Tony'ego za włosy i zmusił go do odgięcia głowy do tyłu, odsłaniając jego gardło, a następnie podniósł ostrze jak torreador, aby zadać ostateczny cios. Kropla krwi Martina padła

na twarz Tony'ego. Pisarz poczuł, jak spływa w dół, ciepła, po policzku. I w tym momencie się odezwał.

– Nigdy – powiedział, patrząc wzrokiem wściekłego lisa – nie zagrażaj opiekunowi stukilowego bernardyna.

Ten przerażający ryk nie pochodził z ognia. Rudi rzucił się do tyłu, chroniąc twarz rękami.

Za późno.

Sześć miesięcy później

Rozdział LXXXVI

1

Silny północny wiatr zasypał śniegiem okoliczne szczyty. Kiedy radio charczało, dyrektor Zanon wydał rozkaz otwarcia bramy. Szybko.

Mustang prowadzony przez Tony'ego wjechał do środka. Na masce samochodu widniało słowo „Pojeep”, artystycznie wymalowane pistoletem natryskowym przez graficiarza z Szangaju. Najlepszego, wyjaśnił Tony. Podobał mu się ten napis. Dodawał stylu.

„Zwyczajny samochwała”, skomentowała Tante Frida po swoim, czyli prosto z mostu. Prostata Boys się z nią zgodzili. Ale nikt nie powiedział tego Tony'emu.

Nie było śladu ironii na twarzy pisarza, kiedy wysiadł z mustanga i wiatr zmusił go do podniesienia kołnierza kurtki. W milczeniu przywitał się z Tante Fridą.

Z mustanga wysiadła także Sibylle. Ciemna garsonka, włosy zebrane w koński ogon. Przyciemniane okulary. Tante Frida podeszła do niej, by jeszcze raz spróbować.

– Nie musisz.

– Wiem.

Przerwał im prokurator.

– Możemy iść.

2

Nie było nawet okna. Jedynie metalowe krzesło przykręcone do podłogi.

Na krześle Rudi.

Odkąd założyli mu kajdanki, małe leśne zwierzątka drżały. Drżały, kiedy wsadzili go do karetki. Drżały, gdy zszywali mu rany po psich zębach. Dziewięćdziesiąt szwów, tyle co rozdziałów von Juntza.

Drżały, gdy dyktował swoje warunki: pełne przyznanie się do winy, szczegóły każdego morderstwa, nawet tych, o które nie został oskarżony i których policja i karabinierzy samodzielnie nigdy nie odkryją, ale tylko jeśli Sibylle do niego przyjdzie. Inaczej sami mogą sobie rozszyfrowywać dzieło Wędrowca.

Mieli ciała, które ukrył w jeziorze pod Kreuzwirtem, najbezpieczniejszym miejscu na świecie, ale te zwłoki to nie wszystko. Były ciała, których Rudiemu nie udało się przewieźć do jeziora. Czasami dlatego, że miał pecha. Czasami przez brak doświadczenia, zanim zdał sobie sprawę, że

pełne tajemnic jezioro pod Kreuzwirtem jest idealną kryjówką dla jego ofiar. Chcą znaleźć ich ciała? Niech wezwą Sibylle.

Pragnął z nią porozmawiać, powiedzieć jej o Erice. Zwierzątka drżały. Usłuchały. A konkretnie: usłuchała Sibylle. Dlaczego miałyby tego nie zrobić?

Nikt na tym świecie nie mógł sprzeciwić się Wędrowcowi.

3

Tony patrzył, jak Sibylle wchodzi do pokoju przesłuchań... Nie było lustra fenickiego jak w amerykańskich serialach, tylko kamera podłączona do monitorów w pokoju, w którym pisarz znajdował się razem z adwokatami, sędziami, karabinierami i policjantami. Patrzył, jak Sib siada w metalowym fotelu. Wolałby być tam razem z nią i z Freddym.

Był tylko jeden powód, dla którego Tony uniemożliwił bernardynowi zagryzienie Rudiego, powstrzymując go z całych sił, co przyplacił zwichnięciem ramienia. Gdyby Freddy dokończył dzieła, zostałyby uśpiony. Tony nie mógł pozwolić, żeby bernardyn stał się ostatnią ofiarą Wędrowca. Więc powstrzymał go i wyprowadził z willi razem z Sibylle.

Zrobił to samo z Rudim, Martinem i Michlem. Nie z Karin. Zbyt wiele płomieni, za dużo dymu. Zresztą powiedzieli mu, że to by było bezcelowe. Kiedy Tony wyciągał Sibylle i pozostałych z płonącej Krotn Villa, córka Friedricha Perkmana była już martwa. Zabił ją ogień, który sama wznieciła.

Teraz Michl też już nie żył. Popułnił samobójstwo w swojej celi. Wcześniej tego dnia, w którym powiesił się na prześcieradle, on i Gabriel spotkali się na więziennym podwórzu i rozmawiali. Niektórzy świadkowie twierdzili, że pod koniec tej rozmowy Gabriel uściskał Michla. To, co sobie powiedzieli, pozostało tajemnicą.

Następnego dnia Gabriel został przeniesiony do kliniki psychiatrycznej, ale mimo starań nie pisał słowa na temat Michla. Przez Tante Fridę przekazał Sibylle notatkę. „Dziękuję”, napisał. Zamiast podpisu narysował uśmiech kolibra. Sib i Tony wyrzucili wiadomość do kosza.

Tante Frida położyła rękę na ramieniu pisarza.

– Uda się jej.

4

– Naprawdę uważasz się za Wędrowca? – To były pierwsze słowa Sibylle.

– Za jedno z jego naczyń, jak Grahame.

– Grahame był Wędrowcem?

– Wykorzystał von Juntza, żeby go wezwać. Jego syn był drzwiami, przez które mógł przechodzić. To dlatego Grahame go zabił. Żeby dokończyć dzieło.

– Nie ma dowodów na to, że Grahame zabił swojego syna, nie mówiąc już o tym, że nie miał uszkodzonego mózgu, jak ty. A von Juntz był zwyczajnym uzależnionym grafomanem. Dałeś się nabrać na książkę pełną śmieci, z której został tylko popiół.

Rudi posłał jej uśmiech pełen współczucia.

– Von Juntz nie jest popiołem.

– Doprawdy? – zaszydziła Sibylle. – Więc gdzie jest?

– *Unaussprechlichen Kulten* żyje własnym życiem. Został napisany w tysiącach języków przez tysiące różnych rąk. Podróżuje między światami, zmienia formę, kpi z czasu. Skąd mogę wiedzieć?

Sibylle nie zapanowała nad grymasem obrzydzenia.

– To Horst kazał ci czytać von Juntza? Czy to on spieprzył ci mózg do tego stopnia?

– Horst był durniem. Jak wszyscy w Ropuszym Dworze. Karin była zazdrosna o swojego brata i nawet nie zdawała sobie z tego sprawy. Elisa była zazdrosna o władzę i pieniądze Perkmana. Zrobiła wszystko, co mogła, by uwieść Friedricha. Wiedziałaś o tym?

– Nie. I szczerze mówiąc, nie interesują mnie plotki.

– To był powód, dla którego w pewnym momencie stary Perkman nie chciał zapraszać innych dzieci do posiadłości. Elisa próbowała go pocałować. Widziałem wszystko. Słyszałem wszystko. Znam wszystkie sekrety Kreuzwirtu.

– Rudi podglądacz.

– To było, zanim stałem się Wędrowcem.

– A Elisa? To był wypadek?

– Jedno i drugie.

Trochę czasu zajęło Sib rozszyfrowanie mętnego języka Rudiego.

– I w osiemdziesiątym ósmym, i w dwa tysiące piątym?

– W osiemdziesiątym ósmym Elisa znalazła gniazdo. Małe ptasie gniazdo. I zabijała pisklęta. Jedno po drugim. Mała suka, prawda? Więc Martin ją uderzył. Możesz go za to winić?

– Czy Martin zabił Elisę?

– To był wypadek, los. Od śmierci Eriki... Wiele rzeczy się we mnie zmieniło. Bardzo wiele. Ale wciąż nie rozumiałem. To Elisa sprawiła, że pojąłem, kim się stałem.

Rozdział LXXXVII

1

Była pijana. Była na haju. I nadal nie mogła się z tym pogodzić. Bank odmówił jej pożyczki. Pięćdziesiąt tysięcy euro. Błahostka. Dysponując tymi pieniędzmi, mogłaby rozszerzyć biznes. Zatrudnić kilku nowych przewodników, poprawić wizerunek online. Przyciągnąć nowych klientów. Idiotów do oskubania.

Wysączyła resztkę wódki, która została na dnie, i wyrzuciła butelkę. Wtedy zobaczyła Rudiego. Albo raczej zobaczyła sylwetkę ukrytą w leśnym gąszczu. Ale nie miała wątpliwości, że to Rudi, poznała go. Rudi podglądacz. Nie był już tym chudym chłopcem, który zawsze trzymał się swojej małej grupy przyjaciół. *Przyjaciół*, pewnie... Idiota Gabriel, córeczka tatusia Karin i Pomyłona Erika. Banda nieudaczników.

Elisa westchnęła. Skoro wódka i zioło nie zadziałały, mogła zrobić już tylko jedno, by jej przeszło. Zdjęła bluzkę. Nie miała stanika. Ściągnęła spodnie, potem majtki. W świetle gwiazd wyglądała jak wróżka.

– Chodź do mnie.

Rudi wyszedł z ciemności.

Pocałowała go. Kiedy do niego przyłgnęła, poczuła jego erekcję. Przyszło jej do głowy, że może to jego pierwszy raz, przecież nigdy nie widziała Rudiego zboczeńca w towarzystwie kobiety. Wzięła go za rękę i zaprowadziła do potoku.

– Chcesz mnie? – zapytała.

2

– Uderzyłem ją kamieniem. Wpadła do wody i utopiła się. Wtedy zdałem sobie sprawę, że Wanderer przeszedł przez Erikę, by wejść we mnie, by stać się mną. Dzięki Erice.

Rozdział LXXXVIII

Maturaball był jego ulubionym czasem. W powietrzu czuło się ferment. Elektryczność. Rudi potrafił to wyczuć. To był prąd przechodzący przez jego skórę, brzuch, aż do mózgu. Od samego rana fantazjował o chwili, w której cała miejscowość zjedzie się na parking Black Hat, zostawiając niestrzeżone domy, sypialnie, szafy.

Wchodzenie do domów było doświadczeniem, którego Rudi nie potrafił nazwać, ale nie mógł się przed tym powstrzymać. Patrząc na poduszkę, którą jego sąsiedzi wkładają pod głowę przed zaśnięciem. Czuć jej zapach. Dotykać ich rzeczy, ich pudełek na biżuterię, przeglądać ich albumy ze zdjęciami. Butelki, szklanki w zlewie z wciąż widocznymi śladami ust ludzi, którzy z nich pili. Szczoteczki do zębów, perfumy. Wkładanie ich ubrań. Za każdym razem, gdy Rudi to robił, przemieniał się. Nie był już sobą. Stawał się nimi. Stawał się panią Triną, która ukrywała czasopisma pornograficzne między detergentami w kuchni, w jedynym miejscu, do którego jej mąż na pewno nigdy nie zajrzy. Stawał się Hansem, mężem Triny, który w szufladzie szafki nocnej, pod skarpetami i majtkami, trzymał odznaki SS. Stawał się wszystkimi dziewczynami z Kreuzwirtu.

Stawanie się nimi przyprawiało go o taki dreszcz emocji, że wpadał w ekstazę.

Zaczął się od Karin. Pierwszej kobiety, którą Rudi kiedykolwiek widział nago. Pomagał ojcu nosić drewno do kominka, gdy ją zobaczył. Karin zostawiła otwarte drzwi do swojego pokoju. Cesała włosy przed lustrem. Nago. Zrobiła to celowo. Karin wiedziała, że nie jest sama w Ropuszym Dworze. Nie wiedziała o Rudim i Peterze, ale to było normalne, Rudi i jego ojciec stanowili po prostu personel Krotn Villa, nikt się nimi nie zajmował. Wiedziała jednak, że w domu był Michl.

To dla niego Karin przygotowała ten spektakl. Tyle że to Rudi ją zobaczył, nie Michl. I zaczął o niej marzyć. A dwa dni później wszedł do jej pokoju.

Michl tego nie widział. Rudi lubił syna doktora Horsta. Raz, kiedy Rudi miał pięć lat, Michl wyciągnął mu drzazgę spod paznokcia, nie sprawiając przy tym bólu. Michl zachęcał go do czytania, do nauki. Nawet jeśli twój ojciec jest gburem, mówił mu, to nie powinieneś iść w jego ślady. Masz wybór. Chcesz być taki jak twój ojciec?

Michl dał mu dostęp do biblioteki. Dorobił dla niego klucz. Rudi lubił książki. Jego ojciec ich nienawidził. Gdy nakrywał syna z książką, bił go. Ale Rudi wytrzymał. Czytał, uczył się. Słuchał. Przyjemnie było podsłuchiwać, jak Lehrerin Rosa czyta Martinowi książkę. *O czym szumią*

wierzby. W tych słowach była magia. Tego właśnie nie zrozumiał jego ojciec. Słowa były magiczne.

Potrafiły otwierać światy.

Ale to nie wszystko.

Słowa umiały przekonywać ludzi. Słowa pomagały być kimś więcej niż tylko synem Petera, wiejskiego gburą. Słowa były jak strzelba jego ojca. Mierzyłeś z niej do czegoś, a jeśli miałeś cęła, to coś padało na ziemię.

Michl był mistrzem w tej sztuce. Rudi to widział. Karin kochała się w nim na zabój. Rudi nie miał nic przeciwko temu. Nie był zazdrosny. Nie dbał o ludzi. Rudiemu zależało na uczuciu towarzyszącemu przemianie. W każdym razie niemal natychmiast zapomniał o Karin. Podobała mu się Erika. I Elisa.

Uwielbiał Elisę. Była jego ulubienicą. Ale cholernie trudno było dostać się do jej sypialni. W tym wielkim domu na piętrze. Udało mu się to tylko raz. Przemiana w Elisę wywołała u niego tak silny stan wzburzenia, że musiał wybiec z budynku, zejść do jeziora i wskoczyć do zimnej wody, aby się uspokoić.

A Erika...

Erika rozmawiała ze zwierzętami. Erika czytała przyszłość. Erika posiadała magię, o której marzyły Elisa i Karin. Erika, jako jedyna ze wszystkich kobiet i mężczyzn w Kreuzwircie, *błyszczała*. Dokładnie tak, jak mówiła ta książka, ta z zakazanego księgozbioru, ta z uśmiechem kolibra. Erika była w połowie drogi między dwoma światami.

Była *subtelna*.

Dlatego 21 marca 1999 roku Rudi ukrywał się, gotowy do akcji. Chciał wejść do jej pokoju, przebrać się w jej sukienkę, uczesać grzebieniem Eriki swoje rozczochrane włosy. Stać się nią. Błyszczeć jak ona. Rudi czekał, aż Helga zgasi światło i zaśnie. Wtedy wejdzie do środka.

Erika nie poszła jednak do Black Hat i to go zaintrygowało. Kreuzwirt miał więcej tajemnic niż mieszkańców, a Erika była najlepiej strzeżoną tajemnicą ze wszystkich.

Poszedł za nią.

Torfowisko było jego domem. Spędzał tu całe dnie, zastawiając z ojcem pułapki na lisy. Łapali je, potem ojciec zarażał je wściekliczną i uwalniał. Peter nauczył go, jak to robić. Wystarczyło trzymać nietoperze (specjalne zainfekowane nietoperze) w Mauzoleum Pani.

Rudi poszedł za Eriką do jeziora. Widział, jak się rozgląda, siada, czeka. I wtedy, właśnie wtedy, gdy dziewczyna już wstawiała, by wrócić, gdy wiatr przyniósł nad jezioro głośną muzykę z Maturaball, Rudi usłyszał hałas. Coś chlupnęło. To lis wpadł do jeziora.

Lisy nie potrafią pływać. Wiedział o tym. Erika też wiedziała.

Dziewczyna nie zastanawiała się ani chwili. Weszła do wody. Na brzegu pozostał jeden but, wessany przez błoto. Niebo było przejrzyste. Erika

śpiewała do lisa, żeby go uspokoić. Mokra sukienka przylegała do jej ciała. Rudiego ogarnęła fala niemal bolesnej rozkoszy. Wyszedł z ukrycia.

Erika nie zauważyła jego obecności. Była zbyt zajęta próbą złapania lisa, który się topił. Rudi upadł na ziemię. Zanurzył dłonie w błocie, podniecony jak nigdy dotąd. Patrzył na Erikę stojącą po kolana w wodzie. Widział, jak błyszczy. Narysował w błocie uśmiech kolibra.

– Erika! – zawołał.

Potem zaczął rzucać kamieniami.

Rozdział LXXXIX

W niewielkiej sali przesłuchań postać Rudiego skutego kajdankami wydawała się ogromna. Z każdym jego słowem Sibylle czuła, jak ściany coraz bardziej zbliżają się do siebie, dławiąc jej oddech w piersi.

– Kamienie – wyszeptała.

– Nie wiedziałem, co robię, ale Wędrowiec wiedział. To on poruszał moją ręką. Na początku Erika myślała, że to żart. Powiedziała, żebym przestał. Nie zrobiłem tego. Każdy rzucony kamień przybliżał mnie do środka polany. Widziałem to poprzez ciało Eriki i słyszałem, jak Wędrowiec mówi mi: dalej, dalej.

– A ty usłuchałeś.

Rudi skinął głową, pobrzękując kajdankami, które unieruchamiały mu nadgarstki za plecami.

– Rzucając kamieniami, zepchnąłem ją w miejsce, gdzie zaczynała się głębia. Tam woda była znacznie zimniejsza, a od zimna drętwieją mięśnie. Erika najpierw się rozżościła, potem zaczęła mnie błagać. Lis utonął pierwszy. Erika przestała walczyć, jej głowa zanurzała się i wynurzała, w dół i w górę, w dół i w górę. Pochłoneła ją czerń. Brama została otwarta. Światy stanęły obok siebie. I Erika zaśpiewała. To Wędrowiec przez nią śpiewał. Wzywał mnie. Więc wskoczyłem do wody i wyniosłem ją na brzeg. Nie czułem się zmęczony. Nie było mi zimno.

Rudi spojrział w niebo.

– Erika – kontynuował – była już na brzegu, gdy Horst ją znalazł. On też skłamał. Kiedy wyciągałem ją z wody, Erika umierała, ale trwało to zbyt długo. Więc usiadłem na niej. Byłem prawie dzieckiem i ważyłem tyle co nic, ale wystarczyło, by ją udusić. Kiedy przestała oddychać, staliśmy się jednym. To była eksplozja. Jak w książce Grahame'a, kiedy Szczur i Kret słyszą dźwięk piszczałki i się boją, ale nigdy nie słyszeli nic piękniejszego. Tak się czułem dzięki Erice. W ten sposób stałem się Wędrowcem. A potem...

Rudi wydał długie westchnienie.

– Ukradłem but Eriki, ten, który został na brzegu. Chciałem go zatrzymać. Ale w połowie drogi zdałem sobie sprawę, jak żalony był ten mój gest. Zostawiłem go na torfowisku. Od tamtego czasu nie wchodziłem już do domów mieszkańców Kreuzwirtu, szpiegowałem ich tylko, by zdobyć ich tajemnice i być może pewnego dnia je wykorzystać, ale wszystko inne wydawało się głupie i mdłe. Erika zmieniła mnie, nawet jeśli zajęło mi trochę czasu, by zrozumieć, w jaki sposób mogę ponownie usłyszeć jej śpiew.

– Erika nie śpiewała! – wykrzyknęła Sibylle, ocierając pot z czoła. – Ona utoneła.

Rudi oblizał usta.

– W bibliotece Perkmanów znalazłem książki medyczne Horsta. Studiowałem je przez długi czas, zanim się nauczyłem, jak to zrobić. Najpierw trzeba sprawić, że uklękną. Von Juntz tak nakazuje. To proste, wystarczy przeciąć ścięgno Achillesa. Potem trzeba policzyć kręgi, znaleźć punkt. Szósty krąg szyjny. Tam trzeba wbić ostrze. Cienkie ostrze. Ostrze przecina tętnicę szyjną i tchawicę. Musisz natychmiast zablokować ranę, przytrzymać ją, bo krew musi pozostać w środku. W płucach. Wtedy czujesz oddech krwi, a oni...

– Topią się – powiedziała Sibylle – jak Erika.

– Śpiewają. Chcesz usłyszeć ten śpiew?

– Nie.

– Nie chcesz zobaczyć światów?

Sib wstała.

– Myślisz, że jesteś bogiem, Rudi? Jesteś tylko pasożytem. Pasożytem żywiącym się tymi wszystkimi dziewczynami, mieszkańcami Ropuszego Dworu, Kreuzwirtem. Jego tajemnicami. Jego grzechami. Przyszłam tu, by pozbyć się widma Eriki, a nie słuchać gadki pasożyta.

– Dokąd idziesz?! – krzyknął Rudi.

– Nie zrozumiałbyś.

Rudi zaczął się śmiać. Sibylle podeszła do drzwi celi, ręka zwinęła się w pięść gotową do zastukania. Śmiech Rudiego ucichł.

– Nie chcesz wiedzieć, kim jest twój ojciec? Nie chcesz, żebym zdradził ci tajemnicę twojego poczęcia?

– Wiesz, kim on jest?

– Znam wszystkie sekrety Kreuzwirtu. Ale – szepnął Rudi – jeśli wyjdiesz z tej celi, nigdy się nie dowiesz.

– No i dobrze.

Sib uderzyła w stal. Jeden raz wystarczył. Wejście otworzyło się szeroko. Po drugiej stronie czekał Tony. Uśmiechnęła się do niego, a Tony znowu zaczął głęboko oddychać.

– Nie potrzebuję więcej duchów. Przyszłam tutaj – powiedziała Sibylle do mężczyzny, który myślał, że jest bogiem, a spędzi resztę życia pożerany przez wątpliwości, czy był pasożytem – tylko po to, by pożegnać się z moją matką.

Rozdział XC

Karin się obudziła.

Zagubiona. Jej oczy biegały na wszystkie strony. Sypialnia. Cienie. Monitor. Jakies rurki wychodzące z jej ciała. Nie mogła mówić, choć próbowała.

Przypomniała sobie. Pożar. Rudi, który pojawił się nie wiadomo skąd z nożem w ręku. Martin, który go zaatakował, by ją bronić, a potem, myśląc, że ona nie żyje, uratował Sibylle. Rudi, który poszedł za nim z von Juntzem przyciśniętym do piersi. Podłoga, która się pod nią zapadła. Ból. Potem tylko migawki. Światła, bardzo jasne.

Jej gardło było wyschnięte. Piekły ją usta. Wszystko ją bolało. Próbowała wstać, ale odkryła, że kostki i nadgarstki ma przywiązane do boków łóżka. Walczyła, ale nie mogła się uwolnić. Była zbyt słaba. Jakaś postać weszła w jej pole widzenia.

Edward Bukrijew poprawił okulary na nosie i uśmiechnął się do niej.

– Panno Perkman.

Karin go przekleła.

Z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk.

– Stan pani zdrowia nie jest zbyt dobry, ale poprawi się. Ma pani poparzone ponad dziewięćdziesiąt procent ciała. Obawiam się, że już nigdy nie będzie pani taka jak przedtem. Ale żyje pani, wbrew temu, co wszyscy sądzą. Będę panią gościł tak długo, jak trzeba, by odzyskała pani siły. Oczywiście nie jesteśmy w Kreuzwircie. Ale to równie przyjemne miejsce. Kiedy nadejdzie dzień, pielęgniarka pokaże pani widok, naprawdę zapiera dech w piersiach.

Karin próbowała mówić. Chciała wiedzieć, zrozumieć. Sprawiała sobie tylko więcej bólu.

Bukrijew dotknął jej ręki.

– Proszę się nie forsować, pani struny głosowe są uszkodzone. Obawiam się, że nieodwracalnie. Ale chyba wiem, co pani chodzi po głowie. Zawarłem umowę z pani bratem, takie dżentelmeńskie porozumienie. Mówili, że to szalenciec, biedny, nieudolny człowiek, a tymczasem ja spotkałem przygotowanego i silnego młodzieńca. Lepszego nawet niż legendarny Friedrich Perkman, jeśli wolno mi tak powiedzieć. Martin dokładnie wie, czego chce i jak to uzyskać. Miał dość siły ducha, by uratować von Juntza przed płomieniami, zabierając go wieśniakowi, który go ukradł, i dość inteligencji, by zrozumieć, że jeśli chce chronić siebie i swoją ukochaną siostrę, musi... cóż, sprzedać go mnie. Zatroszczę się o niego, proszę się nie martwić. Jest w dobrych rękach.

Mężczyzna zniknął z pola widzenia Karin.

– Zostawię was samych.

Zamknął drzwi.

Martin wyłonił się z cienia. Poruszał się na wózku. Miał na sobie perukę z jasnych kręconych włosów. Karin krzyknęła, ale z jej ust wydobył się tylko gulgot. Martin pogłaskał ją po głowie. Potem sprawdził, czy więzy są mocne.

Pocałował ją w czoło.

Podziękowania

Lista osób pełnych cierpliwości, wiary i miłości do tej książki musi się zacząć od Alessandry, która wie, jak oswoić widma. Słowa wdzięczności niech przyjmą Maurizio, Michele, Piergiorgio, Luca, Francesco, Herman, Paolo, cała rodzina wydawnicza Einaudi oraz Seve (wiem, że czyta te słowa na głos). Dziękuję również trzem pokoleniom mieszkańców Szangaju, którzy chcieli zmieszać swoje wspomnienia z moimi. Nie ma znaczenia, czy były rzeczywistością, wymysłem, czy żartem. My, urwisy z via Resia, via Parma i via Piacenza, dobrze wiemy, że najlepszym sposobem mówienia prawdy jest robienie tego po szangajsku: trzeba trochę poszachraić.

¹ Slangowe pogardliwe określenie niemieckojęzycznych współobywateli używane przez włoskojęzycznych mieszkańców Górnej Adygi (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza)

² Nazwa pochodzi od *traliccio*, czyli słupa wysokiego napięcia. Właśnie te konstrukcje były często wysadzane w latach 60. XX w. przez południowotyrolskich terrorystów dążących do odłączenia regionu od Włoch.

³ Pogardliwa nazwa, którą niemieckojęzyczni mieszkańcy Tyrolu Południowego określają włoskojęzycznych współobywateli.

⁴ Babau – we włoskiej tradycji ludowej przerażająco szpetny stwór porywający niegrzeczne dzieci, odpowiednik naszego Czarnego Luda.

⁵ Rodzaj twardego chleba z przewagą żytniej mąki typowego dla kuchni Górnej Adygi.

⁶ Instalacje z wypchanych zwierząt.

⁷ Wszystkie cytaty z *O czym szumią wierzby* w przekładzie Marii Godlewskiej i Zofii Baumanowej.

Redaktor inicjujący: Joanna Maciuk
Redaktor prowadzący: Magdalena Matuszewska

Przekład: Tomasz Kwiecień
Redakcja: Maria Wirchanowska
Korekta: Małgorzata Kuśnierz, Justyna Czebanyk

Projekt okładki: Tomasz Majewski
Zdjęcia wykorzystane na I stronie okładki: © Westend61/Getty Images, ©
SinghaphanAllB/Moment/Getty Images

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel. (22) 828 98 08
faks (22) 395 75 78
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-9699-8

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo